

TRACY ANNE

WARREN

Lekcja miłości

1

Londyn, luty 1820 roku

Wydaje się, że poszukiwania męża nie będą aż tak przyjemne, jak można by było sądzić. Takie oto niewesołe myśli snuła Eliza Hammond, siedząc na kanapie w biało-żółte pasy w saloniku na piętrze rezydencji Raeburn House.

Rozpoczął się dla niej już piąty sezon - doprawdy, przygnębiające spostrzeżenie. Nie zapowiadało się, niestety, że tym razem pójdzie jej lepiej, mimo olbrzymiego majątku, który dość niespodziewanie odziedziczyła po zmarłej przed sześcioma tygodniami ciotce. Przynajmniej może liczyć na wsparcie serdecznej przyjaciółki, Violet Brantford Winter, księżnej Raeburn. Miała nadzieję, że towarzystwo Violet sprawi, iż najbliższych kilka tygodni minie bez większych przykrości. Z drugiej strony, zgrają darmozjadów i łowców posagów, którzy dotąd starali się o jej rękę, nie napawała nadzieją.

- Na przykład pan Newcomb - powiedziała Violet, wyliczając potencjalnych kandydatów do ręki Elizy. - Wydaje się sympatyczny. Poza tym interesuje go sztuka.

- Tak, kiedy ostatnio spotkaliśmy się przypadkiem w galerii, był dla mnie bardzo uprzejmy - zgodziła się Eliza, wspominając regularne rysy mężczyzny i jego proste, kasztanowe włosy, których odcień przypominał nieco gładką sierść setera irlandzkiego. - Doskonale zna dzieła wielkich mistrzów. Może pasjonuje go też historia?

- Jedyne, co go obchodzi, to gra w karty, a zaraz potem w kości.
- Przerwał im głęboki głos. Eliza poczuła na plecach przyjemny dreszczyk jak zawsze, gdy spotykała tego mężczyznę.

Spojrzała na niego. Lord Christopher Winter, przez rodzinę i przyjaciół nazywany Kitem, był wysokim, szczupłym mężczyzną o szerokich ramionach i nieco szorstkiej powierzchowności. Siedział w nonszalanckiej pozie, leniwie rozparty na krześle. Przez ostatnie dwadzieścia minut siał spustoszenie wśród kanapek z kurczakiem, ogórkiem i rzeżuchą. Teraz nachylał się nad tacą z ciastami, poddając ją starannej inspekcji.

Kosmyk ciemnobrazowych włosów opadł mu na czoło, gdy sięgał po dwa ciastka z limetką i cienki plasterk rumowej babki. Przenosząc słodkości na talerzyk, ubrudził sobie palec bitą śmietaną. Oblizał go, a Elizę na ten widok ścisnęło w żołądku.

Zaczęła z uwagą przyglądać się swoim butom. Kit jest szwagrem Violet i nikim więcej, upominała się. W każdym razie nie dla niej. Owszem, kiedyś darzyła go skrywanym uczuciem, ale to należało już do przeszłości. Podczas gdy lord Christopher przez blisko półtora roku podróżował po Europie, ona z całą bezwzględnością starała się wymazać go ze swego serca. A kiedy wrócił do Anglii, w ostatnie święta, niemal przestała już o nim myśleć.

Nie oznaczało to jednak, że nie mogła go podziwiać - był do prawdy wspaniałym mężczyzną. Miał piękne zielono-złote oczy ukryte pod leniwymi powiekami, zmysłowe wargi i czarujący uśmiech. Cieszył się też nieprzyzwoitym apetytem, czego zupełnie nie było widać po jego zgrabnej, umięśnionej sylwetce.

Zatopił właśnie zęby w jednym z ciasteczek. Usiadł z powrotem na krześle, a na jego ustach zagościł lekki uśmiech zadowolenia. Wydawało się, że nie wie, iż jego obecność zburzyła spokój, panujący w saloniku.

Violet spojrzała na niego zirytowana.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Przełknął i popatrzył na nią.

- Hm? - Napił się herbaty, po czym wytarł usta serwetką. - Ach, chodzi o Newcomba?

- Oczywiście, że chodzi o Newcomba. A o kim innym rozmawiamy tu z Elizą?

- Ależ Vi, nie ma co się złościć. Pomyślałem po prostu, że powinienem was ostrzec. Newcomb jest spłukany. Z tego, co słyszałem, grał z Plimptonem w wista i przegrał dwadzieścia tysięcy funtów. Od tamtej pory szczęście jeszcze się do niego nie uśmiechnęło.

Violet i Eliza zgodnie westchnęły.

- Jeśli tak, to nie wchodzi w rachubę - oświadczyła Violet, rzucając Elizie spojrzenie zza okularów. - Nie chciałybyś przecież za męża nałogowego hazardzisty.

Eliza przytaknęła, popijając herbatę.

- Jest też sir Silas Jones - ciągnęła Violet. - Przysłał ci w zeszłym tygodniu taki uroczy bukietik cieplarnianych róż. Podobno ma przepiękny majątek w hrabstwie Kent. Jego sady dają co roku wspaniałe zbiory. Mówią, że umie się zatroszczyć, żeby drzewa dobrze obrodziły.

- Taki z niego rolnik, że rodzą mu nie tylko drzewa - mruknął Kit, zjadając resztki deseru z talerza i sięgając po dokładkę.

Violet przechyliła na bok głowę. Jej jasne włosy były efektownie uczesane.

- Jak się domyślam, miało to znaczyć, że i z nim coś jest nie w porządku?

- To zależy od punktu widzenia. Niektórzy uznaliby, że wszystko jest w zupełnym porządku. - Kit włożył do ust niedużego racuszka, hojnie posmarowanego dżemem agrestowym, po czym bez słowa wyciągnął wjej stronę filiżankę z miśnieńskiej porcelany, żeby dolała mu herbaty.

Violet wystudowanym ruchem uniosła ciężki srebrny imbryk z tacy i napełniła naczynie. Smużka pary wirowała nad powierzchnią napoju, gdy Kit podnosił filiżankę do ust.

- A więc? - Violet nalegała, widząc, że szwagier nie kwapi się z wyjaśnieniem.

Kit odstawił filiżankę na spodek z delikatnym brzęknięciem.

- To prawdziwy donżuan. Ma sześcioro nieślubnych dzieci z czterema różnymi kobietami, a przynajmniej tyle uznał za własne. Można powiedzieć, że oranie to jego specjalność.

Eliza poczuła rumieniec na policzkach, a księżna krótko się roześmiała, lecz zaraz opanowała rozbawienie.

- Kit - powiedziała z wyrzutem. - Przypominam, że jesteś w towarzystwie dam, mówię tu także o sobie. To nie było salonowe słownictwo.

Kit zmusił się do powagi.

- Przepraszam, oczywiście, masz rację. Panie wybaczą.

- Niemniej, dobrze wiedzieć, że sir Silas nie jest człowiekiem, któremu moja przyjaciółka powinna poświęcać czas i uwagę. - Violet w zamyśleniu stuknęła paznokciem o oparcie sofy. - Spośród pozostałych dzentelmenów, którzy ostatnio okazali Elizie zainteresowanie, należy wykluczyć wicehrabiego Coyle'a i pana Washburna. Ci dwaj to znani łowcy posagów, szukają bogatych dziedziczek, żeby sobie zapełnić kieszenie.

- A lord Luffensby? - spytała Eliza. - Przysłał mi taki śliczny tomik sonetów. - To były wiersze Wordswortha, wspomniała z zadowoleniem, jednego z jej ulubionych poetów.

- Ależ tak. Spotkałam go tylko raz, ale zrobił na mnie bardzo miłe wrażenie. Uprzejmy i elokwentny.

Kit parsknął cichym śmiechem.

Violet posłała mu kolejne spojrzenie, teraz już pełne rozdrażnienia.

- Tylko nie mów, proszę, że on nie nadaje się na męża, bo nie uwierzę. Znam kuzynkę lorda Luffensby. Dała mi do zrozumienia, że ma on bardzo przyzwoite dochody i że nie skłania się ku typowym dla mężczyzn nałogom.

- Ku typowym nie, to pewne.

Po dłuższej chwili ciszy Violet się odezwała.

- No, mówże wreszcie, bo obie umrzemy tu z ciekawości.

- Nie wiem, czy wypada. Jak zechciałaś łaskawie zauważyć, są tu damy. - Kit przerwał i zerknął na Elizę. - I to niezamężne.

- Ależ, na Boga, o co znów chodzi? Chyba to nie takie straszne, żeby Eliza nie mogła słuchać. A zresztą, nie jest już przecież naiwną pensjonarką.

Kit, namyślając się, dotknął warg palcem.

- Niektórzy znajomi nazywają go ciotką Luffensby.

Ciotka Luffensby? Eliza zmarszczyła czoło. Może chodziło o garderobę lorda? Owszem, Luffensby zdradzał niejaki zamiłowanie do nazbyt wytwornych strojów, ale bez przesady. Spojrzała na przyjaciółkę, równie zdezorientowaną jak ona.

- Obawiam się, że musisz się wyrażać jaśniej - powiedziała Violet.

- Jaśniej? - Kit przewrócił oczami i wydał zbolące westchnienie. - Jak na kobietę, która czyta po łacinie i grecku, a mówi w pięciu nowożytnych językach, czasami nie jesteś zbyt bystra.

- Nie musisz od razu być niemiły. Po prostu powiedz, o co chodzi. Niemożliwe, żeby to było coś aż tak skandalicznego.

- No, dobrze. A więc, on... hm... lubi mężczyzn.

- I cóż w tym niezwykłego? Bardzo wielu dżentelmenów lubi przebywać w męskim towarzystwie. Nie wiem, dlaczego robisz z tego taki wielki... Och! - Urwała, podnosząc brwi. - Och! Och.

Eliza przyglądała się obojgu, wciąż nie do końca rozumiejąc, o czym mówią. Aż nagle przypomniała sobie fragment przeczytanej kiedyś książki historycznej o mężczyznach przejawiających pociąg do tej samej płci. Zdziwiło ją to bardzo. Nigdy by nie uwierzyła, że takie rzeczy wciąż jeszcze miały miejsce. I to w dzisiejszej Anglii!

Na jej policzkach wykwitł rumieniec.

- Otóż to. - Kit wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach. - Z kimś takim raczej nie założysz rodziny, a rozumiem, że tego właśnie chcesz?

Rodzina, pomyślała Eliza, to dokładnie to, czego pragnę. Był to główny powód, dla którego zdecydowała się wyjść za mąż. Przygnębiona rozmową, opuściła ramiona.

- Dobrze, pomyślmy. - Violet wydobyła z kieszeni sukni białą jedwabną chusteczkę i zaczęła przecierać okulary. - Dostawałaś ostatnio tyle kwiatów i prezentów, musi się znaleźć ktoś odpowiedni.

- Nie ma nikogo takiego! -jęknęła Eliza. - Och, Violet, nie widzisz? To nie ma sensu. Żaden z nich się nie nadaje z takiego czy innego powodu. Albo chodzi im tylko o mój majątek, albo mają jakiś wstydlivy sekret, który chcieliby zatuszować za pomocą małżeństwa.

Violet włożyła okulary, po czym wyciągnęła rękę i poklepała dłoń Elizy.

- No, no. Nie zniechęcaj się tak szybko. Sezon jeszcze się nawet nie zaczął. Nie wiadomo, jacy kawalerowie przyjadą do miasta w najbliższych tygodniach. Na pewno pojawi się ktoś, kto dałby sobie wybić przednie zęby, żeby tylko cię poślubić.

- Zęby? Może najwyżej spróchniały trzonowy. - Eliza pokręciła głową. - Spójrzmy prawdzie w oczy. Żaden porządny człowiek nie starał się o mnie, gdy ciotka jeszcze żyła. I żaden nie zechce mnie teraz. Czasem myślę, że byłoby lepiej, gdyby ciotka nie pokłóciła się z kuzynem Philipem i nie wykluczyła go z testamentu. Ubóstwo chyba nie stwarza tylu problemów.

- Ubóstwo stwarza wyłącznie problemy. I nie opowiadaj o sobie takich bzdur. Dobrze wiem, że wcale nie chciałaś wrócić do dawnego życia. Ta starucha, wybacz brak szacunku dla zmarłych, zbyt długo się nad tobą pastwiła, żebyś teraz nie mogła się cieszyć zasłużonymi wygodami. Jeśli ktokolwiek zasługuje na jej majątek, to tylko ty.

- Może i tak, ale dotychczas nie przyniósł mi wiele dobrego.

- Już wiem! Potrzebujesz mentora. Kogoś obytego w towarzystwie, kogoś, kto by nadał ci nieco ogłady. Nauczył odpowiedniego zachowania i dodał pewności siebie, żebyś nie milkła speszona, kiedy ktoś się do ciebie zwraca. Żebyś mogła się pokazać od najlepszej strony.

Violet urwała, wygładzając na kolanie elegancką wełnianą suknię dzienną w kolorze lawendy.

- Wiesz przecież, że kiedyś byłam podobna do ciebie. W towarzystwie traciłam wszelką śmiałość, nie umiałam sklecić jednego zdania. A potem, kiedy zamieniłam się z Jeanette i zamiast niej poślubiłam Adriana... Co było robić, musiałam się zmienić. Mówię ci, gdyby nie Kit... - Przerwała nagle i przez długą chwilę w skupieniu patrzyła na szwagra. Nagle roześmiała się wesoło. - Ależ tak! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam?

- Na co? - zapytała Eliza.

- Ty i Kit. Przecież to doskonały pomysł. Kit pomoże ci znaleźć dobrego męża.

- Co takiego? - Kit poderwał się gwałtownie, potrącając filiżankę. Chwycił ją zrećcznie i tylko to uratowało go od oblania gorącą herbatą modnych obcisłych spodni z kozłej skórki. Nie chcąc ryzykować poparzenia, zwłaszcza tak delikatnych części ciała, odstawił filiżankę na stolik.

Sądząc po wyrazie twarzy, Eliza Hammond była równie wstrząśnięta. Zdecydowanym gestem obciągnął kamizelkę.

- Chyba się przesłyszałem. Czyżbyś proponowała, żebym został swatem panny Hammond?

- Nie będziesz jej wcale swatać. Bez kłopotu znajdziemy kandydatów do jej ręki. Ty byłbyś tylko jej mentorem, przecież właśnie o tym mówiłam. Pomógłbyś nam ustalić, którzy z adoratorów nie są odpowiedni, a przede wszystkim nauczyłbyś ją obycia, tak, jak kiedyś mnie. Musi nabrać pewności siebie w towarzystwie, umieć się zachować i wyzbyć się nieśmiałości.

- Cóż, chyba nie najlepiej się nadaję do tej roli - wybełkotał, usiłując przerwać szwagierce, nim rozwinie tę obłąkaną myśl.

- Właśnie, że się nadajesz - stwierdziła z przekonaniem Violet. - Kto zrobiłby to lepiej od ciebie? Po pierwsze, należysz do rodziny, więc nie trzeba ci będzie tłumaczyć szczegółów naszego projektu. Poza tym, znasz całą śmietankę towarzyską. To wszystko twoi przyjaciele albo znajomi twoich przyjaciół. No i sporo o nich wiesz, co nam przed chwilą udowodniłeś.

- Nie znam całej socjety. Przypominam ci, że długo podróżowałem. Do tej pory nie nadrobiłem jeszcze zaległości towarzyskich.
- Oskarżycielsko zmrużył oczy. - I nie sugerujesz, mam nadzieję, że jestem plotkarzem?

- Ależ skąd! - zapewniła Violet. - Po prostu jesteś sympatyczny i lubiany. Ludzie mówią ci rzeczy, o których ani ja, ani Eliza nigdy byśmy się nie dowiedziały. A to może okazać się pomocne, bo będziesz potrafił wyeliminować wszystkich łajdaków i oszustów. Pozostaną sami przyzwoici dżentelmeni, spośród których Eliza spokojnie wybierze sobie męża. Tym sposobem będzie mogła całą uwagę poświęcić swoim uczuciom do poszczególnych konkurentów, bez obaw o czystość ich intencji. Naprawdę, nie widzę nikogo, kto lepiej niż ty sprawdziłby się w tej roli.

Kit powstrzymał bolesny grymas. Gdyby wiedział, że tych kilka uwag przyniesie tak zgubne skutki, trzymałby język za zębami. Powinien był jeść, ot co. Jeść i nie odzywać się ani słowem.

Na myśl o jedzeniu odczuł nagłą potrzebę podreperowania nadwątlonych sił, skubnął więc z tacy kolejne ciastko, a wyborny smak truskawek ze śmietaną ukoił nieco jego nerwy.

- Nie jestem żadnym projektem - powiedziała Eliza zduszonym głosem.

- O co ci chodzi, kochanie? - zapytała Violet, zwracając się w stronę przyjaciółki.

- Mówię, że nie jestem żadnym projektem. Tak mnie wcześniej nazwałaś. Żadne z was nie ma obowiązku się nade mną litować. Sama dam sobie radę.

Wygłosiwszy tę krótką przemowę, Eliza spuściła wzrok i spłotła ciasno dłonie, aż pobielaly jej kostki.

Kit, zaskoczony tym nagłym przejawem urażonej dumy, poczęstował się kolejnym ciastkiem. Kto by pomyślał, że ten szary wróblek umie przemówić z taką mocą? Właściwie podczas tego popołudnia powiedziała więcej, niż nieraz zdarzało mu się słyszeć z jej ust przez cały dzień. Nie spędził w jej towarzystwie wystarczająco dużo czasu, by stwierdzić, że jest rozmowna lub nie. Po prostu przywykł

uważać ją za jedną z tych nieciekawych, nieśmiałych kobiet, o których łatwo zapomnieć, gdy tylko znikną z oczu. Jedną z tych, które na balach stoją w kącie sali. W dodatku miała się za intelektualistkę. Tyle że teraz była bardzo bogatą nieśmiałą intelektualistką, a Violet oczekiwała, że zmieni tę dziewczynę w królową sezonu.

Niewykonalne.

Być może ostatni poród, przed czterema miesiącami, naruszył zdrowy rozsądek Violet. Możliwe że, jeśli uda mu się ubrać argumenty we właściwe słowa, szwagierka jakoś da się przekonać i porzuci nedorzeczny plan.

Violet zwróciła się ku Elizie.

- Niepotrzebnie się tak nastroszyłaś. Wiesz przecież, że nie chciałam cię urazić. Poza tym, nikt tu nie mówi o litości. Prawda, Kit? - Rzuciła mu nieznoszące sprzeciwu spojrzenie.

- Skądże znowu - odpowiedział posłusznie.

- Wybacz, jeśli źle się wyraziłam - ciągnęła Violet. - Ale Elizo, sama przyznasz, że jesteś nieśmiała i nieswojo się czujesz w towarzystwie. Oczywiście to nie grzech, ale przez te wady inni mogą nie dostrzec twojej urody. Szczególnie panowie, bo nimi, bądźmy szczerzy, rządzi wzrok oraz te szczegóły anatomii, których przez skromność nie wymienię.

- Masz na myśli mózg? - Kit nie mógł powstrzymać się od przytyku.

Na ustach księżnej zagościł uśmiezek, a w oczach błysnęły wesołe iskierki.

- Mhm, dokładnie tak. Wszyscy wiemy, że tym właśnie kierują się mężczyźni w obecności atrakcyjnej kobiety.

I tutaj, pomyślał Kit, leży pies pogrzebany.

Elizy Hammond nikt nie nazwałby pięknoscią. Nie znaczyło to, że była brzydka. Przeciwnie, po prostu w żaden sposób nie podkreślała swoich zalet.

Brazowe włosy ściągała nisko na szyi w ciasny, nieciekawy węzeł, zamiast pozwolić, by spływały gęstą lśniąca falą. Jej jasna cera, nietknięta słońcem, wyglądała mizernie i blade. Bardzo możliwe,

że miała zgrabną figurę, ale któż zgadłby, co się kryło pod tymi bezkształtnymi sukniami, w które tak uparcie się ubierała? Choć bardzo prawdopodobne, że za nędzny stan garderoby Elizy - obecnie ufarbowanej na czarno z powodu żałoby - winić należało raczej skąpą ciotkę.

Przynajmniej oczy miała ładne - jasne i lśniące, pomimo mało wyrazistej, szarej barwy. I harmonijne rysy twarzy: klasycznie zarysowaną szczękę i mały, zgrabny nosek.

Mimo to, potrzeba będzie prawdziwego cudu, żeby zmienić tę brzydulę w modną pannę.

Podobne przedsięwzięcie jest z góry skazane na niepowodzenie.

Ten plan nie ma prawa się powieść, narzekała w myślach Eliza. Przecież to absurdalne. Co ta Violet sobie wyobraża?! Ona i Kit razem, w roli mentora i uczennicy? Nie mogła się na to zgodzić. Nie było mowy! Nawet jeśli on rzeczywiście pomógł kiedyś Violet przemoc jej wrodzoną nieśmiałość i zyskać pewność siebie godną małżonki księcia. Zresztą widać było, że Kit nie miał ochoty jej pomóc. Wyraźnie widziała w jego oczach powątpiewanie, a choć zaprzeczał, także i politowanie.

- Daj spokój, Violet - błagała. - Lord Christopher na pewno ma ważniejsze sprawy na głowie niż udzielanie mi porad.

- Ciekawe jakie? Opowiadał mi niedawno, jak bardzo nudzą go wciąż te same rozrywki i jak niewielu znajomych jest jeszcze w mieście. Nieprawdaż, Kit?

- O ile sobie przypominam, przyznałem, że odczuwam lekką monotonię, ale nie stwierdziłem, że to przeraźliwa nuda. Tymczasem udaje mi się wypełnić sobie dzień.

- Pomyśl tylko, o ilez lepiej wykorzystasz czas, pomagając Elizie. Skoro mieszka u nas, łatwo uda się zorganizować lekcje.

Wytarł palce w serwetkę, strzepując okruszki.

- Przypominam ci, że szukam mieszkania i niedługo będę się przeprowadzał. Jeśli szybko sobie czegoś nie znajdę, wszystkie najlepsze kwatery będą już wynajęte.

- Może mógłbyś się z tym wstrzymać. Przecież to nie strasz- nego, pomieszkać jeszcze jakiś czas z rodziną? Wspominałeś, że wydałeś już prawie całą kwartalną pensję, a dobrze wiem, że nie cierpisz prosić Adriana o dodatkowe pieniądze.

- Muszę przestać ci się zwierzać, Vi. Masz zbyt dobrą pamięć. Violet uśmiechnęła się współczująco.

- Być może. Pamiętam też, że w dniu urodzin odziedziczysz pieniądze, które zapisał ci dziadek. Do tego czasu mógłbyś mieszkać z nami i zaoszczędzić sobie wydatków. Pomyśl, jak łatwo będzie ci pracować z Elizą. Tylko kilka godzin przed południem, a później każde z was zajmie się własnymi sprawami. Nawet nie zauważysz różnicy.

Ale ja zauważę, pomyślała Eliza. Do tej pory znosiła mieszkanie z Kitem pod jednym dachem głównie z racji ogromnych rozmiarów domostwa. Rzadko się widywali, z wyjątkiem okazjonalnych posiłków *en familie* i, czasami, popołudniowej herbatki u Violet - tak jak tego dnia. Ale spotykać się z nim na co dzień? Ćwiczyć z nim sposoby przewycięzania nieśmiałości? To wydawało jej się nazbyt intymne.

Mimo że wyleczyła się już z tego nieszczęsnego zadurzenia, wiedziała, że tak częste przebywanie w jego towarzystwie będzie mocno krępujące. Jednak, czy rozsądnie jest odrzucić jego pomoc? Zakładając, oczywiście, że zgodzi się tej pomocy udzielić.

Kit chyba ciągle jeszcze zmagał się z wątpliwościami, ale oparł się nieco wygodniej i potarł wargi placami.

- Myślę, że mógłbym tu zostać i pomóc panie Hammond.

Violet klasnęła w dłonie z zadowoleniem.

- Wiedziałam, że dasz się przekonać.

- Zgadzam się, ale tylko pod warunkiem, że panna Hammond również sobie tego życzy - dodał Kit.

Spojrzał Elizie w oczy. Jego tęczówki wydały się jej dziś bardziej zielone niż złote; elegancko skrojony frak w kolorze butelkowej zieleni uwydatniał jeszcze ich odcień.

Pod jego spojrzeniem dziewczynie żywiej zabiło serce. Cóż mogła powiedzieć? Czy wypadało w takiej chwili odmówić? Spuściła wzrok.

Wedle życzenia, milordzie.

- Brdzo dobrze. Ale, jeżeli mamy współpracować, będę szczerą. Nie wystarczy kilka lekcji obycia, żeby ta sztuczka się powiodła. Musi pani całkowicie zdać się na mnie i przestrzegać moich zaleceń, również co do wyglądu.

Podniosła głowę.

- Wyglądu? - Zdawała sobie sprawę, że daleko jej do piękności, niemniej zabołała ją ta uwaga.

- Mhm. Jeśli chcesz, Vi, żeby o pannę Hammond starali się nie tylko łowcy posagów i inni podejrzani osobnicy, nie możemy poprzestać na półśrodkach.

- Co konkretnie masz na myśli? - zapytała Violet.

- Całkowitą metamorfozę. Na początek zajmujemy się fryzurą i ubraniem...

- Ale ja przecież jeszcze jestem w żałobie - zaprotestowała Eliza. Ostentacyjnie obciągnęła skraj czarnej sukni, choć dobrze wiedziała, że ten surowy strój nie schlebiał jej urodzie. Chociaż musiała przyznać, że czerń była lepsza niż te ohydne kolory, w które ubierała ją ciotka. Nie miała czego żałować, gdy zgodnie z tradycją przyszło jej ufarbować na czarno całą garderobę.

- No cóż - powiedział Kit. - Żałoba nie będzie trwać wiecznie, a kiedy minie, będziesz potrzebowała nowych strojów. Możesz sobie na nie pozwolić, ciotka zostawiła ci w końcu sporo grosza.

Racja, pomyślała. Chociaż nawet teraz, po kilku tygodniach od śmierci krewnej, trudno jej było oswoić się z myślą, że ciotka Doris - która przez całe życie nie okazała jej żadnych uczuć, prócz niezadowolenia i wzgardy - uczyniła ją wyłączną spadkobierczynią olbrzymiej fortuny.

Całe dwieście tysięcy funtów!

Eliza nigdy nie przypuszczała, że ciotka była taka bogata. Jakże się mogła domyślać, skoro żyły praktycznie w ubóstwie? Zimą, pomimo ciężkich mrozów, siedziały okutane w grubą wełnianą odzież, żeby uniknąć wydatków na opał. Eliza otrzymywała pozwolenie na kupno nowej chusteczki czy rękawiczek dopiero, gdy stare

przetarły się tak, że ilością dziur przypominały ser szwajcarski. Nie trzymały koni, bo najemne szkapy - zdaniem ciotki - w zupełności wystarczały.

Nawet syn ciotki Doris, Philip Pettigrew, nie zdawał sobie sprawy, jak wielkim majątkiem rozporządzała jego matka. Gdy odczytano testament, widać było po nim takie samo osłupienie, jakie odczuwała Eliza. Oszołomił go zarówno rozmiar fortuny, jak i fakt, że matka wykluczyła go z grona spadkobierców.

Eliza wciąż pamiętała chorobliwą bladłość, jaką pokryła się jego twarz, gdy notariusz skończył czytać testament. Nie mogła też zapomnieć nagłego błysku nienawiści, który załśnił w zimnych czarnych oczach kuzyna, zanim udało mu się opanować emocje.

Zadrzała na to wspomnienie i czym prędzej zajęła się innymi sprawami.

Rzeczywiście, dotychczas niewiele uszczknęła ze swego majątku, a przy tym nie wydała ani grosza na siebie. Wszystkim służącym ciotki przyznała zaległą podwyżkę pensji. Zarządcy poleciła opłacić konieczne naprawy w miejskiej rezydencji ciotki, teraz już należącej do niej, bo i ten dom otrzymała w spadku. Jednak, jako kobiecie niezamężnej, nie wypadało jej mieszkać tam samej. Prawdę mówiąc, wcale nie miała ochoty się tam wprowadzać, nawet gdyby udało się jej wynająć damę do towarzystwa.

Bogu dzięki za Violet i Adriana. Całe szczęście, że tak wspaniałomyślnie zaprosili ją do siebie.

W tej sytuacji, pomyślała, rzeczywiście powinnam wydać trochę pieniędzy. Patrząc na Violet, nie miała wątpliwości, że przyjaciółka chce tylko jej dobra. A biorąc pod uwagę, jak wiele Violet dla niej zrobiła, jakże mogła jej teraz nie ustąpić?

- Myślę, że nowa garderoba to dobry pomysł - przytaknęła.

- Świetnie. - Kit skinął głową i się uśmiechnął. Po chwili wyjął z kieszeni kamizelki złoty zegarek i otworzył kopertę, żeby sprawdzić godzinę. - Może jutro zajmiemy się resztą? Mam plany na dzisiejszy wieczór i nie chciałbym się spóźnić.

Wstał z krzesła.

- Oczywiście. - Violet chwyciła jego dłonie w przyjaznym uścisku. - Nie pożałujesz, że zgodziłeś się nam pomóc.

- Hm... Czas pokaże. Panno Hammond, do jutra.

- Milordzie. - Eliza skłoniła głowę.

Dopiero gdy Kit wyszedł, zdała sobie sprawę, jak mocno zaciskała ręce podczas całej rozmowy. Rozluźniła palce i poczuła, jak z powrotem napływa do nich krew. Westchnęła, zmieszana.

Dobry Boże, co ja najlepszego zrobiłam?

2

Wyżej prawa, milordzie. O tak. Doskonale.

Kit poczuł mrowienie wzdłuż całego ramienia. Jego rękawica uderzyła w umięśniony tors przeciwnika. Raz, dwa, trzy i odskok. Obrócił się i przykucnął, ledwo się uchylając od mocnego ciosu w głowę. Pot perlił mu się na nagiej piersi, zalewał czoło i ściekał po skroni.

Przeciwnik okrążał go, szukając słabych punktów. Kit powtarzał wszystkie jego ruchy jak w zwierciadle, pewien, że jeśli chce zwyciężyć, jego reakcje muszą być szybkie, niemal instynktowne. Jego partner był rostry jak dąb, potężnie zbudowany i silny.

Niebagatelna sprawa.

Z drugiej strony, Jackson nigdy nie dawał mu łatwych przeciwników, wiedząc, że Kit lubi wyzwania i nie będzie narzekał, gdy przypląci starcie jednym czy dwoma siniakami.

Nagle wielkolud zaatakował od dołu, chcąc zmusić Kita do opuszczenia rękawic w obronie przed markowanym ciosem, ale on przejrzał tę sztuczkę i utrzymał gardę, nie zważając na ból w boku, w miejscu, gdzie przeciwnikowi udało się go dosięgnąć.

Zanim odwersarz zdążył na powrót przyjąć pozycję, Kit uderzył go w szczękę prawym prostym i poprawił dwoma ciosami pod żebra. Przeciwnik zrobił kilka chwiejnych kroków w tył, lecz Kit podążył za

nim, zasypując go gradem uderzeń. Wielkolud zatoczył się i upadł, aż zadudniła drewniana podłoga. W następnej chwili znalazł się przy nim trener i pomógł mu się podnieść. Olbrzymi mężczyzna usiadł, potrząsając głową, najwyraźniej wciąż jeszcze lekko dezorientowany.

Kit, zgięty w pół, oparł rękawice o uda i starał się odzyskać oddech. Choć płuca wciąż jeszcze kłuły go z wysiłku, zwycięstwo nappełniło go zadowoleniem.

Wokół rozległy się oklaski dżentelmenów, którzy się zebrali, by popatrzeć na walkę.

- Dobra robota, milordzie - oznajmił Jackson, podchodząc bliżej. - Niewielu może mierzyć się z Finkiem. Na początku swojej kariery pokonał samego Toma Cribba! Gdyby pan nie był szlachetnie urodzony, milordzie, wystawiłbym pana do walki i typował na zwycięzcę. Ale obawiam się, że pański szacowny brat, jego wysokość książę, nie pochwaliłby tego pomysłu.

Nie, pomyślał Kit, kiedy młody służący podbiegł, by rozsznurować mu rękawice, Adrian byłby wściekły, gdyby brat wziął udział w takiej walce albo w jednej z popularnych ostatnio bójek na gołe pięści. Prawdziwy dżentelmen może uprawiać boks dla sportu lub rozwiązywać w ten sposób honorowe porachunki, zamiast pojedynkować się na szpady czy pistolety, ale przenigdy nie skałoby się walką dla sławy czy pieniędzy, zwłaszcza na oczach gawiedzi.

Zdjawszy rękawice, Kit wziął od służącego ręcznik, żeby osuszyć twarz i wytrzeć spocony tors.

- Dziękuję za uznanie, John. Słowa pochwały się liczą, zwłaszcza o ciebie. To była niezła runda, ale zgłodniałem.

Jackson, znając dobrze apetyt Kita, roześmiał się głośno.

- Miło mi to słyszeć, milordzie. Czy możemy się pana spodziewać w przyszłym tygodniu o zwykłej porze?

Kit już otwierał usta, żeby potwierdzić, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

Niech to szlag! Nagle zdał sobie sprawę, że nie miał pojęcia, czy w przyszłym tygodniu o tej właśnie porze nie będzie przypadkiem odbywał lekcji z panną Hammond.

- Nie wiem - odpowiedział trenerowi. - Przyślę kogoś z wiadomością, kiedy będę mógł się pojawić.

- Oczywiście, milordzie, kiedy tylko pan zechce. Jest pan tu mile widziany o każdej porze.

Jackson się oddalił, by udzielić porad początkującym pięściarzom. Kit podszedł do swego niedawnego przeciwnika, który przyszedł już do siebie i w miarę pewnie stał na nogach. Ucisnąwszy rękę mężczyzny w podziękowaniu za wspólny trening, zszedł z ringu.

Czemuż właściwie, do jasnej anielki, zgodziłem się na tę zabawę w swatanie panny Hammond, zastanawiał się. Bo bez względu na to, co mówiła Violet, taka właśnie miała być jego rola. Owszem, może nie będzie musiał wybierać dla niej kandydatów na męża, ale to na nim spoczywało zadanie oszacowania owych dzentelmenów. Jeśli można to tak ująć - oddzielenia pszenicy od plew.

Co gorsza, dał słowo, że zajmie się jej wyglądem, że zmieni tę niepozorną pannę w królową salonów, a taka przemiana wymagać będzie - ni mniej, ni więcej - cudu.

Dobry Boże, gdzie ja miałem głowę?

Wjednej chwili szykował się, żeby stanowczo, acz uprzejmie, odmówić niedorzecznej prośbie Violet, i rozglądał się za drogą ucieczki z salonu. W kilka minut potem wciąż jeszcze siedział tam z obiema kobietami, omawiając szczegółowy plan, jak poprawić garderobę i fryzurę Elizy.

Szaleństwo, ot, co! Może i potrafił poruszać się na salonach, ale nie był jakimś mizdrzącym się fircykiem. Był sportowcem. Walczył na pięści. Fechtował się. Pływał łodzią. Jeździł wierzchem i powoził końmi. Czasem brał udział w wyścigach biegaczy.

Ale na pewno nigdy nie pomagał damom upinać włosów i wybierać sukienek.

Niestety, wyglądało na to, że tym właśnie będzie się zajmował. I to począwszy od tego popołudnia. Psiakrew, gdyby któryś z jego klubowych kolegów dowiedział się o tym, wyśmiano by go! Wstydzili się pokazać gdziekolwiek w mieście.

No cóż, przynajmniej praca nad oswojeniem panny Hammond będzie jakimś wyzwaniem. Kto wie, może dzięki temu uda się rozproszyć apatię i ociężałość, które chwyciły go w swe szpony zaraz po powrocie z zagranicy. Na kontynencie było wspaniałe. Poznawał nowych ludzi, odkrywał nieznane miejsca. Gdyby tylko mógł, podróżowałby dłużej. Pojechałby do Indii, na Wschód, może nawet do Ameryki. Lecz dostał list do Adriana, w którym ten pisał, że matka za nim tęskni. Brat pytał też, kiedy zamierza się ustakować, znaleźć sobie pracę, ożenić się, założyć rodzinę.

Kit jednak nie pragnął żony ani rodziny, przynajmniej na razie.

W końcu miał dopiero dwadzieścia pięć lat, był zbyt młody, żeby nakładać sobie takie więzy i podejmować poważne zobowiązania. Nawet Adrian - wzorowy syn, który nigdy nie uchylał się od obowiązku - dał się zaobraczkować dopiero w wieku trzydziestu dwóch lat. Ale Adrian miał szczęście. Udało mu się znaleźć cudowną kobietę, którą kochał i która kochała go równie mocno. Miał żonę, przy której każdy dzień był rozkoszą. Los pobłogosławił ich też dziećmi i Kit wiedział, że jego brat jest szczęśliwy.

Tyle że Kit nie był gotów na małżeństwo. I choć chętnie podjąłby jakąś sensowną pracę, to w najmniejszym stopniu nie interesowały go zajęcia, jakim zwykle poświęcali się młodszy synowie książąt. Wojsko ze swoją surową dyscypliną zdusiłoby w nim wolę życia. Co do stanu duchownego... powiedzmy sobie, że za nadto lubił rozmaite uciechy cielesne, by móc poważnie myśleć o włożeniu sutanny. W sumie nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać, aż testament dziadka wejdzie w życie. I mieć nadzieję, że przez owe pół roku pojawią się jakieś interesujące propozycje.

Nagle ktoś klepnął go mocno po ramieniu.

- Winter. Fantastyczne starcie. Przyszedłem na sam koniec, ale widziałem, jak rozłożyłeś go na deskach. Dobra robota.

Kit obrócił się i dostrzegł kilku przyjaciół.

- Lloyd, Selway, co was tu sprowadza? Nie miałem pojęcia, że interesujecie się boksem.

- Och, ja sam się tym nie zajmuję - odparł Lloyd. - Nie pozwala mi na to instynkt samozachowawczy, a zresztą szkoda byłoby poobijać tę przystojną twarz. Ale nie przeszkadza mi to patrzeć, jak wy, narwańcy, okładacie się nawzajem do krwi. I właśnie dlatego cię szukaliśmy. Dziś po południu w Hampstead są zawody bokserские. Pomyśleliśmy, że będziesz miał ochotę się z nami wybrać.

Propozycja była kusząca. Kusząca jak diabli. Przez chwilę rozważał, czy nie wysłać bileciku do Violet, żeby wykręcić się od popołudniowego spotkania z nią i Elizą. Złożył jednak obietnicę, a dżentelmen dotrzymuje słowa.

- Wybaczcie, ale nie dziś - powiedział. - Jestem zajęty.

- A cóż może być ciekawsze od meczu? - Selway cmoknął z niezadowolaniem. - Chyba że braciszek znowu cię wzywa na dywanik?

Kit nie odpowiedział, pozwalając przyjaciółom na domysły. Jeśli będą chcieli przypisywać Adrianowi winę za jego brak czasu, to cóż, uznał, że brat jakoś to przeżyje.

- Może chociaż zjesz razem z nami śniadanie? - Zapropnował Lloyd.

Na wzmiankę o jedzeniu Kitowi głośno zaburczało w brzuchu.

- Dobrze wiesz, że nigdy nie odmawiam posiłku. Dajcie mi chwilę, umyję się, przebiorę i jestem do waszej dyspozycji.

Odmaszerował w stronę przebieralni, snując rozważania na temat cudu, jakiego miał dokonać tego popołudnia.

- A teraz specjalnie dla was, panie i panowie, kolejna sztuczka - mruknął pod nosem. - Za chwilę rozdzielę Morze Czerwone.

- ... siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Gotowi czy nie, szukam!

Teatralnym gestem Eliza odsłoniła oczy i obróciła się wokoło, udając, że uważnie rozgląda się po jasnym, przestronnym pokoju dziecięcym, utrzymanym w odcieniach pastelowego błękitu.

- Gdzie też ci chłopcy mogli się schować? - Mówiła głośno i wyraźnie, tonem osoby zupełnie skonsternowanej. - Nigdzie ich nie widzę. - Oparła dłonie na biodrach i obracała się powoli. - To taki duży pokój, jak ja ich teraz znajdę?

Szczebiotliwy śmiech *dziecka* dobiegł od strony drewnianego konia na biegunach, który stał w kącie pokoju, w komplecie ze skórzanym siodłem i bacikiem. Obok znajdowała się wielka skrzynia, z której wręcz wysypywały się zabawki.

Udając, że nic nie słyszała, Eliza zwróciła się w przeciwną stronę i zrobiła kilka kroków naprzód.

- Może są pod tym dużym krzesłem? - Schyliła się i zajrzała pod spód. - Nie, tu ich nie ma.

Odwróciła się i podeszła do okien, które wychodziły na stajnie na tyłach domu. Jej buciki zastukały o polerowaną dębową podłogę.

- A może są za zasłonką? - Zamilkła na chwilę, po czym dramatycznym szarpnięciem odsunęła storę. - A niech to! Tu też ich nie ma.

Zbliżyła się do kryjówki chłopców, pilnując, by nie podejść za blisko. Dostrzegła parę małych, ciemnych bucików, wystających zza skrzyni na zabawki, i uśmiechnęła się do siebie. Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, gdy w ciszy rozległ się głośny oddech, a zaraz potem - chichot. Gdy była tuż-tuż, tak że mogłaby wyciągnąć rękę i złapać maluchy, zatrzymała się i odwróciła do nich plecami.

- Hm, chyba mnie przechytrzyli. Noah? Sebastian? Gdzie jesteście?

- Tu jestem! -Jeden z chłopców wyskoczył z kryjówki.

Eliza, udając zaskoczenie, obróciła się gwałtownie z szeroko otwartymi oczami i ręką na piersi.

- Och, ależ mnie wystraszyłeś - zmyślała. - A gdzie twój braciszek, Noah?

- To ja jestem Noah, nie on! - Z ukrycia wyskoczył drugi chłopczyk, lustrzane odbicie pierwszego, z taką samą ciemną grzywką, bystrymi brązowymi oczami i buźką cherubina, której kształt tak przypominał twarz ich matki, Violet.

Dobrze wiedziała, który z nich jest który, droczyła się z nimi tylko, przekręcając imiona, choć prawdę mówiąc, nie zawsze łatwo było ich odróżnić. Z wyglądu byli identyczni, ale zdradzał ich zwykle charakter. Starszy z bliźniaków, nieco łagodniejszy i bardziej

uległy, zazwyczaj nie umiał utrzymać niczego w tajemnicy, zupełnie jak dzisiaj.

Krzycząc, opuścili swoją kryjówkę i podbiegli do niej na wyścigi, dusząc ją w uściskach. Klękawszy na ziemi, przytuliła chłopców, śmiejąc się razem z nimi. Jak dobrze było czuć wokół szyi drobne ramionka i wtulających się w nią malców, pomyślała, zamykając oczy. Instynkt macierzyński znów dał o sobie znać i nagle zapragnęła, żeby to były jej własne dzieci, choć przez moment.

To właśnie był powód, dla którego zgodziła się na szalony pomysł Violet. To dlatego postanowiła zapomnieć o lękach i wątpliwościach, przełknąć własną dumę i pozwolić, by Kit Winter został jej mentorem, mimo że tak naprawdę wolałaby pozostać sobą - cichą i nieśmiałą osobką, jaką była zawsze.

Bo tak naprawdę Eliza pragnęła czegoś od życia - nie chciała spędzić go samotnie.

Po poprzednich katastrofalnych sezonach zrezygnowała z myśli o małżeństwie. Porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek uda jej się znaleźć męża i założyć rodzinę. Pogodziła się z myślą, że będzie musiała szukać pociechy u przyjaciół, a pragnienie posiadania domu i rodziny zastąpi, występując w roli niezamężnej „cioci” dla cudzych dzieci. Wiecznie poza nawiasem, będzie przyglądać się rodzinnemu szczęściu, którego tak pragnęła, a które nigdy, przenigdy nie stanie się jej udziałem.

Nagle odziedziczony majątek sprawił, że jej sytuacja się zmieniła. Otworzyły się przed nią nowe możliwości, a nadzieja - jak feniks - powstała z popiołów. Bogactwo dawało jej niezależność, o której wiele kobiet nawet nie marzyło.

Jednak pozycja niezamężnej kobiety skazywała ją na życie w samotności. Prawda, miała przyjaciół, których mogła odwiedzać, ale przecież nie wypadało nadużywać ich gościnności w nieskończoność. Chociaż doceniała fakt, że Violet i Adrian goszczą ją u siebie, chociaż uwielbiała ich urocze dzieci, nie mogła wiecznie z nimi mieszkać. To nie była, i nigdy nie będzie, jej własna rodzina. A kiedy już opuści ich dom, będzie musiała wrócić do siebie, za całą kompanię mając wynajętą damę do towarzystwa i garstkę służby.

. Ale gdyby wyszła za mąż, miałyby własne dzieci. Kogoś, kogo mogłaby kochać, kto zastąpiłby rodzinę, utraconą dawno temu, gdy sama jeszcze była małą dziewczynką.

Wciąż jeszcze żywo pamiętała ten dzień, kiedy obudziła się z gorączkowego omdlenia, spocone włosy oblepiały jej czołko, a całe ciało było obolałe i osłabione. Zona miejscowego pastora, osoba prawie nieznamiona, wzięła ją za rękę i ze łzami w oczach powiedziała, że jej rodzice mieszkają już wśród aniołów, że zmarli przed wieloma dniami na tę samą gorączkę, którą Eliza szczęśliwie przeżyła.

Pragnęła wtedy umrzeć. Łzy paliły jej gardło, płuca boleśnie chwytaly każdy oddech. Zapadła wreszcie w sen, pełen niespokojnych koszmarów, mając nadzieję, że choroba zabierze ją. Jednak jakaś jej część kurczowo trzymała się życia, i tak oto została sierotą w wieku zaledwie jedenastu lat.

Gdy wyzdrowiała, wzięła ją do siebie ciotka, Doris Pettigrew, kobieta o wąskich nozdrzach i wiecznie zaciśniętych ustach. Postanowiła ona nie odsyłać dziewczynki do sierocińca, lecz zaopiekować się nią, gdyż był to, jak oznajmiła, „jej chrześcijański obowiązek”.

Pod dachem ciotki Eliza nie doświadczyła miłości. Wiele czasu upłynęło, nim zrozumiała, jak głęboką urazę Doris żywiła do jej matki - a własnej młodszej siostry - Annabelle. Przed laty Annabelle porzuciła rodzinę i uciekła z ojcem Elizy, zubożałym guwernerem, w którym zakochała się bez pamięci. Doris nigdy nie wybaczyła jej skandalu, który upokorzył całą rodzinę i znacznie ograniczył jej własne szanse na korzystne małżeństwo. W rezultacie musiała wyjść za człowieka o niższej pozycji społecznej. Zgorzkniała kobieta wypominała to Elizie.

Tym bardziej zaskakujący był więc jej testament. Dzięki niemu Eliza mogła pomyśleć o tym, czego pragnęła najbardziej na świecie, o własnej rodzinie. Nie liczyła na wielką miłość. Nie miała naiwnych złudzeń, że ktoś taki jak ona wzbudzi w mężczyźnie ową gwałtowną namiętność, o której pisali poeci i marzyli romantycy. Wystarczyłoby w zupełności, gdyby udało się jej znaleźć miłego, uprzejmego człowieka, kogoś, kto dałby jej wygodny dom i dzieci, których pragnęła.

A gdyby jeszcze po pewnym czasie ona i mąż zdołali się zaprzyjaźnić, wtedy byłaby już naprawdę zadowolona i nie mogłaby narzekać na los.

Jeśli zatem oznaczało to, że musi pozwolić, by lord Christopher Winter udzielał jej lekcji, zgodzi się na to. Zapomni o dawnym uczuciu, którego resztki być może kryły się jeszcze gdzieś na dnie serca, i nauczy się wszystkiego, czego trzeba, by zdobyć dobrego męża. A poza tym, czas spędzony w towarzystwie Kita pomoże jej przekonać samą siebie, że rzeczywiście wybiła go sobie z głowy raz na zawsze. Zyska pocieszającą pewność, że to co do niego czuła było jedynie przelotnym zadurzeniem, niczym więcej.

Nagle zdała sobie sprawę, że wciąż przytula chłopców, puściła ich więc i podniosła się z kolan.

- Jeszcze raz! - Sebastian prosił, składając rączki. - Pobawmy się jeszcze raz!

Naraz rozległo się echo kroków w ciężkich półbutach.

- Nie dziś - powiedziała piastunka. - Biedna panna Hammond pewno już ledwo żyje. Zresztą akurat pora na to, żebyście się umyli i zjedli drugie śniadanie.

Odpowiedział jej podwójny jęk.

- Ale my chcemy, żeby ciocia Eliza została - zawołał Noah.

- Ciociu Elizo! Ciociu Elizo! - przyłączył się Sebastian.

- Ciocia Eliza nie może z wami zostać. Ma inne zajęcia. - Do-brotliwy ton starszej kobiety złagodził nieco surowość jej słów. - A teraz pokażcie, jacy z was dobrze wychowani chłopcy i pożegnajcie się ładnie z panną Hammond.

Obie buźki przybrały identycznie zawiedziony wygląd, a w oczach Sebastiana zalśniły łezki.

- A cóż to? Kto to płacze? - zapytała Violet, wchodząc do bawialni.

- Mamo, mamó! - Obaj rzucili się ku niej i wtulili twarzyczki w jej suknię, zaciskając w piąstkach brzoskwiniowy materiał w groszki.

- Chcą, żebym z nimi została - wyjaśniła Eliza, napotkawszy spojrzenie Violet.

- To oczywiste, że chcą. Chłopcy cię kochają, jesteście ich ulubioną ciocią. Wolą was od którejkolwiek z prawdziwych ciotek. Ale ciocia, chociaż bardzo by chciała, nie może się z wami bawić przez cały dzień. - Violet zwróciła się do synków, obejmując na pociechę każdego z nich ramieniem. - Ma do załatwienia sprawy, które nie dotyczą małych chłopców. Poza tym, o ile się nie mylę, czas na wasze drugie śniadanie i drzemkę.

- Właśnie im o tym mówiłam, zanim wasza wysokość przyszła. - Niania zaplotła ręce na obfitym łonie.

- Nie chcę spać! - wykrzyknął Noah buntowniczo.

- Ani ja! - Sebastian poparł braciszka.

- Hm... - Violet powoli pokręciła głową. - No cóż, chyba nie mogę was zmusić do spania, ale jeśli nie pójdziecie teraz odpocząć, to tatuś nie zabierze was po południu na przejażdżkę kucykami. Mówi, że niewyspani mali chłopcy kiepsko jeżdżą konno, więc raczej nie pozwoli wam wsiąść na Śnieżkę i Węgielka.

- Ja chcę na kucyka! - Noah popatrzył błagalnie na matkę.

- Ja też! - Sebastian przytulił się ciśniej do jej boku.

- W takim razie nie widzę innego wyjścia, pójdziecie teraz z nianią i będziecie jej słuchać. Czy możecie mi obiecać, że grzecznie zjecie i położycie się spać?

- Tak, mamusiu - powiedzieli zgodnie.

- Kochane dzieciaki. - Violet wyciąłowała ich policzki i wyściłowała obu, aż zaczęły chichotać. - Już was nie ma, szkraby.

Chłopcy ruszyli w stronę piastunki, lecz Sebastian zatrzymał się i podbiegł do Elizy.

- Przyjdiesz potem poczytać nam bajkę? - szepnął konspiracyjnie.

Eliza uśmiechnęła się, serce zupełnie jej stopniało.

- Jeśli dowiem się, że byliście dzisiaj wyjątkowo grzeczni, przyjdę z mamą na górę, kiedy będzie was kładła spać.

Noah, stojący u boku niani, rozpromienił się w uśmiechu.

- Będziemy grzeczni - obiecał.

Drugi bliźniak także się uśmiechnął i jeszcze raz uściskał Elizę, nim podszedł do brata i niani. Służąca wzięła obu za rączki i wyprowadziła z pokoju.

- Całe szczęście, że mamy te kucyki - westchnęła Violet, gdy tylko dzieci znalazły się za drzwiami. - Bóg jeden wie, czym będę musiała ich przekupywać w przyszłym roku. Dobrze, że Georgian-na jest jeszcze za mała, żeby uciekać się do szantażu.

- To takie słodkie maleństwo.

Na wspomnienie córeczki na twarzy Violet pojawił się dumny uśmiech.

- Prawda? Nie mogę wyjść z podziwu, jaka jest grzeczniutka. Nie marudzi, prawie w ogóle nie płacze, nawet jak ma mokrą pieluszkę. Właśnie ją karmiłam i jak tylko skończyła, natychmiast zasnęła.

W oczach Violet, skrytych za okularami, zabłyśły wesołe iskierki.

- A powinnaś zobaczyć Adriana, jak do niej gaworzy i robi śmieszne miny. Pomyśleć można, że to jego pierwsze dziecko. Kompletnie stracił głowę. Mówiłam ci, że zaczął ją nazywać „swoim aniołeczkiem“?

Eliza pomyślała, że mała faktycznie przypomina aniołka, z pulchną różową buźką, zielonymi oczkami ocienionymi długimi rzęsami i kształtną główką, która dopiero zaczynała się pokrywać ciemnym puszkim włosów.

- Chrzest ma być w następną niedzielę, tak?

- Tak. Jeanette przysłała wiadomość. Są już w drodze. To znaczy ona, Darragh i ich mała córeczka, a do tego prawie całe rodzeństwo Darragha. Cała ta gromada zjedzie tu za jakiś dzień czy dwa, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Służba już pracuje jak szalona, żeby zdążyć z przygotowaniem ich rezydencji na przyjazd takiego tłumu gości.

Eliza z mieszanymi uczuciami myślała o ponownym spotkaniu z hrabiną Mulholland. Jeanette Brantford O'Brien onieśmiała ją.

W obecności siostry Violet czuła się zawsze nie większa od mizernej gaśienicy. Ale przyjaciółka twierdziła, że odkąd jej rozpierzczona, wiecznie żądna uwagi siostra wyszła za swego irlandzkiego lorda, bardzo się zmieniła. A gdy na świecie pojawiła się ich córka - zaledwie tydzień przed tym, jak urodziła się Georgianna - utemperowało to zupełnie bujną osobowość Jeanette.

Ale, zastanawiała się Eliza, czy rzeczywiście takich rzeczy można się domyślić z listów? Tylko spotkanie twarzą w twarz pokaże, jak jest naprawdę.

- Taka jestem zadowolona, że zdecydowaliśmy się poczekać i urządzić podwójne chrzciny tutaj, w mieście - powiedziała Violet.
- Według rodzinnej tradycji wszystkie dzieci chrzczone są w Winterlea, ale ponieważ chrzest będzie wspólny, to chyba nic złego, że wprowadzimy taką odmianę. Zresztą, Jeanette pisze, że podróż z dzieckiem z hrabstwa Clare będzie bardzo męcząca, nie mieliby siły jechać jeszcze do Winterlea i z powrotem do Londynu. A ona koniecznie chce zatrzymać się w mieście, bo mówi, że nie wróci do Irlandii, jeśli nie sprawi sobie nowej garderoby.

Otóż to, pomyślała Eliza, zobaczymy, ile prawdy jest w tej rze-komej poprawie charakteru. W pewnych kwestiach najwyraźniej Jeanette nic a nic się nie zmieniła.

Rozległo się uprzejme pukanie do drzwi. Po chwili do bawialni wszedł lokaj i skłonił się, czekając na rozkazy.

- O co chodzi, Robercie? - zapytała księżna.

- Wasza wysokość prosiła, żeby powiedzieć, kiedy wróci lord Christopher. Jest już w żółtym salonie i oczekuje obu pań.

Eliza poczuła ciężar w żołądku, jakby połknęła ołowianą kulę. Choć nie wiedziała, czy rzeczywiście jest na to gotowa, jej edukacja właśnie miała się rozpocząć.

3

To jest ta młoda dama, o której pan wspominał, milordzie?

Mężczyzna w świetnie skrojonym płaszczu i bryczesach koloru tytoniowego brązu odwrócił się w stronę Elizy i Violet, które weszły do saloniku. Nieznajomy był w średnim wieku. Miał wspaniałe falujące włosy barwy miedzi, opadające aż do ramion. Sztwywno wyprostowany, pomaszerował w stronę pań i zatrzymał się na wprost Violet. Ponieważ był niewysokiego wzrostu, jego krytyczne spojrzenie wylądowało akurat na poziomie jej oczu. Przechyliwszy głowę, z całą śmiałością poddał jej fryzurę starannej inspekcji.

- Hm, nie najgorzej - rozważał głośno, przekrzywiając głowę to w tę, to w drugą stronę. - Zupełnie nieźle. Piękny kolor, odpowiednia gęstość, choć oczywiście z pewnością mógłbym zaproponować coś modniejszego, bardziej eleganckiego, bardziej *au courant*. Coś, co zadziwi przyjaciół i sprawi, że wszyscy znajomi będą pani zazdrościć.

Kit donośnie chrząknął.

- Hm, panie Greenleaf. To nie jest osoba, o której rozmawialiśmy. To moja szwagierka, księżna Raeburn. Dama, która potrzebuje pańskich usług stoi tam, przy drzwiach.

Wzrok Greenleafa przesunął się na Elizę, która zamarła w pół kroku tuż za progiem. Widziała, jak rozszerzają się jego błękitne oczy. Najpierw rozbłysły zdumieniem, a zaraz potem pociemniały z nieskrywanego rozczarowania. Cienkie nozdrza rozchyliły się lekko, a wargi skrzywiły się z dezaprobatą.

- Och.

Eliza zesztyniała, bo ton i spojrzenie zapiekły jak policzek, chociaż od wielu lat przyzwyczajona była do podobnych reakcji. Mimo to, miała ochotę obrócić się na pięcie i uciec z pokoju. Powstrzymała ją wyłącznie urażona duma i obawa przed dalszą krytyką.

Kit podszedł bliżej, zachęcając ją do wejścia.

- Prosimy do nas, panno Hammond, niechże pani wejdzie. Panie pozwolą, że im przedstawię pana Alberta Greenleafa. Pan Greenleaf jest najlepszym damskim fryzjerem w całym Londynie.

- W całej Anglii, milordzie. - Greenleaf wypiął pierś i uniósł szpiczasty podbródek. - Jestem najbardziej cenionym fryzjerem w całym kraju, a najprawdopodobniej i w całej Europie. Jeszcze nie spotkałem równego sobie.

Cóż, poczucia własnej wartości raczej mu nie brakuje, pomyślała Eliza. Pewnie na drugie imię ma Napoleon.

Co do małego dyktatora, najwyraźniej uznał prezentację za zakończoną, bo stukając palcami o wargi, znowu zaczął się jej przyglądać z miną człowieka, który obserwuje wyjątkowo wstrętnego, aczkolwiek interesującego owada. Obszedł ją powoli wokoło, cmo-kając, mruczając pod nosem i wzdychając przez cały czas.

Jego oględziny sprawiały, że czuła na skórze nieprzyjemny dreszcz i ukłucia nerwów, niby ukąszenia roju komarów. Z trudem powstrzymała się, żeby nie wymierzyć mu policzka, ale stała spokojnie na miejscu. Przez lata musiała ścierpieć wiele nieprzyjemnych, wręcz nieznośnych sytuacji tego typu, i nauczyła się je ignorować, uparcie wbijając wzrok w podłogę.

Nagle poczuła, że ktoś wyciąga jej z włosów szpilki i czyjeś niedelikatne ręce zanurzają się w jej loki, dotykając głowy.

Aż podskoczyła, obracając się w miejscu. Obronnym gestem uniosła dłoń do głowy i drżącymi palcami usiłowała podtrzymać opadający kok.

- Co... co pan wyprawia?

- Rozpuszczam pani włosy. Muszę się im przyjrzeć bez tego ohydneho supła, w który je pani ściągnęła, jeśli mam sobie panią wyobrazić w nowej, bardziej atrakcyjnej fryzurze. Już jest lepiej, wystarczyło, że wzburzyłem je trochę wokół twarzy. No, niechże pani opuści ręce i da mi wyjąć resztę szpilek. Chcę zobaczyć, jakie wyzwanie mnie czeka.

- Nie! - Eliza odsunęła się o krok.

Rudobrzęde brwi się uniosły - wyglądał teraz jak oburzony monarcha.

- Nie? - Poirytowany Greenleaf zwrócił się do Kita: - Milordzie, jeśli ta dama nie zacznie współpracować, to moja obecność tutaj nie ma sensu. Jestem bardzo zapracowanym człowiekiem, mam wiele innych klientek, które nie będą się bocyć z powodu kilku marnych szpilek.

Kit popatrzył na nich.

- Sądzę, że trochę zaskoczył pan pannę Hammond. Może zgodziłyby się zacząć jeszcze raz, gdyby pan grzecznie poprosił.

Nozdrza małego człowieczka zadrżały, gdy usłyszał przyganę. Mimo to, odwrócił się ku niej i lekko uklonił.

- Proszę o wybaczenie, panno Hammond, jeśli panią przestraszyłem. Czy pozwoli mi pani kontynuować?

Zawahała się. Tak bardzo chciałyby odmówić. Spoglądała to na Kita, to na Violet, oczekując od nich pomocy

We wzroku Violet zamigotało współczucie.

- Może ja wyciągnę te szpilki? - Nie czekając na odpowiedź, podeszła do Elizy i zaczęła wysuwać pozostałe spinki z jej włosów.

Eliza uznała, że może nie wygrała tego starcia, ale przynajmniej, dzięki Violet, zdobyła punkt dla siebie.

- Jak wasza wysokość sobie życzy. - Greenleaf, urażony, pociągnął nosem.

Jej włosy, uwolnione z ciasnego koka, opadły ciężką falą na ramiona. Sięgały prawie do pasa. Eliza zdawała sobie sprawę, jak nieatrakcyjnie muszą wyglądać - zwiślały prosto i bez życia, jak błotnistobrzęda płachta. Wpatrywała się w czubki pantofli, walcząc z przykrym wrażeniem bezbronności. Czuła się prawie tak, jakby stała nago. Rozpuszczone włosy uważała zawsze za coś intymnego, co można dzielić jedynie z pokojówką, przyjaciółkami od serca i - o ile kiedyś los pozwoli - z mężem. Tymczasem stała pośrodku saloniku, obnażając włosy przed wszystkimi obecnymi.

Spod rzęs spojrzała ukradkiem na Kita. Przyglądał się jej z nieodgadnionym wyrazem twarzy, zazwyczaj tak czarująco otwartej

i szczerzej. Pośpiesznie odwróciła wzrok, a jej serce zadrżało, niby napięta struna skrzypiec.

Nagle pan Greenleaf ponownie zanurzył ręce w jej włosy.

- Grube jak koński ogon - obwieścił z zadowoleniem, zbierając wszystkie w garść, nim pozwolił stopniowo wysliznąć się pojedynczym pasmom. - Miękkie, ale podatne. O tak, to może się okazać całkiem interesujące. Ba! Wręcz inspirujące. Niczym da Vinci przed białym płótnem, na którym ma stworzyć swe dzieło.

Okrażył Elizę. Zatrzymał się i ułożył jej włosy tak, że opadały swobodnie na odziane w żałobną czerń ramiona i piersi.

- W górę. Broda w górę, proszę. Ramiona w tył, plecy proste, tak żebym mógł panią dokładnie widzieć. Inaczej do niczego nie dojdziemy.

Odszedł na kilka kroków w głąb pokoju, po czym obrócił się twarzą do niej.

- Powiedziałem, w górę. - Westchnął niecierpliwie. - Bardzo proszę, panno Hammond. Musi pani ze mną współpracować.

Współpracować? Jak na razie ten mały tyran żądał jedynie posłuszeństwa. Z drugiej strony, dokładnie tego samego wymagała od niej ciotka. Bezwzględne podporządkowania w sprawach ważnych i zupełnie błahych. Ciotka skutecznie potrafiła przełamać jej opór. Eliza dobrze pamiętała uderzenia twardej dłoni w policzek. Może właśnie te wspomnienia sprawiły, że nie chciała poddać się woli Greenleafa.

Po chwili opanowała się, mimo że despotyczne zachowanie Greenleafa dotknęło ją do żywego, i posłusznie uniosła podbródek.

Mały człowieczek przyglądał jej się uważnie. Jedną dłoń oparł o biodro, drugą podniósł do ust. Nagle wykonał ręką zamaszysty gest i wykrzyknął:

- Tak jest! Mam! Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Będziemy ciąć!

- Ciąć? - Elizie aż dech zaparło. Instynktownie cofnęła się o krok, podnosząc ręce ku włosom.

- Ściąć włosy panny Hammond? - Kit stanął pomiędzy nią a fryzjerem, marszcząc ciemne brwi z niezadowoleniem. - No, nie wiem. To chyba dość drastyczne posunięcie, nie uważa pan?

- Praca geniusza czasem wymaga drastycznych rozwiązań.

- Owszem, ale nawet ja wiem, że krótkie włosy już wyszły z mody - wtrąciła się do rozmowy Violet. - Może znajdziemy jakiś kompromis.

- Kompromis? - sarknął wyniośle mężczyzna. - Wielki Greenleaf nigdy nie idzie na ustępstwa. A zresztą, gdy stworzę tę fryzurę, krótkie włosy znowu staną się modne, proszę mi wierzyć.

- No dobrze, ale skoro panna Hammond nie chce, żeby pan ściął jej włosy, to... - odezwał się Kit.

- Milordzie, wyraziłem się jasno na samym początku. - Greenleaf przerwał mu w pół słowa. - Jestem artystą i potrzebuję swobody. A jeśli pan, albo ktokolwiek inny, będzie się upierał, żeby mi przeszkadzać, to równie dobrze możemy się rozstać w tej chwili. Ja odejdę, a państwo zatrudnią innego fryzjera, pewnie jakiegoś zupełnie beztalencie. Kogoś, kto będzie się zginał w ukłonach i zrobi dokładnie to, czego sobie zażyczyacie. Efekty będą mierne, ale państwo będziecie przekonani, że dostajecie to, czego chcieliście. Tak więc, żegnam państwa, na mnie już pora...

- Niech pan ścina - powiedziała Eliza.

Trzy pały oczu spojrzały na nią jednocześnie.

- Co, proszę? - spytał Kit ze zdumieniem.

Eliza podniosła głos, żeby wszyscy wyraźnie ją usłyszeli.

- Powiedziałam: „Niech pan ścina”.

Może Greenleaf ma rację, pomyślała. Ta sytuacja wymaga od niej śmiałości i odwagi. Zrobiła już pierwszy krok. Czy powinna pozwolić, żeby strach powstrzymał ją przed wykorzystaniem szansy?

- Pan Greenleaf wydaje się przekonany, że moim włosom dobrze to zrobi. A skoro, jak twierdzi, jest takim wybitnym fryzjerem...

- Tak właśnie twierdzą - zadeklarował mały człowieczek, wypinając wątlą pierś, niczym czupurny kogucik. - Jestem wybitny.

- Wobec tego oddaję się w pańskie ręce. Mam nadzieję, że mnie pan nie rozczaruje.

Zapadła długa cisza, po czym na ustach fryzjera pojawił się uśmiech, szeroki jak kanał La Manche.

- Brawo! W takim razie do pracy! Do pracy! Gdzie będziemy strzyć? Chyba nie tu, w salonie? Może w pani sypialni?

- Możecie skorzystać z mojej bawialni - oznajmiła Violet najbardziej stanowczym, książęcym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Doskonale! Moi pomocnicy czekają na dole, zaraz po nich poślę. Możemy natychmiast zaczynać.

Z tymi słowami Greenleaf się oddalił, ale w pomieszczeniu wciąż czuło się jego energię, niby po przejściu huraganu.

Violet podeszła do Elizy i objęła ją ramieniem.

- Jesteś pewna? Nie musisz tego robić.

Eliza odważyła się zerknąć na Kita. Napotkała jego zielono-żółte spojrzenie.

- Czy on naprawdę jest tak dobry, jak mówi?

- Z tego, co mi mówiono, jest najlepszy. Ale podobno bardzo popędliwy, czego właśnie mieliśmy okazję doświadczyć. Możemy go jeszcze odesłać i znaleźć kogoś innego, jeśli wolisz.

Eliza stłumiła westchnienie. Pokusa, żeby przystać na propozycję Kita, była wielka. Ale przecież sama zgodziła się na ten plan. Czy nie obiecała, że pozwoli, by Kit jej pomógł? Jeśli Greenleaf jest rzeczywiście mistrzem nożyczek, to raz kozie śmierć - niech się zajmie jej włosami.

- Wszystko w porządku. - Słowa Elizy zabrzmiały o wiele pewniej, niż ona sama się w tym momencie czuła. - Zresztą, jeśli fryzura będzie brzydka, mogę nosić perukę, dopóki nie odrosną mi włosy - dodała z krzywym uśmiechem.

Podczas następnych trzech godzin nieraz się zastanawiała, czy rzeczywiście nie będzie musiała się uciec do tak drastycznych środków.

Ponieważ otrzymała stanowczy zakaz spoglądania w lustro, miała niewielkie pojęcie o tym, co Wielki Greenleaf wyczynia z jej włosami. Ale czego nie widziała, to z pewnością czuła. I ogarniało

ją coraz większe przerażenie. Cały czas miała w ustach nieprzyjemny, metaliczny posmak, który pojawił się w momencie, gdy mały człowieczek zaplótł jej włosy w warkocz i sięgnął po długie nożyce, leżące na stoliku obok.

Nożyce zamknęły się z cichym szcękaniem, i po chwili ucięty warkocz spoczywał na jej kolanach; bez życia, jak świeżo zdjęta zwierzęca skóra.

- To na pamiątkę. - Fryzjer zaśmiał się oschle.

Chwyciła warkocz i musnęła go palcami, usiłując powstrzymać łzy. Ale nie było czasu na płacz, bo Greenleaf i jego pomocnicy przystąpili do dzieła, energicznie nacierając jej głowę mydłem i zmywając ciepłą wodą. Następnie wcierali w jej włosy jakieś dziwnie pachnące mikstury i zawijali głowę w ręcznik między jednym a drugim płukaniem. Nie wiedziała, co to za środki, ale wydawało jej się, że czuje w powietrzu woń jeżyn, kawy, drożdżowego zaczynu i jeszcze czegoś, co pachniało jak zasuszone jesienne liście.

Przez cały ten czas Greenleaf dyrygował swoimi podwładnymi niczym marszałek polowy. Pod jego rozkazami biegali tam i z powrotem, wykonując swoją pracę jak dobrze naoliwiona maszyna. Gdy wreszcie splukano Elizie z głowy ostatni specyfik, Greenleaf nakrył jej ramiona ręcznikiem i rozczesał splątane włosy gęstym kościanym grzebieniem.

Była przekonana, że udręka wreszcie dobiegła końca, ale - ku jej zaskoczeniu - fryzjer znowu sięgnął po nożyczki - tym razem srebrzyście połyskujące i niebywale ostre.

Biegając wokół niej, ciął i strzygł jak szalony, przechylał jej głowę to w jedną, to w drugą stronę, po czym przerywał na moment pracę, żeby rozważyć kolejne cięcie. W końcu Eliza zrobiła się senna. Rozbudziła się, gdy Greenleaf chrząknął z satysfakcją. Skończywszy strzyżenie, zaklaskał w ręce i zażądał żelazek do loków.

Obawiała się, że rozgrzany metal może ją poparzyć, jednak mistrz pracował z niebywałą precyzją. Suszył i jednocześnie układał jej włosy w zgrabne loki wokół głowy. Podając asystentowi ostatnie, prawie już wystygłe żelazko, sięgnął po dwie filigranowe

złociste klamerki i umocował je tuż za uszami. Odgarnął niesforny pukiel, który opadał jej na czoło i poddał swe dzieło ostatecznej inspekcji.

- *Et voila!* Perfekcyjnie. - Zdjął ręcznik z ramion Elizy i zgiął się w wyszukanym ukłonie.

W tej chwili jeden z pomocników podbiegł do niej z lustrem. Eliza ujrzała swoje odbicie i zaniemówiła z wrażenia.

Tymczasem w saloniku na dole Kit osunął się niżej na krześle i próbował zasnąć. Pomyśleć tylko, że mógłby teraz z kolegami używać życia w Hampstead, oglądać walki, obstawiać zawodników, palić cygara i podziwiać piękne kobiety z półświatka, które zjawiały się zwykle w takich miejscach w towarzystwie swych najnowszych kochanków.

Niestety, był związany obietnicą, tak więc musiał siedzieć tutaj wraz z Violet i czekać na efekty zabiegów fryzjerskich. Kto by pomyślał, że tak prosta rzecz może trwać aż tyle czasu? Modlił się tylko, żeby końcowy rezultat nie okazał się porażką. Choć w zasadzie, cokolwiek zrobi Greenleaf, powinno poprawić sytuację. Wielu znajomych Kita wypowiadało się o mistrzu fryzjerskim w samych superlatywach, podobno był nadzwyczajnie utalentowany.

I lepiej dla niego, żeby rzeczywiście był. Zgarnął nieliczną sumę. Gdyby nie to, że wysoko urodzeni nie parali się takimi zajęciami, pomyślał Kit, za taką stawkę sam spróbowałby swoich sił w tym fachu.

Pewnie znowu westchnął, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, bo pogrążona w lekturze Violet zerknęła na niego znad książki.

- Jak myślisz, może powinnam do niej pójść? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Wyrzucili cię za drzwi już trzy razy, pewnie znowu to zrobią. Pomyśleć tylko, że mają czelność odprawić księżną. Tajemniczy i do tego zadufani w sobie.

- To prawda. Twoja matka na pewno nie ścierpiałaby takiego traktowania, ale cóż mogę zrobić? Tylko siedzieć i czekać. Mam nadzieję, że biedna Eliza jakoś to wytrzyma.

- O, na pewno. Zresztą, gdyby ją torturowali, to chyba słyszeliśmy krzyki.

Bratowa rzuciła mu potępiające spojrzenie, ale na ustach igrał jej mały uśmieszek. Kit, nie ukrywając rozbawienia, uśmiechnął się szeroko.

- Skoro jestem dziś wieczorem skazany na pozostanie w domu, może zdradzisz, co kucharz przygotowuje na kolację?

Violet już miała odpowiedzieć, kiedy Greenleaf dostojnie wkroczył do pokoju.

- Milordzie, wasza wysokość. Oto moje najnowsze dzieło.

Tuż za nim do pokoju wsunęła się kobieta i przez długą chwilę Kit nie miał pojęcia, kim ona jest. Stał tylko i patrzył, oniemiały. Gdyby nie znajoma czarna suknia, którą miała na sobie wcześniej tego popołudnia, przypuszczalnie w ogóle by jej nie poznał, tak bardzo była odmieniona.

Czy ta olśniewająca istota to naprawdę Eliza Hammond?

Miał to pytanie na końcu języka. Dosłownie w ostatniej powstrzymał się, by go nie zadać.

Violet zerwała się z krzesła i podbiegła do przyjaciółki.

- Och, Elizo! Prześliczna fryzura, po prostu prześliczna! Ogromnie mi się podoba!

Dotykając ostrożnie ręką nowego uczesania, Eliza uśmiechnęła się nieśmiało, choć z wyraźnym zadowoleniem.

- Naprawdę tak myślisz? Wygląda całkiem inaczej, jeszcze się nie przyzwyczyłam do tej zmiany.

- Jest fenomenalna, dokładnie tak, jak obiecał pan Greenleaf.

- Violet rozplęwała się w zachwytach. - Kit, czyż nie jest wspaniała?

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Owszem - powiedział, czując dziwny ucisk w gardle. - Dość twarzowa.

- Twarzowa? - zachnęła się Violet. - Jest boska!

Kit w głębi duszy zgadzał się z nią w zupełności. To był właśnie ów cud, którego tak im było trzeba. Bo oto, wbrew wszelkim ocze-

kiwaniom, zwykłe obcięcie włosów sprawiło, że Eliza Hammond stała się niezwykle atrakcyjną kobietą.

Jej cera, dotąd blada i ziemista, nabrała blasku. Krótkie loczki igrały swawolnie wokół twarzy i piętrzyły się nad czołem. Zniknęła przytłaczająca surowość długich prostych włosów. Zupełnie, jakby strzyżenie zdjęło z niej jakiś wielki ciężar, który dotychczas ją przygniatał.

I ten kolor. Bogactwo wszystkich barw jesieni wprost zapierało dech w piersiach. Spomiędzy loków w odcieniu kasztana połyskiwała świetlista czerwień. Włosy Elizy wręcz lśniły życiem. Jak też Greenleaf zdołał tego dokonać? A co ważniejsze, dlaczego Kit, patrząc na efekty jego pracy, miał ochotę dotknąć tych figlarnych loczków i przekonać się, czy rzeczywiście są tak jedwabiście miękkie, na jakie wyglądają?

Oczyrna wyobraźni ujrzał siebie, jak w kilku krokach przemierza odległość dzielącą go od Elizy i zanurza dłonie w nieposkromioną burzę loków. Ona spogląda na niego, uśmiechnięta, po czym wybucha radosnym śmiechem, jakiego jeszcze nigdy z jej ust nie słyszał. Szare oczy błyszczą, wpatrzone w niego.

Zakłopotany tą wizją, szybko odsunął od siebie myśli o Elizie. Co za bzdury, otrząsnął się w duchu z rozmarzenia. Najwyraźniej trzeba mu kobiety, i to bardziej niż mu się wydawało. Ale skoro on zareagował tak mocno, ciekawe, co powiedzą inni.

Być może Violet się nie pomyliła. Jej plan miał szanse powodzenia. Eliza, ubrana w odpowiednie suknie, będzie się nieźle prezentować. Ba! Będzie wyglądać wspaniale. A jeśli jeszcze dołoży się do tego obietnicę niemałej fortuny w zamian za ślubną obrączkę, nie powinno być kłopotu ze znalezieniem odpowiedniego kandydata na pana młodego.

Ale przyjrzał jej się raz jeszcze i zauważył, jak przestępuje z nogi na nogę, jak miętosi w dłoniach spódnicę, skępowana tym, że znowu stała się przedmiotem oględzin. A przecież były tu tylko trzy osoby i wszyscy - z wyjątkiem Greenleafa - należeli do grona jej bliskich przyjaciół.

Zdusił westchnienie na myśl, żeomal nie zapomniał o najtrudniejszej części tego przedsięwzięcia.

Jak zwalczyć jej nieśmiałość.

Chorobliwą, żalostną, miazdzącą nieśmiałość, która niemalże paraliżowała ją w sytuacjach, kiedy pewność siebie i swoboda stanowiły klucz do sukcesu. Nowe uczesanie i suknie pomogą, ale tylko wtedy, gdy Eliza wydusi z siebie coś więcej niż ledwo dosłyszalne „dzień dobry”. Nie może milknąć w pół słowa, wbijając wzrok w pantofle, gdy tylko znajdzie się w towarzystwie.

Tak czy inaczej, nowa fryzura to duży krok naprzód. Może uda się osiągnąć ceł, jeśli przez cały czas będzie ją wspierał. Taką przynajmniej miał nadzieję. I mocno się jej trzymał.

- No i cóż, panienko, nie mówiłem? - Greenleaf zwrócił się do Elizy. - Ręka geniusza w jedno popołudnie zmieniła panią w prawdziwą piękność. Ale odtąd musi pani przychodzić do mnie regularnie. Dokładnie za cztery tygodnie powtórzymy wszystkie zabiegi. Taką doskonałość trzeba pielęgnować.

- Oczywiście, za cztery tygodnie. - Eliza bojaźliwie kiwnęła głową.

- I ani dnia później. Proszę nawet nie myśleć o przekładaniu tej wizyty, bo gorzko tego pani pożałuje. Tak więc na mnie już czas. Przede mną kolejne niezwykle, olśniewające dokonania.

Całej trójce udało się zachować powagę aż do wyjścia fryzjera, ale gdy tylko znalazł się za drzwiami, wybuchnęli śmiechem.

Kit jeszcze ocierał z oczu łzy rozbawienia, gdy do saloniku wszedł Adrian. Jego brat, wysoki i budzący respekt, miał w sobie coś, co z miejsca przykuwało uwagę.

- Dziwna sprawa, właśnie minąłem w holu jakiegoś cudaczego człowieczka, który mamrotał sam do siebie, że jest cholernie genialny... Panie wybaczą, że powtarzam takie słowa.

Adrian uśmiechnął się do żony i nieobecny wzrokiem spojrzał na Elizę. Nagle zamarł i zagapił się na długi moment, oszołomiony.

- Na miłość boską, panno Hammond! Co pani zrobiła z włosami?!

4

Weźmiemy też tę popołudniową suknię z żółtego jedwabiu i jeszcze jedną, bladuróżową. Och, i amazonki! Musi przecież mieć stroje dojazdy. Przynajmniej trzy, jedną z tej cudownej wełny merynosów, barwionej na niebiesko. Druga będzie z ciemnozielonej popeliny a ostatnia z grubo tkanego jedwabiu, amarantowa.

Uśmiechnięta szeroko, niczym dziecko puszczone samopas w sklepie ze słodyczami, Jeanette Brantford O'Brien złożyła dłonie w rękawiczkach.

- Och, ależ będą urocze, prawda, panno Hammond?

Kit przyglądał się, jak Eliza otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nie zdążyła nawet pisnąć, bo siostra Violet już rozpoczęła omawianie niezliczonych guziczków i falbanek, dostępnych w ofercie. Właścicielka salonu mody, madame Tbibodaux, przytakiwała łąskawie każdemu jej słowu.

Ze swego miejsca na obitym satyną szezłongu Kit mógł spokojnie obserwować rozwój wydarzeń. Nie był w najmniejszym stopniu zaskoczony rozmową pań - jeśli w ogóle można było ją tak nazwać, jako że Jeanette od wejścia do sklepu prawie nie dopuszczała Elizy do głosu. Jej zdanie zupełnie się tu nie liczyło. Jeanette przejęła dowodzenie wyprawą na zakupy, niby generał przystępujący do oblężenia twierdzy. Elizie zaś przypadła rola niedoświadczonego żołnierza, który winien służyć i wykonywać rozkazy.

On sam jedynie asystował damom i czuł się zupełnie zbędny. Tłumiąc westchnienie, sięgnął po grzanekę z pasztetem, którymi poczęstowała ich pomocnica madame Thibodaux.

Dlaczego zgodziłem się im towarzyszyć, zastanawiał się, pogryzając przekąski. Salon mody to kobiecy bastion, a to nie miejsce dla mężczyzny. Podniósł kieliszek i upił nieco wina, zerkając na Elizę. Jej blada twarzyczka pokryta była rumieńcem. No właśnie, już wiedział, dlaczego się tu znalazł. Przypomniał sobie błąsk

niepokoję w jej oczach, gdy dowiedziała się, że to Jeanette, a nie Violet, będzie z nią kupować stroje.

Violet się rozchorowała i, niestety, musiała zostać w łóżku. Jeanette - która przyjechała do miasta dwa dni wcześniej wraz z mężem Darraghiem, ich małą córeczką Caitlyn oraz rodzeństwem Darragha: Michaeliem, Finnem, Moirą i Siobhan - dowiedziała się, że Eliza zamierza przełożyć termin wyprawy do sklepów od razu zaproponowała pomoc.

Któż lepiej od niej poradzi sobie z zadaniem skomponowania nowej garderoby Elizy? Jeanette uwielbiała modę i wszelakie kobiece akcesoria, co czyniło ją idealną kandydatką do tej roli. Zresztą wyznała, że od lat miała ochotę zająć się wyglądem Elizy i ubrać ją w coś lepszego niż te źle skrojone bure suknie, które zwykle nosiła. I wygląda na to, że wreszcie jej się to uda.

Wiedząc, że Jeanette wspaniale poradzi sobie w roli doradcy Elizy, Kit poparł propozycję wspólnych zakupów. Nie planował jednak sam brać w nich udziału. Przekonało go do tego rozpaczliwe, błagalne spojrzenie Elizy.

Słodki Jezu, gdyby odrzucił tę niemą prośbę, czułby się gorzej niż morderca szczeniąt.

Siedział więc teraz znudzony w salonie mody. Czuł się nad wyraz nieswojo. Przynajmniej kanapki są znośne, pomyślał, sięgając po kolejną.

- A teraz przejdziemy do sukien wieczorowych - oznajmiła Jeanette. - Sądzę, że potrzebujemy co najmniej dwóch tuzinów.

- Dwóch tuzinów! - krzyknęła słabo Eliza.

- Bezwarunkowo - potwierdziła Jeanette. - Dama nie może pokazać się dwa razy w tej samej sukni. Wobec tego, tak dla pewności, weźmiemy trzy tuziny.

- Ale to przecież będzie kosztować...

- Masz mnóstwo pieniędzy. Dobrze ci zrobi, jeśli ich trochę wydasz, zwłaszcza że chcesz znaleźć męża. - Tu Jeanette zwróciła się znowu do modystki. - Może zaczniemy od perłowej satyny.

Suknia powinna mieć haftowane różyczki wzdłuż brzegu spódnicy. To ostatni krzyk mody.

- Ma pani świętą rację, milady. Różyczki będą doskonałe. Pozwolę sobie jeszcze zasugerować blad różową tiulową hałeczkę.

- Jaki krój? Ma pani szkice?

- Naturalnie. Już idę po książkę z wzorami.

Kobieta oddaliła się pospiesznie. Jeanette spojrzała na Elizę.

- Droga panno Hammond, proszę pójść do przymierzalni z pomocnicą madame. Tamto biedactwo zaraz nam tu z nerwów zemdleje. Czeka już tak długo.

Kit, podobnie jak obie kobiety, zerknął na służącą, która rzeczywiście stała przy drzwiach.

- Trzeba wziąć miarę już dzisiaj, jeśli chcemy, żeby szwaczka zdążyła dopasować suknie, które madame dla nas odłożyła. Inaczej nie będą gotowe na jutro.

- Nic się nie stanie, jeśli poczekam kilka dni. I tak nie mam w planach żadnych wizyt.

- Jutro mamy chrzciny. Nie wypada pokazać się w kościele w czerni, to taki ponury kolor.

- Przecież jestem w żałobie.

- Już niedługo się kończy, więc odrobina koloru nie zaszkodzi. O, madame wróciła. Proszę iść, my dwie będziemy tutaj zajęte przez dłuższą chwilę.

Przez moment Kit miał wrażenie, że Eliza nie uważa dyskusji za zamkniętą, ale nagle opuściła ramiona i odwróciła się potulnie. Podążając za służącą, zniknęła za kotarą, która prowadziła do pomieszczenia na zapleczu.

Kit wsparł łokieć na wysokim oparciu szezlongu i upił nieco wina.

Nie minęło pięć minut, gdy pomocnica wybiegła zza zasłony. Na milej buzi z zadartym noskiem wypisane było strapienie. Dziewczyna podeszła do swojej pracodawczyni i zaczęły rozmawiać półgłosem.

- Milady, milordzie, proszę o wybaczenie - powiedziała modystka, marszcząc czoło. - Ale wygląda na to, że panna Hammond potrzebuje mojej pomocy. Za moment wrócę.

- Coś się stało? - Jeanette przerwała oglądanie książki z wzorami.

- Ależ skąd, nic takiego. To zajmie najwyżej moment.

Jednak sprawa okazała się nie taka prosta, gdyż chwilę potem z przebiegalni dobiegł podniesiony głos modystki, która wyraźnie usiłowała przekonać do czegoś Elizę.

- Co tam się dzieje, na litość boską? - Jeanette odłożyła książkę.

Kit uniósł brew, równie zaintrygowany, jak ona.

Madame pojawiła się zaraz, skrzywiona, jakby zjadła niedojrzałą śliwkę.

- Ona ich nie chce.

- Kto nie chce czego? - zdziwiła się Jeanette.

- Panna Hammond. Nie chce tych sukien, które dla niej wybrałyśmy.

Hrabina otworzyła usta w zdumieniu.

- Co za niedorzeczność, oczywiście, że je weźmie.

- Niestety panna Hammond kategorycznie odmówiła.

- Ona? Nie wierzę. Panna Hammond to cicha, potulna osóbką.

- Nie dziś, milady. Nie chce włożyć tych strojów, a ja jej przecież nie zmuszę. Jeśli nie podobają jej się moje suknie, to może powinna poszukać gdzie indziej.

- Z pewnością nie o to chodzi. Zaraz z nią porozmawiam i wyjaśnimy, w czym problem.

Jeanette się odwróciła i odmaszerowała na zaplecze. Jednak, ku zaskoczeniu Kita, okazało się, że nie miała więcej szczęścia od swoich poprzedniczek. Jej także nie udało się przekonać Elizy, żeby przymierzyła sukienki. Wzburzenie migotało w jej turkusowych oczach, gdy wyłoniła się zza zasłony, doświadczony porażki.

- Ona jest niemożliwa - oznajmiła.

Kit odstawił kieliszek i wstał z otomany.

- Co takiego powiedziała?

- Właśnie nic. Siedzi tam, mówi: „nie, nie włożę tego” i patrzy w podłogę.

- Może ja do niej pójde - zaproponował.

- Proszę uprzejmie, jak sobie życzysz - odpowiedziała sceptycznie Jeanette.

- A panie w tym czasie zajmijcie się dalszymi ustaleniami co do garderoby Elizy.

- Przecież i tak nie włoży tych strojów, które dla niej wybieram.

- Założy. Chyba że zamierza wycofać się z naszej umowy.

W końcu dała mi słowo.

Przemierzył pomieszczenie, kierując się w stronę wejścia do przebieralni. Lekko zapukał we framugę, po czym bez zbędnych ceregieli odsunął złocistą aksamitną storę, która służyła za drzwi.

Eliza siedziała na przymocowanej do ściany ławeczce, obitej błękitnym pluszem. Głowę miała spuszczoną, a wzrok wbijała w czubki nieciekawych czarnych półbucików. Podniosła głowę i szeroko otworzyła oczy na widok Kita, który bezceremonialnie wkroczył do środka.

- Co pan tu robi, milordzie? Nie powinien pan tu wchodzić.

- Dlaczego? Nie przytąpię cię przecież w bieliźnie. Z tego, co mi powiedziano, nie rozpięłaś nawet jednego guzika, nie mówiąc o tym, że nie przymierzyłaś żadnego z fatałaszaków.

- Lordzie Christopherze! - Rumieniec zalał jej policzki.

- Kit. Mów do mnie Kit, proszę. „Lord Christopher” brzmi jak imię jakiegoś nadętego starucha. Zresztą, znamy się już tak długo, że możemy chyba darować sobie konwenanse, nie sądzisz?

Eliza poruszyła się na siedzeniu i opuściła powieki. Wysoki młodzieniec onieśmielał ją i przytłaczał w tym niewielkim pomieszczeniu. Po co właściwie tu przyszedł? Czy to Jeanette go przysłała, żeby spróbował ją przekonać? Przecież obecność mężczyzny w takim miejscu była wysoce niestosowna.

- Być może. Co nie zmienia faktu, że nie powinieneś tu wchodzić - upierała się. - To damska przebieralnia, więc będę wdzięczna, jeśli stąd wyjdiesz.

- Najpierw porozmawiamy. - Kit usiadł obok niej na ławeczce, a jego udo otarło się o spódnicę Elizy. Poczwała wyraziście zapach mydła do golenia i wody kolońskiej. Miała ochotę go powąchać, niby jakąś egzotyczną przyprawę. - No, dobrze - powiedział, zwracając na nią orzechowe spojrzenie. - Powiedz mi, co się stało.

- Nic. - Eliza wygładziła niewidoczną zmarszczkę na spódnicy.

- Nie wydaje mi się. Podobno nie zgodziłaś się przymierzyć tych sukien. Dlaczego?

- Bo nie mam ochoty ich zakładać, i tyle.

- Nie podobają ci się? - Kątem oka widziała, że Kit patrzy na wieszak z sukniami. - Jak na mój gust, są całkiem ładne. Oczywiście, jestem tylko mężczyzną i przyznaję, że pogubiłem się zupełnie, kiedy Jeanette zaczęła mówić o narzutkach i bufiastych rękawach.

- O, ja się dużo wcześniej pogubiłam. - Podniosła oczy, napotykając jego uśmiechnięte spojrzenie. Udzieliło jej się rozbawienie Kita, więc odpowiedziała mu uśmiechem. - Ona mnie prawie w ogóle nie słucha.

- Więc tu leży problem? Wolałabyś, żeby cię spytała o zdanie?

- Niezupełnie. Bo widzisz...

- Tak?

Zamilkła, znowu wpatrując się w bućki.

O nieba! Naprawdę chciała, żeby sobie wreszcie poszedł. Trudno jej było skupić myśli, gdy siedział tak blisko. Zajmował prawie całą ławeczkę, a jego ramię niemal jej dotykało.

- No, powiedz mi, Elizo. - Kit nalegał, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Cokolwiek cię dręczy, na pewno uda się to jakoś rozwiązać. Nie wierzę, żeby było aż tak źle.

Jest źle, jęknęła w duchu Eliza. Gorzej niż źle.

- Lepiej zacznij mówić zaraz, bo inaczej długo sobie tu dziś posiedzimy. - Kit rozsiadł się wygodniej, wyciągając przed siebie nogi w wysokich butach.

Eliza zrozumiała, że powiedział to absolutnie serio. Kiedy Kit się na coś uparł, nie było na niego rady. Westchnęła więc, zrezygnowana, i splotła dłonie na kolanach.

- Chodzi o kolory - wyszeptała.
- O co? Zupełnie cię nie słyszę.
- O kolory. - Zmusiła się, żeby mówić głośniej. - Nie mogę nosić takich kolorów.

Kit raz jeszcze obrzucił suknie spojrzeniem.

- Dlaczego nie? Są całkiem ładne.
- Ale to purpura i złoto!
- I owszem - zgodził się Kit. - Nie podobają ci się?
- Podobają, ale...
- Ale?

Zwiesiła głowę, żałując, że w ogóle się odezwała. Kit uznają za niemądrą i pewnie będzie się z niej śmiał. O Boże, byle tylko się nie śmiał.

Chciała zapaść się pod ziemię albo zamknąć oczy i zniknąć. Gdyby tak można było dokonać takiej sztuki, pomyślała tęsknie. Jak miło byłoby zażyczyć sobie niewidzialności i rozpląnąć się w powietrzu.

Niestety nie mogła zniknąć, podobnie jak nie mogła dłużej ukrywać prawdy przed Kitem. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, że wpatruje się w nią uważnie, wyczekująco. Spojrzenie było tak intensywne, że prawie namacalne.

Myślała, że będzie naciskał, dopytywał się i żądał odpowiedzi. Tymczasem on po prostu siedział spokojnie obok, jak gdyby nigdy nic. Minęła minuta, po niej kolejna, a Kit nawet się nie poruszył. Wyglądało na to, że rzeczywiście był gotów spędzić tu cały dzień.

Westchnęła, zrezygnowana.

- Będą się gapić - wykrztusiła w końcu.

Kit nachylił się w jej stronę.

- Kto będzie się gapił? - Jego głos był niski i ciepły.
- Wszyscy. - Wzdrygnęła się na samą myśl. - Jeśli włożę którąś z tych sukien, całe miasto będzie na mnie patrzeć.

I dostrzegą we mnie same wady. Uznają mnie za śmieszna, pomysła, że stroję się w cudze piórka, dokończyła w myślach. Tylko odważne kobiety mogą sobie pozwolić na noszenie śmiałych i żywych kolorów. Co ta Jeanette sobie wyobraża, proponując jej suknie, które tak przykuwają uwagę? Czyżby chciała jej dokuczyć, podsuwając stroje zupełnie niewłaściwe dla kogoś takiego jak ona?

- Nawet jeśli będą patrzeć, to tylko z zachwytem - stwierdził Kit z przekonaniem.

Eliza popatrzyła mu w oczy i pokręciła głową.

- Raczej z kpina i szyderstwem. Wyśmieją mnie, bo zachciewa mi się wspaniałości. Brzydkie kobiety nie powinny nosić jaskrawych kolorów.

Kit gapił się na nią, zaskoczony. Badał wyraz jej twarzy, myśląc, że to może żart, ale dostrzegł jedynie lęk. Owszem, zdawał sobie sprawę, że Eliza jest nieśmiała, ale nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiał. Naprawdę myślała, że ludzie będą z niej szydzić z powodu kolorowych sukienek? Czy dla niej wyróżnianie się z tłumu było równoznaczne z tym, że będzie obiektem drwin i żartów?

- Co za bzdury? Czy twoja ciotka wmawiała ci takie głupstwa?

Eliza otworzyła usta.

- Nie, ja... och, sama nie wiem.

- Jestem pewien, że to ona. Kto inny wbijałby ci do głowy coś równie bezsensownego? - Oburzył się, nie na Elizę, lecz na żalostną, zgorzkniałą starą kobietę, która ją wychowała. - Nieważne, co ci mówiła na ten temat. Zapomnij o tym, odtąd masz słuchać tylko mnie. W końcu to ja jestem twoim mentorem, pamiętaj. Mam toba odpowiednio pokierować.

- Więc uważasz, że powinnam kupić te suknie?

- Oczywiście, skoro Jeanette je wybrała. Ma doskonały gust, więc pod tym względem ufam jej bez zastrzeżeń.

Eliza przełknęła ślinę, wciąż lekko zaniepokojona.

- Ale te kolory, które zaproponowała, są zbyt śmiałe. Niezależne kobiety nie noszą takich rzeczy w czasie sezonu.

- Zgoda, ale z drugiej strony, ty nie jesteś już debiutantką. Wybacz szczerotę, ale wiemy oboje, że nie będzie to twój pierwszy sezon. A skoro tak, to nie musisz przestrzegać zasad, które każą pannom ubierać się w mdłe pastele i skromną biel. Kiedy się pojawi, przyciągniesz wszystkie spojrzenia i o to właśnie nam chodzi. Zaintrygujesz. Mężczyźni będą do ciebie łągać, zachwyceni towarzystwem inteligentnej kobiety, która ma w głowie więcej niż pretenjonalne podlotki.

Eliza zacisnęła usta, wargi zdrząły jej lekko.

- Skąd wiesz, że tak będzie? Do tej pory nikt nie cenił mojej inteligencji.

- Docenią, kiedy skończymy nasze lekcje. Nauczę cię wszystkiego. Zmienią o tobie zdanie szybciej, niż zdążysz mrugnąć.

- A jeśli nie poradzę sobie z tymi lekcjami? Albo jeśli te suknie nie będą wyglądały tak, jak ci się wydaje? W żadnej mnie nie widziałeś.

- Właśnie dlatego musisz którąś przymierzyć.

Westchnęła. Zorientowała się, że Kit manipuluje nią tak, jak chce.

- Wiesz, co zrobimy? - zaproponował Kit, widząc, że Eliza wciąż się waha. - Przymierz jedną z tych sukien, a jeśli nie będziesz w niej wyglądać absolutnie pierwszorzędnie, darujemy sobie pozostałe. Zaczniemy od zera, ty, ja i Jeanette.

- Mówisz poważnie? - Rozchmurzyła się nieco. - Ale powiesz mi uczciwie, co myślisz, nawet jeśli prawda będzie tak nieprzyjemna, jak się obawiam?

- Oczywiście, że tak. Masz moje słowo honoru.

Skinęła głową, uspokojona tym uroczystym zapewnieniem.

- No, dobrze. Możesz przysłać z powrotem pomocnicę madame Thibodaux.

- Doskonale. - Kit wstał i posłał jej uśmiech, kierując się do wyjścia. Odsunawszy złotą kotarę, zatrzymał się na moment. - Och, i jeszcze jedno, Elizo.

- Tak?

- Nigdy więcej nie mów, że jesteś brzydka. Może nie jesteś diamentem pierwszej wody, jak Violet czy Jeanette, ale nie brak ci urody. Jesteś piękna, na swój sposób.

Oszło mi zębami zębami srebrem w szarych oczach Elizy.

Kit z powrotem zajął miejsce na wygiętej otomanie i leniwie odpowiadał na co drugie pytanie Jeanette, zaciekawionej, jak też udało mu się przekonać Elizę do zmiany zdania.

Miał tylko nadzieję, że postąpił właściwie. A jeśli rzeczywiście w tych sukniach nie będzie jej do twarzy? Albo nie zdoła przezwyciężyć swojej nieśmiałej natury i nie znajdzie męża, którego tak bardzo pragnęła? Obiecał jej pomoc i dołoży wszelkich starań, ale był tylko człowiekiem, a nie czarodziejem cudotwórcą.

Eliza nieśmiało wyszła z przebieralni, zerkając na Kita, niepewna jego reakcji. Kit głośno wciągnął powietrze, zaskoczony przemianą, jaka w niej zaszła. Zagapił się na nią. Nie sposób było odebrać od niej wzroku.

Spowita w zwoje tkaniny o pięknej barwie ciemnego wrzosu, Eliza była po prostu olśniewająca. Jej cera nabrała mlecznego blasku, oczy ożywiły się, a figura... cóż, była jeszcze bardziej atrakcyjna, niż podejrzewał. Dotychczas nosiła bezkształtne i zbyt obszerne suknie, ale ta, wybrana przez Jeanette, podkreślała zgrabną kobiecą sylwetkę - małe, lecz kształtne piersi, krągłe biodra i szczupłą talię, która aż prosiła o to, by objęła ją para silnych, męskich dłoni. Można się było tylko domyślać, co skrywała obszerna spódnica, ale Kit przypuszczał, że było to równie apetyczne, jak reszta.

Zdał sobie sprawę, w jaką stronę zmiernają jego myśli, więc wbił wzrok w tacę z wstążkami wystawioną w sklepowej gablocie.

- Wyglądasz prześlicznie. - Jeanette podeszła do Elizy, szeleszcząc spódnica. - Wiedziałam, że będzie ci do twarzy w tym kolorze i nie pomyliłam się. Bije od ciebie blask. Czy nie mam racji?

Owszem, przyznał w duchu Kit. Nigdy by nie pomyślał, że nieśmiała przyjaciółka jego szwagierki może wyglądać tak olśniewająco.

- Święta racja, milady - przytaknęła modystka. - Ujmiemy kilka centymetrów na dole i nieco materiału tu i ówdzie, i sukienka będzie leżała jak ulał.

Pomimo tak pochlebnych opinii, Eliza wciąż spoglądała niepewnie.

- Kit? Co o tym myślisz? - zapytała nieśmiało. - Podoba ci się?

Widać było, że czuje się nieswojo. Wyglądała jak załęczniony uczeń, przyprowadzony przed oblicze dyrektora. Kit uznał, że okrucieństwem byłoby dręczyć ją dłużej niepewnością. Otrząsnął się z oszołomienia - już drugi raz w ciągu trzech dni oniemiał na jej widok - i odpowiedział z całą szczerością.

- Bardzo mi się podoba. Ta sukienka jest stworzona dla ciebie. - Uśmiechnął się szeroko. - Widzisz, mówiłem, że będzie ci w niej dobrze. Nie było powodu do strachu.

- Jesteś pewien? A czy ten kolor nie jest zbyt krzykliwy?

- Absolutnie. Wyglądasz wspaniale, Elizo, i nie wolno ci myśleć inaczej.

Eliza widocznie się odprężyła, a jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- A teraz przymierz tę złotą - przynaglił Kit. - Zobaczymy, czy nie będziesz w niej wyglądać jeszcze lepiej.

- Dobrze. - Uszczęśliwiona Eliza wycofała się do przebieralni.

Gdy tylko wyszła, Kit odetchnął z ulgą, obiecując sobie, że postara się zapanować nad sobą, zanim dziewczyna wróci. Jednym haustem wypił pół kieliszka wina, przegryzł kanapką i postanowił, że spędzi wieczór na mieście w nagrodę za trudy całego dnia.

W końcu, czego więcej było mu trzeba?

5

Eliza siedziała w kącie salonu na parterze, wśród tłumu krewnych i przyjaciół, którzy zebrali się tego ranka w domu księcia Raeburn z okazji podwójnych chrzcin.

Pomruk ciągłych rozmów mieszał się z delikatnym aromatem perfum i świeżych kwiatów; pomieszczenie zdobiły bukiety pastelowych róż i białych lilii w czterech wytwornych wazach z miśnieńskiej porcelany. Zapach jedzenia i dobrego wina dochodził z pobliskiej jadalni.

Eliza odstawiła swój talerz. Wciąż jeszcze czuła słodki smak truskawek z bitą śmietaną. Z pewną ulgą wycofała się na ubocze i z boku obserwowała grupki rozmawiających. Lepiej się czuła, nie będąc w centrum uwagi. Wreszcie mogła się odprężyć po żałosnych próbach prowadzenia swobodnej konwersacji.

Kiedy zaczął się poczęstunek -jakąś godzinę temu -jej odmieniony wygląd wywołał wiele entuzjastycznych komentarzy. Podziwiano liliową suknię i nową fryzurę. Niektórzy nawet nie od razu ją rozpoznali. Hrabina Wightbridge na przykład, matka Violet i Jeanette, przez całą ceremonię w kościele przyglądała się jej mocno zaintrygowana.

Niemniej mimo powierzchownych zmian w wyglądzie, Eliza pozostała wciąż tą samą osobą - milkliwą i nieśmiałą intelektualistką. Potrafiła cytować z pamięci Eurypidesa, ale nie miała pojęcia o najświeższych ploteczkach z towarzystwa. Wiedząc, że prowadzenie towarzyskich rozmów o niczym nie należy do jej mocnych stron, postanowiła zaoszczędzić sobie i innym niepotrzebnych męczarni. Zaszyła się w kącie pokoju, z dala od innych gości.

Tego ranka, jako jedna z niewielu wybranych, uczestniczyła w ceremonii chrzcin. Kiedy kilka tygodni temu Violet zapytała, czy nie chciałaby zostać chrzestną matką Georgianny, Eliza, zaskoczona i głęboko wzruszona, zgodziła się natychmiast, zaszczycona zaufaniem.

Miała nadzieję, że kiedyś będzie mogła poprosić Violet o to samo dla własnego dziecka, o ile kiedykolwiek będzie miała dzieci. Znacznie łatwiej byłoby nie zawracać sobie głowy zamążpójściem. Gdyby można było wybrać sobie mężczyznę, który dokonałby samego aktu, bez zbędnych małżeńskich formalności.

Rozbawiona skandalicznym pomysłem, uśmiechnęła się do siebie. Połowa dam, obecnych w pomieszczeniu, zemdlałaby z wrażenia, gdyby usłyszała jej myśli. Co do mężczyzn, mogła się tylko domyślać, jak by zareagowali.

- O czym rozmyślasz? - Na dźwięk ciepłego męskiego głosu poczuła delikatny dreszcz na plecach. Spojrzawszy w górę, napotkała wzrok Kita i natychmiast żar zalał jej policzki.

- O niczym - zająknęła się.

O litości! Tak się zamyśliła, że nawet nie zauważyła, kiedy przeszedł.

Kit usiadł na krześle obok i pochylił ku niej głowę, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

- W takim razie skąd ten rumieniec? - Na dłuższą chwilę zamilkł, potem oparł się wygodniej. - Ale nie martw się, nie będę cię dziś dręczył, nie mam na to siły.

- Ciagle boli cię głowa?

Już w kościele zauważyła jego zmarszczone czoło. Krzywił się boleśnie za każdym razem, kiedy musiał odpowiadać na pytania księdza - był ojcem chrzestnym małej Georgianny. Brat i siostra Darragha, Michael i Moira, zostali rodzicami chrzestnymi Caitlyn, a Violet i Jeanette były nawzajem dla swoich dzieci drugimi matkami chrzestnymi.

Kit stęknął cicho z bólu.

- Jeszcze trochę boli. To kara za to, że za dużo wczoraj wypłem i późno poszedłem spać. - Zerknął na nią z ukosa. - Mam nadzieję, że nie jesteś zbulwersowana.

- Nie. Spodziewałam się czegoś w tym rodzaju. Niechcący podsłuchałam twoją rozmowę z Adrianem dziś rano, przed wyjazdem do kościoła, kiedy czekaliśmy, aż podjadą powozy.

Wargi Kita drgnęły w uśmiechu.

- Nic się nie ukryje przed moim braciszkiem. Naprawdę podziwiam Violet, że udało jej się przez tak długi czas ciągnąć tę komedię po ślubie i udawać siostrę.

Eliza dobrze pamiętała własne osłupienie na wieść o oszustwie Violet. Jednak gniew i uraza szybko minęły, ustępując miejsca przebaczeniu i radości, że przyjaciółka znalazła szczęście w małżeństwie.

Podążając za wzrokiem Kita, spojrzała na Violet i Adriana, którzy z rozbawieniem słuchali jakiejś opowieści Darragha, przerywanej od czasu do czasu przez gestykującą żywiołowo Jeanette. Obok nich stali tryskająca życiem księżna wdowa i dwie siostry Adriana wraz z małżonkami. Przyłączyli się do nich przyjaciel Adriana, Peter Armitage, i dwie kuzynki Violet.

- Oczywiście, teraz Vi nie ma przed nim żadnych tajemnic.

I nie musi, pomyślała Eliza. Tam, gdzie jest prawdziwa miłość, nie ma miejsca na sekrety.

Wiedziała, że również Jeanette i Darragha łączy głęboka zażyłość. Wystarczyło na nich spojrzeć, żeby zobaczyć, że ich małżeństwo jest oparte na wzajemnej namiętności i oddaniu.

Jak wspaniale byłoby przeżyć taką miłość.

Eliza otrząsnęła się z zadumy i skupiła na niedyspozycji Kita.

- Może ci zrobić gorącego mleka?

Kit uniósł brwi w niemym pytaniu.

- Na ból głowy - wytłumaczyła. - Mleko z przyprawami pomaga.

- Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony, ale rano służący wmusił we mnie na czczo jakiś specyfik. Nie wiem, czy zdołałbym przełknąć kolejny.

- To tylko ciepłe mleko z łyżką brandy.

- Bez surowego jajka i pieprzu?

- W każdym razie bez pieprzu. - Eliza nie umiała kłamać.

Kit wzdrygnął się z obrzydzenia.

- Chyba jednak dziękuję. Po prostu przymknę oczy na moment, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie, ani trochę.

Z wolna powieki Kita opadły. Elizie niemal tchu zabrakło na ten widok. Przesunęła wzrokiem po policzkach i arystokratycznym nosie mężczyzny. Jego usta prosiły się o pocałunki.

- Myślałem sobie o naszych lekcjach. Moglibyśmy zacząć we wtorek - odezwał się Kit niespodziewanie.

Eliza aż podskoczyła. Z ulgą stwierdziła, że mężczyzna wciąż ma zamknięte oczy.

- Ale to już za dwa dni.

- Po co dłużej zwlekać? Do tego czasu rodzina się rozjedzie i w domu będzie spokojniej.

- Ach, tak. - Przełknęła głośno.

- Jeśli mamy zrealizować nasz plan, to trzeba wziąć się do pracy jak najszybciej. Sezon już za parę tygodni. Zanim się zacznie, powinnaś oswoić się z towarzystwem. Koniec z chowaniem się po kątach.

- Wcale się nie chowam - broniła się Eliza.

- Bez obawy. Nauczę cię wszystkiego, czego trzeba, żebyś mogła swobodnie się czuć w towarzystwie. - Spojrzał na nią spod uchylonych powiek, a jego oczy wydawały się bardziej złote niż zielone. - Chyba że się rozmyśliłaś.

Jakaś cząstka Elizy gorąco pragnęła powiedzieć, że owszem, rezygnuje. Tak łatwo byłoby wycofać się z zawartej umowy, uśmierzyć lęk i niepokój, które ścisnęły jej żołądek. Jednak Eliza już podjęła decyzję.

- Nie rozmyślałam s i ę .

- A więc zaczynamy we wtorek.

Dwa dni później, dokładnie o dziesiątej rano, Eliza szła na spotkanie z Kitem do gabinetu Violet. Przyjaciółka zaproponowała, że użyczy im tego pomieszczenia - było tam przytulniej niż w którejkolwiek z obszernych bawialni.

- Nie martwcie się, nie będę wam przeszkadzać - oznajmiła księżna poprzedniego wieczoru. - Wybieram się rano do parku

z Adrianem i dziećmi, a potem idziemy na lunch do Jeanette. Będzie tam moja mama i matka Adriana. Bogu dzięki za Marguerite, bo kiedy mama zaczyna opowiadać o swojej najnowszej dolegliwości, ona jedna umieją zająć czym innym. Przyjdą jeszcze siostry Adriana, wszystkie poza Sylvia, bo wyjechała z kraju razem z rodziną. Będą też Moira i Siobhan, choć to w zasadzie jeszcze dziewczynki. - Tu Violet urwała. - Jesteś pewna, że nie masz ochoty pójść? Wiesz przecież, że byłabyś mile widziana.

Eliza pokręciła głową.

- Dziękuję. Z przyjemnością zostanę dziś w domu.

Raczej z ulgą, bo wiedziała, że lady Wightbridge prawdopodobnie znów by się jej uporczywie przyglądała, po czym zasypałaby ją gradem kłopotliwych pytań.

- Poza tym, mam przecież lekcję.

Violet uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Otóż to. Gdy wrócę, opowiesz mi, jak ci poszło.

Zegar na kominku wybił dziesiątą. Eliza zajęła miejsce na blado błękitnej sofie, obitej jedwabiem. Chwilę później zjawił się Kit, ubrany w szykowny frak i beżowe spodnie. Strój uwydatniał szerokie ramiona i silne, umięśnione nogi mężczyzny. Ciemne włosy miał jak zwykle zawadiacko zwichrzone. Eliza niemal wyciągnęła rękę, żeby odsunąć jeden z niesfornych kędziorów, który właśnie opadł mu na czoło.

- Dzień dobry - przywitał się uprzejmie.

Eliza splotła dłonie na kolanach, spięta i nienaturalnie wyprostowana.

- Dzień dobry, milordzie.

- A to co znowu? Mieliśmy zapomnieć o tytułach. Mówimy sobie po imieniu, przynajmniej kiedy jesteście sami.

- Tak, oczywiście.

Spuściła głowę, zawstydzona upomnieniem. Co się ze mną dzieje? - zganiła sama siebie. Czemu się tak denerwuję? Przecież to tylko Kit.

Młodzieniec usiadł obok niej i oparł się wygodnie na poduszkach.

- Powiedziałem Marchowi, żeby przysłał nam herbatę i ciastka. Pomyślałem, że pewnie zrobimy sobie przerwę na małą przekąskę.

Eliza niedawno jadła śniadanie i w ogóle nie miała ochoty na jedzenie. Doszła jednak do wniosku, że filiżanka herbaty pomoże jej ukoić skołatane nerwy. Kit, rzecz jasna, znowu był głodny. Miał apetyt niczym dorastający chłopiec, co Eliza uważała za urocze.

Chwilę później do drzwi zapukała pokojówka. Postawiła tacę na stoliku przed nimi i cicho wycofała się z gabinetu.

Eliza spojrzała na filiżanki. To ona powinna zająć się nalewaniem herbaty, sięgnęła więc po imbryk drżącymi rękami.

- Zostaw - powstrzymał ją Kit. - Zaraz się poparzysz, lepiej ja to zrobię.

Odsunęła się, pozwalając mu nalać gorący, mocny napar. Dodał mleka, tak jak lubiła, i przysunął jej filiżankę.

- Tylko nie rozlej, bo nigdy nie zaczniemy - przestrzegł ją.
- Proszę, poczęstuj się biszkoptem.

Pomruk sprzeciwu z jej strony został kompletnie zignorowany. Kit zsunął polukrowany trójkąt ciasta na jej talerzyk, sam zaś sięgnął po następny kawałek i zjadł go, popijając herbatą. Nałożywszy sobie jeszcze dodatkę, wyciągnął się na poduszkach.

- Czym się tak denerwujesz?

Filiżanka zachybotwała się niebezpiecznie, toteż Eliza szybko ją odstawiła.

- Nie wiem. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Zasada numer jeden: cokolwiek zrobisz, zachowuj się tak, jakby taki właśnie był twój zamiar. Nawet jeśli wydaje ci się to głupie.

- Ale...

- Żadnych „ale”. To świadczy o wahaniu i niepewności. Socjeta jest jak stado gończych psów. Jeśli zwietrzą słabość, zaszczują cię. - Upił nieco herbaty. - Dlaczego jesteś taka podenerwowana? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłaś spokojniejsza.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- Sama nie wiem. Chyba martwię się, że źle mi dzisiaj pójdzie. Jestem zupełnie do niczego, jeśli chodzi o... no cóż, o towarzyskie rozmowy. Przykro mi. - Skrzywiła się. - O przepraszam, miałam nie przeproszać.

Mały uśmiech rozchylił wargi Kita.

- Wypij herbatę. Ostygła na tyle, że nie powinnaś się poparzyć, nawet jeśli ją rozlejesz.

Patrzył, jak podnosi posłusznie filiżankę i ostrożnie ją przechyliła. Upiła mały łyk i przełknęła z wdziękiem.

Pomyślał, że ta lekcja okaże się trudniejsza, niż się spodziewał. Eliza była drażliwa niczym kot wystawiony na ulewny deszcz. Jeśli się trochę nie odpręży, nie zrobi dziś żadnych postępów.

Co tu począć?

- Co powiesz na pewną zabawę? - zaproponował.

- Jaką zabawę? - Zmarszczyła brwi.

- Małe przedstawienie. Ty będziesz udawała mnie, a ja ciebie. Zadawaj mi pytania, jakie dżentelmen kieruje do damy, której towarzyszy na przyjęciu. Ja będę odpowiadała.

- Ty masz być mną? - Szare oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia.

- Mhm. A co, myślisz, że sobie nie poradzę? - Zatrzepotał kokieteryjnie rękami.

Eliza wybuchnęła śmiechem.

- O proszę, od razu lepiej - powiedział. - A teraz zapytaj mnie o coś.

- Nie mam pojęcia, o co.

- O co chcesz.

Głęboka zmarszczka pojawiła się na jej czole.

- Nie umiem, naprawdę. - Umilkła, a niewypowiedziane „przepraszam” wisiało w powietrzu.

Kit napił się znowu herbaty i przegryzł kawałkiem ciasta, rozkoszując się słodkim, maślanym smakiem. Przyszedł mu do głowy kolejny pomysł. Dopił resztkę herbaty i zerwał się z kanapy.

- Chodź ze mną.
- Dokąd?

Złapał ją za rękę i postawił na nogi.

- Nie pytaj, tylko chodź.
- Ale Violet mówiła, żebyśmy się spotykali tutaj.
- Violet na pewno chciała jak najlepiej, ale nic z tego nie wyjdzie, jeśli nadal będziesz taka spięta. Chodź już.

Pospieszyła za nim do holu.

- Dokąd idziemy?
- O, teraz język ci się rozwiązał - przekomarzał się. - Zaraz się przekonasz.

Echo ich kroków rozlegało się, kiedy szli przez rezydencję, milkło na tureckich dywanach i znowu dźwięczało na polerowanym drewnie czy błyszczącym marmurze posadzek. Kit poprowadził ją w dół głównymi schodami. Wystraszyli jedną z pokojówek; na ich widok aż upuściła miotełkę do kurzu. Wreszcie zatrzymali się przed parą rzeźbionych drzwi, które Kit otworzył jednym pchnięciem dłoni.

Prowadziły do salonu muzycznego.

Fortepian okazałe prezentował się na tle trzech wysokich okien. Przejrzyste kremowe kotary były odsunięte, żeby wpuścić do środka zimowe słońce, które - niby płynny miód - rozlewało się na parkiecie z polerowanego orzecha. Ściany miały przyjemną barwę wanilii, a sufit zdobiły subtelne rokokowe stiuki. Seledynowe dekoracje nadawały pomieszczeniu przytulny wygląd. Przy jednej ze ścian stała pozłacana harfa, a krzesła ustawiono w dwa półkola, po lewej i prawej stronie. Pośrodku salonu było dużo wolnego miejsca. Tam właśnie Kit zaprowadził Elizę.

- Po co tu przyszliśmy? Chyba nie spodziewasz się, że zagram?
- Z ust Elizy wydobył się przerażony pisk.

Zareagowała tak gwałtownie, że brwi Kita powędrowały w górę. Czy rzeczywiście przerażała ją myśl, że miałyby zagrać w jego obecności? W zasadzie, pomyślał, nie przypominał sobie, żeby Eliza kiedykolwiek grała w towarzystwie. Młode panny zachęcano

do występów. Niektóre zresztą nie potrzebowały żadnej zachęty. Mimo to wiedział, że Eliza potrafi grać.

Nie dalej jak dwa tygodnie temu przechodził obok salonu i zatrzymał się pod zamkniętymi drzwiami, słuchając przepięknej sonaty Mozarta. Kiedy później pochwalił Violet, że coraz lepiej idzie jej gra na fortepianie, roześmiała się i powiedziała, że jej talent muzyczny jest niestety równie pożałowania godzien, jak dotychczas. Grał zaś nie kto inny, jak właśnie Eliza.

Prędzej czy później musi z nią porozmawiać i przekonać, żeby przestała ukrywać swoje umiejętności. Była bardzo zdolna i powinna dzielić się tym talentem z innymi. Większość młodych dam mogła tylko marzyć o takich uzdolnieniach, jakie posiadała Eliza. Cóż by to była za zbrodnia, gdyby nadal ukrywała swój dar przed światem. Ale ta sprawa, uznał, powinna poczekać do kolejnej lekcji.

- Nie - odrzekł. - Nie chcę, żebyś grała, przynajmniej nie dziś. Pomyślałem, że może zatańczymy.

Posłała mu zdezorientowane spojrzenie.

- To świetny sposób, żebyś się odprężyła i naprawdę czegoś nauczyła. Kiedy zajmiesz się liczeniem kroków, przestaniesz się zastanawiać nad każdą wypowiedaną sylabą. Poza tym będziesz prowadzić podobne rozmowy z tancerzami na balu. Ale, niech to szlag, chyba nie przemyślałem tego zbyt dobrze. Nie mamy akompaniamentu.

Objął ją w talii.

- Jesteśmy w salonie muzycznym, ale muzyki nie będzie. Nie wiesz, czy pani Litton umie grać na fortepianie?

- Nie, nie przypuszczam. - Eliza wciąż przyglądała mu się pytająco.

Kit zignorował to spojrzenie. Właśnie się zastanawiał, czy jednak nie wezwać gospodyni. Odrzucił tę myśl, gdy tylko się pojawiła. I bez tego będzie mu trudno wciągnąć Elizę w rozmowę. Nie potrzeba im publiczności, która będzie słuchać każdego słowa.

- Pewnie bardziej by pasowała sala balowa - kontynuował. - Ale doszedłem do wniosku, że zginęlibyśmy tam, tylko my dwoje

w takiej ogromnej przestrzeni. Zresztą, przez te lustra na ścianach mogłabyś zmylić krok.

Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, skłonił się elegancko i wyciągnął prawą dłoń.

- Panno Hammond, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zatańczy ze mną?

Pokręciła głową, nie podając mu ręki.

- Wybacz, ale nie rozumiem, w jaki sposób taniec miałby mi pomóc w nauce swobodnej konwersacji. Tańczyć już akurat umiem.

- Właśnie dlatego o tym pomyślałem. Doskonale tańczysz, Elizo, i szkoda, że wielu dżentelmenów nie zdaje sobie sprawy z tego, co traci.

Na ten komplement Eliza uroczo się zarumieniła.

- Okaż mi odrobinę zaufania. Jestem twoim mentorem, pamiętasz? - droczył się z uśmiechem na ustach. - Spróbuj. Zobaczymy, czy to zadziała.

Raz jeszcze wyciągnął rękę i tym razem Eliza przyjęła zaproszenie.

Nie miał rękawiczek.

Zadrżała, a jej puls nagle przyspieszył, gdy poczuła jego ciepłe palce dookoła własnych. Jej naga dłoń wydała jej się mała i bezbronna w mocnym uścisku Kita.

Miała tylko nadzieję, że ręka nie zacznie jej się pocić. To by był dopiero wstyd. Walczyła z chęcią wyrwania mu dłoni i wytarcia jej o spódnicę. Byłoby to zupełnie nie na miejscu i tylko pogorszyłoby sprawę.

Dobrze, że Kit zdawał się nie zauważać jej obaw. Drugą ręką objął ją w pasie, mocno, ale nie przesadnie. Lekko pociągnął ją ku sobie, pozostawiając jednak między nimi odpowiedni dystans. Eliza wbiła wzrok w jego kształtny podbródek, zwracając uwagę na niewielki dołeczek, który zdobił sam środek jego brody.

Jej puls znowu uderzył żywiej.

Gwałtownie przełknęła i opuściła głowę, przyglądając się dla odmiany jego krawatowi.

Kit zrobił krok i pociągnął ją do walca. Eliza pozwoliła się poprowadzić, instynktownie stawiając kroki.

- Ta-da-dam, ta-da-dam, ta-da-dam, ta-da-dam, ta-da-dam...

Tu nastąpił obrót. Spojrzała mu w twarz i zachichotała lekko.

Zaimprovizowana melodia umilkła. W oczach Kita zalsniło rozbawienie.

- Co, źle? Chciałem tylko zapewnić nam jakąś muzykę.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nie było źle, po prostu się tego nie spodziewałam. Nie przezywaj sobie.

- O nie, teraz już nie mogę. Całkiem popsukałaś nastrój. Chociaż może to i lepiej, bo przecież nie mógłbym naraz nucić i rozmawiać, nieprawdaż?

Gładko prowadził ją wokół salonu, a jej stopy bez wysiłku poruszały się w rytm jego kroków.

- Czy wolno mi pochwalić pani suknię, panno Hammond? Bardzo twarzowy błękit, pozwolę sobie zauważyć. Czy to nowy nabytek?

A więc to już. Eliza zorientowała się, że jej lekcja właśnie się rozpoczęła, skoro Kit podjął rozmowę na tematy czysto kurtuazyjne. Choć jego słowa pozostały lekkie, z nutką kokieterii.

- Tak - odrzekła.

Ta lakoniczna odpowiedź jej samej wydała się sztywna i sucha, niczym przedwczorajsza kromka chleba. Powróciły nerwy, a wraz z nimi napięcie mięśni szyi i karku. Kit uprzejmie czekał na ciąg dalszy, ale jej, jak zwykle, nic nie przychodziło do głowy

- Przyjmij komplement, pochylając lekko głowę - poinstruował łagodnie. - Zwykłe „tak” nie skłania do dalszej rozmowy.

Posłusznie skłoniła głowę.

- Dobrze. A teraz rzuć jakąś luźną uwagę. Coś o kolorze albo gdzie i z kim wybrałaś się po zakupy.

- Ale ja... no dobrze. Dziękuję, milordzie - powiedziała, wczuwając się w rolę. - To hrabina Mulholland zaproponowała ten odcień.

- Hrabina ma zatem wyjątkowo dobry gust. Ten kolor sprawia, że z pani oczu bije blask.

- Czyżby?

- O tak.

- Jednak nie powinnam była wkładać tej sukni.

- A czemuż to?

- Wciąż jeszcze jestem w żałobie po śmierci ciotki. Niestety, hrabina nie znosi czerni i poleciła służącym swojej siostry spalić moje stare rzeczy.

Kit parsknął śmiechem, wypadając z roli.

- Nie powiedziałaś mi, że Jeanette pozbyła się twoich ubrań.

- Owszem. Gdy tylko dostarczono pierwsze z zamówionych sukienek, kazała mojej pokojówce wszystko wyrzucić. Biedna Lucy nie miała czelności się jej sprzeciwić.

- I co ty na to? Nakrzyczałaś na Jeanette, że miesza się w twoje sprawy?

Eliza pokręciła głową, aż loczki zatańczyły wokół jej głowy.

- Nakrzyczeć na nią? Mój Boże, nie. Jeszcze mi życie miłe.

Kit wybuchnął śmiechem, błyskając białymi zębami.

- Słuszna postawa. Zawsze powtarzam, że trzeba umieć się wycofać, gdy nie ma szans na wygraną.

- Dokładnie tak. Zresztą, po moich ubraniach nie było już śladu, kiedy się dowiedziałam o ich smutnym losie. Ale powiedziałam Lucy, że jeżeli jeszcze raz hrabina zacznie się rządzić w mojej sypialni, ma moje pozwolenie, żeby ją wyprosić i zaryglować drzwi.

Kit zaśmiał się pod nosem, a w jego pełnych życia oczach rozbłysły zielone iskierki, niby światło odbijające się w polerowanych szmaragdach. Obrócił ją lekko, poruszając się z niewymuszoną gracją. Nieśmiałość gdzieś się ulotniła.

Eliza odetchnęła głębiej i zaczęła tańczyć z większą swobodą. Bez namysłu uśmiechnęła się do Kita.

- A więc, panno Hammond, jak znajduje pani obecną pogodę?
-Jego głos był ciepły i gęsty, niczym płynny miód.

Zamruwała kilka razy, zaskoczona tym niewinnym pytaniem. Otrząsnęła się w końcu ze zdumienia. Pogoda? No tak, w końcu widać trwa ich lekcja.

- Pogodę mamy piękną, jak na koniec lutego.
- Zatem nie za zimno dla pani?
- Nie. Choć wołę wiosnę. To moja ulubiona pora roku.
- Dlaczego akurat wiosna?
- Wszystko wtedy kwitnie i rodzi się na nowo.
- Czyli, jak większość kobiet, lubi pani kwiaty. - Kit droczył się z nią.

- Oczywiście, ale wiosna to więcej niż kwiaty.
- Naprawdę?

- O tak. Na wiosnę cały świat na powrót ożywa. - Eliza dała się porwać uniesieniu. - A to budzi we mnie nadzieję. To trochę tak, jakby przyroda wszystkiemu i wszystkim dawała kolejną szansę, by zacząć jeszcze raz.

Kit się zamyślił.

- Pięknie powiedziane. Gdyby ludzie byli równie wyrozumiali, jak natura, na świecie działałoby się o wiele lepiej.

Eliza przytaknęła.

- Właśnie tak.

Nastrój Kita odmienił się zupełnie nagle, znowu zaczął nucić takty walca. Rzucił jej szeroki uśmiech, który po prostu musiała odwzajemnić.

- No dobrze - powiedział po chwili. - Może teraz omówimy sobie podstawy.

- Podstawy czego?

- Konwersacji towarzyskiej. Już wyczerpaliśmy temat pogody. To zawsze bezpieczny wybór, niezależnie od okazji i towarzystwa. Co jeszcze? Gdybyśmy byli na prawdziwym przyjęciu, mogłabyś rzucić jakąś uprzejmą uwagę z tym związaną. Coś o liczbie gości albo o wystroju sali. Możesz też skomplementować gospodarzy, pod warunkiem że rzeczywiście znajdziesz powód do komplementów. Bywa trudno, jeśli okażą się parą nu-

dziarzy, ale w żadnym razie nie powinnaś kłamać. Lepiej nic nie mówić niż zmyślać.

Ale czy to właśnie nie był jej odwieczny problem? To, że nic nie mówi?

- Konie, psy i polowanie to świetne tematy do rozmów z dżentelmenami.

- Ale ja nic nie wiem o koniach i polowaniu, a jedyny pies, którego znam dobrze, to Horacy, dog Violet, ten kochany niezdara.

- Ma charakterek, nie da się ukryć. Tak samo jak Vitruvius, wilczur Darragha. Możesz o nich opowiadać. Każdy miłośnik psów z przyjemnością posłucha o ich wybrykach. Co do koni i polowania, będziesz się musiała trochę pouczyć. Umiesz jeździć konno, prawda?

- Tak, ale nie najlepiej. Ciotka Doris uważała, że trzymanie koni to strata pieniędzy. Mówiła o nich „maszynki do jedzenia” i sądziła, że nie są warte wydatków na karmę i stajennych. Wołała najemne szkapy. I tak prawie całe życie spędziła w Londynie. Nie za często miałam do czynienia z końmi, może poza kilkoma lekcjami jazdy któregoś lata.

- Wiedziałem, że stara wiedźma była sknerą, ale nie przypuszczałem, że nie trzymała ani jednego konia. - Twarz Kita przybrała wyraz niezadowolenia. - Cóż, znajdziemy trochę czasu, żeby przybliżyć ci na nowo rozkosze konnej jazdy.

Elizę przebiegł lekki dreszcz niepokoju. Lubiła konie, ale te stworzenia potrafiły być nieobliczalne, zwłaszcza gdy miały na grzbiecie tak niedoświadczonego jeźdźcę, jak ona.

- O, nie trzeba. Jeżdżę zupełnie dobrze.

- Musisz sobie przypomnieć, jak utrzymać się na koniu, na wypadek, gdybyś została zaproszona na przejażdżkę. Nic się nie martw, Adrian ma wspaniałą stajnię. Znajdę dla ciebie klaczkę, która będzie jak najlepsza przyjaciółka.

- To konie mają przyjaciół? - Elizie wyrwało się pytanie.

- I owszem. - Zaśmiał się i mrugnął do niej. - Zresztą, o ile dobrze pamiętam, masz trzy nowe stroje do jazdy. Nie mogą się przecież zmarnować, prawda?

Na to Eliza nie uznała za stosowne udzielić odpowiedzi.

Chwilę później Kit się zatrzymał, ale wciąż nie wypuszczał jej z objęć.

- Może potańczymy jeszcze trochę? Jeszcze jedno okrążenie i jakiś nowy temat do rozmowy?

Eliza starała się nie reagować na jego bliskość, choć w jakiś niewytłumaczalny sposób jego ciało podczas tańca nagle znalazło się tuż obok. Czyżby to on przybliżył się o centymetr? Czy to może ona przysunęła się do niego?

Tak czy inaczej, stał cudownie blisko.

Uchwyciła świeży zapach mydła do golenia, który unosił się wokół gładko ogolonej twarzy. Z upodobaniem wodziła palcami po szlachetnej tkaninie, opinającej szerokie barki. Zachwycała się tym, jak intymnie jego dłoń obejmuje jej własną.

Oczywiście, Kit niczego nie dostrzegł. I wiedziała, że ona też nie powinna zapamiętywać się w ich bliskości.

- Dobrze, zatańczmy jeszcze. - Z determinacją postanowiła zlekceważyć niechciane, kapryśne pragnienia.

Kit zatoczył koło wokół salonu, aż spódnica Elizy zafurkotała. Westchnęła cicho, czując, jak ich ciała znowu znajdują w tańcu wspólny rytm.

- Jak też podoba się pani w mieście, panno Hammond? - zaczął rozmowę.

- W Londynie jest, jak zwykle, bardzo miło.

- I co miała pani okazję już zobaczyć?

- O, nic szczególnego. Proszę pamiętać, że ciągle jeszcze mam załobę. Tej zimy niewiele wychodziłam z domu.

- A, tak. Bardzo stosownie.

- No, i jest jeszcze mój mentor - ciągnęła. - Z tego, co mówił mi majordomus księstwa Raeburn, nie dopuszcza do mnie żadnych zalotników.

Eliza dziwiła się sama sobie. Skąd u niej ta frywolna uwaga?

Wargi Kita drgnęły w uśmiechu i natychmiast podjął grę.

- Ten pani mentor, czy to jakaś sroga persona?
- Owszem. Bardzo się przykłada do swoich obowiązków.
- Ja słyszałem o nim zupełnie co innego. Podobno rozmienia życie na drobne, goniąc za błahostkami i próżną przyjemnością.
- No cóż, z pewnością lubi używać życia, ale nie nazwałabym go ani błahym, ani próżnym z natury.
- Niech to pani powie jego bratu, kiedy przyjdzie czas na wypłatę jego kwartalnej pensji.

Roześmiała się.

- Przez wzgląd na niego, spróbuję to zrobić.
- Cóż, nie jestem zaskoczony, że poważnie traktuje obowiązki mentora, mając taką uczennicę, jak pani. Kiedy przyjdzie pora, będzie musiał kijem odpędzać konkurentów do pani ręki.
- Czyżby?
- Bez wątpienia.

Zapatrzyła się w jego oczy i poczuła, że tonie, niczym pływak, gdy woda już zamyka mu się nad głową.

Co ja wyprawiam, pytała sama siebie. Flirtuję? Z Kitem? A on ze mną?!

Ależ skąd, uprzytomniła sobie. Jego zachowanie było tylko grą. Lekkie, zabawne kłamstewka, na których miała się nauczyć salonowej kokieterii. Nic z tego nie było prawdziwe.

Nagle cała przyjemność uleciała jak powietrze z przekłutego balonu. Gardło jej się ścisnęło, przerwała taniec w pół kroku i odsunęła się, wyrwywając rękę z jego dłoni.

- Przepraszam. Czy możemy już skończyć?

Kit zmarszczył brwi.

- Co się dzieje? Przecież tak dobrze ci szło.

Opuściła wzrok, żeby nie widział wyrazu jej twarzy.

- Nagle poczułam się zmęczona. Może to jednak nie był dobry pomysł, żeby dalej tańczyć.

- Jesteś pewna? Nie zaraziłaś się czasem od Violet? Ledwie wydobrzała.

- Nie, ja... - Odsunęła się jeszcze o krok. - Trochę tylko boli mnie głowa. Nic mi nie będzie.

- Może pójdziesz się położyć, a ja powiem pokojówce, żeby przyniosła ci coś na poprawę samopoczucia.

Gdyby tylko rzeczywiście mogła mi przynieść coś takiego, pomyślała Eliza ironicznie. Gdyby ten problem można było tak łatwo rozwiązać.

- Dziękuję.

Kiwnęła głową, obróciła się na pięcie i wyszła. Kiedy znalazła się za drzwiami, przyspieszyła kroku. Szła coraz szybciej, prawie biegła, oddalając się od salonu.

6

Eliza przechyliła książkę tak, by lepiej widzieć w mdłym świetle, sączącym się przez okna biblioteki. Na zewnątrz panowała szkaradna, zimna pogoda, więc szczerzej się otuliła wzorzystym, biało-błękitnym kaszmirowym szalem i wcisnęła głębiej w fotel, lubując się ciepłem, bijącym od płonącego kominka.

Nieopodal siedziała Violet, zatopiona w lekturze porywającej powieści grozy, *Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz*, którą obiecała pożyczyć Elizie, jak tylko sama skończy ją czytać. Horacy drzemał u stóp swojej pani, wspierając pysk na przednich łapach, i tylko od czasu do czasu rozlegało się jego gwizdzące chrapanie.

Odwracając stronę, Eliza usiłowała skupić się na słowach, które miała przed nosem. Nie przeczytała nawet jednego akapitu, gdyż jej myśli znów się rozbiegły i uleciały jak garść płatków rzuconych na wiatr. Wciąż wracała pamięcią do wczorajszej lekcji z Kitem. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, odkąd wybiegła z salonu muzycznego.

Ależ ze mnie głupia gęś, strofowała sama siebie po raz setny. Po prostu dała się ponieść i tyle, pozwoliła, by oszołomiło ją życiwe

zainteresowanie przystojnego młodzieńca. Jeśli nie będzie ostrożna, znowu ulegnie jego wdziękowi. A na to zdecydowanie nie może sobie pozwolić.

Niegdyś straciła głowę dla Kita, wdychając do niego w skrytości, zbyt nieśmiała, żeby pozwolić sobie na więcej niż tylko przelotne spojrzenia. Była zdruzgotana, gdy wyjechał na kontynent. Wiele nocy przepłakała gorzko w poduszkę, aż wreszcie zabrakło jej łez. Od tamtej pory zdecydowana była pozostawić za sobą to głupie, bezsensowne i niespełnione uczucie. Robiła wszystko, żeby zdusić w sobie miłość do Kita Wintera.

Dlaczego więc - skoro żywiła do niego już tylko szczerą przyjaźń, uciekła wczoraj z lekcji, zawstydzona i spłoszona niby zakochany podlotek?

Wszystko przez ten taniec, uznała. To taniec wywołał w niej nostalgię, przypomniał jej moment, który leżał u początków tego nieszczęsnego zadurzenia.

Do dziś pamiętała ów dawno miniony wieczór z najdrobniejszymi szczegółami. Ciepłe światło świec, tłum ludzi i ona, siedząca na uboczu sali, słuchająca jednym uchem siwych matron, które obmawiały innych gości. Czuła się samotna i niechciana, w swojej brzydkiej taftowej sukni koloru pomyj.

Właśnie badała wzrokiem kokardki na własnych pantoflach, kiedy stanął przed nią. Lord Christopher Winter, wspaniały, wytworny i pełen charyzmy. Ze zdumienia głośno wypuściła powietrze, gdy się przed nią skłonił.

- Panno Hammond - powiedziała. - Czy zaszczyci mnie pani tym tańcem?

Zaniemówiła. Nie była w stanie wydusić ani słowa, aż wreszcie wziął ją po prostu za rękę i pociągnął lekko na nogi. Wyszli na środek sali i Kit objął ją ramieniem.

A potem zabrzmiała muzyka i zaczęli wirować w rytm walca. Uśmiechnięty i uprzejmy Kit robił, co mógł, żeby wciągnąć ją w rozmowę, ale Eliza ledwie mogła mu odpowiadać. Z sercem

w gardle zdołała coś wyksztusić. Nim skończył się walc, była urzeczona. Nim minął wieczór - beznadziejnie zakochana.

Kolejni młodzieńcy, jeden za drugim, podchodzili, by zaprosić ją do tańca. Eliza nie była głupia i szybko zdała sobie sprawę, że wszyscy oni byli znajomymi Kita i że te zaproszenia nie były niczym więcej, jak tylko przyjacielską przysługą, którą mu wyświadczali.

Może powinna się obrazić. Oburzyć, że ktoś robi sobie z niej zarty. Doszła jednak do wniosku, że postępowanie Kita wypływa z dobrych chęci i że dawno już nikt nie okazał jej tyle życzliwości. O północy poprosił ją do tańca po raz drugi, a potem poprowadził do stołu na kolację.

Eliza nie wiedziała, czy ktoś go do tego wszystkiego namówił. Tak czy inaczej, zawdzięczała Kitowi jeden z najpiękniejszych wieczorów w swoim życiu.

I zakochała się w nim.

Szczapa w kominku pękała, posyłając w górę snop czerwonych iskier. Eliza ocknęła się z zadumy, mrugając w oszołomieniu na widok książki, którą miała na kolanach. Szybko zerknęła na Violet, ale przyjaciółka - na szczęście zacytana po uszy - nie zauważyła, że Eliza myśli o niebieskich migdałach.

Stłumiła westchnienie, a jej myśli wróciły do Kita. Im częściej przebywa w jego obecności, tym gorzej dla niej. Najwyraźniej wciąż jeszcze łatwo ulegała jego czarowi. Miała ochotę uciec od niego jak najdalej, powinna jednak stawić czoło temu wyzwaniu.

To się może udać, powtarzała sobie. I uda się, jeżeli będzie traktować Kita jak przyjaciela i instruktora. Jeśli tak postąpi, pozostanie panią swojego serca. Przyłoży się do tych lekcji ze wszystkich sił, będzie ciężko pracować i jak najszybciej nauczy się wszystkiego, co musi wiedzieć. Im szybciej to zrobi, tym szybciej znajdzie męża i zajmie się własnym życiem.

Chyba żeby Kit jej zapragnął.

Zamarła, zaszokowana tą ideą.

Kit jako jej kochanek, jej mąż. Jakież to piękne... Jakież głupie i nieosiągalne. Przecież to nie do pomyślenia. A jednak...

Wciąż rozważała tę ewentualność, gdy do pokoju wkroczył Adrian.

- Dzień dobry, miłe panie - powiedział. - Widzę, że umociliście się wygodnie jak dwa koty, z tymi szalami i książkami. Aż szkoda przeszkadzać.

- Więc nie rób tego. - Violet zaznaczyła sobie stronę palcem.
- Potwór właśnie wpadł w szal.

Adrian się uśmiechnął.

- Będzie dalej szalał, kiedy wrócimy z przejażdżki. A może już zapomniałaś, że obiecałaś dać się przewieźć moim nowym powozem?

Żona posłała mu zawstydzony uśmiech i odłożyła książkę.

- Przyznaję, że zupełnie zapomniałam, to pewnie przez tę ponurą pogodę. Poczekaj chwilę, włożę tylko płaszcz i mufkę, zaraz wracam.

- Masz dziesięć minut, potem będę cię ścigał.

Violet podeszła bliżej i zniżyła głos do szeptu.

- Lepiej nie. Przypomnij sobie, co się działo ostatnio, kiedy mnie zaskoczyłeś przy przebieraniu.

Jego wzrok rozgorzał i przez chwilę Adrian wyglądał, jakby zamierzał ją pocałować.

- Masz już tylko dziewięć minut, więc radzę ci się pospieszyć.

Violet się roześmiała i wybiegła. Horacy dźwignął się ociężale i powłókł za panią.

Eliza szybko odwróciła wzrok, udając, że nie słyszała rozmowy małżonków.

Adrian przeszedł przez pokój i zajął opuszczony przez żonę fotel. Eliza spojrzała na niego i, jak zwykle, uderzyło ją wyjątkowe podobieństwo między nim a Kitem. Ciemne włosy, szerokie ramiona i przystojne twarze obu mężczyzn nie pozostawiały wątpliwości, że są ze sobą spokrewnieni. Przypuszczała, że z upływem lat Kit jeszcze bardziej upodobni się do brata.

- A ty co czytasz? - spytał Adrian.

Odwróciła książkę tak, żeby było widać okładkę z gładkiej skóry.

- Och, tomik Keatsa, *Endymiona*. Czytałeś to?

Skinął głową.

- Miałem tę przyjemność, choć niektórzy krytycy nie byli dla niego zbyt łaskawi. Podobno ma wydać nowy zbiorek, może ten będzie lepiej przyjęty. Szkoda tylko, że ze zdrowiem u niego nie najlepiej. Suchoty, jak słyszałem.

- Och, nic o tym nie wiedziałam. To okropne.

Oboje, zadumani, siedzieli przez chwilę w ciszy.

- Może porozmawiamy o czymś mniej przygnębiającym - zasugerował Adrian. - Jak idą lekcje z moim bratem?

- I to miało być mniej przygnębiające? - wyrwało się Elizie.

Adrian się roześmiał.

- Nie... nie zrozum mnie źle. Lekcje idą dobrze, choć w zasadzie mieliśmy dopiero jedną. - Trzęsła się ze zdenerwowania. - Ale obawiam się, że jego wysiłek i tak pójdzie na marne. Jestem beznaziejna, jeśli chodzi o konwersację w towarzystwie.

- Przecież właśnie ze mną rozmawiasz. - Adrian uśmiechnął się do niej. - Przypuszczam, że jesteś w tej dziedzinie lepsza, niż ci się wydaje.

- Och, ale ciebie znam, za to obcy mnie przerażają.

- Więc musisz się starać zaprzyjaźnić ze wszystkimi.

Patrzyła na niego, uderzona prostą logiką tego stwierdzenia.

W holu rozległy się kroki.

- To pewnie Violet wraca. - Adrian wstał, zerkając na zegar wiszący na ścianie biblioteki. - Brawo, moja droga. Została ci jeszcze cała minuta.

- Proszę uprzejmie, kochany. Uznałam, że jestem ci to winna, skoro omal nie zapomniałam o swojej obietnicy. Ale musimy się pośpieszyć. Georgianna nie będzie spała dłużej niż godzinę i na pewno obudzi się głodna.

- Więc chodźmy, nie chciałbym, żebyście, ty lub Georgianna, cierpiały przez moje zachcianki.

Gdy tylko Adrian i Violet wyszli, Eliza wróciła do swojej książki. Udało jej się nawet zapomnieć o Kicie na parę stroftek. Wtem rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

March bezszelestnie wsunął się do pokoju.

- Proszę o wybaczenie, panno Elizo, ale zjawił się jakiś dżentelmen. Mówi, że jest pani kuzynem.

- Moim kuzynem? - Zachmurzyła się. - Czy to pan Pettigrew? March skinął siwiejącą głową.

- Zaprosiłem go do głównego salonu.

To dziwne, pomyślała Eliza. Philip Pettigrew? Czego on tu szuka?

Violet i Adriana nie było w domu, więc Elizie nie wypadało przyjmować odwiedzin mężczyzny. Nawet Kit gdzieś wyszedł - domyślała się, że umówił się z przyjaciółmi, skoro odwołała dziś rano lekcję, uskarżając się na zmęczenie, wywołane wczorajszym bólem głowy.

Ale odwiedziny kuzyna to co innego, pomyślała. Philip Pettigrew należał do rodziny, jakkolwiek nieprzyjemnie mieć takich krewnych. Zawsze próbowała być dla niego uprzejma, ale prawdę mówiąc, nigdy nie przepadała za synem ciotki Doris. Nie umiała zapomnieć, jak w dzieciństwie zbierał pająki czy żaby i podkładał w miejsca, w których nie spodziewała się ich znaleźć.

Przez całe lata bała się sięgnąć do koszyka z przyborami do szycia w obawie przed odkryciem jakichś pełzających czy skaczących stworzeń. A raz w kościele wsunął jej do kieszeni sukienki żywego świerszcza. Kiedy natrafiła ręką na zwierzątko, jej wrzask wstrząsnął murami świątyni. Całe zgromadzenie było oburzone, a uroczysty nastrój niedzielnego nabożeństwa został zniweczony na dobre.

Aż skuliła się na wspomnienie batów, jakie dostała tamtego dnia po powrocie do domu. Ciotka nie chciała słuchać żadnych wyjaśnień, przekonana, że ten wybryk był celowy.

O nie, nigdy nie lubiła Philipa Pettigrew.

Walcząc z chęcią natychmiastowego odprawienia go, Eliza odłożyła książkę i wstała z fotela.

- Dziękuję ci, March. Zaraz przyjmę kuzyna.
- Czy mam podać poczęstunek? - zapytał usłużnie stary majordomus.

- Myślę, że tak. - Wprawdzie liczyła na to, że Pettigrew nie zabawi na tyle długo, żeby pić herbatę i jeść ciastka, ale z drugiej strony przynajmniej będzie miała czym zająć ręce w czasie jego wizyty.

Przyglądziwszy fałdy ciemnofioletowej sukni, udała się do salonu.

Pettigrew odwrócił się do niej, gdy weszła. Miał nieco przydługie ciemne włosy, ulizane do tyłu. Był kościsty - zawsze uważała, że to słowo świetnie go opisuje - kościsty i ponury, śmiertelnie poważny, jak gdyby uśmiech mógł mu uszkodzić twarz. Nie, żeby było się czym martwić, pomyślała złośliwie. Ten jego zakrzywiony nos i wystający podbródek nadawały się do straszenia dzieci.

W zasadzie, przypomniała sobie, Pettigrew rzeczywiście niejednego malucha doprowadził do łez swoim groźnym wyglądem i posępnym zachowaniem. Całe szczęście, że Noah, Sebastian i Georgianna przebywali w pokoju dziecięcym na piętrze, bo zapewne też by się rozpłakali na jego widok.

Odziany od stóp do głów w czerń, kolor, który preferował nawet przed śmiercią matki, Philip przypominał jej gawrona. Ptaka padli-nożercę, który przyleciał, żeby się pożywić mięsem oderwanym od kości. Poczwała dreszcz, kiedy zbliżył się do niej i wyszczerzył pożółkłe zęby w grymasie, który trudno było nazwać uśmiechem.

- Kuzynko Elizo, jak to miło, że znów się spotykamy. Stanowczo zbyt wiele czasu upłynęło, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

Czyżby? Elizie trudno było uwierzyć w tę nagłą rodzinną zażyłość. Kiedy ostatnio się widzieli podczas odczytywania testamentu ciotki Doris, od kuzyna biła zimna furia na wieść o tym, że został całkowicie wykluczony z testamentu.

Czego ten człowiek mógł tu szukać? Nie wierzyła, żeby chciał jej złożyć zwykłą kurtuazyjną wizytę. Ale może zbyt surowo go oceniała? Może jego gniew już opadł po tych kilku tygodniach?

Chyba powinna, choćby z uwagi na więzy krwi, wysłuchać, co ma do powiedzenia, nim wyda o nim osąd.

Pettigrew wyciągnął do niej rękę. Zawahała się, bo myśl o dotknięciu go wydała jej się odpychająca. Zęby zatuszować wstręt, udało, że nie widzi wyciągniętej dłoni i ruszyła w stronę sofy. Opadła na miękki mebel, ręką wskazując fotel, stojący naprzeciwko.

- Może usiądziesz, kuzynie?

Opuścił ramię i - ku zadowoleniu Elizy - nie skomentował jej drobnego uchybienia. Usiadł na wskazanym miejscu.

- Przykro mi, że książę i księżna nie mogą cię przyjąć, ale nie ma ich w domu. - Nerwowo wodziła palcem wzdłuż szwu na sukience.

- Udali się na przejażdżkę do parku nowym powozem księcia.

- Szkoda, że nie przyszedłem we właściwszym momencie. Choć, prawdę mówiąc...

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Eliza ze zdziwieniem zobaczyła, że March sam przyniósł herbatę. Obowiązek obsługiwania państwa należał do pokojówek. Czyżby stary majordomus tak się o nią martwił, że postanowił się upewnić, czy nic jej nie grozi ze strony obmierzłego kuzyna? Podniosło ją to na duchu. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Przepysznie to wygląda. Dziękuję bardzo.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Elizo. - Starszy mężczyzna postawił ciężką tacę tak, by mogła do niej swobodnie sięgnąć. - Czy to już wszystko?

- Raczej tak.

- Proszę zadzwonić, gdyby będzie pani czegoś potrzebowała, czegokolwiek.

Uchwyciła jego porozumiewawcze spojrzenie i potwierdziła skinieniem głowy.

- Dziękuję, March.

Kiedy majordomus wyszedł, zajęła się wzorzystymi filiżankami i spodeczkami oraz ślicznymi srebrnymi łyżeczkami i widelczykami, modląc się, żeby udało jej się nie powywracać wszystkiego i nie porozlewać herbaty wszędzie dookoła.

- Cukier i śmietanka?
- Nie, dziękuję. Piję herbatę bez dodatków.
- Ach tak, teraz już pamiętam.

Jakże mogła zapomnieć. Naprawdę, Philip był jedną z najbardziej ascetycznych osób, jakie kiedykolwiek spotkała, nawet jej zmarła ciotka pozwalała sobie na drobne przyjemności.

Z czystej przekory wyspała do własnej filiżanki czubatą łyżeczkę cukru i hojnie dołała śmietanki. Ręce drżały jej tylko odrobinę, gdy podnosiła imbryk. Ostrożnie nalała herbatę i podała kuzynowi filiżankę. Przyniosła w jego stronę tacę pełną ciastek i koktajlowych kanapeczek.

Pettigrew jedynie dla przyzwoitości poczęstował się trójką-cikiem chleba z masłem i ogórkiem, po czym upił nieco herbaty. Gdyby Kit tu był, zdażyłby już zjeść co najmniej trzy kanapki i naładować sobie na talerz z pół tuzina kolejnych, uprzytomniła sobie Eliza z rozbawieniem. Szkoda, że go tu nie ma, zawsze umiał ją rozweselić.

- Widzę, że zdjęłaś żałobę.

Podniosła głowę na słowa Philipa i ledwo powstrzymała grymas niechęci.

- Jak widać. Zwyczajowy okres żałoby i tak prawie już minął, więc chyba nie ma niczego złego w noszeniu ciemnych kolorów, takich jak ten fiolet.

Przez długi, krępujący moment głęboko osadzone oczy kuzyna przyglądały się jej nieruchomo.

- Może i tak. W każdym razie, nowe warunki życia najwyraźniej ci służą. Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek dotychczas.

- Dziękuję.
- Choć wątpię, czy mama pochwaliłaby tę fryzurę.

Uniosła rękę, muskając końcówki loków.

- Nie, raczej nie.

Philip odstawił filiżankę.

- Za to jestem pewien, że byłaby zadowolona, gdybyśmy żyli w zgodzie.

- Och, ależ oczywiście.
- Co więcej, na pewno pragnęłaby, żebyśmy się połączyli.
- Hm? Co takiego?

Czy on powiedział: „połączyli”?

- To dobrze, że twoi przyjaciele akurat wyszli. Mogę porozmawiać z tobą sam na sam i otwarcie powiedzieć ci o moich uczuciach.

Jakich uczuciach? Philip Pettigrew nie miał uczuć, a w każdym razie nie takie, jakie posiadają normalni ludzie.

- Nigdy o tym nie wspominałem z obawy, by cię nie spłoszyć, ale zawsze przeznaczałem ci szczególne miejsce w moich myślach. Mam do ciebie, można by powiedzieć, pewną słabość.

Eliza otworzyła usta w niemym zdumieniu.

- Dotarły do mnie pogłoski, że szukasz męża, jak to się mówi, życiowego partnera. Nie musisz już dłużej szukać. Znam cię, Elizo, wiem, jakiego mężczyzny ci potrzeba. Kogoś silnego, kto będzie cię chronił i pokieruje tobą na niebezpiecznych wodach życia. Człowieka zdecydowanego, który ustrzeże cię przed wszelką krzywdą, a przede wszystkim w sposób rozsądny i wyważony zajmie się twoimi sprawami, żeby twoja wątła kobieca natura nie doprowadziła cię do nieroztropnego roztrwonienia zasobów, które posiadasz.

Nagle poderwał się z fotela, skoczył ku niej jak zaba i przysiadł na sofie tuż obok. Chwytał ją za rękę.

- Elizo Hammond, czy wyjdiesz za mnie?

Odsunęła się z niechęcią.

- Nie!

- Nie?

- Boże świąty, przecież jesteście kuzynami.

Wyrwała rękę z jego uścisku, a przynajmniej próbowała to zrobić, bo natychmiast znowu je pochwytał.

- A cóż to ma za znaczenie? Istnieją małżeństwa między kuzynami.

Ale nie tak blisko spokrewnionymi! Chociaż właściwie, uzmysłowiła sobie Eliza, zdarzały się też śluby między kuzynostwem pierwszego stopnia. W zasadzie nie było to prawnie zakazane, choć

jej zdaniem raczej powinno. Małżeństwo z Philipem byłoby niemal jak kazirodztwo, nie mówiąc już o tym, że sam pomysł życia u jego boku budził w niej obrzydzenie.

Wstrząsnęła się ze wstrętem i ponownie wyrwała mu rękę.

- Uczyniłeś mi zaszczyt tą propozycją, ale muszę ci odmówić.

- To na pewno emocje. Daj sobie trochę czasu i przemyśl to dobrze.

- Nie potrzebuję czasu. Nie wyjdę za ciebie.

Wstała z kanapy.

- A teraz muszę cię już pożegnać.

Jego twarz nagle stężała.

- Jeszcze nie. Nie wysłuchałaś wszystkiego, co mam do powiedzenia.

- Ale ty powiedziałaś więcej, niż miałam ochotę usłyszeć.

Wyjdź, Philipie. Natychmiast.

- Właśnie, Philipie. - Od strony wejścia rozległ się stanowczy głos, cudownie znajomy. - Dama ci odmówiła. Pogódź się z tym faktem i odejdz.

Wzrok Elizy pobiegł ku drzwiom. Stał tam Kit. Zjawił się nagle, niczym jej anioł stróż. Bogu dzięki, pomyślała.

- Lordzie Christopherze. Nie miałem pojęcia, że pan jest w domu. Kuzynka Eliza i ja mieliśmy tu właśnie taką osobistą pogawędkę. Sprawy rodzinne, pan rozumie.

Kit wszedł do środka.

- Jak dla mnie, brzmiało to raczej jak oświadczyzny. I zostały one odrzucone.

Oczy Philipa pociemniały z wściekłości, niby bezkسیężycowa noc.

- To nie pana sprawa.

- Wręcz przeciwnie. Może pan o tym nie wie, ale Eliza jest moją protegowaną. Udzielam jej rad, jak zachować się w towarzystwie, na przykład, jak odróżnić dżentelmena od gbura. Pańskie zachowanie w ciągu najbliższych trzydziestu sekund pomoże nam ustalić, do której z tych kategorii się pan zalicza.

Pettigrew zacisnął pięści i spiorunował Kita wzrokiem. Nagle warknął wściekle i sztywnym krokiem wymaszerował z salonu.

Po jego wyjściu Eliza osłabła z ulgi. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przez całą rozmowę z kuzynem była napięta jak struna. Serce waliło jej jak oszalałe.

Kit podszedł do niej i opiekuńczo objął ją ramieniem.

- Wszystko w porządku?

Bez zastanowienia przytuliła się do niego, opierając dłoń o silną pierś młodzieńca. Jeździł konno, zauważyła. Jego ubrania były ciepłe, pachniały koźmi, potem i samym Kitem. Zamknęła oczy i wciągnęła zapach, rozkoszując się nim.

- Teraz już dobrze.

- Jak tylko wszedłem, March powiedział mi, że Pettigrew jest z tobą tu, w salonie. Spodziewałaś się go?

- Ależ skąd! Zaskoczył mnie kompletnie. Tak samo, jak te jego odrażające oświadczenia. Nawet nie podejrzewałam, że planuje coś takiego... Przecież jest moim kuzynem.

- W każdym razie, dumny jestem z ciebie, że pokazałaś mu drzwi. Żałuję tylko, że nie przyszedłem wcześniej, bo wyrzuciłbym go siłą.

- Nie dał się zniechęcić. - Zamyślona, westchnęła głęboko.

- Pewnie liczył na to, że odzyska spadek po matce.

- Myślę, że chciał czegoś więcej.

- Więcej? Czegóż jeszcze mógłby chcieć?

- Ciebie, mój mały wróbelku. - Ucisnął jej ramię po przyjacielsku. - Ostatnio nad podziw wyładniałaś. Pewien jestem, że kiedy zobaczył cię w ślicznej sukience i z uroczymi loczkami, zapragnął nie tylko majątku, ale też i ciebie.

Zszokowana, nie wierzyła własnym uszom. Kit uważają za ładną? Ją? Nijaką Elizę Hammond, której przez całe życie nikt nie dostrzegął?

- Ale nie będzie cię miał - oznajmił Kit jedwabistym tonem.

- Ponieważ wkrótce dostanie cię ktoś inny. - Spojrzał na nią z góry i przesunął czubkiem palca po jej policzku. - Ktoś lepszy.

Serce zabiło jej gwałtownie, a w ślad za jego lekkim jak piórko dotykiem poczuła na skórze delikatne mrowienie. Jej wargi rozchyliły się mimo woli i utonęła w jego hipnotyzującym spojrzeniu.

O czym on mówi? - zastanawiała się, na wpół oszołomiona. Może, jakimś niezwykłym, cudownym przypadkiem ma na myśli siebie?

Tymczasem Kit ciągnął dalej:

- Jak tylko sezon oficjalnie się rozpocznie, znajdziemy go. Twojego wymarzonego męża. Ale musisz jeszcze nad sobą pracować. Zrobiłaś znaczne postępy, ale i tak wiele lekcji przed nami.

Poczuła się tak, jakby ktoś zrzucił ją z wysokiej góry w przepaść. Różany obłok, w którym się unosiła, pękł, niczym bańka mydlana.

Co za głuptas ze mnie, pomyślała. Naiwne ciele.

Tą samą ręką, którą wcześniej opierała się o niego, odepchnęła go i wysunęła z jego objęć. Kit nie zwrócił na to uwagi.

- Przeszedł ci już ból głowy? Bo jeśli dobrze się czujesz, moglibyśmy odbyć kolejną lekcję dziś po południu.

Wbiła wzrok w dywan, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Nagle podniosła oczy.

- Tak, oczywiście. W końcu sam mówiłeś, że sezon tuż-tuż, a ja tyle jeszcze muszę się nauczyć. Lepiej nie traćmy ani chwili.

7

W inter, może jeszcze wina? - zaproponował Edwin Lloyd, trzymając w ręku dopiero napoczętą butelkę malagi.

Kit skinął głową, nie podnosząc nawet oczu znad kart. Przyjaciel napełnił mu kieliszek czerwono-brązowym winem, słodkim i mocnym. Dolał także kolegom, siedzącym z nimi przy stoliku, a na końcu sobie, po czym odstawił opróżnioną butelkę.

Partia toczyła się dalej. Gracze dobierali po kolei, każdy miał nadzieję, że to jemu przypadnie zwycięska lewa. Kit upił łyk wina i czekał na swoją kolej. Nie spieszyło mu się, bo i tak trzymał w ręku kartę, która przebijała wszystkie inne w talii.

Pozostała czwórka z jękiem zawodu rzuciła na stół karty, kiedy Kit zagrał swój atut.

Uśmiechnął się lekko i zgarnął wygraną.

- Masz dziś piekielnie dużo szczęścia, Winter - powiedział Selway. - W najbliższym czasie gotówki ci raczej nie zabraknie. Chyba że anioł miłosierdzia cię opuści i zaczniesz przegrywać.

- To się okaże w następnym rozdaniu. - Kit uszczknął nieco sera z Cheshire, który leżał na talerzyku obok niego.

Selway ma rację, uznał Kit, racząc się lekko słonawym przysmakiem, który wprost rozpływał się w ustach. Pierwszorządnie szła mu dziś karta. Spędzał miło czas z przyjaciółmi - pili, rozmawiali i grali. Jak dotąd udało mu się wygrać niemal dwa razy tyle, ile dostawał co kwartał od Adriana. Brat będzie go finansował jeszcze tylko przez pół roku. Tak więc kieszenie miał napchane gotówką, a wolność w zasięgu ręki. Powinien być zadowolony z życia.

Tymczasem było wręcz odwrotnie. W głębi duszy odczuwał jakieś niezaspokojenie i pustkę, zobojętnienie na to wszystko, co wypełniało jego życie. Niechętnie myślał o przyszłych latach. Cóż on, do licha, zrobi ze swoim życiem i z sobą?

Siedzący naprzeciwko Jeremy Brentholden, stary kompan jeszcze z czasów studenckich, rozdał następną kolejkę. Kit zerknął na swoje karty, żeby oszacować, czy opłaca mu się wchodzić do gry.

- Jutro pod Charing Cross zapowiada się dobra walka. Któryś z was może się wybiera? - Vickery uniósł brwi i spojrzał na kolegów.

Wszyscy, jak jeden mąż, pokiwali głowami twierdząco. Tylko Kit pokręcił głową.

- Przykro mi, panowie, ale nie mogę.

- Nie możesz?! - Lloyd z cmoknął niedowierzaniem. - O ile pamiętam, to już drugie zawody, które opuścisz. Co jest, Winter? Mięknie? Mdlci cię na widok krwi?

Kit rzucił mu rozdrażnione spojrzenie.

- Wcale nie mięknę. I chętnie rozleję trochę twojej krwi, jeśli tylko kiedyś zdecydujesz się nadstawić tę piękną buźkę i staniesz ze mną na ringu. - Złożył trzymane w rękę karty i postukał nimi o blat stolika. - Jeśli chcecie wiedzieć, jestem już umówiony.

- Z kim? - dopytywał się Selway. - Chyba nie z księciem?

Twarz Kita nie zdradzała żadnych uczuć.

- Jeśli to nie twój brat, to kto? - Selway nie ustępował. - A tak właściwie, jakoś dużo masz ostatnio tych „umówionych spotkań”.

- Właśnie, Winter. - Lloyd poparł kolegę. - Przez ostatnich kilka tygodni byłeś mocno tajemniczy. Co się dzieje? Przecież możesz zwierzyć się kompanom.

Kit znowu rozłożył karty w wachlarzyk i zaczął się im przyglądać.

- Kompani czy nie, to co robię, to moja prywatna sprawa i nic wam do tego.

- Chodzi o tę dziewczynę, tak? - Vickery spytał ciekawie. - Tę, która mieszka u twojego brata?

- Co to za jedna? - chciał wiedzieć Brentholden.

- Ta intelektualistka, przyjaciółka księżnej. - Vickery pstryknął palcami, szukając czegoś w pamięci. - Jak ona się nazywa? Haywood? Hampton? A, nie, Hammond. Tak jest. Eliza Hammond.

- Hammond? - Lloyd cisnął na stół srebrną monetę, koronę, wyjściową stawkę w grze. - A która to?

- Wiesz przecież. - Vickery pomachał palcem. - Ta bladolica dziewczyna, która nigdy nie ma nic do powiedzenia i zawsze siedzi pod ścianą. Ubiera się niemodnie, gorzej niż jakaś guwernantka. W zasadzie jest już starą panną. Na pewno ją kiedyś widziałeś. Słowo daję, musiałeś ją widzieć. Ma za sobą już tyle sezonów, że ciężko je zliczyć.

Wszyscy prócz Kita roześmiali się głośno.

Lloyd pokręcił głową, wciąż zdezorientowany.

- Taka ruda?

- Nie, szatynka, raczej myszowata. Siedzi zwykle pod ścianą razem z wdowami i matronami. Gapi się na swoje buty.

- No cóż, Vickery, nie powiem, żebym się zbyt często przyglądał matronom i wdowom. - Lloyd uśmiechnął się frywolnie.

- Osobiście wolę młode śliczne dziewczęta.

Kit pociągnął łyk wina z nadzieją, że alkohol uspokoi jego nagle podrażniony żołądek.

- Odziedziczyła wielki majątek parę miesięcy temu. - Vickery uzupełnił informację.

Odpowiedziało mu chóralne „ooo”.

- A, teraz już wiem - stwierdził Lloyd. - Miała jędzowatą ciotkę.

- Dokładnie tak. - Vickery rzucił na stół swoją stawkę. - Łowcom posagów już cieknie ślinka.

- Nie ma co się dziwić. - Selway dorzucił swoje pieniądze do puli. - Za tyle grosza, niejeden by się z nią ożenił, nawet gdyby była brzydka jak psi zadek.

- Dosyć tego! - Kit trzasnął ręką w stół. - Przypominam, że rozmawiamy o damie. Nie zamierzam tolerować takiego braku szacunku.

Ciemne oczy Selwaya otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Wybacz, Winter. Nie chciałem nikogo obrazić.

- Ale to zrobiłeś - mówił Kit przez zaciśnięte zęby. - Panna Hammond nie jest ani bladolica, ani brzydka.

- Nie mówiłem, że jest. - Selway bronił się niepewnie. - Tylko że nawet gdyby była...

- Ale nie jest - zachnął się Kit. - To przemiła dziewczyna i do tego przyjaciółka mojej szwagierki. Będę zobowiązany, jeśli w ogóle przestaniecie o niej rozmawiać. Chyba żeby chodziło o powiedzenie komplementu.

- Jasne, Winter. - Przyjaciel pokiwał głową. - Wybacz, stary. To się już więcej nie powtórzy.

Kit podniósł kieliszek i opróżnił go jednym haustem.

Vickery spojrzał na niego przez stół.

- Czyli to prawda, co słyszałem?
- A co takiego słyszałeś? - Pod stolikiem ręka Kita bezwiednie zacisnęła się w pięść.

- Ze udzielasz jej lekcji. Tej całej pannie Hammond, znaczy się...

- Jakich lekcji? - Pytanie Brentholdena przerwało ciszę.

Kit popatrzył Vickery'emu prosto w oczy.

- I gdzie się o tym dowiedziałeś?

Vickery potarł nos.

- Powiedział mi jeden mały ptaszek z pokojów dla służby. Wiesz, jak sprawnie działa poczta pantoflowa.

Najwidoczniej któraś ze służących w Reaburn House ma za długi język, pomyślał Kit. Będzie musiał porozmawiać z Violet i Marchem, może jakoś uda się temu zaradzić. Chociaż - stwierdził po namyśle - takie rzeczy są chyba nieuniknione.

Wzruszył ramionami.

- To, co robię w wolnym czasie, to moja sprawa. Gramy czy nie?

- Zagramy, owszem, ale dopiero kiedy uchylisz rąbka tajemnicy. Podobno masz być jej swatem.

Lloyd, wyraźnie rozbawiony, parsknął śmiechem.

- Nie jestem niczym swatem. - Kit potoczył wzrokiem po twarzach przyjaciół i doszedł do wniosku, że nie uda mu się wykręcić od wyjaśnień.

Zmełł w ustach przekleństwo. Niech szlag trafi Vickery'ego i jego wścibstwo. Był lojalnym przyjacielem i można było na niego liczyć w kłopotach, ale, niestety, miał słabość do plotek. Przyciągał jak magnes wszystkie pogłoski i nowinki i delectował się nimi, niczym pies, który złapał kawał kaszanki.

- Dama jest dość nieśmiała, to fakt. - Kit potarł kciukiem nos swojego kieliszka. - Chciałaby czuć się pewniej w towarzystwie. Ja jej tylko podpowiadam, jak to osiągnąć. Jestem jej mentorem, można by powiedzieć.

- Mentorem? - Lloyd uśmiechnął się ironicznie. - Nie spodziewałem się zobaczyć cię w takiej roli. Ale, z całym szacunkiem, to będzie ciężki orzech do zgryzienia.

- Prawdziwy Pigmalion z naszego Kita - droczył się Vickery - Ciekawe, czy uda mu się coś wyciosać z tego kamienia i przeistoczyć pannę Hammond w nową Galateę. Ja w każdym razie będę czekał na efekty z zapartym tchem. Kiedy zamierzasz publicznie zaprezentować swoje najnowsze dzieło?

- Ona nie jest moim dziełem. - Kit nachmurzył się, coraz bardziej niezadowolony z przebiegu rozmowy.

- Skoro tak twierdzisz...

- Tak właśnie twierdzę. I wolałbym już zakończyć tę dyskusję.

- Na długą chwilę wbił w Vickery'ego ciężkie spojrzenie. - Może wreszcie się do czegoś przydasz i przyniesiesz jeszcze jedną butelkę?

Vickery się roześmiał, po czym wstał i poszedł po wino.

Gra rozpoczęła się na nowo. Kit przegrał kilka rozdań, ale potem szczęście do niego wróciło i szybko odrobił straty.

Pod koniec wieczoru, z kieszeniami nabitymi gotówką, wspiął się do powozu Brentholdena, który obiecał podwieźć go do domu. Selway i Vickery jechali z nimi, lecz obaj wysiedli wcześniej od Kita.

Była już prawie druga nad ranem i ulice reprezentacyjnej dzielnicy Mayfair świeciły pustkami. Stukot końskich kopyt i skrzypienie kół powozu rozlegały się echem w nocnej ciszy, a mdłe światło lamp oświetlało drogę.

Kit oparł głowę o miękkie, wyściełane oparcie siedzenia i przymknął oczy.

- Lubisz ją, prawda?

Na ciche pytanie Brentholdena natychmiast otworzył oczy.

- Kogo lubię?

- Tę twoją małą intelektualistkę, pannę Hammond.

- Ona nie jest moja! To po prostu przyjaciółka rodziny i staram się jej pomóc.

- Przyjaciółka rodziny czy nie, nigdy nie widziałem, żebyś tak zażarcie bronił honoru kobiety.

- Bo nigdy nie było takiej potrzeby. Tym razem musiałem to zrobić, bo nie podobało mi się, co wygadywali o niej Selway i Vickery, ani jak to mówili. Panna Hammond jest przemiłą osobą i nie zasługuje na to, żeby się z niej wyśmiewać, nawet za jej plecami.

- A więc mam rację, lubisz ją.

Kit namyślał się przez chwilę.

- Może i tak, ale nie w tym sensie. Nie mam zamiaru się o nią starać, jeśli o to ci chodzi. Jest dla mnie raczej jak siostra, młodsza siostra, która potrzebuje porady. Chce znaleźć męża, przyzwoitego człowieka, a nie jakiegoś przekłętą łowcę posagów, który ją unieszczęśliwi na całe życie.

Brentholden zachichotał.

- Czyli jednak jesteś jej swatem.

- Nic z tych rzeczy. Jestem jej mentorem, pomagam jej oswoić się z towarzystwem. Swatanie pozostawiam mojej szwagierce.

- To znaczy, że nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli wasz plan się powiedzie i zaczną się do niej zbiegać tłumy zalotników?

Żołądek Kita nagle się ścisnął, ale postanowił zignorować to dziwne wrażenie.

- Mój Boże, nie. Czemuż miałbym mieć coś przeciwko?

- Ha.

- Co znaczy „ha”?

- Nic takiego. Po prostu pomyślałem sobie, że ten sezon zapowiada się interesująco. Naprawdę, bardzo interesująco.

Kit nie skomentował tej odpowiedzi. Powóz toczył się w stronę Raeburn House.

Trzy dni później Eliza siedziała w damskim siodle, usiłując przytrzymać się łęku kolanem, podczas gdy drugą nogę wsuwała w strzemień. Przesunęła się trochę, próbując nie stracić równowagi. Przez cały czas poprawiała rozłożyste spódnice swojej błękitnej amazonki i starała się wyglądać jak dama.

Kiedy już przestała się wiercić, Kit podał jej lejce. Spojrzała w dół ze swojego siedziska na młodzieńca, stojącego obok konia.

- I jak? - zapytał.
- Wysoko - przyznała z całą szczerością.

Roześmiał się, ubawiony.

- Cassiopeia nie jest taka znowu duża, ma ledwo półtora metra w kłębie. Powinnaś zobaczyć konie do polowań, to dopiero wielkie bestie. Naprawdę, nie musisz się bać starej dobrej Cassie.

- Pogłaskał gniadoszkę po szyi i delikatnie poklepał. - Jest łagodna, jak rzadko która. Prawdziwy z niej pieszczoł, prawda, kochana?
- mówił do klaczki cichym głosem.

Cassiopeia mrugnęła oczyma i kiwnęła głową, jakby zgadzając się z nim.

Paru chłopców stajennych przerwało poranne zajęcia, żeby popatrzeć, co się dzieje. Eliza udała, że ich nie widzi, ale ulżyło jej, gdy ostry wzrok głównego koniuszego przywołał ich do porządku.

Kit przymocował linkę lonży do wędzidła konia.

- Zrobimy kilka okrążeń wokół dziedzińca, żebyś się pewnie poczuła.

Siedziała wyprężona jak struna i czekała, aż Kit skończy przygotowania.

Dotknął jej łokcia.

- Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Mówiłaś, że umiesz jeździć konno?

- Uczyłam się, ale dawno temu. Co będzie, jeśli zapomniałam?

- Takich rzeczy się nie zapomina. Po kilku okrążeniach wszystko ci się przypomni.

I miał rację. Siodło pod nią, płynne ruchy zwierzęcia, stukot kopyt o bruk dziedzińca, nieznaczny ciężar wodzy w dłoni - wszystko to okazało się znajome. Kiedy Kit zatrzymał Cassiopeię, czuła się już pewnie na jej grzbiecie.

Odczepił lonżę.

- Spróbuj teraz sama. Przejeźdź się parę razy w kółko, stępa, tak jak przedtem. Wodze trzymaj luźno i nie naciskaj za bardzo kolanem. Cassie to grzeczna dziewczynka, nie trzeba jej mocno prowadzić.

Wystarczyła delikatna zachęta i klacz znowu ruszyła po okręgu. Eliza objechała plac trzy razy i się zatrzymała.

- To było naprawdę przyjemne - powiedziała z uśmiechem.

- Miło mi to słyszeć. Świetnie ci idzie, Elizo. Chyba mogę zaproponować przejażdżkę do parku. Jest jeszcze tak wcześnie, że nikogo tam nie będzie.

Bezwiednie podkurczyła ręce, aż Cassiopeia cofnęła się o krok. Poluzowała więc nieco lejce i zatrzymała zwierzę.

- No nie wiem, Kit. Jesteś pewien?

- Ależ oczywiście. Poczekaj tu, pójdę po mojego konia.

Dwadzieścia minut później wjeżdżali do pobliskiego Hyde Parku. Kruczoczarny wąłach Kita, Mars, stapał powoli obok klaczy Elizy. Jak przewidział Kit, park świecił pustkami, bo większość członków londyńskiej socjety nie wystawiała nosa z domu o tak wczesnej porze. Tylko jakiś uliczny sprzedawca przebiegł obok ze spuszczoną głową, niosąc małą beczułkę atramentu i pudełko stalówek.

Na nagich, bezlistnych drzewach ptaki podskakiwały i prze-fruwały z gałęzi na gałąź, wyśpiewując skrzydlatą radość z nastania nowego dnia. Rześka bryza uderzała w policzki. Eliza była zadowolona, że włożyła ciepłą suknię i rękawiczki. Mroźna pogoda nie przeszkadzała jej jednak, zanadto skupiła się na nowej przyjemności.

Kit skierował się w stronę sadzawki Serpentine. Po gładkiej tafli jeziora, pomiędzy gromadami kaczek i gęsi, płynęły majestatycznie dwa białe łabędzie.

- Jak miło. - Wystawiła twarz do słońca. - Cieszę się, że dałam się namówić na tę przejażdżkę, chociaż dziwi mnie, że się na to zdobyłeś tak wcześnie.

Kit udał ciężko obrażonego.

- Nie jestem aż takim niepoprawnym leniem, za jakiego mnie masz. Zdziwiłabyś się, jak często jestem na nogach o wschodzie słońca.

- Chcesz raczej powiedzieć, że oglądasz go, wracając do domu po nocnych hulankach?

- No, no, panienczko. Radzę uważać na język, jeszcze ci się zanadto wyostrzy.

Psotny uśmiech Elizy stał się jeszcze szerszy, a Kit ochoczo go odwzajemnił.

- Właściwie ranek to jedyna pora, kiedy można swobodnie poruszać się po parku. - Wrócił do poprzedniego tematu. - Nawet teraz, mimo że sezon jeszcze się nie zaczął, po południu robi się tu tak tłoczno, że nie da się jechać szybciej niż stępa. Poza tym nie wydaje mi się, żebyś miała ochotę zatrzymywać się co parę kroków na pogawędkę, a tak by na pewno było, gdybyśmy przyjechali tu później.

Wstrząsnęła się na tę myśl.

- Zdecydowanie nie. Dziękuję, że o tym pomyślałaś. Chociaż jestem pewna, że i tak planowałaś zabrać mnie dziś do parku.

- Uznałem, że jeśli tylko nie spadniesz z Cassiopei na dziedzińcu przy stajni, to owszem, spróbuję wyciągnąć cię trochę dalej. A może pokłusujemy?

Kit spojrział na nią z zachętą w oczach, ale Eliza czuła w piersi nerwowe napięcie, jakby garść rozgrzanych kamyków. Odetchnęła głęboko, odsunęła od siebie obawę i skinęła głową. Po kilku krótkich, konkretnych objaśnieniach Kit zachęcił jej posłuszną klaczkę do kłusu, który, jak później ocenił, był „całkiem niezły, jak na początkująca”.

Eliza dopiero zaczęła się przyzwyczajać do szybszego biegu konia, gdy Kit zaproponował jeszcze szybsze tempo.

- Śmiało, Elizo - zachęcał z uśmiechem.

Kit kierował Marsem bez najmniejszego wysiłku, ale podniecenie zwierzęcia było wręcz namacalne. Koń wyraźnie miał chęć rozprostować nogi i porządnie się przebiec. Cassiopei uszy stanęły, gdy zwierzyła niecierpliwość towarzysza. Eliza była pewna, że gdy tylko Kit popuści wodze Marsowi, jej klacz pogalopuje razem z wałachem.

Powrócił niepokój.

- A jeśli spadnę? - Starła się powstrzymać drżenie głosu.

- Nie spadniesz. Dobrze siedzisz na siodle, złap tylko równowagę i zdaj się na konia.

Czuła, że jeśli odmówi, Kit nie będzie jej łązał. Ale choć kusiło ją, żeby powiedzieć „nie”, wiedziała, że to tchórzostwo. Całe swoje życie spędziła, bojąc się tej czy innej rzeczy. Zamykając się w sobie, tak żeby nikt i nic już nie mogło jej skrzywdzić.

Ta myśl przeważyła szalę. Eliza zdecydowanie uniosła podbródek.

- No dobrze. Spróbujmy pogalopować.

Szeroki uśmiech ozdobił twarz Kita. Krzyknął radośnie, podobny bardziej do małego chłopca niż do poważnego dżentelmena. Lekko szarpnął lejce i Mars ruszył jak *strzała do przodu*, gniotąc kopytami parkową trawę. Elizie serce podeszło do gardła, kiedy gniada klacz puściła się za towarzyszem, chcąc dotrzymać mu kroku.

Usiłowała nie patrzeć pod nogi, bo ziemia przemykała w dole zdecydowanie zbyt prędko jak na jej gust. A przecież to był tylko galop. Oszołomiła ją myśl, jak szybki musi być cwał. W każdym razie starała się utrzymać równowagę i resztę pozostawiała wierzchowcowi, dokładnie tak, jak poradził jej Kit.

Im dłużej jechali, tym pewniej czuła się w siodle. Wiatr uderzał o jej policzki i szarpał włosy.

Roześmiała się i obróciła głowę, żeby spojrzeć na Kita.

- Dobrze się bawisz? - zawołał.

- Tak!

- Odważysz się na cwał? - rzucił jej wyzwanie.

Znowu wybuchnęła śmiechem

- Nie, nie. Taka prędkość w zupełności mi wystarczy.

Nie nalegał, więc pozostali przy galopie. Jechali obok siebie po ścieżkach dla koni, płosząc ptaki i, od czasu do czasu, strasząc jakąś wiewiórkę, która zamierała w pół drogi po pnium.

Kit przynaglił swojego wierzchowca do odrobinę szybszej jazdy, jak gdyby sprawdzając Elizę. Zwiększyła więc tempo, dotrzymując mu kroku.

Nagle gwałtowny podmuch wiatru zerwał jej kapelusik z głowy i rzucił go w zarośla. Kit ściągnął wodze. Ona zrobiła to samo, ale Cassiopeia już szła stępą, biorąc przykład z drugiego konia.

Mocno trzymając lejce, powstrzymała gniadą klaczkę, która chciała podążyć za Marsem, kiedy Kit zawrócił konia i pokłusował po jej kapelusz. Wrócił niemal natychmiast, otrzepując z kurzu końcówkę strusiego pióra.

- Panno Hammond, oto pani zbłąkane nakrycie głowy. - Dwornym gestem podał jej kapelusz.

- Wielkie dzięki, milordzie - odpowiedziała uprzejmie. Dotknęła włosów. - Chyba zgubiłam spinkę.

- W takim razie musimy wracać spacerkiem, inaczej znowu zgubisz kapelusz.

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

- To niewybaczalne, że nie miałaś dotąd okazji jeździć konno - odezwał się wreszcie Kit. - Świetnie trzymasz się w siodle. Założę się, że do jesieni byłabyś gotowa wziąć udział w polowaniu.

- O nie, tylko nie polowanie. Nie poradziłabym sobie ze skokami. Zresztą, zawsze mi żal biednego lisa. Na pewno cały czas trzymałabym kciuki, żeby udało mu się uciec.

- Czyżby? To by się raczej nie spodobało głównemu łowczemu. - Wtem nachylił się ku niej i uśmiech znikł z jego twarzy.

- Prawdę mówiąc, mnie też żal tych nieszczęsnych stworzeń. Ludzie uważają je za szkodniki, ale przecież one tylko walczą o przetrwanie. Dla takiego lisa czyjeś jajka i kury to po prostu sposób na obiad. Człowiek też by tak postąpił, z tą tylko różnicą, że lis nie ma gotówki, żeby zapłacić za posiłek.

Elizie zrobiło się ciepło, ale bynajmniej nie z powodu niedawnego wysiłku. Trudno jej było przypomnieć sobie kogokolwiek innego, kto by okazał odrobinę współczucia istotom, które nie chodziły na dwóch nogach.

- Aczkolwiek - mruknął Kit, zamyślony. - Rozumiem też rolnika, dla którego te jaja i kury to jedyny środek utrzymania rodziny. Gdyby w naszym kraju nie było tyle biedy, może więcej ludzi współczułoby lisom.

- Oby nasi politycy umieli to dostrzec.

Kit roześmiał się cynicznie.

- To, w rzeczy samej, byłby cud prawdziwy. To naprawdę żałosne. Większość z nich jest zbyt zajęta pilnowaniem własnych interesów, żeby zatroszczyć się o ludzi, których podobno mają reprezentować.

- Więc może powinienes to zmienić.

Spojrzał na nią, rozbawiony i zaskoczony.

- I jak, twoim zdaniem, miałbym to osiągnąć?

- Mógłbyś wystartować w wyborach do parlamentu. Byłbyś świetnym posłem.

- Ja? Posłem? - Wybuchnął szczerym, głośnym śmiechem.

- Słowo daję, nie miałem pojęcia, wróbelku, że z ciebie taka dowcipnisia.

- Ale ja mówiłam serio. - Eliza zmarszczyła brwi.

Kit zachichotał znowu i, patrząc Elizie w oczy, usiłował zachować poważny wyraz twarzy.

- Tak, teraz widzę. Cóż, dziękuję ci za wotum zaufania, ale myślę, że kwestie tak doniosłe jak polityka pozostawię tym, którzy lubią się mieszać w nie swoje sprawy.

- Ale dlaczego? - Eliza mówiła z prawdziwym entuzjazmem.

- Przecież interesuje cię to, co się dzieje w kraju, chociaż przed innymi udajesz pustego lekkoducha.

Kit momentalnie otrząsnął się z rozbawienia.

- Skąd wiesz, że naprawdę nie jestem lekkoduchem?

Ścisnęła mocniej wodze.

- Nie wiem. Ale... no cóż, wydaje mi się czasem, że nie do końca jesteś zadowolony ze swojego życia. Oczywiście, może się myłę.

Umilkł na długą chwilę.

- Nie, nie mylisz się. Co nie znaczy, że jestem z niego całkiem niezadowolony - dodał pośpiesznie. - Odpowiada mi mój styl życia i rozrywki, którym się oddaję. Naprawdę jestem prawdziwym szczęściarzem, mam przywileje i płynące z nich przyjemności. A jednak tak, jak mówisz, czasami...

- Tak? Czasami...?

Kit zapatrzył się na nią i na czystą, niewinną szarość jej oczu. Zaczął się zastanawiać, dlaczego mówi jej o takich rzeczach. Z nikim o tym nie rozmawiał, ani z przyjaciółmi, ani z rodziną. Ba! Starał się nawet o tym nie myśleć.

- Czasami mnie to nuży. - Nie zamierzał wcale wypowiadać tych słów, ale jednak to zrobił.

- Chcesz więcej od życia.

- Chyba tak. Chociaż czego właściwie mógłbym chcieć? Jako młodszy syn księcia mam dość ograniczone możliwości. - Zobaczył, że Eliza otwiera usta i instynktownie odgadł, co zamierza powiedzieć. - Nie, nie zamierzam ubiegać się o miejsce w parlamencie. Uwierz mi, ja i polityka nie pasujemy do siebie.

Zmieniła pozycję w siodle, po czym przygryzła lekko dolną wargę, namyślając się.

- A dyplomacja? Słyszałam, jak opowiadasz o swoich podróżach. Nie zaprzeczysz, że to było coś, co ci się podobało.

- Owszem, ale nie bardzo wiem, czy żyłka włóczęgowska to wystarczająca kwalifikacja do zrobienia kariery w dyplomacji.

- Oczywiście, że tak. Masz dociekliwy umysł, jesteś otwarty na nowych ludzi i nowe miejsca. Poza tym posiadasz naturalną umiejętność zjednywania sobie wszystkich, których spotykasz. Jestem pewna, że te umiejętności bardzo by ci się przydały. Może nawet w końcu zostałbyś ambasadorem.

- A więc już mnie widzisz w roli ambasadora? - Kit uśmiechnął się półgębkiem. - Marzycielka z ciebie. Wyobrażasz sobie, że jego królewska mość powierza właśnie mnie odpowiedzialność za negocjowanie znaczących traktatów i lukratywnych umów handlowych?

Roześmiał się, myśląc, że i ona okaże rozbawienie. Jednak Eliza była wciąż poważna.

- Naturalnie. Właściwie uważam, że gdybyś naprawdę się przyłożył, mógłbyś osiągnąć, co tylko sobie zamarysz.

Kit usiłował zebrać myśli, kiedy jechali w stronę bramy parkowej. Eliza zaskoczyła go, dostrzegając w nim zdolności i ambicje,

których inni nie widzieli. Nie, żeby jego przyjaciele sądzili, że jest do niczego. Raczej po prostu uważali, że jest przeciętny. Ani lepszy, ani gorszy niż wielu jego rówieśników.

Skrzywił się. Może Eliza ma rację? Może powinien poszukać sobie w życiu celów bardziej wzniosłych niż ustalenie, czy na śniadanie ma zjeść cynaderki, czy śledzia, albo w której marynarce pokazać się na wyścigach.

Psiakrew, wyglądał na próżniaka. Pustogłowego głupca. Czy takim właśnie widzi go Eliza? Czy uzna go za nie-wartego uwagi? Nie dość orientującego się w naukach i polityce, jak na jej gust?

Zacisnął szczęki, nagle dziwnie podenerwowany, gdy jechali w stronę stajni Raeburn House. Czy mimo tego, że jest jej mentorem, że poucza ją, jak odnieść powodzenie wśród członków towarzyskiej elity, ona ma o nim tak marne zdanie? Może widzi w nim tylko darmozjada, zbyt zajętego swoimi egoistycznymi zachciankami, żeby warto było mu poświęcać uwagę?

Nie lubi łaciny. I co z tego? Czy jest przez to mniej wartościowym człowiekiem? Co w tym złego, że woli spędzić dzień na targach koni niż siedzieć w domu i czytać książki?

Nie, żeby miał Elizie za złe jej miłość do książek i starożytnych języków. Jej akademickie ciągoty nie drażniły go, choć wielu mężczyzn nie tolerowało u kobiet takich zainteresowań.

A ona? Czyżby miała mu za złe jego styl życia? Czy miałaby o nim lepsze zdanie, gdyby nie ulegał tak łatwo zachciankom i namiętnościom? I, co ważniejsze, dlaczego nagle tak mu zależało na jej opinii?

Ramię w ramię wjechali na dziedziniec stajenny. Podkowy zadźwięczały o bruk, w powietrzu czuło się zapach słomy, siana i nawozu. W momencie, gdy Kit zsiadał z wierzchowca, z jednego z zabudowań wyszedł chłopiec stajenny. Odprowadził konia na bok, żeby go napić i nakarmić. Kit podszedł, chcąc pomóc Elizie zsiąść z klaczy.

Spojrzała na niego, zatroskana.

- Kit, czy coś się stało? Tak nagle zamilkłeś. Czyja... czy powiedziałaś coś złego?

Sięgnął obiema rękami w górę i schwycił ją wpół, żeby postawić na ziemi. Ledwo poczuł jej ciężar, była lekka jak piórko. Zsunął ją nieco w dół i przytrzymał, z nogami wciąż wiszącymi w powietrzu, gdy ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

Napotkał jej szczere, otwarte spojrzenie i zyskał pewność co do jednego - naprawdę był głupcem. Eliza była wciąż tą samą łagodną i cichą dziewczyną, uczciwą i prostolinijną, i stanowczo zbyt niewinną. Cokolwiek powiedziała mu dzisiaj, wypływało z dobrych chęci. Widział to dobrze, nie musiał szukać dowodów.

Więc uważała, że mógłby zostać ambasadorem? Ten pomysł był tak absurdalny, że aż śmieszny.

- Nie, po prostu trochę sobie rozmyślałem. Bardzo niewiele - zażartowałem, stawiając ją powoli na ziemi. - Wszystko w porządku, naprawdę.

Twarz jej rozjaśnił uśmiech i Kit przez moment pomyślał, że nigdy w życiu nie widział nic tak ślicznego i pociągającego. Nagle zapragnął przygarnąć ją bliżej.

Koniuszy podszedł, żeby przejąć wodze Cassiopei. Kit gwałtownie cofnął ręce, którymi wciąż obejmował Elizę w talii i odstąpił krok do tyłu.

- Co ty na to, żebyśmy poszli się przebrać i zjedli razem śniadanie? Ja, w każdym razie, jestem głodny jak wilk.

Eliza zaśmiała się cicho.

- Pewnie, że jesteś. Ale po naszej przejażdżce, milordzie, ja również.

8

Którą suknię mam uprasować na wieczór, proszę panienki?

Eliza odłożyła książkę, którą właśnie czytała i spojrzała przez pokój na Lucy. Stojąc przed olbrzymią szafą z orzechowego drewna,

której drzwi były otwarte na oścież, pokojówka podnosiła do góry dwie suknie, obie równie ładne.

Eliza przyjrzała się sukienkom, marszcząc czoło.

- Nie mam pojęcia. A ty, jak myślisz, Lucy?

- Hm... Ja to bym włożyła tę w różyczki. Ale znowu ta zielona jest taka elegancka, na pewno by zrobiła wrażenie. A z kolei ta w różyczki jest prześliczna i doda panience więcej koloru. Okropnie trudny wybór, prawda, proszę panienci?

Eliza posłała dziewczynie rozbawione, choć lekko poirytowane spojrzenie.

- Lucy, jesteś jeszcze gorsza ode mnie, a to żaden komplement, uwierz mi.

Przyglądając się obu sukniom, Eliza znowu popadła w niezdecydowanie.

Na litość boską, po prostu wybierz jedną, złażała się w myślach. Co to za różnica? Zwłaszcza że większość towarzystwa, które zjawi się tego wieczoru w Raeburn House, to rodzina. Większość, ale nie wszyscy. I to ją tak niepokoiło.

Dziś wieczór, na przyjęciu z okazji urodzin Violet i Jeanette, Eliza z konieczności będzie musiała prowadzić uprzejmą konwersację z gośćmi.

Nie wiedziała, czy jest na to gotowa, mimo niedawnych lekcji. Co będzie, jeśli nagle zapomni wszystkiego, czego ją nauczył Kit? Jeśli coś popłacze i z nerwów powróci do dawnego nawyku dukaania pojedynczych wyrazów, przerywanych długimi, kłopotliwymi chwilami milczenia? Gdyby nie powiodło jej się dzisiaj, nie tylko ona by się ośmieszyła. Porażkę odniósłby przede wszystkim Kit, jej mentor. A do tego nie mogła dopuścić.

Przez ostatnie trzy tygodnie Kit codziennie spędzał z nią dosłownie całe godziny, żeby wyszkolić ją w sztuce prowadzenia rozmów, tych kurtuazyjnych i tych na bardziej urozmaicone tematy. Kontynuowali też naukę jazdy konnej.

Niemal każdy dzień zaczynali od przejażdżki, wybierając się do parku wcześniej rano, żeby Mars i Cassiopeia mogły rozprostować

nogi, podczas gdy Eliza doskonaliła swoje umiejętności jeździeckie. Po odbyciu pierwszej lekcji odkryła, że Kit jest znacznie bardziej wymagającym instruktorem, niż mogłaby się spodziewać. Bez litości kazał jej wielokrotnie ćwiczyć różne sposoby jazdy i ciągle przypominał, żeby siedziała prosto i nie garbiła się w siodle. Lejce musiała trzymać lekko i równo, żeby wędzidło nie zraniło delikatnych warg konia.

Po przejażdżce wracali na śniadanie. Resztę przedpołudnia poświęcili na towarzyską edukację Elizy. Mimo upływu czasu, każdą z tych lekcji nadal zaczynała z dławiającą kulą w gardle.

Początkowo wydawało jej się, że wszystkie ich wysiłki idą na marne, bo często w trakcie rozmów na niby milkła, gdy Kit zachęcał ją do mówienia. Ale on nie dawał się zrazić. Zachowywał pogodny nastrój i nie pozwalał jej się zniechęcać, pouczał, że powinna mieć więcej wiary w siebie i doradzał, co zrobić, żeby język, który dotąd był jej wrogiem, stał się przyjacielem i sojusznikiem.

Po tygodniu zaprosił na kilka lekcji Jeanette i Violet, po to, by Eliza poćwiczyła też rozmowy z damami, nie tylko z dżentelmenami. Pogawędka z Violet nie była męcząca, ale co do Jeanette - Eliza wciąż drżała na samo wspomnienie. A jednak, mimo niepobłażliwych spojrzeń, Jeanette okazała się zaskakująco miła i ani razu nie wyśmiała pomyłek Elizy, tylko cierpliwie radziła jej zacząć od nowa. Podczas ostatniej lekcji Eliza tak dalece się rozluźniła, że zapomniała, iż to tylko ćwiczenie i naprawdę zaangażowała się w rozmowę.

Dzisiejsze przyjęcie będzie jej pierwszą prawdziwą próbą. Możliwością, żeby, jak to określił Kit, nie ćwiczyć już na sucho, ale „wejść wreszcie do wody”. Gdybyż tylko potrafiła się zdecydować co do sukni!

- Zielona - odezwała się do pokojówki. - Albo nie, w różyczki. Nie, zdecydowanie zielona. Tak, zielona. I schowaj szybko tę drugą, zanim znowu zmienię zdanie.

Lucy dygnęła z uśmiechem.

- Tak, proszę pani. Będę prasować w pokojach dla służby, gdyby panienka czegoś potrzebowała. I już prawie pierwsza. Prosiła

panienka, żeby przypomnieć, bo nie chciała się panienka spóźnić na lunch z księżną panią i jej siostrą.

- Och, rzeczywiście. Dziękuję ci, Lucy, rzeczywiście czas mi jakoś szybko upłynął.

Zaznaczyła stronę w książce i podeszła do umywalni, a służąca odwiesiła niepotrzebną suknię do szafy. Eliza nalała letniej wody do porcelanowej miednicy w kwiaty obmyła ręce i wytarła je w miękkie ręcznik, po czym się odwróciła, by spytać Lucy, jak wygląda jej fryzura.

- Prześlicznie, proszę panienki - zadeklarowała Lucy. - Ten pan Greenleaf to jednak umie strzyc i farbować. Chociaż to tyran, jakich mało, ale za to geniusz, więc chyba musimy pogodzić się z tym, że zadziera nosa.

- Oj, lubi pomiatać innymi. - Eliza nie mogła się z nią nie zgodzić.

Pokojówka wybiegła chwilę później z zieloną suknią Elizy na ramieniu. Eliza wyszła za nią, ale skierowała się w przeciwną stronę, do jadalni dla domowników.

Jeanette przerwała rozmowę z siostrą, gdy Eliza weszła do pomieszczenia. Krytyczny wzrok hrabiny przesunął się po muślinowej sukni dziennej w brązowe pasy, pantofelkach i wstążce w kolorze sukienki, którą miała we włosach. Oczy Jeanette rozjaśniły się zadowoleniem.

- Och, w tej sukience jesteś po prostu urocza. Wiedziałam, że tak będzie, jak tylko zobaczyłam ten materiał u sukiennika. I te bufiaste rękawki, cudowne są, prawda? To najnowsza moda, no, wiesz, *tres de rigueur*.

- Ogromnie jestem zadowolona z mojej nowej garderoby.

- Powinnaś być, i nie ma za co, moja droga. Zakupy to dla mnie istna rozkosz, o czym Darragh może z bólem serca zaświadczyć. Nie dalej jak dziś rano narzekał, że za dużo wydałam u szewca. Zapytałam go, czy wobec tego wolałby, żebym chodziła boso, a on na to, że nic a nic by mu to nie przeszkadzało, wyobrażacie sobie? Zaraz jutro pójdę kupić następne sześć par, żeby mu dać nauczkę.

Dama potrzebuje nowych butów i żaden mężczyzna nigdy tego nie zrozumie. A zresztą, ten drań sam sobie kupił trzy pary butów i jeszcze ma czelność narzekać na mnie! Naprawdę, nie wiem dlaczego go tak uwielbiam.

Zakończywszy tę tyradę, Jeanette uśmiechnęła się szeroko do rozbawionych Violet i Elizy.

- Siadamy do jedzenia? Wiem, że niegrzecznie o tym wspominać, ale po prostu umieram z głodu.

- I dobrze, Francois się ucieszy. - Violet zaprosiła je gestem do stołu. - Z okazji naszych urodzin zrobił przekładaniec z wieprzowiny i grzybów w cieście, który tak lubisz, i mój ulubiony deser, *gâteau au chocolat*.

- A skoro mowa o prezentach urodzinowych, mam dla ciebie coś ciekawego, siostrzyczko. - W oczach Jeanette zamigotał psotny błysk. - Ale najpierw zjedzmy.

Spojrzała z ukosa na Elizę.

- A teraz powiedz mi, w której z tych przepięknych sukni wystąpisz dziś wieczorem?

Posiłek upłynął w przyjaznym nastroju. Wszystkie trzy raczyły się w najlepsze przysmakami Francois. Kiedy już zniknął ostatni okruszek pysznego ciasta czekoladowego, Violet poprosiła o podanie herbaty w bawialni dla domowników.

Jeanette, skończywszy swoją filiżankę, poszła po torebkę, po czym zajęła znowu miejsce na sofie. Na jej ustach igrał tajemniczy uśmieszek, kiedy otworzyła jedwabną torbę i wyjęła z niej niewielki, prostokątny przedmiot opakowany w papier w kwiatuszki i przewiązany jasnorożową wstążką.

- Mam inny prezent na wieczór - wyjaśniła. - Ale uznałam, że ten lepiej dać ci w skromniejszym gronie, no, wiesz, kobiecym.

Eliza obserwowała, jak Violet wyciąga rękę po podarunek.

- Och, dziękuję ci bardzo. Ja też mam dla ciebie kilka prezentów, może zaraz pójdę...

Jeanette machnęła ręką.

- Nie, nie. Wolę je dostać wieczorem. Ale teraz otwórz ten.

Pochylając głowę, Violet zsunęła wstążkę i zdjęła opakowanie. Spod papieru wyłoniła się podniszczona okładka cienkiej książeczki oprawionej w gładką zieloną skórę.

- O! Książka. Jak miło. To poezja?

Jeanette uśmiechnęła się figlarnie, pochylając do przodu z ledwo skrywanym entuzjazmem.

- Coś w tym rodzaju.

Violet otworzyła książkę na pierwszej stronie.

- *Pozycje Albanina*. Co za oryginalny tytuł - zdziwiła się głośno.

Przewróciła kilka kartek, wtem zamarła, a turkusowe oczy niemal wyszły jej na wierzch.

- Och! - Violet zamknęła książkę z głośnym trzaskiem, a na policzkach wykwitły jej szkarłatne rumieńce.

Zadowolona, że udało jej się zaskoczyć siostrę, Jeanette zachichotała radośnie.

- Na miłość boską, skąd to wzięłaś? - Violet zniżyła głos do syczącego szeptu.

Eliza spoglądała na bliźniaczki, zachodząc w głowę, co takiego mogło być w tej książce. Cokolwiek to było, musiało być mocno skandaliczne, skoro Violet była tak zbulwersowana.

- Znalazłam ten klejnocik dekadencji w starym kufrze Darragha, w naszym domu w Irlandii - poinformowała siostrę Jeanette. - Trafiłam na niego zupełnym przypadkiem parę miesięcy temu, kiedy zarządzałam sprzątanie strychów w zamku. Pokazałam tę książkę Darraghowi, a on powiedział, że dostał ją w prezencie od jakiegoś kolegi podczas jednej ze swoich podróży do Włoch. Chyba po prostu włożył ją do kufra po powrocie i potem zupełnie o niej zapomniał. - Oparła ręce na kolanach. - Ale ja, zawsze skora do przygód, namówiłam go, żebyśmy wypróbowali co ciekawsze ilustracje. Jest jedna taka, mniej więcej w połowie, nad którą naprawdę warto się pomęczyć, choć wydaje się mało prawdopodobna. - Uniosła delikatne łuki brwi i zachichotała na koniec tej przemowy.

Violet otworzyła szeroko usta.

- No wiesz! Jesteś niemożliwa. - Przerwała, rzucając Elizie przepraszające spojrzenie. - Naprawdę, nie powinniśmy rozmawiać o takich rzeczach.

- Dlaczego nie? Boisz się o uczucia Elizy? No cóż, jeśli poważnie myśli o wyjściu za mąż, to chyba przyda jej się odpowiednia edukacja, nie sądzisz?

- Na pewno nie pokażę jej tej książki!

- Nie kazałam ci tego robić, ale nie wydaje mi się, żeby słuchanie naszej rozmowy mogło ją zdeprawować. - Jeanette spojrzała uważnie na Elizę. - Co na to powiesz, Elizo? Uciekniesz jak wstydliva panienka, czy zostaniesz i posłuchasz, o czym mówimy?

Wyobraźnia Elizy odmówiła posłuszeństwa, a ona sama siedziała bez słowa, czekając na kolejny akt tego nader interesującego przedstawienia. Umierała z ciekawości, co też mogła zawierać ta książka?

- A, widzisz - stwierdziła Jeanette. - Wcale nie ma ochoty wyjść.

- Masz, weź to z powrotem. - Violet popchnęła książkę w stronę siostry. - Wiem, że chciałaś dobrze, ale nie mogę tego zatrzymać.

- Ależ to dla ciebie. Oryginał leży u mnie w domu. A to jest kopia, którą wyszperał dla mnie pewien bardzo dyskretny księgarz tu, w Londynie. Pomyślałam sobie, że to będzie wspaniały prezent, który sprawi przyjemność i tobie, i Adrianowi.

Violet zapłoniła się znowu.

- Adrian i ja nie potrzebujemy żadnych książek. Całkiem nieźle radzimy sobie w tych sprawach sami.

Jeanette uśmiechnęła się szeroko, nie przyjmując z powrotem tomiku, który Violet przesuwała w jej stronę.

- Nie wątpię, że świetnie sobie radzicie, ale mała odmiana jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Uznałam po prostu, że moglibyście się trochę zabawić.

- Potrafimy się bawić. I bardzo dobrze nam to idzie, tak więc dziękuję bardzo, ale muszę ci za to podziękować. - Rzuciła książkę na kolana Jeanette. - Daj to swojej przyjaciółce, Christabel.

O właśnie, to jest osoba, która wygląda, jakby potrzebowała porad, co robić w sypialni.

Jeanette chwyciła małą książeczkę i na nowo wybuchnęła śmiechem.

- Och, Violet, muszę przyznać, że języczek ci się wyostrzył. To pewnie na skutek tego, że tak długo musiałaś mnie udawać. Proszę, nalegam, żebyś wzięła tę książkę. Wypróbuj chociaż jedną pozycję. Jeśli ci się nie spodoba, obiecuję, że zabiorę ją z powrotem i już nigdy nie wspomnę o niej ani słóweczkiem.

Violet pokręciła głową i wstała z kanapy.

- Adrian i ja jesteśmy ze sobą szczęśliwi, a nasze życie intymne jest... no, cóż, intymne. Lepiej już idź do siebie, bo przecież musisz się przygotować na dzisiejsze przyjęcie. Do zobaczenia wieczorem.

Jeanette również wstała i już otworzyła usta, żeby podjąć dyskusję, lecz westchnęła tylko, zrezygnowana.

- Dobrze, ale powiedz mi, jeśli zmienisz zdanie. To znaczy, co do książki.

- Nie zmienię, ale jeszcze raz dziękuję za... pamięć. - Violet przeszła przez pokój w stronę drzwi na korytarz.

Eliza wstała, żeby podążyć za przyjaciółką. W drzwiach odwróciła się jeszcze i zobaczyła, jak Jeanette podbiega do damskiego sekretarzyka, stojącego pod przeciwległą ścianą. Violet używała tego biureczka od czasu do czasu. Wysunąwszy wierzchnią szufladę, Jeanette włożyła książkę do środka i odwróciła się z konspiracyjną miną.

- Ćś. - Przyłożyła palec do ust. - Niech sama ją znajdzie. Jestem pewna, że jej się spodoba. - Podeszła do Elizy i ujęła ją pod ramię. - Chodźmy już, bo zacznie się zastanawiać, dlaczego tak długo nas nie ma.

Eliza raz jeszcze spojrzała ciekawie w kierunku sekretarzyka, po czym obie damy opuściły bawialnię.

W salonie muzycznym panowała przyjazna atmosfera, a zgromadzeni goście z miłymi uśmiechami patrzyli, jak Jeanette i Violet

odpakowują prezenty urodzinowe. Siedząc jedna obok drugiej na obitej adamaszkim sofie, tworzyły piękny obrazek, uznała Eliza. Uroczyste jasne główki pochylały się nisko w skupieniu, kiedy obie otwierały podarunek za podarunkiem.

Jeanette - zdecydowanie bardziej niecierpliwa- z upodobaniem zdzierała papier i wstażki, rzucając je na podłogę, gdzie popadło. Violet nie tak gwałtownie podeszła do rzeczy, odwijala papiery starannie, ale góra opakowań u jej stóp rosła równie szybko.

Ze swojego miejsca na sofie Eliza z przyjemnością obserwowała radośnie rozpromienione bliźniaczki, popijając poobiednią ratafię z wąskiego kieliszka. Jeanette właśnie zapiszczała jak mała dziewczynka, otworzywszy prezent od Darragha. Skoczyła na równe nogi i rzuciła się mężowi na szyję, całując go z entuzjazmem, po czym odwróciła się, żeby pomógł jej zapiąć na szyi lśniąca rubinową kolie, którą jej podarował. Violet wyglądała na równie zachwyconą prezentem otrzymanym od Adriana. Było to rzadkie wydanie tomu poświęconego historii starożytnej, toteż księżna miała nieomal łzy w oczach.

Ten biały kruk różnił się dalece od książeczki, którą Jeanette sprezentowała siostrze przed kilkoma zaledwie godzinami. Eliza znowu zamyśliła się nad pikantnym dziełkiem, zamkniętym w tej chwili w szufladce sekretarzyka Violet. Zastanawiała się, czy jego treść była istotnie aż tak szokująca, jak wskazywała na to reakcja przyjaciółki. Co zrobi Violet, kiedy znajdzie tę książkę? Natychmiast odeśle ją Jeanette? Czy może jednak postanowi ją zatrzymać, a nawet wypróbować?

Eliza poczuła ciepło na policzkach. Miała tylko nadzieję, że jeśli ktoś na nią spojrzy, pomyśli, że to alkohol tak ją rozgrzał.

Gdy tylko siostry skończyły otwierać prezenty, a służba dyskretnie usunęła z podłogi opakowania, Darragh powstał z miejsca.

- Co powiecie na odrobinę muzyki? - zwrócił się do zebranych. - Moira, co ty na to? Zagrasz nam coś? - Zerknął na młodszą siostrę, której twarz rozjaśniła się w odpowiedzi na jego uśmiech. - Moira zna przepiękny utwór na harfę. Bądź tak miła, siostrzyczko, i zrób nam tę przyjemność.

- Zagraj, prosimy. - Do próśb przyłączyli się jej bracia, Finn i Michael.

Moira, zaledwie szesnastolatka, jeszcze nigdzie nie bywała. Przy lunchu Jeanette zdradziła Elizie i Violet, że dziewczyna jest ogromnie podekscytowana, mogąc uczestniczyć w dzisiejszej uroczystości. W końcu dziewczęta w jej wieku rzadko zapraszano na „dorosłe” przyjęcia. Ale skoro było to spotkanie w rodzinnym kręgu i poza krewnymi i kilkoma zaufanymi przyjaciółmi nie zaproszono innych gości, Jeanette i Darragh nie widzieli przeszkód.

Za to najmłodsza siostra hrabiego, trzynastoletnia Siobhan, była obrażona, że musi zostać w domu. Jednak ani łyzy, ani błagania nie przekonały Jeanette i Darragha, choć przykro im było zostawić dziewczynkę samą.

Moira, ładna i sympatyczna panna o kasztanowych włosach, raz jeszcze uśmiechnęła się ujmująco do braci, po czym wstała i ruszyła w stronę instrumentu.

Ma więcej odwagi niż ja, pomyślała Eliza, zadowolona jednocześnie, że to nie ją poproszono o występ. Choć gra na pianinie sprawiała jej ogromną przyjemność, grała jedynie dla własnej rozrywki. Raz jeden, wiele lat temu, spróbowała zagrać w towarzystwie, dla przyjaciółek ciotki. Skończyło się to wstydem i dla ciotki, i dla siostrzenicy, bo Eliza zamarła nad klawiszami, z których udało jej się wydobyć tylko kilka nieskładnych nut. O ile pamiętała, brzmiało to gorzej niż skrzek małpki katarzyniarza. Wybiegła wtedy w łazach i od tamtej pory przyrzekła sobie, że już nigdy w ten sposób nie wystawi się na publiczne pośmiewisko.

Moira usadowiła się wdzięcznie na stołku, a Eliza poczuła za plecami obecność Kita. Dzieliło ich tylko oparcie sofy.

- Masz ochotę na kropelkę wina? - zapytał, dotykając dłonią jej ramienia.

Pokręciła głową.

- Dziękuję, nie. Chyba i tak już wypięłam troszkę więcej, niż powinienam.

Nachylił się tak, że jego usta znalazły się tuż obok jej ucha.

- Tak przy okazji, świetnie sobie dziś radzisz. Właśnie miałem cię pochwalić.

Rozkoszny dreszcz przebiegł jej po plecach. Jego głos oszałamiał ją, podobnie jak zapach brandy w jego oddechu. Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego, a eteryczne dźwięki harfy ulatywały w powietrzu jak skrzące diamenty.

- Starałam się pamiętać o twoich pouczeniach..

- To widać. Brawo.

Lekko, prawie niezauważalnie ścisnął jej ramię, po czym się wyprostował. Nie odszedł jednak. Wysoka, mocna męska sylwetka wciąż nad nią górowała. Jego obecność była dla niej w równym stopniu niepokojąca, co przyjemna.

Przez cały obiad wyobrażała sobie, że Kit siedzi obok niej, a nie kilka krzeseł dalej. Ale sama musiała przyznać, że ten wieczór nie byłyby żadną próbą, gdyby cały czas był przy jej boku.

Siedziała więc pomiędzy księżną wdową a Michaeliem O'Brienem. Ku własnemu zaskoczeniu, udało jej się prowadzić w miarę zajmującą rozmowę z obojgiem. Teściowa Violet, z pochodzenia Francuzka, niezwykle barwna osobowość, okazała się wyrozumiała i życzliwa, zaś Michael rozbawił ją kilkakrotnie, opowiadając anegdotki z życia wiejskiego weterynarza. Miał śpiewny irlandzki akcent.

Poobiednia część przyjęcia okazała się trudniejsza. Panowie udali się na szklaneczkę brandy, a panie przeszły do bawialni, żeby pogawędzić i wymienić serdeczności, popijając herbatę. Eliza niemal się zakrztusiła, kiedy na krześle na wprost niej usiadła dawna przyjaciółka Jeanette, Christabel Morgan, a obecnie lady Cloverly.

Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że są w równym wieku, mają po dwadzieścia trzy lata. Tymczasem, w porównaniu z Christabel, z jej towarzyskim połosem i wyrafinowaną ogładą, była zaledwie nowicjuszka.

Christabel przyglądała się jej ciemnymi oczami.

- Podobno w tym roku znowu rozgląda się pani za mężem
- wycodziła.

Eliza zdusiła w sobie chęć niespokojnego poruszenia się na krześle, a zamiast tego uniosła lekko podbródek.

- Tak, milady.

Wzrok kobiety omiótła ją z góry na dół.

- No cóż, przynajmniej tym właściwie zabiera się pani do rzeczy. Ta suknia jest nadzwyczaj twarzowa.

Minęła chwila, nim zaskoczona Eliza zdobyła się na odpowiedź. Do tej pory Christabel nie zdarzyło się jeszcze nigdy wypowiedzieć ani jednej pozytywnej uwagi pod jej adresem.

- Wybrała ją dla mnie lady Mulholland.

- Jeanette zawsze miała wyborny gust. Niech się jej pani słucha, a może faktycznie ktoś się panią zainteresuje. Pod warunkiem że daruje sobie pani te swoje książki. Panowie nie przepadają za nazbyt wykształconymi niewiastami.

Tu Eliza ugryzła się w język i przełknęła ripostę, którą miała na końcu języka. Może i nie miała za dużo do powiedzenia, ale w tej sprawie potrafiła bronić swojego zdania. Łatwo byłoby wykazać, że choć o Violet można powiedzieć, że jest niewiastą „nazbyt wykształconą”, jej reputacja na tym nie ucierpiała. Z drugiej strony, Violet jest księżną Raeburn, a ten tytuł otwiera wiele drzwi. Przypomniała sobie jednak poradę Kita - choćby cię sprowokowano, w towarzystwie nie wdawaj się w dyskusję. Poprzestała więc na niezobowiązującym skinieniu głową.

Wkrótce potem panowie dołączyli do dam i wszyscy razem udali się do salonu muzycznego.

W powietrzu unosiły się ostatnie, pełne słodczy dźwięki harfy. Melodia była równie śliczna, jak młoda muzyczka, która z takim wdziękiem ją zagrała, w dodatku niemal bezbłędnie. Gdy przebrzmiały ostatnie tony, rozległy się oklaski, a jasna twarzyczka Moiry uroczo się zarumieniła z zadowolenia.

Kiedy dziewczyna wstała, żeby wrócić na swoje miejsce, Kit nachylił się i cicho odezwał się do Elizy.

- A może teraz ty spróbujesz? To świetna okazja, żeby wszyscy zobaczyli, jaki masz talent.

Jej żołądek ścisnął się gwałtownie z przerażenia.

- O nie, nie dam rady. - Stanowczo pokręciła głową.

- Dlaczego nie? - Kit nalegał dalej cichym głosem. - Jesteś tu wśród przyjaciół. No spróbuj, kiedyś w końcu musisz się przełamać, a teraz masz wspaniałą szansę zagrać dla innych.

- Pani też gra na harfie, Elizo? - Darragh usłyszał kilka ostatnich zdań z ich rozmowy.

- Na pianinie, milordzie, ale obawiam się, że nie za dobrze.

- Nonsens - odezwał się dość głośno Kit. - Słyszałem ją, gra jak anioł. Mamy tu pośród nas istnego wirtuoza klawiatury.

Eliza skuliła się i zamknęła oczy. Jak Kit mógł jej to zrobić? Jak mógł postawić ją w takiej sytuacji, zmusić ją do czegoś, na co, jak na pewno wiedział, nigdy by się dobrowolnie nie zgodziła?

I wtedy zorientowała się, że zrobił to celowo. Zaczął się jak jakiś drapieżny kot, odczekał na właściwy moment, żeby zaatakować, wiedząc, że Eliza raczej ugnie się przed jego żądaniem, niż wystawi ich oboje na pośmiewisko w tak licznym towarzystwie.

Zacisnęła wargi ze złości. Takiego uczucia nigdy przedtem nie przeżywała w odniesieniu do Kita.

Miałaby za swoje, pomyślała, gdyby odmówiła i pozostała na swoim miejscu. Ale jeśli to zrobi, cała jej praca pójdzie na marne, długie godziny lekcji okażą się kpina, a jej plany na przyszłość na zawsze pozostaną mrzonkami. W końcu - jak słusznie powiedział Kit - skoro nie może się zdobyć na to, żeby wystąpić przed ludźmi, którzy w większości są jej przyjaciółmi, to jak da sobie radę przed obcymi, kiedy zacznie się sezon?

Zdając sobie sprawę, że Kit zgrabnie schwytał ją w pułapkę, wstała z miejsca. Modliła się tylko, żeby nogi nie ugięły się pod nią w drodze do pianina.

- Dobrze, zagram. - Zebrała się na odwagę. - Ale nie mówcie, że was nie uprzedzałam.

Kilka osób roześmiało się na tę uwagę. Kit podążył za nią w stronę pianina, ale Eliza nawet na niego nie spojrzała. Usiadła na wyściełanym stołku, a on - stojąc plecami do zebranych - nachylił się ku niej.

- Jesteś zła.

Przewróciła kilka kartek, leżących na pianinie, usiłując powstrzymać drżenie rąk. Była tak zdenerwowana, że ledwo widziała tytuły utworów, nie mówiąc już o samych nutach.

- Wiedziałem, że będziesz się złościć. - Kit mówił tak, by inni nie słyszeli. - Ale nie miałem pojęcia, jak inaczej zmusić cię, żebyś zagrała.

- Chyba raczej, żebym zrobiła z siebie idiotkę - mruknęła oskarżycielsko Eliza.

Pochwycił jej spojrzenie.

- Nie wyjdiesz na idiotkę. Grasz bardzo dobrze. Pamiętaj, co ci mówiłem tyle razy, uwierz w siebie i bądź przekonana, że ci się uda.

- Łatwo ci powiedzieć. To nie ty będziesz grał.

- Zostanę tu z tobą, jeśli chcesz. Mogę ci przewracać strony.

- Ale czego? Nawet nie wiem, jaki utwór zagrać - syknęła w panice Eliza.

- Tylko spokojnie. Zagraj to, *co* grałaś wtedy, kiedy cię usłyszałem. Wydaje mi się, że to był Mozart.

Mozart, jeden z jej ulubionych kompozytorów. Właściwie może zagrać ten utwór, może nawet uda jej się nie pomylić przy trudniejszych pasażach. Ale gdzie te nuty?

Okazało się, że Kit już zdążył znaleźć gęsto zadrukowaną partyturę. Ułożył ją na stojaku i otworzył pierwszą stronę.

- Uda ci się. Będę przy tobie.

Odsunął się nieco na bok, żeby nie zasłaniać Elizy zgromadzonym gościom. Wzięła głęboki oddech i opuściła lodowato zimne palce na klawiaturę.

Drżała. Zagrała może dziesięć pośpiesznych nut i uderzyła w niewłaściwy klawisz, a w powietrzu rozległ się nieprzyjemny zgrzyt. Jak szybko zaczęła grać, tak też przerwała. Łzy zapiekły ją w kącikach oczu, zwiesiła głowę ze wstydem, pragnąc zapaść się pod ziemię.

- Elizo, spójrz na mnie - odezwał się Kit stanowczym tonem.
- Spójrz na mnie.

Powoli, niechętnie, podniosła głowę i nieszczęśliwym wzrokiem popatrzyła mu w oczy.

- Zaczynj jeszcze raz.

Pokręciła głową.

- Uda ci się. Nie myśl o nich i po prostu graj. Graj tak, jakby nikogo innego tu nie było. Udawaj, że jesteście tylko my dwoje. Zagraj dla mnie, Elizo. Zrobisz to? Zagrasz tylko dla mnie?

I nagle, gdy patrzyła w jego piękne, ciepłe i spokojne oczy, poczowała, że jej niepokój znika, a splątane supełki nerwów rozprostowują się, niby pasma jedwabiu na wietrze. Odetchnęła i podniosła ręce nad klawiaturą.

Znowu zaczęła grać.

Tym razem muzyka wypływała z niej rzeką, jakby to sam kompozytor siedział przy pianinie. Gwałtownie, potem powoli i znów żywiej, gładko, precyzyjnie zmieniała tempo i rytm, tak jak wymagał tego utwór. Liryczna i przejmująca, muzyka wznosiła się aż do wielkiego crescendo, słodkiego i namiętnego jak gorąca letnia noc. Eliza się zagubiła w tych poruszających dźwiękach, które napełniły ją niepowstrzymaną radością.

Kit stał obok, przewracając strony, choć ona już nawet nie patrzyła na nuty. Przez tych kilka chwil był dla niej naprawdę jedyną oprócz niej osobą w salonie. Lecz utwór wreszcie się skończył i jej palce uderzyły w ostatni dramatyczny akord.

Ostatnia nuta zanikła i w salonie zaległa cisza. Oszołomiona tym przeżyciem, Eliza wsłuchiwała się w odgłos serca, łomoczącego w jej piersi, zamartwiając się przez moment, że nikomu poza nią ten utwór się nie podobał.

W następnej sekundzie słyszała już tylko brawa. Prawdziwe, szczerze, gorące brawa. Mrugnęła powiekami, zaskoczona tym wybuchem uznania, a potem spojrzała w górę na Kita, który miał w oczach triumf i, jak inni, klaskał z dumą.

- Brawo, panno Hammond! - zawołał Adrian.

- Tak jest! To było doskonałe! - Kilka innych głosów wykrzyknęło za nim. - Znakomicie!

Uśmiechnęła się, niepewna, jak przyjąć tak pochlebne opinie. Tylu pochwał nie dostała przez całe swoje życie.

Kit złapał ją za rękę i pociągnął na nogi, składając na jej dłoni lekki pocałunek.

- Byłaś wspaniała, Elizo. Przeszłaś moje najśmielsze oczekiwania.

Zadrzała pod jego dotykiem i przez chwilę miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Nagle, ku ponownemu zaskoczeniu zebranych, roześmiała się głośno.

9

Dwa dni później Eliza wciąż jeszcze przeżywała swój sukces. Nie mogła uwierzyć, że jej występ wypadł tak dobrze, że udało jej się opanować nerwy i zagrała, jak nigdy dotychczas.

Nawet Jeanette i Christabel były pod wrażeniem jej zdolności i orzekły, że podczas najbliższego sezonu powinna zagrać, gdy tylko nadarzy się okazja.

Eliza miała nadzieję, że jej nowo nabyta pewność siebie nie zniknie równie nagle, jak się pojawiła. Nie wiedziała, czy zdoła zebrać się na odwagę, żeby zagrać przed tłumem obcych ludzi, jeśli Kita nie będzie przy jej boku. Ale udowodnił jej, że potrafi się przełamać, więc będzie musiała spróbować - jeśli nie ze względu na niego, to przynajmniej na siebie samą. Chociaż była zła, że tak podstępnie ją podszedł, to zdobyła owego wieczoru nowe cenne doświadczenie.

Zaledwie kilka dni pozostało do świąt Wielkiejnocy, a zarazem do oficjalnego otwarcia sezonu. Do rezydencji zaczęły napływać zaproszenia. Wiele z nich, ku zdumieniu Elizy, adresowanych było do niej. Co do jej dotychczasowych zalotników i różnej maści łowców posagów, Kit rozpedził wszystkich na cztery wiatry. Obiecał też, że jeśli zjawi się ktoś o podobnych intencjach, to i jego przegoni, gdzie pieprz rośnie.

Jak na kogoś o reputacji lekkoducha, Kit bardzo poważnie traktował swoją rolę obrońcy Elizy. Gdybyż tylko widział w niej kogoś więcej niż przyszywaną siostrę. Gdyby jakimś cudem poczuł do niej coś więcej.

Eliza skarciła się w duchu za nazbyt śmiałe myśli i ruszyła w stronę bawialni dla domowników.

Kilka minut temu razem z Violet siedziała w pokoju dziecięcym i - po kolejnej zabawie w chowanego z bliźniakami - przez parę rozkosznych chwil kołysała na rękach małą Georgiannę. Ale chłopcy udali się na popołudniową drzemkę, a Violet zabrała córeczkę, żeby ją nakarmić.

Nie miała dziś w planie lekcji, a Kit wyszedł gdzieś, zapewne na poszukiwanie rozrywek w towarzystwie znajomych. Eliza postanowiła zająć się korespondencją i odpisać na list swojego prawnika, pana Pimma.

Odziedziczony po ciotce majątek przysporzył jej wielu trosk natury finansowej - inwestycje, lokaty, zarządzanie kilkoma wynajmowanymi nieruchomościami. Zwykle wszystkie te sprawy załatwiał na bieżąco pan Pimm, ale teraz właśnie potrzebował jej pisemnej zgody w kilku kwestiach.

W poszukiwaniu pióra i papieru podeszła do palisandrowego sekretarzyka i otworzyła szufladę. Zamarła, ujrawszy w środku małą zieloną książeczkę.

To ten bezwstydnny tomik, który Jeanette schowała dla Violet w szufladzie. Przyjaciółka najwyraźniej jeszcze nie odkryła nieprzyzwoitego prezentu od siostry, pewnie nie miała pojęcia, że książka wciąż znajduje się pod jej dachem.

Starając się zignorować pokusę, Eliza wyjęła kilka arkuszy papieru kancelaryjnego i pióro, po czym złożyła to wszystko na blacie biurka. Zamierzała zamknąć szufladę, ale zamiast tego zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikogo poza nią nie ma w pokoju.

Była całkiem sama, więc mogła zajrzeć do środka.

Przecież nikt oprócz niej się o tym nie dowie.

Wahała się przez kilka sekund z wyciągniętą ręką, aż w końcu uległa pokusie. Otworzyła książkę na chybił trafił, a kartki rozłożyły się mniej więcej pośrodku, na jakimś fragmencie wiersza. Tekst był po starowłosku, pochodził przypuszczalnie z XV albo XVI wieku. Przeczytała kilka linijek wydrukowanych grubą ozdobną czcionką.

O litości, pomyślała. Czy to jest...? Przeczytała strofkę po raz drugi, niepewna, czy właściwie zrozumiała słowa. Może jej włoski nieco zaśniedział? Przewróciła kartkę i jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Ilustracja wykonana tuszem, starannie narysowana w eleganckim renesansowym stylu, nie pozostawiała wiele wyobraźni. Przedstawiała nagich mężczyznę i kobietę, splecionych w namiętnym uścisku na łożu. Mężczyzna leżał pomiędzy szeroko rozłożonymi nogami kochanki, której łydki opierały się - pomyśleć tylko - o jego ramiona! Silne męskie dłonie ścisnęły obfite piersi kobiety i wyraźnie widać było zgięte kolana mężczyzny, jego potężne nagie uda i naprężone pośladki.

Eliza przechyliła głowę na bok i przyjrzała się ilustracji pod innym kątem. Na miłość boską, to przecież niewygodne! Chyba jednak nie, sądząc po wyrazie najwyższej rozkoszy, wymalowanym na twarzy kobiety.

Elizie nagle zrobiło się gorąco w popołudniowej sukni uszytej z cienkiej wełny. Czuła, że materiał lekko drażni jej skórę. Inny, niepokojący żar rozlał się gdzieś w dole brzucha.

Przewróciła stronę i natrafiła na kolejną ilustrację.

Ta była jeszcze bardziej niezwykła i zaskakująca. Kobieta leżała na boku zjedną nogą uniesioną w górę, a partner kłęczał pomiędzy jej rozchylonymi udami. Jego męskość była doskonale widoczna i właśnie szykował się, żeby...

Przełknęła, bo nagle jakoś zaschło jej w gardle. Owszem, zdawała sobie sprawę, że w anatomii mężczyzn i kobiet są znaczne różnice, oglądała przecież antyczne rzeźby greckie i rzymskie, ale żaden ze starożytnych artystów nigdy nie wyrzeźbił czegoś takiego.

To było wielkie. Olbrzymie, ściślej rzecz biorąc. Członek mężczyzny był mniej więcej rozmiarów młodego kabaczka.

O nieba, pomyślała, jak też mężczyźni mogą chodzić z czymś takim pomiędzy nogami? Jak im się to mieści w spodniach? Przecież coś tak sterczącego natychmiast byłoby widać.

W tym momencie zrozumiała, że ta część ciała na pewno się powiększa, i to znacznie! Wiotkie i niepokaźne, kiedy jest schowane w spodniach, a długie i nabrzmiąte, kiedy... Policzki Elizy zapłonęły żywym ogniem, a przez całe ciało przetoczyła się fala gorąca.

Nagle z holu dobiegł ją czyjś głos i cicha odpowiedź. To Violet rozmawiała z kimś ze służby. O mój Boże! Co będzie, jeśli Violet ją tu przyłapie?

Z bijącym sercem, jak zając uciekający przed myśliwym, Eliza zamknęła książkę, schowała ją na miejsce i zatrzasnęła szufladę, a raczej usiłowała ją zatrzasnąć, bo ta, przeklęta, akurat się zacięła. Ciągnęła, szarpała i pchała, robiąc, co w jej mocy, żeby ją zasunąć. Wreszcie szuflada z hukiem wskoczyła na miejsce, aż zatrzęsło się całe biurko, a kałamarz zachybotał się niebezpiecznie.

Mosiężny korek wypadł, potoczył się po blacie i spadł z głośnym stukiem na podłogę. Eliza pochyliła się, podniosła go z podłogi i jednym ruchem wyszarpnęła spod biureczka stołek z różanego drewna, opadając na niego dosłownie na sekundę przed tym, zanim do bawialni weszła Violet.

- Witaj, Elizo. Robert mówił, że cię tu znajdę. Co robisz? Nadrabiasz zaległości w korespondencji?

Korespondencji? Jakiej znowu korespondencji? Myśli Eliza goniły jak oszalałe, aż wreszcie uświadomiła sobie, że przez tę obsceniczną książeczkę zupełnie zapomniała o liście, który zamierzała napisać.

- Hm... tak. Ale jak na razie niewiele zdziałalam.

Odwróciła się na krześle w stronę przyjaciółki, usiłując zachować swobodną i niedbałą pozę. Miała tylko nadzieję, że Violet nie podejdzie na tyle blisko, żeby zobaczyć, że kartka jest całkiem pusta.

- Georgianna się najadła i natychmiast zasnęła - ciągnęła Violet, wchodząc głębiej do pokoju. - Nawet chłopcy nie marudzili za bardzo, kiedy ich kładłam spać. Pewnie byli zmęczeni po tylu zabawach ze swoją ulubioną cicią. - Uśmiechnęła się ciepło do Elizy. - Pomyślałam sobie, że dotrzymam ci towarzystwa. Pisz dalej i nie przeszkadzaj sobie. Przyniosłam książkę, siądę tu, przy oknie i będzie mi całkiem wygodnie.

Na wzmiankę o książce Elizie mignęły przed oczyma wyuzdane obrazy z *Pozycji Alhanina* i świeży rumieniec zalał jej policzki.

- Dobrze się czujesz? Cała jesteś rozpalona. - Zmartwiona Violet zmarszczyła jasne brwi.

- Wszystko w porządku. Po prostu odrobinę mi za ciepło... idzie wiosna, a ta sukienka... powinnam była włożyć coś lżejszego.

- Może złapałaś jakąś chorobę. Poczekaj, zaraz sprawdzę.

Eliza skoczyła na nogi, ale zanim zdążyła się odsunąć, Violet już wyciągała rękę, żeby sprawdzić jej temperaturę.

- Policzki masz ciepłe, ale czoło chłodne. Tak czy inaczej, poproszę Agnes, żeby zaparzyła ci zioła. Sezon tuż-tuż, lepiej, żebyś się teraz nie rozchorowała.

- Nie jestem chora, nie trzeba mi żadnych ziół. Ale dziękuję za troskę.

- No cóż, skoro tak mówisz...

- Naprawdę nic mi nie jest. Zachowujesz się, jakbyś była moją matką.

Violet spojrzała na Elizę zaskoczona, ale zaraz się roześmiała.

- Zachowuję się jak matka, bo jestem matką. Kiedy będziesz miała dzieci, sama zobaczysz, jak to jest.

- O ile kiedykolwiek będę je miała. - W głosie Elizy zabrzmiała nuta przygnębienia.

- Oczywiście, że będziesz. - Violet objęła ją ramieniem i uściśnieła pokrzepiająco. - Wiem, że poprzednie sezony mogły cię zniechęcić, sama przecież przez to przechodziłam. Ale teraz będzie inaczej. Wspaniale sobie radzisz, Kit zdziałał więcej, niż się spodziewałam. Nawet lady Cloverly pochwaliła twoją grę na fortepianie.

Violet, mówiąc to, zacisnęła wargi i przewróciła oczami, naśladowując wytworne maniery Christabel. Eliza wybuchnęła śmiechem, bo parodia była wyjątkowo udana.

- Jeśli zdobyłaś jej uznanie, to jesteś w stanie podbić serca wszystkich.

Przyjaciółki wymieniły konspiracyjne uśmiechy. Eliza była wdzięczna, że ma kogoś, kto tak dobrze ją rozumie. Może powiedziec Violet o książeczce w szufladzie? Nie musiałyby mówić, że zaglądała do środka, tylko że ją znalazła. Ale wiedziała, że gdy tylko otworzy usta, Violet domyśli się prawdy. Uznała więc, że lepiej o tym nie wspominać. O pewnych rzeczach nie rozmawia się nawet z przyjaciółmi.

- Znowu ten rumieniec - zauważyła Violet. - Na pewno dobrze się czujesz? Agnes chętnie ci zaparzy herbatę. Wiesz, jak lubi nas wszystkich rozpieszczać.

Eliza miała odmówić, ale stwierdziła, że filiżanka herbaty dobrze jej zrobi. Wciąż czuła się lekko wytracona z równowagi.

- No dobrze.

Violet skinęła głową, zadowolona, i poszła zadzwonić na służącą.

Dopiero po jej wyjściu Eliza zauważyła, że wciąż ściska w rękę mosiężną zatyczkę, lepką już teraz od potu. Ukradkiem wytarła dłoń o rękaw i zakorkowała kałamarnicę.

Dwa dni później, po południu, Kit i Eliza jechali powoli wzdłuż parkowej alejki.

- Jeszcze wcześniej, nie ma nawet trzeciej, więc nie powinniśmy spotkać zbyt wielu osób. Tłumy ściagną tu dopiero za jakieś półtorej godziny, więc nie musisz się denerwować.

- Mów za siebie - mruknęła Eliza pod nosem.

- Wszystko słyszałem. - W głosie Kita brzmiało rozbawienie.
- Dasz sobie radę, Elizo. Pamiętaj tylko, co ci mówiłem, zatrzymuj się, gdy zobaczysz kogoś, z kim powinnaś porozmawiać. Wymieniacie uprzejmości, jedno czy dwa pytania i możemy jechać dalej. Pięć minut, nie więcej.

Całe szczęście, pomyślała. Pomimo wielu tygodni starań Kita, nie była pewna, czy jest w stanie podtrzymać rozmowę dłużej niż pięć minut.

Chciała przyjechać do parku rano, jak zwykle, ale poprzedniego wieczora Kit ogłosił, że planuje popołudniową przejażdżkę, żeby Eliza mogła „wypróbować” swoje nowe umiejętności towarzyskie. Wyjaśnił, że jeśli pojedą odpowiednio wcześniej, nie będzie aż tylu ludzi, toteż Eliza będzie mogła zakosztować wrażeń w parku, nie musząc jednocześnie stawiać czoła tłumom.

Tak czy inaczej, w parku zebrało się już mnóstwo osób - powozy, jeźdźcy i spacerujące pod rękę pary przemierzały trawiastą przestrzeń.

Nie było to jej pierwsze wyjście do parku w popołudniowej porze. W poprzednich latach bywała tu czasem z ciotką, ale wtedyjechały zawsze wynajętym powozem. Siedziała bez słowa, cicha i zalekniona, podczas gdy ciotka się zatrzymywała, żeby porozmawiać ze znajomymi. Były to głównie dojrzałe kobiety i starsi mężczyźni, którzy ledwie raczyli kiwnąć Elizie głową na powitanie, rozmawiając wyłącznie z ciotką.

Tak więc dzisiejsza przejażdżka będzie w pewien sposób jej pierwszą wizytą w parku. Bez ciotki i jej powozu, za to po kilku tygodniach lekcji z Kitem, Eliza miała wreszcie okazję, żeby się sprawdzić.

Oby jej się udało.

Aż zeszywniała na samą myśl o ewentualnym niepowodzeniu. Jej wierzchowiec, klacz o imieniu Andromeda, poruszył się pod nią nerwowo, wyczuwając jej niepokój. Eliza wolała swojego dotychczasowego konia, ale łagodna klaczka kilka dni temu dostała kolki. Koniuszy zaaplikował jej kurację i miała się już lepiej, ale mimo to musiała jeszcze przez parę dni pozostać w stajni.

Kit wybrał więc dla niej innego konia, kasztankę o zgrabnym chodzie i spokojnym usposobieniu. Andromeda była młodym zwierzęciem, więc zdarzały jej się czasem wybryki, ale Eliza coraz lepiej radziła sobie w siodle, więc bez kłopotu potrafiła opanować

swawolną klacz, tym bardziej że w zatłoczonym parku można było jechać wyłącznie stępa.

- Zbliża się lady Shipple, lady Eelsworth i lord Turtlesford - mruknął cicho Kit. - Tylko się nie śmieję z nazwisk*. Chociaż, prawdę mówiąc, Turtlesford zawsze mi przypominał żółwia, z tymi swoimi wytrzeszczonymi oczami.

- Jesteś niemożliwy! - wykrzyknęła Eliza ze śmiechem, zatrzymując swojego wierzchowca obok Kita.

- Witam, Turtlesford, drogie panie. Jak samopoczucie w tym pięknym dniu? - Kit rozjaśnił się w uśmiechu. - Znacie, rzecz jasna, pannę Hammond?

Pasażerowie otwartego powoziku zwrócili spojrzenia na Elizę. Trzy pary brwi zmarszczyły się niepewnie, usiłując dopasować nazwisko do twarzy, i nagle trzy pary oczu otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Ależ oczywiście. Panno Hammond, co za miła niespodzianka. Nie wiedziałam, że jest pani w mieście.

Parę sekund temu nawet nie pamiętałaś o moim istnieniu, pomyślała Eliza.

- Owszem - powiedziała głośno. - Tej zimy i wiosny zatrzymałam się u księstwa Raeburn.

- Ach tak. Odkąd pani ciotka odeszła z tego świata. - Lady Eelsworth skłoniła głowę o lekko siwiejących skroniach. - Tak mi przykro. Śmierć kogoś z rodziny jest zawsze bolesna, ale taka już kolej rzeczy. - Przerwała, omiatając Elizę wyniosłym spojrzeniem. - Muszę powiedzieć, że wyjątkowo korzystnie pani wygląda, lepiej niż kiedykolwiek. Śmierć ciotki najwyraźniej pani posłużyła.

Dama uśmiechnęła się chytrze.

Przez długą chwilę Eliza patrzyła na nią bez słowa. Co za wredna wiedźma, pomyślała. Dawna Eliza zmilczałaby, spuszczać oczy i mając nadzieję, że cały incydent pójdzie w zapomnienie. Ale nowa

Gra słów: *eel* (ang.) - węgorz, *turtle* (ang.) - żółw (przyp. tłum.).

Eliza uznała, że zdecydowanie należy odpowiedzieć. Spojrzała prosto w oczy starszej kobiecie.

- To nie jej śmierć mi posłużyła, ale raczej jej pieniądze, czy nie to chciała pani powiedzieć?

Tym razem to lady Eelsworth zaniemówiła.

- Ja tylko...

- To bardzo szlachetnie ze strony mojej ciotki, że zostawiła mi swój majątek- ciągnęła Eliza, niezrażona. -I ma pani rację, milady, pieniądze rzeczywiście bardzo ułatwiły mi życie. Kupiłam za nie na przykład tę suknię. Jak się pani podobają krój i kolor?

Lady Eelsworth oblała się rumieńcem.

- Bardzo twarzowa.

- W rzeczy samej, przeurocza - potwierdził radośnie lord Turtlesford. - Powiedziałbym, że to dobry wydatek.

- Dziękuję, milordzie. - Eliza przyjęła komplement z uśmiechem.

- Słowo daję, tak pani wypiękniała, że ledwo panią poznałem. Jeśli to wszystko dzięki spadkowi, to niechże pani go wydaje bez wahania.

- Tak zrobię, milordzie. - Eliza się roześmiała.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym się pożegnali. Eliza i Kit ruszyli dalej.

- Już chciałem cię bronić przed tą sekutnicą, ale widzę, że nie było potrzeby. - Kit posłał jej szeroki uśmiech. - Przywołałaś ją do porządku po mistrzowsku. Niedługo to ja będę brać u ciebie lekcje.

- O, nie sądź. - Pokręciła głową. -Wciąż jeszcze cała się trzęsę. Nie mogę uwierzyć, że tak się do niej odezwałam.

- Ona pewnie też nie. Niedługo wszyscy się dowiedzą, że nie można cię już ignorować ani lekceważyć. Wróżę ci sezon zupełnie inny od poprzednich, mały wróbelku. - Tu spojrzał przed siebie. - O, znowu ktoś nadjeżdża. Bądź tak dobra i obiecaj, że nie zrobisz im krzywdy.

Ale następna pogawędka obyła się bez starć i potyczek. Ku własnemu zdumieniu, Eliza przy każdym spotkaniu emanowa-

ła wdziękiem i pewnością siebie, stopniowo nabierając śmiałości i opanowania, tak w mowie, jak i w zachowaniu. Wyglądało na to, że po długich godzinach spędzonych z Kitem tak mocno zapadły jej w pamięć jego wskazówki, że teraz słowa padały jej z ust swobodnie niby krople wody w czasie ulewnego deszczu.

Gdy Kit oznajmił, że pora wracać do domu, Eliza była bardzo zadowolona.

- Lady Dolby okazała się miła. - Wspomniała jedną ze spotkanych osób, kiedy prowadzili konie do stajni. - Powiedziała, że w przyszłym tygodniu będzie rozsyłać zaproszenia na przyjęcie.

- Mhm, słyszałem. Na pewno dostaniesz mnóstwo zaproszeń, nie uda ci się skorzystać ze wszystkich.

- Tobie i Violet zostawię decyzję, do kogo powinnam... pójść. Ja...

Przerwał jej krzyk, który dobiegł zza jej pleców. Odwróciła głowę i ujrzała rozpędzoną kariolkę. Mknęła tak szybko, że spacerujący rozpierzchali się po alejkach, żeby uciec z drogi. Przestraszona Andromeda zarżała lękliwie i szarpnęła łbem.

Eliza mocno trzymała wodze i walczyła ze spłoszoną klaczą, żeby odprowadzić ją na bok. Mignął jej woźnica, młodziutki chłopak o kruczoczarnych włosach, w jaskrawej marynarce w żółto-zielone pasy. Więcej nie zdołała zobaczyć, bo kariolka właśnie ją mijała, a powożący popędził jeszcze konia, głośno strzelając z bata.

Niestety, zamiast własnego konia, trafił w zad Andromedy. Klacz zarżała z bólu i stanęła dęba, młóćąc kopytami powietrze przed sobą i zarzucając głową tak mocno, że wyrwała lejce z rąk Elizy.

Jakimś cudem udało jej się nie spaść, ale nie mając w rękach wodzy, nie mogła zapanować nad wierzchowcem. Przerażona klacz opadła na nogi i zerwała się do galopu. Eliza instynktownie pochyliła się do przodu i wczepiła palce w grzywę. Trzymała się kurzowo i błagała niebiosa, żeby nie pozwoliły jej stoczyć się pod kopyta konia. Serce łomotało jej tak głośno, że nie słyszała nic innego. Koń niósł ją na przełaj przez trawę, zmieniając gwałtownie kierunek, gdy mijał drzewo albo grupkę przestraszonych przechodniów.

Lużno wiszące lejce wiły się w powietrzu jak węże, co jeszcze bardziej płoszyło Andromedę. Gdyby nie to, klacz pewnie już by się uspokoiła.

Eliza czuła przerażenie zwierzęcia i ostry zapach końskiego potu. Nadal trzymała się z całych sił, choć jej ręce były już wilgotne i niebezpiecznie śliskie. Bała się przesunąć choćby o centymetr, żeby nie ryzykować upadku.

Nagle dostrzegła męskie ramię. Czyjaś dłoń chwyciła wędziłło. Kątem oka zobaczyła oficerski but w strzemieniu i błysk podków rumaka, który pędził obok jej konia.

Kit, pomyślała z ulgą. To Kit przyszedł mi z pomocą.

Spokojny, głęboki głos nakazał koniom zwolnić. Andromeda przeszła w powolniejszy chód, a wreszcie przyszedł ten błogosławiony moment, że oba wierzchowce się zatrzymały.

Eliza dygotała na całym ciele, nie mogąc opanować dreszczy. Usłyszała, jak Kit zsiada z konia i podbiega do niej. Już brał ją w ramiona, już stawiał ostrożnie na ziemi.

Tyle że mężczyzna, który trzymał ją mocno w objęciach, nie był Kitem.

Spojrzała na niego uważniej i zobaczyła ideał. Jasnowłosa, błękitnooki nieznajomy był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała, niczym Adonis, który powstał z kart starożytnych opowieści.

Głośno wciągnęła powietrze i aż zakręciło jej się w głowie, kiedy twarz mężczyzny rozpromieniła się w uśmiechu.

10

Kit usłyszał krzyk i się obejrzał. Zobaczył powóz, pędzący w ich stronę wzdłuż alejki z karkołomną prędkością. Ludzie, zwierzęta i pojazdy rozpierzchły się w panice na wszystkie strony, żeby uciec mu z drogi.

Przeklęty bezmyślny głupiec! Kit zaklął w duchu na widok chłopięcej twarzy woźnicy. Pewnie założył się z kimś, że to zrobi, odgadł. Nierozsądny młodzieniec sprowokowany przez głupawych przyjaciół, z których żaden nie zastanawiał się nad konsekwencjami swojego postępowania ani nie pomyślał, że komuś może się stać krzywda.

Natychmiast porzucił tę myśl. Koń Elizy się spłoszył i odskoczył na drugą stronę alejki. Powóz przemknął pomiędzy nimi, turkocąc kołami i zasłonił jego podopieczną. Usłyszał trzask bicia i rzenie Andromedy, która wspięła się na tylne nogi. Czas nagle jakby zwolnił, a przerażony Kit patrzył, jak klacz szarpie głową i wyrwa lejce z rąk Elizy, po czym zrywa się do galopu, unosząc na grzbiecie dziewczynę uczeponą kurczowo grzywy.

Strach uderzył Kita w żołądek jak zaciśnięta pięść. Zerwał konia do biegu, ale choć Mars starał się, jak mógł, drogę zagradzało mu zamieszanie powstałe na skutek szalonego wybryku młodzieńca. Kobiety płakały, mężczyźni krzyczeli, jeźdźcy i powożący usiłowali uspokoić spłoszone zwierzęta.

Wreszcie wypadł na pustą przestrzeń i pognał za Elizą. O Boże, żeby tylko nie spadła, modlił się. Żeby tylko nic jej się nie stało.

Dostrzegł Elizę przed sobą i spał ostrogami Marsa, chcąc ją dogonić. Pędził przez park, owładnięty jedną myślą - doścignąć dziewczynę i bezpiecznie zatrzymać jej wierzchowca. Ale wyglądało na to, że ktoś inny miał podobny zamiar. Nieco przed nim pojawił się koń z *jeźdźcem* na grzbiecie, gnając za wierzchowcem Elizy, aż kawałki darni, wyrwanej kopytami, wlatywały w powietrze. W pełnym galopie zrównał się z uciekającą klaczą, po czym, z wprawą mistrza, zsunął się w siodle na bok i chwycił wędzidło Andromedy, zatrzymując przestraszone zwierzę.

Nawet z takiej odległości Kit widział, że Eliza cała drży, najwyraźniej przerażona tym dzikim galopem.

Mężczyzna zsiadł z konia i podbiegł do Elizy. Ściągnął ją z siodła i postawił bezpiecznie na ziemi. Nie wypuszczał jej z objęć, bo dziewczyna chwiała się na nogach i wyglądała na oszołomioną.

Dopiero wtedy Kit rozpoznał wybawcę. Był to lord Lancelot Brevard, wysoki, jasnowłosy i tak odważny, jak legendarny rycerz, którego imię nosił. Studenci w Oksfordzie często żartowali, że Brevard powinien przyjść na świat w rodzinie baroneta, a nie wicehrabiego. Wtedy, pomimo niższej pozycji społecznej, nie tylko wyglądałby, ale i nazywał się jak jego imiennik - sir Lancelot.

Kiedy Kit zaczynał studia w Oksfordzie, Brevard właśnie je kończył i już wtedy był chodzącą legendą, zarówno wśród uczniów, jak i profesorów. Brevard był najlepszy we wszystkim, co robił, czy chodziło o naukę, czy o wyczyny sportowe. Lista jego osiągnięć była niekończącą się litanią nagród, honorów i pochwał. Wiódł doskonałe życie, a przynajmniej na tyle doskonałe, na ile to możliwe dla zwykłego śmiertelnika. Był jedną z niewielu osób, które, jak się wydaje, nie umieją źle postąpić. I rzeczywiście był równie honorowy, jak utalentowany i równie wyrozumiały, jak ambitny.

Udowodnił ten fakt owej wiosny, kiedy Kit - chcąc się sprawdzić - wyzwwał starszego młodzieńca do wyścigu pływackiego. Kit był doskonałym pływakiem. Pewien wygranej, stawiał się na umówionym miejscu, przechwalając się swoimi umiejętnościami. Jednak nieznamość rzeki, jej bystrych i zimnych prądów, jak również niezmordowana kondycja przeciwnika, stały się przyczyną jego porażki. Ten wyścig kosztował go dużo wysiłku. Niemal go wygrał, ale „niemal” mu nie wystarczało.

Niepomny na zmęczenie, wyzwwał Brevarda po raz drugi. Ten wyraźnie nie miał ochoty na rewanż, ale zgodził się, skoro w grę wchodził honor. Kit tracił siły, ale mimo to płynął dalej. Omal nie utonął. To Brevard uratował mu wtedy życie. Nie wyśmiał go później, co ktoś inny najego miejscu niewątpliwie by uczynił. Zamiast tego przyjął go pod swoje skrzydła i tak Kit, z niedoszonego rywala, stał się jego przyjacielem.

Taki właśnie był przeklęty urok Lancelota Brevarda. Po prostu nie dało się go nienawidzić, nieważne, jak bardzo się tego chciało. Mężczyźni i kobiety, koty i psy, ptaszki i polne zuczki - wszyscy i wszystko lubili Brevarda.

No i proszę! Ten pioruński wielki bohater musiał zjawić się właśnie teraz i pospieszyć Elizie na ratunek. Jasne, Kit się cieszył, że nic jej się nie stało. Jednakjakaś jego cząstka nie mogła się pogodzić z tym, że to Brevard, a nie on uratował dziewczynę. W końcu to Kit się nią opiekował. Była jego uczennicą i to on ponosił za nią odpowiedzialność.

Zatrzymał swojego wałacha i zeskoczył na ziemię.

- Elizo, nic ci nie jest? - Podbiegł do dziewczyny.

Nie odwróciła głowy, wciąż wpatrując się w Brevarda z dziwnym wyrazem twarzy. Oczy miała nieco szkliste.

Może jest w szoku?

Po takim przeżyciu nie byłoby w tym nic dziwnego.

- Elizo, to ja, Kit. - Dotknął lekko jej ramienia. - Wszystko w porządku? Czy coś ci się stało? Odezwij się, proszę.

Rzęsy Elizy drgnęły nieznacznie.

- Kit? - Dopiero teraz zerknęła na niego. - Kit, jesteś.

- Tak, jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze. Przeżyłaś wstrząs, ale już jesteś bezpieczna. - Rzucił okiem na drugiego mężczyznę. - Brevard, witam. To była naprawdę pokazowa akcja. Dziękuję w imieniu swoim i damy.

- Winter, miło cię widzieć. Tak właśnie myślałem, że natknę się na ciebie gdzieś w mieście, ale nie spodziewałem się, że spotkamy się w tak dramatycznych okolicznościach. Domyślam się, że ta dama jest twoją znajomą?

- Eliza jest przyjaciółką księżnej i na czas sezonu zamieszkała u nas w Raeburn House. Właśnie wracaliśmy z popołudniowej przejażdżki, kiedy jakiś bałwan postanowił ścigać się powozem w parku. Widziałeś to zamieszanie?

Brevard pokręcił głową.

- Byłem za daleko, ale słyszałem, że coś się dzieje. I wtedy pojawiła się ta dama. Koń najwyraźniej ją poniósł, więc, oczywiście, musiałem jej pospieszyć z pomocą.

Ależ oczywiście, pomyślał Kit ironicznie.

Brevard spojrzął z uśmiechem na Elizę.

- Winter, czy będziesz tak miły i przedstawiś nas sobie?

Kit uchwycił wzrokiem błysk w jego oczach. Czyżby to był błysk zainteresowania? Eliza? Przez krótką chwilę miał ochotę odmówić prośbie, ale zduził w sobie ten impuls, zdziwiony własną reakcją.

- Brevard, pozwól, że przedstawię cię panie Elizie Hammond. Elizo, wicehrabia Lancelot Brevard.

- Miło mi pana poznać, milordzie - powiedziała cicho Eliza. -I dziękuję panu. Kiedy straciłam panowanie nad Andromedą, nie miałam pojęcia, jak ją zmusić, żeby się zatrzymała. Gdyby nie pan, no cóż... z pewnością źle by się to skończyło.

Wcale nie, pomyślał Kit, zirytowany. Gdyby nie on, to ja bym cię uratował. Po prostu trwałoby to o minutę dłużej.

Brevard machnął ręką, nie zważając na wyrazy wdzięczności.

- Proszę się nie przejmować, panno Hammond. Nie musi pani dziękować. Cieszę się, że w porę panią dostrzegłem i mogłem udzielić pomocy. I muszę powiedzieć, że zachowała się pani bardzo dzielnie...

- O, wcale nie - zaprzeczyła Eliza.

- A jednak. Niejedna dama na pani miejscu spadłaby z siodła i poważnie się potłukła. Pani zachowała przytomność umysłu, i pomyślała o tym, żeby chwycić się konia. Należy pochwalić pani zaradność, to wyjątkowa i godna podziwu cecha u kobiety.

Policzki Elizy się zarumieniły

- Bardzo pan uprzejmy, milordzie, ale naprawdę cały czas trzęsłam się ze strachu, więc nie zasługuję na tyle uznania.

Brevard pokręcił głową.

- Jest pani równie skromna, jak urocza. Powiem więc coś, czego może nie powinienem mówić. Wjakiejś części wcale nie żałuję, że koń panią poniósł.

- A dlaczego? - Brwi Elizy się zmarszczyły.

- Bo dzięki temu miałem przyjemność panią poznać.

Eliza zachichotała. Naprawdę zachichotała jak pensjonarka. Kit ledwo się powstrzymał, żeby nie parsknąć śmiechem, zamiast tego wyciągnął rękę i wziął ją pod ramię.

- Pewnie jesteś zmęczona po takim wstrząsie. Lepiej jedźmy już do domu, żebyś mogła odpocząć.

Eliza się odwróciła, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o jego istnieniu.

- Tak, chyba masz rację. Chociaż czuję się znacznie lepiej. To dziwne. - Wyciągnęła przed siebie rękę. - Zobacz, już nie drży.

- Odważna. Przecież mówiłem. - Brevard uśmiechnął się szeroko i mrugnął do niej.

Eliza znów zachichotała.

- Andromeda się uspokoiła. Możesz jej dosiąść bez obawy.

Kit lekko pociągnął Elizę w stronę wierzchowca. Klaczka, razem z rumakami obu młodzieńców, spokojnie pasła się obok na parkowej trawie.

Eliza się zawahała, niechętnie zbliżając się do konia.

- Kit, nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby teraz jechała konno.

- Na co chcesz czekać? Lepiej to zrobić od razu, bo inaczej nigdy już nie odważysz się siąść w siodło.

Eliza chwyciła w dłoń ciężką spódnicę swojej amazonki.

- Jak tylko Cassiopeia wyzdrowieje, nie będę miała żadnych obaw. Po prostu dziś już nie chcę więcej jeździć.

- Może poślę po mój powóz? - zaproponował usłużnie Brevard. - To nie potrwa dłużej niż pięć minut.

Kit wiedział, że Eliza dla własnego dobra powinna się przemóc i wsiąść na konia. Czemu więc czuł się jak bezduszny okrutnik?

- Dziękujemy, ale to nie będzie konieczne. Mamy niedaleko do domu.

Sięgnął po wodze Andromedy i rzucił je na szyję konia. Stał z boku wierzchowca i schylił się, żeby podsadzić Elizę na siodło.

Dziewczyna zadrżała. Upłynęła chwila, nim oparła mu rękę na ramieniu i wsunęła stopę w jego dłoń. W okamgnieniu siedziała na grzbiecie Andromedy, a Kit podał jej lejce.

- Wszystko dobrze?

Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, Eliza nie spojrzała mu w oczy.

- Tak. - Jej głos był ledwo dosłyszalny.

Wyrzut sumienia niby kościsty palec dźgnął w pierś Kita.

- Nic się nie martw, będę tuż obok. Pojedziemy stępa.

Nie wyglądała na uspokojoną, zwłaszcza że Andromeda właśnie lekko się wstrząsnęła.

- Może odprowadzę was do domu? - Ton Brevarda był krzepiący. - Pojadę z pani lewej strony, panno Hammond, a Winter będzie po prawej. Będzie pani zupełnie bezpieczna między nami.

- To byłoby bardzo miłe, ale nie chcę panu sprawiać kłopotu, milordzie. - Eliza uśmiechnęła się nieśmiało.

- O, to żaden kłopot. Co ty na to, Winter?

Słowo „nie” cisnęło mu się na usta. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jest tak poirytowany i niechętny. Propozycja Brevarda brzmiała rozsądnie, Eliza naprawdę czułaby się pewniej, mogącjechać do domu pomiędzy nimi dwoma. Mimo tego, Kit wciąż miał ochotę odmówić. Zastanawiał się nad tym.

Pewnie przez to przekłete popołudnie, uznał. Przez tego młodego półgłówka, który rozpętał całe zamieszanie i powinien za to odpowiedzieć.

- Świetny pomysł - odpowiedział.

Był już przy swoim koniu i lekko wskoczył na siodło. Brevard, nie zwlekając, zrobił to samo, dosiadając wierzchowca z wrodzoną gracją. Kiedy siedział na koniu, on i zwierzę stąpali się niemal w jedną żywą istotę jak mityczny centaur.

Kit zajął pozycję po prawej stronie Elizy, a Brevard po przeciwnej. Kiedy trzy wierzchowce stały już obok siebie, ruszyli powoli naprzód.

Zanim dojechali na miejsce, Eliza zdołała się całkiem odprężyć. Śmiała się, słuchając jednej z historyjek Brevarda. Opowiastka była tak zabawna, że Kit także się uśmiechał, mimo złego humoru. Brevard potrafił wspaniale opowiadać. Zresztą wszystko, czego się podjął, wychodziło mu równie dobrze.

- No i cóż, panno Hammond? Wygląda na to, że udało nam się dojechać bez przeszkód - oznajmił wicehrabia, zatrzymując konia.

Nim Kit zdążył zeskoczyć z wierzchowca, Brevard już był na ziemi i pomagał Elizie zsiąść. Ta uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję, milordzie. Naprawdę, nie potrafię wyrazić, jak jestem panu wdzięczna za pomoc.

- Proszę mi wierzyć, panno Hammond, cała przyjemność po mojej stronie. Być może zobaczymy się na jakimś przyjęciu? Opowiedziałbym pani anegdotki z mojej wyprawy do Indii.

- Indie? To fascynujące. - Czy Elizy pociemniały z zainteresowania. - Czy tam rzeczywiście jest tak egzotycznie?

W normalnych okolicznościach Kit sam chętnie posłuchałby o Indiach, ale nie dziś.

- Miło było cię spotkać, Brevard. - Przerwał, stając obok Elizy. - Na pewno zobaczymy się kiedyś w klubie. Musimy się umówić któregoś dnia na drinka i partyjkę kart.

Błękitne spojrzenie Brevarda przesunęło się na niego.

- Jak najbardziej. Akurat umawialiśmy się z Crowem, żeby pojechać na wyścigi. Masz ochotę do nas dołączyć?

- Oczywiście. Prześlesz mi później szczegóły?

Brevard skinął głową i zwrócił się znowu do Elizy:

- Panno Hammond, po przeżyciach w parku na pewno chciałaby pani odpocząć, więc muszę już panią pożegnać. - Skłonił się i wskoczył na konia. - Winter. - Dotknął ręką kapelusza i odjechał.

Dwóch stajennych podeszło, żeby odprowadzić konie.

Eliza bez słowa się odwróciła i weszła po schodach. March już otwierał dla niej drzwi frontowe. Cicho pozdrowiła starego majordomusa i zniknęła w holu.

Kit pospieszył za nią.

- Elizo, co się dzieje?

- Wszystko w porządku.

Wcale na to nie wyglądało. Widać było jej zdenerwowanie. Ba, nawet złość. Może jeszcze się gniewa, że kazał jej wracać do domu konno?

- Przepraszam, że nalegałem, żebyś znowu wsiadła na konia, ale to było konieczne. Rozumiesz to, prawda?

- Tak, oczywiście. - Twarz miała nadal pochmurną.

- I przykro mi, że Andromeda się spłoszyła. Poniosła cię i miała prawo być przestraszona. Odetchnąłem z ulgą, że jesteś cała i zdrowa. - Zmarszczył brwi. - Na pewno nic ci się nie stało?

- Nie.

- Więc o co chodzi?

- O nic, naprawdę. Po prostu jestem zmęczona. Pójdę już lepiej do siebie.

Unosząc długą spódnicę, przeszła przez hol, kierując się w stronę klatki schodowej.

Kit zawahał się przez moment, ale podążył za nią, przeskakując po dwa schodki, żeby ją dogonić.

- Elizo.

Nie zatrzymała się. Szła dalej, szeleszcząc spódnicami.

- Elizo, zaczekaj. - Złapał ją za łokieć i zatrzymał. - Co ci jest? Wyglądasz na zdenerwowaną.

Odwróciła się powoli i spojrzała mu w oczy.

- Byłeś nieuprzejmy.

Otworzył usta w zdumieniu.

- Ja? Kiedy?

- Kiedy rozmawiałam z lordem Brevardem. Przerwałeś nam i... miałam wrażenie, że... - Opuściła wzrok ku ziemi.

- Ze co? - Pochylił głowę, chcąc ją nakłonić, by znowu na niego spojrzała. - No, powiedz mi, proszę - zachęcał.

- Ze wolałbyś, żebym już z nim nie rozmawiała. Czy powiedziałam albo zrobiłam coś nie tak? Popełniłam jakiś błąd?

Stanowczo pokręcił głową.

- Nie, nie zrobiłaś nic złego. Nie popełniłaś dzisiaj żadnych błędów, ani jednego. Byłaś naprawdę wspaniała. I podczas przejażdżki, i później.

Ciemne brwi Elizy zbiegły się nad czołem, a w jej oczach odbiło się zmieszanie.

- Więc o co chodziło? Może chciałeś mnie przed nim ostrzec? Czy jest coś, co powinnam wiedzieć na temat lorda Brevarda? Nie jest chyba łowcą posagów?

- Nic z tych rzeczy. Właściwie, wręcz przeciwnie. Brevard to wyjątkowy człowiek: wykształcony, bywały, kulturalny i bogaty. A po swoim pobycie w Indiach, jak się domyślam, jeszcze bogatszy niż przedtem. To dżentelmen idealny, honorowy do szpiku kości.

- Więc może to o mnie chodzi? Moje koneksje rodzinne...

- Nie bądź śmieszna. Co tu ma do rzeczy twoja rodzina? - obruszył się Kit. - Kto ci nakładł do głowy takich bzdur?

- Moja ciotka. Ona zawsze... - Eliza urwała, skubiąc palce rękawicy jeździeckiej, żeby ściągnąć ją z dłoni. - Zawsze mówiła, że ojciec był nikiem więcej, jak tylko guwernerem bez pozycji, i że małżeństwo mojej matki przyniosło ujmę naszemu nazwisku. Twierdziła, że matka, uciekając z ojcem, zhańbiła rodzinę. Nigdy dotąd mi to nie przeszkadzało, chociaż chodziło o rodziców, których kochałam z całego serca. Ale teraz myślę, że może to nie tylko moja nieśmiałość odstraszała zalotników.

- I myślisz, że ja mam o tobie takie zdanie? Ze pogardzam twoją rodziną?

- Ty nie, ale może inni. - Zdjęła drugą rękawiczkę. - Przyшло mi do głowy, że może mnie znowu przestrzegasz. - Spojrzała w górę na niego. - Dla mojego własnego dobra.

- Nie mam cię przed czym przestrzegać, przynajmniej w tej dziedzinie. Warta jesteś każdego mężczyzny z towarzystwa i nie wolno ci myśleć inaczej. A co do nieśmiałości, jeszcze kilka lekcji i zniknie na dobre.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, przeniknęło go dziwne uczucie, że coś traci. Powinien być zachwycony, że znowu stanie się panem własnego czasu. Będzie sypiał do południa, włączył się z przyjaciółmi i robił, co mu się żywnie podoba. Dlaczego go to nie cieszyło? Będę zadowolony, zapewnił sam siebie, gdy ten dzień wreszcie nadejdzie.

- W przyszły -wtorek twój pierwszy bal. - Zmienił temat.

- Wiem - potwierdziła Eliza. - Mam nadzieję, że jestem na to gotowa.

- Będziesz. W zasadzie już jesteś, ale możemy jeszcze potworzyć co nieco. - Uśmiechnął się do niej ujmująco. - Czy już wszystko dobrze? Przebaczyłaś mi, że byłem nieuprzejmy? Wcale tego nie chciałem i najgoręcej przepraszam.

- Ależ oczywiście. Wiesz, że nie potrafię się długo gniewać, zwłaszcza na ciebie. - Odwzajemniła uśmiech.

- Co za ulga. - Żartobliwie poruszył brwiami. - Zdenerwować cię to nic przyjemnego.

Roześmiała się na te słowa, całą jej twarz się rozjaśniła, a szare oczy zabłyśły. Kit na ten widok poczuł skurcz w piersi. Zerknął na jej usta. Śliczne, bladoróżowe wargi wyglądały na aksamitnie gładkie i słodsze od poziomek. W sam raz dojrzałe do zerwania. Kuszące smakiem. Nachylił się ku niej i poczuł delikatny kwiatowy zapach.

- Dobrze, że już jesteście.

Kit wyprostował się gwałtownie i odwrócił na pięcie. Violet szła w ich stronę korytarzem, a za nią człapał posłusznie Horacy Zatrzymała się przy nich i zerknęła najpierw na Kita, potem na Elizę.

- Nie przeszkadzam?

- Nie, skąd - zaprzeczył Kit pośpiesznie. - Omawialiśmy naszą przejażdżkę.

- Świetnie, o to właśnie chciałam zapytać. Jak poszło? - Violet wzięła Elizę pod rękę, domagając się relacji. - Jakies problemy?

- Panie pozwolą, że się oddalę...

Violet się uśmiechnęła i skinęła mu obojętnie głową, po czym pociągnęła Elizę ze sobą korytarzem, którym przyszła. Wielki dog podążył za nimi.

Gdy odchodziły, Kit usłyszał pytanie Violet.

- Spotkałaś kogoś interesującego?

- Tak, jedną osobę. Wicehrabiego Lancelota Brevarda. Przybył mi na ratunek niczym rycerz ze starej baśni...

Odwrócił się i odszedł w przeciwną stronę, do swoich pokojów.

Andromeda stanęła dęba i szarpnięciem głowy wyrwała łejce z rąk Elizy. Usłyszała przerażone rzenie konia. Opadające kopyta z głuchym łomotem uderzyły w ziemię, a końskie mięśnie spięły się pod nią, gdy klacz rzuciła się naprzód i pognała ślepo przed siebie. Eliza wisiała uczepiona grzywy, a serce dudniło jej w pierśi mocno i boleśnie. Mocniej chwyciła gładką grzywę zwierzęcia, usiłując znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Walczyła, by nie osunąć się na ziemię, która śmigała pod jej stopami jak rozmazana, zielono-brązowa plama.

Zamknęła oczy i zmówiła modlitwę.

Nagle silne ramię objęło ją w pól. Mężczyzna zręcznym ruchem uniósł ją z siodła i posadził bokiem przed sobą, na grzbiecie galopującego rumaka. Przyłgnęła kurczowo do swojego wybawcy, obejmując ramionami jego mocne plecy i wspierając głowę o ciepły umięśniony tors.

Jak dobrze. Jak bezpiecznie.

Koń zwolnił, przeszedł w stępa i się zatrzymał.

Przechyliła w tył głowę i złowiła wzrokiem błysk złotych włosów i twarz zbyt piękną, by była prawdziwa. Jego uśmiech olśniewał bielą, a oczy, błękitne i czyste, przypominały dziewicze jeziora Skandynawii.

Przymknął na moment powieki, ale gdy je otworzył, jego oczy były już inne - zielone, w intensywnym, ciemnym kolorze liści po ulewnym letnim deszczu. Żrenice otaczały złote pierścienie, drobne punkciki w tym samym kolorze rozsiane były po tęczęwkach, niby złoty pył.

Uśmiechnął się tym chłopięcym uśmiechem, który tak dobrze znała, i serce zabiło jej żywiej. Odwzajemniła uśmiech nieśmiało, patrząc, jak jego oczy znów się zmieniają. Jarzył się w nich niezwykły blask. Niemal czuła na swoich rozchylonych wargach dotyk jego spojrzenia.

Wciągnęła w nozdrza jego zapach, aż w głowie jej się zakręciło z błogości i zachwytu. Napawając się nim, wdychała jeszcze i jeszcze, aż jego woń przeniknęła jej skórę i zmieszała się z jej własną.

Podniosła rękę, przeczesała palcami jego włosy - były gęste i gładkie jak jedwab.

Nachylił się ku niej blisko, przyciągając ją mocniej ku sobie. Gdy czuła już na wargach jego oddech, wyszeptwała jego imię.

Kit.

I wtedy dotknął jej ust wargami.

Od stóp do głów przeszedł ją dreszcz i zatonęła w tym cudownym doznaniu. Słodycz rozkoszy rozgorzała w jej wnętrzu i wyniosła ją wysoko do góry, na obłoki zakazanych przyjemności. Wyciągając ramiona, oplótła rękami jego szyję i przytuliła się do niego. Ale wciąż jej było mało, wciąż nie dość blisko. Chciała więcej. Chciała, by dał jej wszystko.

Jemu też nie było dosyć.

Unióśł jej nogę i obrócił ją w siodle twarzą do siebie. Zachłystnęła się, gdy poczuła, że jej nogi obejmują jego mocne uda, że przyciągają do siebie, biodra do bioder.

I znowu pocałunki, nieposkromione, namiętne, głodne.

Wreszcie odsunął się nieco.

- Dlaczego się dziwisz? Wiem wszystko o tej bezwstydną księżeczce, którą czytałaś.

Eliza gwałtownie otworzyła oczy i jęknęła cicho, budząc się ze snu. Młde światło poranka sączyło się przez zaciągnięte zasłony sypialni. Kształty mebli były jeszcze ledwo widoczne, w kątach wciąż zalegały nocne cienie. Przewracając się w cienkiej, lnianej pościeli, przycisnęła rękę do piersi i wsłuchiwała się w bicie własnego serca.

O nieba, pomyślała, co za sen! Jeszcze teraz czuła wargi Kita na swoich, dotyk silnego, muskularnego ciała i jego cudowny, męski zapach.

I wszystko to było jedynie fantazją. Utkaną z mrzonek fikcją, która mamiła i oszałamiała, ale nie miała w sobie nic z prawdy. Jej ciało jednak wzięło sen za rzeczywistość, bo między udami czuła nikły ślad wilgoci i coś, jakby skurcz. Fala ciepła przetoczyła się przez nią na wspomnienie, jak we śnie siedziała okrakiem na no-

gach Kita. Jak zaciskała uda na jego biodrach w bezwstydnym zapamiętaniu, niczym jedna z kobiet na obrazku w *Pozycjach Albanina*.

Przynajmniej oboje byli ubrani.

Na samą myśl o nagości poczuła, jak twardniejajej sutki, a skurcz między udami pojawił się ponownie. Zawstydzona taką reakcją, przekreśliła się na bok, nie rozumiejąc, co się dzieje z jej ciałem. Była zakłopotana faktem, że jej umysł tak dziwnie poskładał wydarzenia poprzedniego dnia - szaleńczy bieg Andromedy, przerażenie i postać lorda Brevarda, który pospieszył jej na ratunek.

Przystojny, szarmancki lord Brevard. Podobał jej się. Miał wspaniałe maniery i miły głos. Umiał ją pocieszyć i rozbawić. Każda kobieta marzy o takim mężczyźnie.

Ale choć lord Brevard był niezaprzeczalnie przystojny, to nie jego całowała w marzeniach.

Tylko Kita.

Przypomniała sobie jego oczy we śnie, a potem wróciła pamięcią do wczorajszej rozmowy w holu. Kit zachowywał się zupełnie normalnie, patrzył na nią, jak zwykle, cierpliwie i przyjaźnie, z uczuciem braterskiego przywiązania. Ale pod sam koniec rozmowy coś się zmieniło, na ułamek sekundy jakiś nowy wyraz pojawił się w jego wzroku, kiedy spojrzał na jej usta. W tamtej chwili wydawało jej się, że nieznacznie nachylił się w jej stronę. Przez moment wyglądało tak, jakby chciał ją pocałować.

A może to też był wytwór jej wyobraźni, podobnie jak niedawny sen?

Eliza zaczęła się zastanawiać. Jak by to było, pocałować Kita na jawie? A właściwie, jak by to było, być całowaną przez kogokolwiek?

Miała dwadzieścia trzy lata i nigdy żaden mężczyzna nie próbował skraść jej całusa. Młode damy nie powinny całować ani dotykać dżentelmenów przed ślubem, ale Eliza wiedziała dobrze, że takie rzeczy często się zdarzały. I choć nie mówiło się o tym głośno, nie było rzeczą powszechną, by panna w jej wieku nie miała za sobą żadnych doświadczeń tej natury.

Czy to się zmieni, kiedy wreszcie nadejdzie sezon? Czy ktoś wreszcie zechce ją pocałować? I czy ona będzie tego chciała? A jeśli czyjś dotyk wzbudzi w niej niesmak i zachowa się nieodpowiednio? A jeśli będą ją uważać za głupią, naiwną gąskę?

Może na ostatniej lekcji z Kitem powinna go poprosić o naukę całowania, pomyślała żartem.

Ale kiedy zastanowiła się głębiej nad tym pomysłem, zaskoczona, otworzyła szeroko usta. Nie, to śmieszne, nie ma o czym myśleć. Kit wytrzeszczy na nią oczy i odmówi, oczywiście, a potem obojgu będzie głupio.

A jeśli nie odmówi?

Raz jeszcze przywołała w pamięci wczorajsze popołudnie, kiedy spojrzał na jej usta. Czy naprawdę miał ochotę ją wtedy pocałować? Czy to wybujała wyobraźnia plątała jej sztuczki?

Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Czy starczy jej odwagi? Może strach znowu ją powstrzyma? Ale jeśli tego nie zrobi, będzie do końca życia żałować, że nie przekonała się, czy pocałunki Kita na jawie smakują tak słodko, jak we śnie.

11

Eliza siedziała na pokrytej brzoskwiniową satyną kanapie. Przyglądała się, jak pokojówka Violet wpina ostatnią spinkę w elegancko ułożone loki przyjaciółki.

- Przykro mi, że nie idziesz dziś z nami, ale to nic wielkiego, bo widziałas już przecież i amfiteatr Astleya i Muzeum Egipskie Bullocka - powiedziała Violet. - Jeanette mówi, że odkąd proponowała tę wycieczkę, Moira i Siobhan nie potrafią rozmawiać o niczym innym. Nawet Finn jest podekscytowany, chociaż udaje, że to my zmusiliśmy go, żeby z nami poszedł. Wiesz, jacy są chłopcy w tym wieku, dbają przede wszystkim o swoją reputację.

- Nie wydaje mi się, żeby dorośli mężczyźni byli dojrzałsi pod tym względem - zauważyła Eliza.

Violet się roześmiała i obróciła na krzeselku, bo Agnes już skończyła upinać jej włosy

- Święta racja. Adrian i Darragh też marudzą, ale nie wydaje mi się, żeby rzeczywiście nie mieli ochoty iść z nami. W każdym razie, szkoda, że ciebie nie będzie.

- O, to nic takiego. Wiesz przecież, że mój pierwszy bal już pojutrze. Mam ostatnią okazję, żeby poćwiczyć z Kitem. - Eliza poczuła ucisk w gardle na samą myśl o tym, co zamierzała ćwiczyć.

- Uważam, że idzie ci wspaniale - pochwaliła ją Violet. - Ale jedna lekcja więcej na pewno nie zaszkodzi.

Godzinę później Eliza siedziała na sofie w gabinecie Violet, a w ustach miała suchość godną mumii egipskich, które Violet z rodziną oglądała właśnie w Muzeum Bullocka. Naprzeciwko niej, na drugim brzegu sofy, Kit rozciągnął się wygodnie. Zatopił zęby w jednym z ciastek, które miał na talerzu. Popił je gorącą herbatą. Zawsze kulturalny, wytarł usta serwetką i z widocznym zadowoleniem zabrał się do kolejnego ciasteczka.

Kit lubił mieć pod ręką coś do przegryzienia podczas ich lekcji. Niezbędne pożywienie, jak mawiał, żeby przetrwać do następnego posiłku.

Eliza nie czuła głodu, więc odstawiła filiżankę i talerzyk z nie-
tkniętym biszkopecikiem, który nałożyła sobie z grzeczności.

- Nie smakuje ci? - Kit skinął głową w kierunku porzuconego ciastka.

Pokręciła głową.

- Najadłam się podczas śniadania.

- U mnie po śniadaniu nie pozostało nawet wspomnienie, a do lunchu jeszcze całe godziny.

Zjadł kolejne ciastko, dopił resztę herbaty i odstawił filiżankę na spodek z lekkim stuknięciem.

- A zatem, gotowa? - Wytarł starannie usta i długie, zgrabne palce, po czym zwinął serwetkę i położył obok pustej filiżanki. -

Rozmowa salonowa czy konwersacja podczas tańca? Obie wychodzą ci dobrze, ale można jeszcze co nieco doszlifować. Więc jak?

Wbiła wzrok w bladobłękitną poduszkę na sofie pomiędzy nimi. Przesunęła palcem po kosztownej tkaninie. W żołądku czuła dreszcze, a myśli galopowały jak szalone.

Czy powinna to zrobić? Czy się na to zdobędzie? Gdy wypowie te słowa, nie będzie już odwrotu.

Zadrzała, przełknęła ślinę i podjęła ostateczną decyzję, wiedząc, że jeśli nie przystąpi do działania teraz, to stchórzy i raz na zawsze przekreśli swoje szanse.

- Zastanawiałam się, czy... to znaczy... skoro to nasza ostatnia lekcja, pomyślałam, że może moglibyśmy zrobić coś innego.

- Coś innego? To znaczy? - Kit, nie zważając na konwenanse, sam sięgnął po imbryk i nalał sobie herbaty.

- Pomyślałam... no więc, tak się zastanawiałam... czy wiesz, że jeszcze nigdy nikt mnie nie pocałował?

Poderwał głowę znad filiżanki, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Co takiego?

- Jeszcze nigdy nikt mnie nie pocałował i chciałabym, żebyś ty to zrobił.

Gorąca herbata polała mu się po palcach.

- O psiakrew! - Wypuścił imbryk, który wylądował z hałasem na srebrnej tacy. - Przepraszam. O czym ty mówisz?

- Och, mój Boże, nic ci nie jest? - Przeraziła się, że zrobił sobie krzywdę. - Bardzo się poparzyłeś? Och, nie powinnam była nic mówić. Tak mi przykro, że oblałeś się wrzątkiem.

- Nieważne. Lepiej powtórz to, co powiedziałaś przed chwilą. Nie to o poparzeniu, wcześniej.

Wciągnęła powietrze i odezwała się cicho, niemal szeptem.

- Powiedziała, że chcę.... żebyś mnie pocałował.

Włożył poparzony palec do ust i popatrzył na nią osłupiałym wzrokiem.

- Nie chodzi o to, że chcę, żebyś to ty mnie pocałował - ciągnęła, nie zważając na to, że policzki ma czerwone jak piwonia. - Po

prostu chcę przećwiczyć całowanie... na wypadek, gdyby mi się to przytrafiło. Nie chcę zrobić z siebie idiotki.

Ty kłamczucho, pomyślała. Oczywiście, że to jego chcesz całować. Coś jej jednak mówiło, że tego akurat nie powinna zdradzać Kitowi.

Wyciągnął palec z ust.

- A po którym to dżentelmenie spodziewasz się, że będzie chciał cię pocałować?

- O, nie mam na myśli nikogo konkretnego.

- Brevard? - Zacisnął szczęki.

Wzruszyła ramionami, zdumiona własną nieoczekiwaną braurą.

- Nie mam pojęcia, ale skoro uważasz, że w końcu mi się poszczęści, powinnam być przygotowana. A to ty jesteś przecież moim mentorem.

Kruczoczarne brwi powędrowały w górę.

- Pomyślałam, że mógłbyś mnie nauczyć... troszeczkę... po to, żebym się nie przestraszyła, kiedy się to wydarzy. Ale tylko wtedy, jeśli masz na to ochotę. Nie obrażę się, jeżeli nie będziesz chciał.

Urwała, bo nagły przypływ odwagi opuścił ją tak gwałtownie, jak się pojawił. Opuściła oczy i splotła ciasno ręce. Zapadła długa, niezręczna cisza, nim Kit wreszcie przemówił.

- Nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałem. Mam cię nauczyć, jak się całować?

Podniosła głowę.

- Tak. Wystarczy zwykły pocałunek.

- I mam to zrobić po to, żebyś się nie przestraszyła, kiedy będzie cię w przyszłości całował inny mężczyzna? Ktoś, kto być może zostanie twoim mężem? Czy nie uważasz, że to raczej on powinien cię uczyć całowania?

Zmarszczyła brwi.

- Może i tak, ale...

- Ale co?

- Ale jeśli nigdy nie pocałuję innego mężczyzny, skąd będę wiedziała, że to odpowiedni dla mnie człowiek? Violet mówi, że

nie powinnam się zadowalać pierwszym lepszym, który mnie poprosi o rękę, chyba że miałabym pewność, że to on jest dla mnie najlepszy. Oczywiście, może się okazać, że ten sezon będzie nie lepszy od poprzednich, więc wtedy cała ta sprawa pozostanie bez znaczenia.

- Nie sądzę, żebyś miała się czym martwić. Będę zaskoczony, jeśli nie otrzymasz w tym roku przynajmniej jednej czy dwóch przyzwoitych propozycji.

- Chodzi o moje pieniądze, tak?

Spojrzenie Kita złagodniało.

- Nie, chodzi o ciebie. Czy nie to wbijam ci do głowy od tygodni?

Pokiwała głową, przyjemnie połączona jego słowami. Ale Kit znowu zamilkł i natychmiast poczuła ucisk w piersi. Odmówi, pomyślała. To przecież jasne, nic do mnie nie czuje. I to by było tyle, jeśli chodzi o jej idiotyczne mrzonki na temat jego spojrzenia w holu kilka dni temu. Nagle zapragnęła skulić się w sobie i umrzeć.

- W porządku.

Głos miał tak cichy i zachrypnięty, że początkowo nie była pewna, czy dobrze go usłyszała. Powiedziała: „W porządku”?

Kit przysunął się do niej na sofie.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Serce podskoczyło jej do gardła.

- Tak.

- Zakładam, że wolałabyś zacząć od razu?

Skinęła głową.

- Wszyscy wyszli z domu, no i przecież to w końcu nasza ostatnia lekcja. Kiedy indziej moglibyśmy czuć się niezręcznie.

Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Teraz też możemy poczuć się niezręcznie, ale zaczynajmy, skoro tego pragniesz.

Hm... owszem, pragnie. Teraz, gdy plan został wcielony w życie, Eliza zdała sobie sprawę, jak niebezpieczną grę podjęła. Rów-

nie dobrze mogła wsadzić rękę w ogień. Ciekawe tylko, jak bardzo się poparzy.

Kit wstał i przeszedł przez pokój, żeby zamknąć drzwi. No tak, Eliza była tak przejęta, że nawet o tym nie pomyślała. A drzwi były przecież na w pół otwarte, ktoś ze służby mógł zajrzeć do środka i zobaczyć ich w kompromitującej sytuacji.

Wrócił na sofę i usiadł przy niej. Czuła, jak jego udo ociera się o jej biodro, a ręka wędruje na oparcie za jej plecami. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że Kit jest niesłychanie męski i potężnie zbudowany.

Nachylił się ku niej i uniósł jej brodę dwoma palcami.

- Spokojnie - zamruczał. - Przecież to nie boli.

Roześmiała się nerwowo i skinęła głową, ale nie mogła wymówić ani słowa. Niespokojnie zacisnęła ręce na kolanach. Zamknęła oczy i czekała.

Na początku ledwo poczuła dotyk jego warg na swoich, delikatny i lekki jak muśnięcie piórkiem po skórze. Później nacisk zwiększył się nieznacznie i już lepiej mogła poczuć kształt jego ciepłych ust, które spoczywały na jej własnych. Do jej nozdrzy dolatywał zapach ulubionej wody kolońskiej Kita, słyszała jego spokojny oddech.

Nagle, tak niezauważenie, jak się zaczął, pocałunek dobiegł końca.

Podniosła powieki i zobaczyła, że Kit przygląda się jej z odległości zaledwie kilku centymetrów. Przełknęła, nieco rozczarowana. Oczekiwała czegoś więcej, czegoś porywającego. Spodziewała się, że wydarzy się coś niezwykłego - na przykład, że ziemia zdrzyje pod stopami.

- To już? - wykrztusiła.

Uśmiech rozjaśnił zieleń jego oczu.

- Powiedziałas „zwykły pocałunek”. Nie chciałem cię wystraszyć.

- Ach. - Namyslała się przez moment. - Nie boję się.

- Hm. To może spróbujemy jeszcze raz? Z większym zaangażowaniem?

- Czyli jest coś więcej?
- Jasne, że tak. Ten pocałunek w zasadzie prawie się nie liczy. Teraz naprawdę spróbuj się rozluźnić. Aha, i otwórz usta.

- Co takiego?

- Wargi. Rozchyl je trochę, ściskasz je zbyt mocno.

Czy on sugeruje, że nie potrafi się rozluźnić? No, może ma troszkę racji.

Zawahała się, ale Kit wyciągnął rękę i pogłaskał jej wargi kciukiem. Usta same się rozchyliły, najwyraźniej ciało rozumiało tę sytuację lepiej niż umysł.

- Świetnie - powiedział. - A teraz przechyl głowę.

- Przechylić?

- Mhm. O tak. - Przysunął się bliżej i przekręcił głowę lekko na bok.

Przyjrzała mu się, po czym powtórzyła jego gest, przechylając głowę dokładnie pod tym samym kątem i w tę samą stronę, co on.

Kit się uśmiechnął, rozbawiony.

- Nie, nie tak. W drugą stronę, jak w lustrze.

- Ach.

Dopóki nie przechyliła głowy w drugą stronę, nie bardzo pojmowała sens tego polecenia. Ale nagle wszystko stało się jasne. Zrozumiała, że kiedy będą się całować, nie zderzą się nosami. Usta przylgną do siebie jak dwa kawałki tej samej układanki.

Kit objął ją za szyję i przechylił jej głowę nieznacznie w tył. A potem opuścił ku niej usta i udowodnił, że ich pierwszy pocałunek rzeczywiście nie zasługiwał na to miano.

Już po kilku sekundach w jego objęciach jej puls gonił jak oszalały. Jego usta były gorącym, wilgotnym objawieniem. Silne i pożądliwe, a jednocześnie nieskończenie słodkie, wędrowały po jej wargach, odkrywając przed nią nowe światy. Pocałunek był powolny, rozkoszny, aż do zawrotu głowy. Kit bawił się nią i nakłaniał do zabawy. Była zdana na jego łaskę, ale wcale nie zamierzała się opierać.

Jej zaciśnięte dłonie otworzyły się i spoczęły swobodnie na kolanach, a w umyśle miała błogi zamęt. Całe szczęście, że Kit

podtrzymywał jej kark, bo głowa nagle stała się zbyt ciężka, by się utrzymać na szyi. Pokój zawirował, zupełnie jak niegdyś, dawno temu, kiedy wypłała za dużo wina i służba musiała ją wprowadzać po schodach do sypialni, gdzie padła na łóżko bez przytomności.

Zmieniając kąt i siłę, z jaką napierał na jej usta, Kit drażnił się z nią, chcąc ją nakłonić do udziału w pocałunku.

- Ty też mnie całuj - wymruczał prosto w jej wargi.

- Jak? - Zmarszczyła brwi.

- Na razie rób to, co ja, a potem już sama będziesz wiedziała, co dalej.

Najpierw nie bardzo rozumiała, czego od niej oczekuje, ale starała się wypełnić polecenie. Przypomniała sobie, że prosił, żeby otworzyła usta, więc rozchyliła wargi odrobinę, mając nadzieję, że to wystarczy. Chwilę później aż podskoczyła z wrażenia, bo poczuła w swoich ustach jego delikatne westchnienie.

Jej ciało rozgorzało gwałtownie, a przyjemność zalała ją aż po czubki palców u nóg. Zamknęła oczy i mocniej przycisnęła usta do jego ust, kierowana instynktem.

Poczuła na wargach jego uśmiech, zachętę bez słów. Lekko, delikatnie gładził kciukiem skórę na jej karku. Z ust Elizy wyrwał się cichy jęk i zadrzała, czując, że zaraz spłonie. Jęknęła znowu i pogłębiła pocałunek, przechylając mocniej głowę. Żarłocznie, namiętnie objęła wargami jego usta, ze świadomością że nigdy, przenigdy nie będzie miała dosyć tego uczucia.

Tym razem to z ust Kita wydobył się jęk, to on mocniej wpił się w jej wargi, to on przyciągnął ją do siebie.

Przeszedł ją dreszcz, gdy gorący, wilgotny czubek języka przesunął się po wewnętrznej stronie jej warg. W nabrzmiątych ustach czuła rytmiczne pulsowanie krwi.

Zachłysnęła się i odsunęła nieco.

- Och mój Boże!

Przesunął wzrokiem po jej rozpalonej twarzy. On też oddychał ciężko.

- Czy to za wiele? Mam przestać?

Zadrzała i pokręciła głową.

- Nie.

Pomimo tych zapewnień, przez moment Kit wyglądał na zdecydowanego zakończyć lekcję. Eliza bezwiednie oblizała wargi.

Ten gest był zupełnie niewinny, ale jego reakcja już nie. Nim Eliza się zorientowała, Kit z jękiem znowu przywarł ustami do jej warg.

Śmiało, zuchwale pociągnął ją ze sobą na głębinsy. Eliza znowu zachłysnęła się pod dotykiem jego języka na ustach. Chwyciwszy między zęby jej dolną wargę, Kit skubał leciutko przez dłuższą chwilę, aż wreszcie pociągnął delikatnie i otworzył jej usta.

Nagle jego język znalazł się w środku. Drażnił i kusił jej oszalałe zmysły, badając kontury ust w niewiarygodnie intymny sposób. Przesuwał się po zębach i języku.

Czując, że Eliza cała drży, Kit odsunął się trochę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Mhm - zamruczała, na wpół oszołomiona. - Smakujesz ciastkiem.

Uśmiechnął się i złożył na jej ustach kilka krótkich, wilgotnych pocałunków.

- A ty smakujesz miodem.

- Nie jadłam miodu.

- W takim razie musisz być słodka z natury.

Zanim zdołała pojąć, co do niej mówi, znowu ją całował, a ich języki splotły się ze sobą namiętnie. Jego język wsuwał się do jej ust i wysuwał, aż zrozumiała, że to zachęta, by podążyła za nim.

Dreszcz przeszedł ją na samą myśl, a w podbrzuszu zagościł znajomy skurcz. Eliza zebrała całą odwagę i zrobiła to, o co prosił.

Czas przestał istnieć, zatraciła się kompletnie w tych niezwykłych doznaniach. Nikt i nic się nie liczyło oprócz Kita, oprócz niewysłowionej przyjemności jego pocałunków.

Niespokojnie poruszyła się na sofie, ocierając udem o jego nogę. Miała wrażenie, że za moment eksploduje z rozkoszy. Przedtem chciała, żeby ziemia zadrzała pod jej stopami i, na miły Bóg, ziemia właśnie drżała.

Wyciągnęła dłoń, żeby pogłaskać gładko wygolone policzki. Przesunęła ją i zanurzyła palce w gęstych włosach Kita, przyciągając go bliżej do siebie.

Jęknął, przewrócił ją do tyłu na stertę poduszek, leżących na kanapie, i sam położył się obok. Wsuwając rękę pomiędzy nich, chwycił jej pierś i zaczął delikatnie pieścić ciało dziewczyny. Sutek natychmiast stwardniał pod jego dotykiem.

Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi.

Kit momentalnie zeszywniał i się odsunął, gwałtownie przerywając pocałunek.

Zamrugnęła, osłabła z oszołomienia.

- Kit?

- Lekcja skończona. - Usiadł, mówiąc to, a jego głos był chrapliwy i szorstki.

Lekcja? No tak. Zapomniała, że ich pocałunki były częścią lekcji.

- Usiądź - nakazał. - I popraw włosy.

- Och. - Postanowiła się nie obrażać za ten ostry ton. Wydo stała się spod poduszek, przeczesując włosy palcami.

- Lepiej?-zapytała po chwili.

Rzucił jej chłodne spojrzenie i, sięgnąwszy ku niej ręką, poprawił kilka loczków.

- Ujdzie. Całe szczęście, że masz krótkie włosy. Inaczej... - urwał znacząco.

Wyciągnęła do niego rękę, ale zerwał się z kanapy i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

- Ten ostatni pocałunek... cóż, posunąłem się odrobinę za daleko. Tego nie było w planach. Proszę o wybaczenie.

Wybaczenie? A więc już żałował tego, co zaszło między nimi. Zanim jeszcze żar opuścił ich ciała.

- Z pocałunkami tak czasem jest - wyjaśnił.

- Tak? - Żołądek skręcił jej się nerwowo w przewidywaniu najgorszego.

- Tak. Łatwo się zatracić, dać się ponieść chwili.

- Rozumiem.

- Naprawdę? To dobrze, bo nie chciałybym, żebyśmy przez to czuli się niezręcznie. To, co tu robiliśmy, było zwykłym ćwiczeniem. Ty chciałaś się nauczyć całować, a ja ci to pokazałem. Nic więcej.

Czyżby? - pomyślała Eliza ze smutkiem. Może dla niego to było tylko ćwiczenie, ale dla niej z pewnością coś więcej.

Kit założył ręce na piersi.

- Byłaś ciekawa, więc zaspokoiłaś swoją żądzę wiedzy. Choć dla twojego własnego dobra radzę ci, żebyś za szybko nie wykorzystowała tych nowo nabytych talentów.

Jej twarz stężała.

- Nie sądzisz, że powinnam podczas tego sezonu doskonalić swoje umiejętności, pozwalając atrakcyjnym mężczyznom zwabiać się w zarośla?

- Na pewno nie! - Gniewna zmarszczka pojawiła się na czole Kita.

- A to dlaczego? Ty możesz.

- Co mogę?

- Zwabiać dziewczęta do ogrodu. Widziałam cię wiele razy w takich sytuacjach i przypuszczam, że to stąd pochodzi twoja dogłębna znajomość sztuki uwodzenia. Dzisiejsza lekcja, jak sądzę, nie była pierwszą, jakiej udzielałeś.

O ile to możliwe, zmarszczka najego czole pogłębiła się jeszcze.

- To, co robię albo czego nie robię z dziewczętami w ogrodowych zaroślach, nie dotyczy cię w żadnym stopniu.

Riposta zaboląła jak policzek.

- A więc i ciebie nie powinno obchodzić, co ja będę robić z dżentelmenami. - Opuściła wzrok, bojąc się, by nie dojrzał cierpienia w jej oczach. - No dobrze, dziękuję ci za nader pouczające wskazówki. Parę dni temu kupiłam sobie nową książkę u Hatcharda i właśnie miałam ochotę do niej usiąść, tak więc, jeśli to już wszystko...

- Jak najbardziej. - Twarz Kita była maską obojętności.

Wstała, wygładziła spódnice i udała się w stronę drzwi.

- Elizo?

Zatrzymała się z ręką na klamce, a serce znowu uderzyło żywym rytmem.

- Tak?

- Cokolwiek masz zamiar zrobić, proszę, bądź ostrożna. Nie pozwól, by ktoś cię zranił.

- Nie obawiaj się - odpowiedziała lekko. - Ja zawsze jestem ostrożna.

A co do ostrzeżenia - na to było już za późno.

12

Kit wychylił resztkę szampana, nie spuszczać z oczu Elizy, która wirowała właśnie w objęciach swojego najnowszego partnera.

Dwie godziny temu, gdy dotarli na raut u Lymondhamów, była jeszcze pełna obaw i wątpliwości.

- A jeśli zapomnę, jak prowadzić kurtuazyjne pogawędki? - Pytała zduszonym szeptem, gdy pomagał jej wysiąść z książęcego powozu. - A jeśli wszystko, czego mnie uczyłeś przez ostatnie tygodnie, nagle wywietrzeje mi z głowy? - naciskała, gdy prowadził ją po schodach tuż za Adrianem i Violet. - A jeśli nikt nie poprosi mnie do tańca i zacznę ten sezon tak, jak wszystkie poprzednie, siedząc samotnie pod ścianą?

Ale niepotrzebnie się martwiła.

Po pierwsze, wyglądała prześlicznie - aż mieniła się w sukni z ciemnoróżowej satyny, która przydawała barwy jej jasnej cerze i rozświetlała oczy tak, że lśniły niezwykle srebrną barwą. Ciemne loczki tańczyły zalotnie wokół jej twarzy, przyciągając męskie spojrzenia.

Ledwie weszli na salę, przywitawszy się z gospodarzami, gdy podszedł do nich jakiś dżentelmen, prosząc Elizę o pierwszy taniec. Przez dłuższą chwilę stała przerażona, niczym sarna wytropiona przez myśliwego. Zerknęła nerwowo na Kita, szukając u niego

otuchy i pytając wzrokiem, czy partner jest odpowiedni. Ponieważ młodzieniec był synem szanowanego baroneta, Kit skinął niedostrzegalnie głową. Jak za dotknięciem różdżki, Eliza odzyskała głos i skwapliwie przyjęła zaproszenie.

Pierwszy taniec Elizy udał się nadspodziewanie. Kit, przechadzając się po sali, słyszał liczne domysły i widział zaskoczone spojrzenia rzucone na dziewczynę. Wiele osób nie mogło się nadziwić jej przemianie. Inni mówili tylko o odziedziczonym majątku. Kit starał się ignorować te komentarze, wiedząc, że niezależnie od tego, co powie lub zrobi, ludzie i tak będą gadać.

Gdy muzyka przebrzmiała, syn baroneta odprowadził Elizę do miejsca, gdzie stała Violet, i skłonił się uprzejmie na pożegnanie. Kit właśnie się zastanawiał, czy nie powinien może poszukać dla niej nowego partnera, gdyby przypadkiem nikt się nie pojawił, ale zauważył, że u boku Elizy stanął jego przyjaciel, lord Vickery, i ukłonił się dwornie.

Dojrawszy w jego oczach znajomy błysk złośliwości, który widywał nie raz, nie dwa podczas gry w karty, Kit pospieszył w ich stronę. Nie zdążył jednak interweniować, bo Eliza i Vickery już zmierzali na parkiet.

Vickery, kpiarz, który wodził rej w towarzystwie i miał najostrzejszy język w całym Londynie, na pewno rozniesie Elizę na strzępy! Ale o dziwo później, nie dalej, jak minutę po tym, młody lord odrzucił głowę w tył, wybuchając szczerym śmiechem i - o ile Kit mógł dojrzeć - wcale się nie śmiał z Elizy. Uspokojony, przyglądał się więc nadal, jak jego przyjaciel powoli ulega urokowi dziewczyny. Kiedy odprowadzał ją po skończonym tańcu, wciąż trzymał ją pod ramię, jakby nie chcąc się z nią rozstać.

Elizę porwał do tańca kolejny dżentelmen, a Vickery zatrzymał się u boku przyjaciela, klepiąc go serdecznie w ramię.

- No, kolego, jestem ci dłużny skrzynkę najlepszego francuskiego szampana.

- A to za co?

- Za pannę Hammond, rzecz jasna. Nie wierzyłem, że to możliwe, ale dokonałeś prawdziwego cudu. Nie tylko wypiękniała ponad wszelkie oczekiwania, ale jest po prostu rozbrajająca. Opowiedziała mi historyjkę o tym wielkim psisku księżnej. Dawno się tak nie śmiałem. Prawdziwa Eliza Hammond ukrywała się przez te wszystkie lata, a ty, spryciarzu, znalazłeś do niej kluczyk i wypuściłeś na wolność.

Czy to właśnie zrobiłem? Kit się zamyślił. Uwolniłem Elizę? Czy raczej ona sama tego dokonała?

Jeśli zaszła w niej jakaś zmiana pod wpływem ich lekcji, to tylko dlatego, że ona sama wydobyła z siebie to, co najlepsze. Być może pomógł jej nieco po latach krytyki i zaniedbania, ale to jej własna siła sprawiła, że ta wspaniała kobieta dojrzała i rozkwitła jak olśniewający kwiat, który nareszcie mógł cieszyć się światłem i ciepłem.

Patrzył, jak Eliza tańczy w ramionach kolejnego partnera, z rozpromienioną twarzą. Niech to lichy porwie, kiedy ona tak wyładniała? Co więcej, od kiedy to stała się taka kusząca?

Od incydentu w gabinecie upłynęły dwa dni, a Kit ciągle nie mógł zapomnieć jej pocałunków. Nie potrafił wyrzucić z pamięci smaku jej ust i słodkiego zapachu, który wciąż otaczał go delikatnym obłokiem. Z początku nieporadna, szybko się zorientowała, o co chodzi. Doprawdy, kto by pomyślał, że cicha, nieśmiała Eliza Hammond będzie tak całować?

Wciąż pamiętał dotyk jej miękkich, ciepłych warg na swoich. Jej usta, jej język były tak gładkie, tak słodkie, że krew uderzyła mu do głowy i niemal stracił poczucie przyzwoitości.

Choć trzeba uczciwie przyznać, że to, co zrobili, od samego początku niewiele miało wspólnego z przyzwoitością. Powinien był od razu jej odmówić. Co go opętało, że dał się nakłonić do nauki całowania?

Kit sięgnął po kolejny kieliszek szampana i wychylił go jednym haustem, chcąc zwilżyć nagłą suchość w gardle.

No cóż, to chwilowe szaleństwo, któremu oboje ulegli, należy już do przeszłości i nigdy się nie powtórzy. Jest przecież jego

przyjaciółką i przyjaciółką Violet, na miłość boską - dla niego raczej młodszą siostrą niż kobietą, którą powinien się interesować. Nigdy nie odczuwał pokusy, żeby skraść całusa Violet, więc dlaczego jego uczucia względem Elizy nie były czysto braterskie?

Na szczęście nie będzie już więcej lekcji z Elizą. Oboje odzyskają swobodę i każde powróci do dotychczasowego trybu życia. Rzecz jasna, będzie miał na nią oko podczas sezonu, żeby ją w razie czego przestrzec przed zalotnikami o złych zamiarach - oszustami, hulakami i łowcami posagów. Tak, by nie spotkała jej krzywda. Poza tym, jak sądził, posiadała wszystkie niezbędne atrybuty, żeby znaleźć odpowiedniego męża.

Tylko dlaczego ta myśl tak mu ciążyła na duszy?

Eliza świetnie sobie radziła tego wieczoru, nie spodziewał się, że aż tak dobrze będzie się umiała znaleźć wśród elity. Powinien być z niej dumny. Co znaczy: „powinien”? Przecież jest z niej dumny. A w każdym razie na pewno będzie, gdy tylko nieco ochłonie i sam zacznie się bawić na przyjęciu. Z tą myślą odstawił kieliszek i wyruszył na poszukiwanie sympatycznej partnerki do tańca. Im ładniejsza, tym lepsza, zdecydował.

Przetańczywszy dwa tańce, stwierdził, że humor mu się poprawił. Właśnie odprowadził do nadopiekuńczej matki piękną pannę Quigby, w głębi duszy rad z pozbycia się chichotliwej debutantki. Odwrócił się na pięcie i rozejrzał po sali, usiłując wypatrzeć Elizę.

Zmarszczył brwi, dojrawszy ją siedzącą na uboczu, niedaleko grupki starszych pań. Może jednak wieczór nie układał jej się tak dobrze, jak mu się zdawało.

Przeszedł przez salę, skinąwszy jedynie głową wesołej gromadce przyjaciół, którzy przywoływali go machaniem ręki. Nie zatrzymał się, by z nimi porozmawiać.

- Elizo, co ty tu robisz? - zapytał bez zbędnych wstępów, siadając obok na krześle.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się lekko.

- O, Kit. Myślałam, że tańczysz. Widziałam cię niedawno na parkiecie z jakąś żywiołą brunetką.

- A, tak. Panna Quigby. - Machnął ręką lekceważąco na wspomnienie dziewczęcia. - A ty czemu nie tańczysz?

- Och, tańczyłam cały czas. Aż za dużo, muszę chwilę odpocząć. - Wyciągnęła przed siebie stopy, obute w jedwabne pantofelki. - Odkryłam, że moje nogi nie są przyzwyczajone do takiego wysiłku.

Kit odetchnął z ulgą.

- A więc nie czujesz się zaniedbana?

- O nie. Jak na razie, bawię się wyśmienicie. Wszyscy przyjęli mnie życzliwiej, niż się spodziewałam. A kilkoro starych znajomych miało na tyle przyzwoitości, żeby się zawstydzić, że nie od razu mnie rozpoznali. Chyba byli też zażenowani, że w przeszłości nie zawsze traktowali mnie uprzejmie. Wstyd się przyznać, ale z przyjemnością patrzyłam na ich zakłopotanie.

Kit uśmiechnął się na to.

- Uważam, że zasłużyłaś sobie na taką przyjemność. A co powiesz na to, żebyśmy zatańczyli? Oczywiście, jeśli nogi już cię nie boją. Jeszcze z tobą dziś nie tańczyłem. A ponieważ to ostatni taniec przed kolacją, możemy potem razem zjeść. Upatryłem świetny stolik...

- Przykro mi, Winter - przerwał mu znajomy aksamitny głos. - Ale ta dama mnie już obiecała i taniec, i towarzystwo przy posiłku.

Kit zerknął w górę.

- Brevard. Nie zauważyłem cię.

- Przyjechałem trochę spóźniony. Moja młodsza siostra się przeziębiła, więc musiałem się upewnić, że wszystko z nią w porządku, zanim wyjdę z domu. Katar jej okropnie dokucza. Miałem zamiar zostać, ale Franny nie chciała o tym słyszeć. Po prostu wyrzuciła mnie za drzwi. - Brevard pokiwał głową współczująco.

- Czyż to nie przemiłe, że lord Brevard tak się troszczy o siostrę? - Eliza uśmiechnęła się ciepło do wicehrabiego.

Skoro tak cholernie się o nią troszczy, to mógł zostać w domu, zaklął w myślach Kit.

Wstał i oparł dłoń na biodrze.

- Więc jak tam nasza mała Franny? - zapytał z wymuszonym uśmiechem. - Kiedy ją ostatnio widziałem, ledwo wyrosła z pieluszek.

- O, jest już dorosła, a przynajmniej za taką się uważa. Ma osiemnaście lat i w tym sezonie zacznie bywać. Przyszłaby i dzisiaj, gdyby nie choroba. Była bardzo nieszczęśliwa, że omija ją taka zabawa i kazała mi opowiedzieć sobie wszystko z najdrobniejszymi szczegółami jutro przy śniadaniu.

- Na pewno doskonale pan sobie poradzi, milordzie - powiedziała Eliza. - Niech pan tylko nie zapomni przyjrzeć się kreacjom pań. Przypuszczam, że pańska siostra będzie chciała wiedzieć, jakie kolory i kroje były dziś *en vogue*.

Eliza znakomicie opanowała lekcje, pomyślał Kit. Miesiąc temu do głowy by jej nie przyszło, żeby rozmawiać o modzie. Ba, miesiąc temu miałyby kłopot, żeby w ogóle się odezwać. Poczul nagły przypływ dumy z jej osiągnięć.

Ale ta chwila szybko minęła, bo Brevard właśnie zwrócił na nią spojrzenie błękitnych oczu i rozchylił wargi w olśniewającym uśmiechu.

- Dziękuję za świetną wskazówkę, panno Hammond - powiedział. - Na pewno bez żadnych trudności będę umiał opisać pani uroczy strój, jak też i równie uroczą damę, która go nosi.

Kit ledwo powstrzymał grymas, cisnący mu się na twarz.

Eliza wdzięcznym skinieniem przyjęła komplement.

- Nazbyt pan łaskaw, milordzie. Proszę przekazać moje pozdrowienia siostrze. I niech jej pan ode mnie życzy szybkiego powrotu do zdrowia.

- Nie omieszkam. Będzie jej z pewnością bardzo miło, mimo że pani jeszcze nie poznała.

- Zobaczymy się na pewno, kiedy poczuje się lepiej. Już się cieszę na myśl o tym spotkaniu.

- I ona będzie się cieszyć. Ale, o ile się nie mylę, tancerze już się ustawiają na parkiecie.

Kit się zorientował, że Brevard ma rację, bo kwartet muzyków wrócił już na miejsca po przeciwnej stronie sali i słychać było pierwsze próbne tony kolejnego utworu.

Brevard wyciągnął rękę do Elizy, która się podniosła i oparła dłoń na jego ramieniu.

- Winter. - Wicehrabia skinął mu głową.

Eliza posłała mu zadowolony uśmiech.

- Lordzie Christopherze. - I Brevard porwał ją do tańca.

Lordzie Christopherze?

Co u licha? Od tygodni nie używała tego napszonego tytułu. No ale może w towarzystwie wypada zachować konwenanse. Nie mogli już mówić do siebie „Kit” i „Elizo”, przynajmniej nie przy innych. Wiele rzeczy się teraz między nimi zmieni. W zasadzie powinien się cieszyć, tłumaczył sobie. Koniec z obowiązkami nauczyciela.

Dlaczego wszelka radość nagle z niego uleciała?

Nie chcąc zagłębiać się w powody, opuścił salę balową i udał się do pokoju gier. Uznał, że zupełnie nie jest w nastroju do tańca.

- Musisz być wniebowzięta.

W mrocznym wnętrzu powozu Eliza spojrzała na siedzącą obok przyjaciółkę. Adrian i Kit zajmowali siedzenie po przeciwnej stronie.

- Wiesz, teraz, kiedy to powiedziałaś, dochodzę do wniosku, że chyba rzeczywiście jestem zadowolona. - W jej głosie słychać było zdumienie.

- I masz prawo być. - Violet wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po dłoni. - Byłaś fenomenalna, wszyscy o tobie mówili, i to w samych superlatywach. Teraz już całe miasto będzie wiedziało, jak prześlicznie wyglądasz, i że przewyciężyłaś w końcu nieśmiałość. Przetanńczyłaś prawie wszystkie tańce, panowie nie odstępowali cię na krok.

- To był wspaniały wieczór.

Mało powiedziane. To było chyba najbardziej udane przyjęcie, w jakim Eliza kiedykolwiek brała udział, może z wyjątkiem tego balu, na którym Kit po raz pierwszy poprosił ją do tańca i namówił

przyjaciół, żeby zrobili to samo. Ale dziś Kit nie musiał jej ratować od podpierania ścian, bo chętnych partnerów miała więcej niż tańców do dyspozycji i wyglądało na to, że tym razem nikt nie musiał ich do tego namawiać.

Przyjechała na przyjęcie, nie wiedząc, czego się spodziewać, drżąc ze strachu, że znowu coś jej się nie uda i że już na samym wstępie kolejny sezon okaże się porażką. Ale panowie pojawiali się u jej boku jeden po drugim, przez cały wieczór. Prawdę mówiąc, doświadczenie to było dla niej całkiem nowe i jeszcze nie mogła się z nim oswoić.

- I tańczyłaś dwa razy z lordem Maplewoodem - ciągnęła Violet. - Jest wprawdzie wdowcem, i to starszym od ciebie o kilka lat, ale to przeuroczy człowiek.

- Tak, był bardzo miły. Cały czas rozmawialiśmy o teatrze. Często ogląda sztuki i świetnie zna Szekspira. Doskonale się przy nim bawiłam.

- Widziałam cię jeszcze z panem Carstairsem, lordem Vickerym i, rzecz jasna, z lordem Brevardem, który porwał cię przed kolacją. Sporo młodych dam pospuszczało nosy na kwintę, jak zauważyłam. Jeanette mówiła mi, że Brevard to najlepsza partia w tym sezonie. Jak by powiedziała moja mama, jest wart dwadzieścia tysięcy rocznie, więc nie musisz się obawiać, że jego zainteresowanie tobą wypływa z pobudek materialnych.

Eliza pogładziła palcem futrzaną pelisę.

- Myślę, że po prostu był szarmancki. Nie sądzę, żeby się mną szczególnie interesował.

- Jeszcze zobaczymy. Zresztą szczególnie zainteresowany czy nie, musisz przyznać, że nie można narzekać na towarzystwo tak przystojnego mężczyzny.

- A od kiedy to pani zauważa dzielnych, przystojnych mężczyzn, madame? - Z siedzenia naprzeciwko dobiegł głos Adriana. - Przypominam, że jest pani zamężna.

- Zamężna może jestem, ale na pewno nie ślepa. I pomimo naukowych upodobań, zawsze potrafiłam docenić piękno przystojnej męskiej twarzy. Jak sądzisz, dlaczego się w tobie zakochałam?

Adrian, rozbawiony, parsknął śmiechem i opadł na siedzenie.

- Kit, dlaczego tak cicho siedzisz? - Violet zwróciła się do szwagra. - Jak oceniasz debiut Elizy?

Odchrząknął.

- Kto? Ja? Och, zgadzam się w zupełności, Eliza dziś triumfowała. Świetnie się spisała, przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Jako jej mentor, a raczej były mentor, bo przecież nasza nauka dobiegła już końca, muszę powiedzieć, że była nader pilną i zdolną uczennicą, zasługującą na wszelkie pochwały.

- To dzięki twoim pouczeniom.

Kit machnął niedbale ręką.

- Nie, ty tego dokonałaś. A skoro dziś odniosłaś sukces, spodziewam się, że bez trudu znajdziemy dla ciebie dobrego męża. Jutro rano pewnie nasz dom zamieni się w kwaciarnię, kiedy twoi liczni wielbiciele zaczną przysyłać bukiety. Nim się obejrzysz, będziesz miała na palcu obrączkę, a my będziemy ci machać na pożegnanie, patrząc, jak odjeżdżasz w podróż poślubną. To będzie cudowny dzień, nieprawdaż? Cały plan Violet do tego właśnie zmierzał.

- Tak, oczywiście. - Eliza była rada, że ciemności, zalegające w powozie, skrywają jej twarz.

Maż i małżeństwo to dokładnie to, czego pragnę, powtórzyła sobie. Tak właśnie, jak powiedział Kit. Ale czy on musi o tym mówić z takim entuzjazmem? Czy aż tak bardzo chciałby, żeby wreszcie zniknęła z jego życia?

Zadowolenie, które towarzyszyło jej przez cały 'Wieczór, nagłe gdzieś znikło. Jak nocna mgła pod dotknięciem nieubłaganych promieni słońca. Splotła ręce na kolanach i wsłuchiwała się w odgłosy nocy. Turkot kół na bruku, wołanie stróża nocnego.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Kit, kiedy parę minut później stanęli przed Raeburn House. Wskoczył z powozu jako pierwszy, po nim wysiadł Adrian i obaj pomogli damom zejść na ziemię.

- Vi, czy poprosiłaś Francois, żeby coś dla nas przyszykował?
- Kit zwrócił się do szwagierki, gdy wszyscy czworo wchodzili do

domu. - Czy może mam iść do kuchni i zobaczyć, co uda mi się wyszperać w spiżarni?

- Wiesz dobrze, że masz zakaz wstępu do kuchni. - Violet ściągnęła rękawiczki i podała lokajowi wieczorową pelerynkę. - Francois omal nie złożył wymówienia ostatnim razem, kiedy postanowiłeś „poszperać” w jego królestwie. Nie mogą sobie pozwolić na to, żeby się na nas obraził, dobry francuski kucharz to prawdziwy skarb. Znam co najmniej dziesięć domów, w tym jednego księcia krwi, gdzie zatrudniono by go w okamgnieniu. Ale, pamiętając o twoim żołądku bez dna, poleciłam, żeby w bawialni naszykowano małe *co* nieco.

- Violet, jesteś wspaniała. - Mrugnął do niej. - Kto jeszcze ma ochotę na przekąskę?

- Ja chętnie napiję się brandy. - Adrian skierował się w stronę schodów.

- Ja dziękuję. - Violet uniosła spódnicę i podążyła za mężem. - Muszę zajrzeć do Georgianny. Pewnie jest głodna.

Eliza weszła na schody za Kitem i oboje zatrzymali się na półpiętrze. Kit odwrócił się do niej, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jej istnieniu.

- A ty, Elizo? Przyłączysz się do nas?

W gardle miała wielką kulę. Pokręciła głową.

- To był wieczór pełen wrażeń. Lepiej pójdę się położyć.

- Zatem dobrej nocy.

Przez moment wyglądał, jakby miał zamiar powiedzieć coś jeszcze. Ale zamiast tego zamknął usta i zamilkł na dobre. Stał przed nią, kiwając się na piętach i najwyraźniej miał ochotę opuścić ją czym prędzej.

- Dziękuję, dobranoc - powiedziała i poszła do sypialni zmęczonym, osowiałym krokiem.

Gromki śmiech dobiegał zza drzwi salonu na parterze.

- Co to za harmider? - Kit zwrócił się do Marcha, wchodząc przez frontowe drzwi rezydencji Raeburn. Gdy podawał majordomusowi kapelusz i rękawiczki, powietrze przeszły kolejny głośny wybuch wesołości.

- To panna Hammond przyjmuje popołudniowe wizyty, milordzie. Głównie panów.

Kit przetrawił tę nowinę.

- Hm.

- Półtorej godziny temu jego książęca wysokość zareagował podobnie i wyszedł do klubu. Mówił coś, że chciałby móc usłyszeć własne myśli.

Kit uśmiechnął się blado.

- Jak długo już tam siedzą?

- Pierwsi goście zaczęli się schodzić zaraz po lunchu - March urwał. - Jeśli pan pozwoli, milordzie, chciałbym pogratulować sukcesu. Musi pan się cieszyć, widząc, jak wspaniale panna Eliza radzi sobie w tym sezonie. Mnie i reszcie służby trudno było nie zauważyć, jak ciężko pan z nią pracował, więc pewnie jest pan zachwycony.

Kit powstrzymał się przed gniewnym grymasem.

- O tak, absolutnie zachwycony.

Chwilę później wysoki mężczyzna w granatowym surducie wyszedł z salonu, stukając obcasami o marmurową posadzkę. >

Kit, zaskoczony, uniósł wysoko brwi.

- Vickery? A ty co tutaj robisz?

Przez twarz przyjaciela przemknął wyraz lekkiego zakłopotania.

- Winter. Czyżbyś dopiero wrócił z targów w Raycroft?

- Tak, właśnie wszedłem do domu. - Kit założył ręce na piersi.

- Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że cię tam spotkam. Wystawiono na sprzedaż mnóstwo fantastycznych koni, szkoda, żeś to przegapił.

- No tak, ale w moich stajniach właściwie już pełno, a poza tym... miałem na dziś inne plany.

Jak widać. Ciekawe, jak długo to trwa? Vickery zaleca się do Eliza Hammond? Pomyśleć tylko, że nie tak dawno, siedząc naprzeciw niego, obmawiał Elizę, nie pozostawiając na niej suchej nitki. Ciekawe, czy odprawiłaby go z kwitkiem, gdyby o tym wiedziała?

- Cóż, miło cię było zobaczyć - powiedział Vickery. - Pewnie spotkamy się jutro, bo panna Hammond obiecała, że da się zabrać na przejażdżkę moim nowym powozem.

No proszę, teraz już ją zabiera na przejażdżki. Czy ten człowiek nie ma wstydu?

Kit powstrzymał grymas niezadowolenia.

- Tylko nie jedź za szybko, żeby ci nie wypadła gdzieś na zakręcie.

Vickery przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. W końcu uznał, że Kit żartuje.

- Ha, ha, nie obawiaj się. Będzie bezpieczna jak niemowlę w kołysce.

- I kołyski się przewracają.

- Ta się nie przewróci. Nic jej nie będzie, już ja się o to postaram.

- Nie wątpię.

Vickery uśmiechnął się do niego niewyraźnie, po czym z wdzięcznością przyjął z rąk Marcha swój kapelusz. Nasadziwszy go na głowę, skinął Kitowi na pożegnanie i wyszedł.

Nim jeszcze majordomus zdążył zamknąć za nim drzwi, w progu pojawił się kolejny dżentelmen.

- Witaj, March. - Wicehrabia Lancelot Brevard przywitał się jak ze starym znajomym. - Jak się miewasz tego pięknego popołudnia?

- Świetnie, milordzie. A pan?

- Wyśmienicie.

- Panna Hammond jest w salonie, milordzie. - March pospieszył z informacją, doskonale znając cel wizyty wicehrabiego.

Brevard podziękował służącemu, po czym odwrócił głowę. Oczy mu błysnęły.

- Winter. Nie zauważyłem cię.

Kit wcisnął ręce w kieszenie spodni.

- Nie miałem zamiaru się zrazić.

Brevard zaśmiał się lekko.

- Wchodzisz? - Znowu śmiech dobiegł zza drzwi salonu.

- Wydaje się, że nieźle się tam bawią.

- Na to wygląda. Ale nie, idę do siebie, - Strzepnął niewidoczny pyłek z kłapy surduta. - Mam plany na wieczór.

- A, czyli nie zobaczymy cię dziś w operze?

- My?

- Tak, panna Hammond obiecała wybrać się tam dziś wieczorem ze mną i z moją siostrą. Przyszedłem uzgodnić ostatnie szczegóły.

- Nigdy nie przepadałem za operą.

- No cóż, to jest rzecz, którą albo się lubi, albo nie. - Brevard oparł dłoń na biodrze. - Szkoda, że minęliśmy się ostatnio u Jacksona. Masz tam fantastyczną reputację. Podobno znowu rozłożyłeś na deskach jego najlepszego zawodnika.

Kit skinął głową.

- Staram się nie wyjść z wprawy.

- Któregoś rana musimy umówić się na pojedynek. - Brevard uśmiechnął się zachęcająco.

- Jasne, z przyjemnością.

- Pójdę już przywitać się z damami. Do zobaczenia, Winter. '

- Do widzenia.

Gdy Brevard wchodził do salonu, melodyjny głos Elizy, witającej nowo przybyłego, wybił się ponad inne.

A więc wybierała się z nim wieczorem do opery? Nawet nie wiedział. Właściwie nie znał już jej rozkładu zajęć tak dobrze, jak kiedyś. W ciągu tych trzech tygodni, jakie upłynęły od balu u Lymondhamów i jej powtórnego wejścia w towarzystwo, ich drogi stopniowo zaczęły się rozchodzić.

Nie było już wspólnych poranków, spędzanych w domu na lekcjach, ani konnych spacerów po parku. Teraz Eliza zabierała Casiopeię na przejażdżki popołudniami. Wpadła w wir ciągłych balów i przyjęć, więc udzielił jej się zwyczaj późnego wstawania, często nawet jadła śniadanie w swoim pokoju. Widywał ją przy różnych okazjach towarzyskich, ale zawsze otaczali ją wierni wielbiciele, toteż nie chciał przeszkadzać.

Oczywiście, czuwał nad nią z daleka. Kiedyjakiś utracysz o nie najlepszej reputacji, znany z pociągu do hazardu i kobiet, próbował się przyłączyć do kółka zalotników Elizy, Kit dyskretnie brał go na bok i wyjaśniał, że jego osoba nie jest tu mile widziana.

Opiekuńcza postawa Kita nie uszła uwadze jego kompanów, którzy dopóty dokuczali mu nową „siostrzyczką”, dopóki się nie zorientowali, że go to zupełnie nie bawi. I że lepiej na tym wyjdą, jeśli zachowają takie docinki dla siebie.

Kit wbił wzrok w drzwi salonu. Przez dłuższą chwilę się zastanawiał, czy nie wejść do środka za Brevardem, ale zamiast tego odwrócił się na pięcie i zaczął wchodzić na piętro, wbiegając po dwa schodki naraz. Nie miał najmniejszej ochoty patrzeć, jak Eliza się śmieje i flirtuje ze swoimi adoratorami. Jak na kobietę, która niedawno obawiała się spojrzeć mężczyźnie w oczy, świetnie się czuła w swojej nowej skórce, sarknęła w duchu. Czasem ledwo ją rozpoznawał i zastanawiał się, gdzie się podziała tamta słodka, nieśmiała dziewczyna.

Ale czy nie o to właśnie im chodziło? Czy ich lekcje nie miały sprawić, że zniknie dawna Eliza, a pojawi się jej nowe, śmielsze wcielenie? Powinien być zadowolony i cieszyć się razem z nią.

Tymczasem czuł się... do diaska, sam już nie wiedział, jak się czuje. W każdym razie, na pewno za nią tęsknił.

Aż przystanął, chwytając się ręką poręczy.

Tęsknił za nią? Tęsknił za cichą, powściągliwą, do znudzenia poważną Elizą Hammond, która kiedyś tak niewiele dla niego znaczyła, że przed laty Violet musiała praktycznie wypchnąć go na parkiet, żeby z nią zatańczył?

Właśnie zdał sobie sprawę, że Eliza nie była już ani szczególnie cicha, ani powściągliwa. A jego nie trzeba byłoby namawiać, żeby ją poprosił do tańca. I wcale go nie nudziła. Wręcz przeciwnie, uświadomił sobie, że jej towarzystwo sprawiało mu prawdziwą przyjemność.

Jej subtelne uśmiechy i inteligentne komentarze. Jej dźwięczny śmiech i sposób, w jaki zawieszala głos, zanim powiedziała coś szczególnie istotnego. Jej delikatność, czasem niepewność, kiedy szukała u niego otuchy, spoglądając na niego gołębimi oczami, nim w końcu przełamyla lęk. Kiedy mówiła, to dlatego, że rzeczywiście miała coś wartościowego do powiedzenia. Kiedy milkła... cóż, już nie krępowało go jej milczenie, było raczej odprężające jak łagodna, rześka bryza w ciepły, słoneczny dzień.

I jej pocałunki. Poczuł skurcz w łędźwiach na samo wspomnienie smaku jej ust. Pokręcił głową i ruszył po schodach. Nic mu po takich myślach. Nie ma *co* za nią tęsknić. Na Elizę Hammond czekało życie, w którym on sam będzie najwyżej przyjacielem, widzianym od czasu do czasu.

Na tę myśl między brwiami Kita pojawiła się zmarszczka. Nie, pomyślał, nie chce mieć w Elizie przyjaciółki. Więc kogo zatem?

Kochankę?

Spochmurniał, bo ten skandaliczny pomysł wydał mu się nadzwyczaj interesujący. Tak łatwo było to sobie wyobrazić. Ach, gdyby tak poprowadzić dalej jej edukację i nauczyć ją czegoś więcej niż tylko kilku namiętnych pocałunków?! Ale była to droga najeżona niebezpieczeństwami, od których dżentelmen powinien trzymać się z daleka. A zresztą, długo nie będzie za nią tęsknił. Za kilka tygodni te dziwaczne uczucia zblakną jak niechciana opalenizna.

Z dołu dobiegły go nikłe odgłosy śmiechów.

Mruknął gniewnie pod nosem i pomaszerował do pokoju. Choć wybuchy złości nie leżały w jego charakterze, głośno trzasnął za sobą drzwiami.

- Dziękuję za przemiły taniec, milordzie.

Eliza rozłożyła wachlarz i powiewała nim leniwie przed twarzą, gdy lord Maplewood sprowadził ją z parkietu. Ten lekki ruch powietrza dobrze zrobił jej rozgrzanym policzkom, bo sala balowa była tego wieczoru wyjątkowo zatłoczona.

Lord Maplewood zauważył chyba jej zmęczenie, bo skłonił ku niej szpakowatą głowę.

- Może szklaneczkę ponczu, panno Hammond?

Podniosła na niego oczy.

- Och, nie chciałabym pana kłopotać.

- To żaden kłopot. Żaden, naprawdę. - Uśmiechną się lekko i bardzo delikatnie zdjął jej rękę ze swojego ramienia. - Proszę tu poczekać, wracam za minutkę.

Eliza stłumiła westchnienie, patrząc za nim, jak przedziera się przez tłum rozbawionych gości, i pożałowała, że zamiast o poncz, nie poprosiła, żeby wezwał książe powóz, który odwiozłby ją do domu. Ale jeszcze przez kilka godzin nie wypadało jej wyjść z przyjęcia. W końcu przysłała tu po to, żeby rozmawiać, tańczyć i bawić się do białego rana.

Nie, żeby czas nie upływał jej przyjemnie - wręcz odwrotnie. Stała grupka wielbicieli zabawiała ją przez cały wieczór, nie dając jej zejść z parkietu, a w przerwach między tańcami częstowali ją prześmiesznymi anegdotkami i wierszykami. Bawiła się świetnie, aż do chwili, kiedy Kit predefilował obok z uczeponą jego ramienia smukłą rudowłosą pięknosną w prześwietlonej, wydekoltowanej szmaragdowo-zielonej kreacji.

Markiza wdowa Pynchon, o ile jej pamięć nie myliła. Młoda i piękna, zaledwie o rok starsza od Kita. Trudno było nie zauważyć, że flirtują ze sobą, i na ten widok żołądek Elizy ścisnął się boleśnie.

Czy markiza była jego kochanką? Czy znała jego pieszczoty? Czy Kit przesuwiał dłonie po jej ciele, przyciskając usta do jej ust tak mocno, że aż miękły jej kolana? Czy kochali się, nadzy, w jednej z tych wymyślnych pozycji, które Eliza widziała w bezwstydnym zielonej książeczce? No cóż, cokolwiek robił Kit albo

też czego nie robił, ze swoją wdową, nie powinno jej w ogóle interesować.

Po tamtej niezapomnianej lekcji całowania - ona przynajmniej nie potrafiła tego zapomnieć - Eliza miała głupią nadzieję, że Kit zmieni co do niej zdanie. Ze powie jej - albo, co byłoby jeszcze lepsze, pokaże - że i w nim jej pocałunki wzbudziły namiętność. Ale Kit nie zabiegał o dalsze spotkania i traktował ją z dotychczasową przyjazną obojętnością. Najwyraźniej był zadowolony, że jest już wolny od obowiązków mentora, skoro Eliza z powodzeniem wróciła na łono society. Pewnie ulżyło mu, że już nie musi spędzać z nią tyle czasu.

Ale, ku jej olbrzymiemu zaskoczeniu, wielu innych kawalerów szukało jej towarzystwa. Cieszyła się takim powodzeniem, że nawet teraz, miesiąc po rozpoczęciu sezonu, wciąż jeszcze nie mogła się temu nadziwić. Należało tylko czekać, który z zalotników oświadczy się o jej rękę. I, co ważniejsze, zastanowić się, którego zdecyduje się przyjąć.

Kątem oka znowu dostrzegła Kita i piękną wdowę. Z ulgą powitała lorda Maplewooda, który przyniósł jej poncz. Podziękowała i - upiwszy nieco aromatyzowanego migdałowego napoju - wachlując policzki, słuchała, jak lord opowiada o swojej pięcioletniej córeczce, którą najwyraźniej uwielbiał.

Pod koniec przerwy u jej boku pojawił się lord Brevard.

- Dobry wieczór, panno Hammond. Pozwolę sobie zauważyć, że jest dziś pani śliczna jak różyczka. - Skłonił się dwornie i rozchylił usta w olśniewającym uśmiechu, który chyba nawet nieboszczka przyjęłaby z żywszym biciem serca.

Eliza odkryła, że nie jest pod tym względem żadnym wyjątkiem.

Uprzejmy, jak zawsze, wicehrabia zwrócił się do jej towarzysza.

- Dobrze się pan dzisiaj bawi, milordzie?

Po krótkiej wymianie uprzejmości lord Maplewood ukłonił się i oddalił na poszukiwanie kolejnej partnerki.

Brevard wyciągnął ramię.

- Zatańczymy? Wydaje mi się, że następny będzie kadryl.

- Milordzie, czy miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy przeszli się na spacer, zamiast tańczyć? Tak tu dziś tłoczno i gorąco.

- Prawda? - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Istny ścisk, jak to mówią. Może wyjdziemy do ogrodu? Gospodyni słynie ze swoich rabat kwiatowych, choć pewnie jeszcze za wcześnie, żeby kwitły róże.

- Propozycja przechadzki brzmi wspaniale. Będę mogła trochę ochłonać.

Opierając rękę na ramieniu odzianym w najprzedniejszy czarny materiał, Eliza wolnym krokiem udała się 'wraz z lordem w stronę drzwi, prowadzących do ogrodu. Pohukiwanie sów i rechot żab zlewało się w nocną muzykę, zupełnie różną od żywiołowej melodii dobiegającej z sali balowej.

Lekki wiaterek poruszył suknią Elizy, przyjemnie chłodząc rozgrzaną skórę. Odetchnęła głębiej z ulgą, że chociaż na parę minut wydostała się z tłumu.

- Już pani lepiej? - zapytał Brevard uprzejmie.

Szli zwirową ścieżką, a kamyki chrzęściły cicho pod ich nogami.

- Tak. Pewnie pan myśli, że to niemądre, uciekać z przyjęcia.

- Skądże znowu. Niektóre przyjemności lepiej dozować po trochu.

Przeszli kawałek w milczeniu.

- Chciałam panu podziękować za to, że towarzyszył mi pan do opery w zeszłym tygodniu - odezwała się Eliza. - Świetnie się bawiłam, kostiumy były przepiękne, a śpiewacy doprawdy wspaniali. To był cudowny wieczór.

Skłonił głowę i znowu uśmiechnął się czarująco.

- Dla mnie również.

- Pańska siostra to przemiła dziewczyna. Widziałam się z nią dziś na balu, tuż po przyjeździe. Bardzo ciekawie mówiła o sztuce.

- O, Franny uwielbia sztukę. O ile jej pozwolić, mówi o niej do upadłego. Jednym z jej ukochanych malarzy jest Turner. Lepiej nie wymawiać tego nazwiska, chyba że chce pani wiedzieć absolutnie wszystko o nim i jego obrazach.

Uśmiechnął się, a Eliza zaśmiała się lekko.

- *A propos* ~ ciągnął wicehrabia. - Franny wymusiła na mnie obietnicę, że zabiorę ją na otwarcie letniej wystawy Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nie chciałaby pani się z nami wybrać? Byłoby nam obojgu bardzo miło.

Eliza przystanęła na moment, po raz kolejny zaskoczona, że lord Brevard zapraszają gdzieś wraz ze swoją rodziną. Gdyby to był ktoś inny, uznałaby to za przejaw uczucia. Ale takie sądziła, żeby wicehrabia Brevard, który mógł mieć każdą kobietę z society, mógł starać się o nią i jej pragnąć. Nie, na pewno był dla niej po prostu uprzejmy.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała. - Brzmi bardzo ciekawie. Z przyjemnością z wami pójdę.

- To dobrze. - Zatrzymał się i dłonią nakrył jej dłoń, spoczywającą w zagłębieniu jego ramienia. - Czy pani nie za zimno? Przejdziemy się jeszcze kawałek?

- Nie jest mi zimno. Chodźmy.

Poszli nieco dalej w głąb ogrodu, gdzie pomiędzy bujnymi krzewami zalegały cienie. Dobiegały ich już tylko nikłe dźwięki muzyki, a w powietrzu rozchodził się delikatny słodki zapach bzu.

Brevard zatrzymał ją.

- Czy już mówiłem, że pięknie pani dziś wygląda?

- Dziękuję za komplement, milordzie, ale proszę mi nie schlebiać. Wiem, że niejestem piękna.

- Jest pani dla siebie bardzo niesprawiedliwa, panno Hammond. Szkoda, że nie może pani zobaczyć siebie moimi oczyma.

- Nazbyt pan dla mnie łaskaw, milordzie.

- Nic z tych rzeczy. Przyjaciele sobie nie kłamią, a znamy się już na tyle dobrze, że chyba możemy uważać się za przyjaciół.

Uśmiechnęła się szczerze.

- Owszem.

- A zatem, droga przyjaciółko, czy wolno mi się do pani zwracać po imieniu?

Zastanowiła się nad jego prośbą.

- Nie widzę w tym nic złego. Oczywiście, że panu wolno.

- Więc i ty musisz mówić do mnie Lance.

Jego głos, głęboki i ujmujący, otulił ją jak nocna bryza. Przypomniała sobie kogoś innego, „przyjaciela”, którego głos tak silnie na nią działał, i zadziwiła ją myśl, jak mocne wrażenie wywierali na niej obaj mężczyźni.

Powiedziała Kitowi, że chce mieć porównanie, choć w tamtej chwili było to jedynie fortelem, który miał go pchnąć w jej ramiona. Ale oto stała właśnie w ciemnym ogrodzie, a przy boku miała obezwładniająco przystojnego mężczyznę. Biorąc pod uwagę okoliczności, może powinna nieco poeksperymentować, postąpić zgodnie z własną deklaracją, że będzie ćwiczyć nowo nabyte umiejętności.

Na tą myśl przeszedł ją lekki dreszcz.

- Więc jednak jest ci zimno - powiedział Brevard z lekkim wyrzutem. - Chodź, odprowadzę cię do środka.

Odwróciła się twarzą do niego.

- Za minutkę. Najpierw chciałabym cię o coś zapytać.

Eliza zebrała całą swoją odwagę, nim spojrzała w lśniące, błękitne oczy.

- Lance, pocałujesz mnie?

W niemych zaskoczeniu jedna z jasnych brwi uniosła się do góry. Po chwili Brevard się uśmiechnął.

- Jeśli tego chcesz, Elizo.

- Chciałabym sprawdzić, czy mi się to spodoba.

Na jego twarz wypłynął leniwy uśmiech drapieżnego kota.

- Więc musimy spróbować.

Wciągnęła powietrze i powoli wypuściła je, gdy Lance wziął ją w objęcia.

Jaki będzie jego pocałunek? - zastanawiała się. Na pewno inny niż Kita, ale lepszy czy gorszy?

Pochylił głowę i natychmiast ich usta się złączyły. Zamknęła oczy i pozwoliła, by uniosła ją fala doznań. Jest miło, uznała, zdecydowanie przyjemnie. Jego wargi, ciepłe i kuszące, poruszały się z dużą wprawą. Nie wyczuwając oporu, pocałował ją mocniej.

Oddała mu pocałunek, rozchylając usta. Poddała się całkowicie jego dotykowi. Nagle zapragnęła pasji i żaru, chciała zapomnieć o wszystkim, oprócz pożądania, chciała, żeby ten pocałunek wypalił z jej pamięci wszelki ślad uczuć do Kita Wintera.

Desperacko pragnęła utonąć w jego objęciach. Serce biło jej szybciej, twarz rozgorzała, mimo nocnego chłodu. Niestety, wciąż pozostawała panią własnych myśli. Lance całował ją umiejętnie i z zapałem, na pewno niejedna kobieta byłaby w tej chwili nieprzytomna z wrażenia. Jego pocałunki były rozkoszne, ale Elizie brakowało jednego.

To nie był Kit.

Odsunęła się, pochylając głowę, by ukryć przed nim nagły wyraz smutku w oczach.

- Pewnie myślisz, że jestem bezwstydna.

- Nie, myślę, że jesteś cudowna - powiedział, zdyszany, jakby nie mógł złapać oddechu.

To jej pocałunki tak na niego podziały?

Zdała sobie sprawę, że nie powinna go była całować, skoro najwyraźniej przeżywał to znacznie silniej niż ona. Zmusiła się, by spojrzeć na niego z uśmiechem.

Zza żywopłotu Kit patrzył, jak Brevard całuje Elizę. Powstrzymał okrzyk wzburzenia, który cisnął mu się na usta. Z całej siły zacisnął pięści.

Wyszedł na zewnątrz, żeby odetchnąć chwilę w samotności i odpocząć w nocnym chłodzie. Chciał też się uwolnić od towarzystwa Marvelli Belqurit, markizy wdowy Pynchon.

Zrobił błąd i zaczął z nią flirtować, a potem pocałował ją trzy dni temu, na balu u Nightonów. Mówiono o niej, że jest wiecznie żądna młodych, jurnych kochanków, którzy byliby kompletnym przeciwieństwem jej osiemdziesięcioletniego męża, szczęśliwie już zmarłego.

Gdy leżał w jej objęciach na sofie w bibliotece, wiedział, że pozwoliłaby mu na więcej niż kilka skradzionych pocałunków

i uścisków. Nietrudno byłoby jednym ruchem odgarnąć spódnicę i wsunąć się w jej gorącą, spragnioną kobiecość, ukoić frustrację i dręczącą niepewność co do kogoś, kogo nie powinien darzyć takimi uczuciami.

Ale ledwo przez myśl przemknęło mu imię Elizy, żądza nagle opadła, toteż Kit szybko zakończył namiętne *tete-a-tete*.

Kiedy więc Marvella zaczęła z nim dziś flirtować, miał zamiar równie szybko zniechęcić ją do miłosnych podchodów. Właśnie otwierała usta, by ją odprawić, gdy zobaczył przechodzącą obok Elizę, wspartą na ramieniu Brevarda, roześmianą i najwyraźniej zachwyconą jego towarzystwem.

A teraz Brevard trzymał ją w ramionach i całował!

Tak, jak mu obiecała, wypróbowywała swoje nowe umiejętności. Czy Brevard był pierwszy, czy może pozwalała na to także innym ze swego grona wielbicieli? Czy dała się pocałować Maplewoodowi? Albo Vickery'emu?

W głębi duszy wiedział, że nie, nie zrobiłaby tego. Mimo, że tak śmiało poczyniała sobie z nim tamtego dnia w gabinecie Violet, był świadom, że Eliza nie jest jakąś rozwiązlą kokietką. Była damą do szpiku kości. Jeżeli więc całowała Brevarda, to znaczy, że *coś* do niego czuje.

Wyglądało na to, że jego przypuszczenie się potwierdziło, kiedy obserwowana para wreszcie odsunęła się od siebie. Brevard podtrzymywał Elizę, która wsparła czoło o front jego koszuli, jakby nie mogąc utrzymać się na nogach. A więc tak wstrząsnęła nią namiętna siła pocałunku, że potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie?

Potem spojrzała na Brevarda z uśmiechem takjasnym, jak gdyby dotyk jego ust był promieniem słońca, który rozświetlił jej życie.

Kit odwrócił wzrok, nie mogąc znieść tego widoku.

Chciał odejść, ale bał się, że go usłyszą i że wyjdzie na podglądacza. Odczekał więc, aż wejdą na salę balową.

Wtedy dopiero odważył się wychynąć zza żywopłotu i wolnym krokiem wrócił do środka.

Kit otarł pot z czoła ręcznikiem, po czym rzucił go czekającemu z boku chłopcu do posług. Chłopak złapał go w locie. Kit wziął od niego szklankę chłodnej lemoniady i wypił ją zachłannie kilkoma łykami.

Obejrzał się przez ramię na swojego dzisiejszego partnera. Rosły mężczyzna opierał się o ścianę, zupełnie bez tchu. We dwóch mieli za sobą dość długą rozgrzewkę, zaczęli od pracy nóg, później przeszli do ćwiczeń rozmaitych pchnięć, kontr i odbić.

Każdy widział, że Kit był w podłym nastroju. Nikt jednak nie śmiał robić uwag na ten temat. Młodzieniec rzucił się w wir walki, bez wytchnienia trenując po kolei różne typy ciosów. Bił się jak opętany, nawet nie robiąc przerw pomiędzy kolejnymi rundami.

I może faktycznie coś go opętało, pomyślał. Wydawało mu się, że zdoła odpędzić demony za pomocą pary bokerskich rękawic i silnego przeciwnika, ale jedyne, co udało mu się osiągnąć, to pot na skroni i zupełnie wykończony partner. Wreszcie się zorientował, że ten drugi rzeczywiście potrzebuje odpoczynku, ale czeka na znak Kita lub Jacksona.

Zatrzymał się więc.

- Świetna runda, Jones - odezwał się do niego. - Możesz iść trochę odpocząć.

- Dziękuję, milordzie. - Jones skinął głową, znużony, i wyszedł z sali ćwiczeń.

Kit opadł na gładką drewnianą ławeczkę i oparł łokcie na kolanach. Pomimo że trenował od rana, był jedynie odrobinę zadyszany; nagromadzone napięcie wciąż krążyło w jego mięśniach i żyłach jak prąd elektryczny. Mógł poprosić Jacksona o nowego partnera do sparringu i wyładować resztę energii, ale salon zaczynał się już zapełniać, nie chciał więc stwarzać właścicielowi problemów.

Westchnąwszy głośno, uznał, że chyba na dziś wystarczy. Może zabierze Marsa na przejażdżkę do któregoś z mniej uczęszczanych parków, na przykład do Green Parku albo nawet do Richmond, gdyby zachciało mu się dłuższej wycieczki, i popuści koniowi wodzy.

Energiczny galop to jest dokładnie to, czego mu trzeba, żeby przewietrzyć umysł.

Już się podnosił, gdy do sali wkroczył Brevard. Jego strój, składający się z białej koszuli, rozpiętej pod szyją, i luźnych beżowych spodni, nie różnił się bardzo od tego, co miał na sobie Kit. Z tą tylko różnicą, że Kit już dawno ściągnął przepoconą koszulę. Nie znosił, kiedy mokry materiał kleił mu się do skóry.

Dojrawszy go, Brevard podszedł do niego.

- Jak się masz, Winter. - Podał mu rękę na powitanie.

Kit uścisnął mu dłoń krótko i mocno.

- Masz już za sobą kilka rund, jak widzę. - Brevard rzucił okiem na krople potu spływające po piersi Kita.

Ten skinał głową.

- Trenowałem tylko, nawet nie wszedłem na ring.

- Jeszcze się nie rozgrzałem, ale już się cieszę na ostrą walkę.

Ostra walka. Czy nie o tym właśnie rozmyślał przed chwilą? Czy nie chciał mieć przed sobą kogoś, kogo mógłby stłuc na kwaśne jabłko? Godnego przeciwnika, na którym wyładowuje złość i nadmiar energii? Brevard nadawał się do tego nawet lepiej niż sam Jackson, zwłaszcza że Kit nie bardzo miał ochotę rozkładać na łopatki właściciela salonu na jego własnym ringu.

Wizja Brevarda całującego Elizę przemknęła mu przed oczyma. Stary przyjaciel czy nie, pomyślał sobie Kit, to będzie prawdziwa przyjemność.

- Może się zmierzmy? - zaproponował. - Oczywiście, jak już będziesz gotowy. Obiecałeś mi mecz, o ile sobie przypominam.

Brevard spojrział z zaskoczeniem.

- Dzisiaj?

- Tak, dzisiaj. Obaj jesteśmy na miejscu. Na co czekać?

- Nie jestem pewien, czy to będzie fair.

- A to czemu? - Kit założył ręce na piersi.

- No cóż, ty już tu jesteś od jakiegoś czasu i raczej się nie oszczędzałeś podczas treningu, a ja dopiero co przyszedłem. Miałbym nad tobą przewagę, bo nie jestem zmęczony.

- To żaden problem. I tak -właśnie miałem prosić Jacksona o nowego partnera. Wykończyłem swojego pierwszego przeciwnika i musiał iść odpocząć.

Brevard zastanawiał się przez chwilę.

- Skoro tak mówisz...

- Jasne, że tak. Możemy zaczynać, jak tylko będziesz gotowy.

Podczas gdy Brevard rozgrzewał się na drugim końcu sali, Kit wykonał kilka giętkich skłonów, żeby utrzymać mięśnie w formie. Aż drżał z niecierpliwości, ledwo mógł ustać na miejscu, gdy służący sznurował mu rękawice. Gdy już miał je na sobie, mocno uderzył jedną pięścią o drugą, napawając się poczuciem siły, jakie dał mu cios.

O tak, to będzie prawdziwa przyjemność.

Brevard, skończywszy przygotowania, wspiął się na ring. Kit bez wahania wskoczył za nim. To było jego terytorium, na tym polu umiał się poruszać.

Mecze treningowe, odbywające się w różnych częściach sali, zostały przerwane. Dżentelmeni i mieszczanie zgromadzili się wokół ringu, żeby obejrzeć ich starcie. Chłopcy do posług przykucnęli na podłodze jak małpki, żeby móc lepiej obserwować akcję. Nawet sam Jackson, emerytowany czempion, podszedł, chcąc się przyjrzeć pojedynkowi.

Wewnątrz ringu Kit i Brevard zetknęli się rękawicami w bok-serskim salucie i rozpoczęła się walka.

Kit odskoczył w tył, od razu podnosząc rękawice do twarzy. Okrążał rywala, obserwując go uważnie, i próbował odgadnąć, jaki będzie jego pierwszy ruch.

Nie musiał czekać długo, bo Brevard wykonał ostre pchnięcie w zębra. Kit jednak był na to przygotowany i odbił cios, trzymając ręce ciasno przy sobie. Natychmiast skontrował krótkim, prostym ciosem, który trafił przeciwnika w podbródek. Rozległ się odgłos uderzenia, głowa Brevarda odskoczyła na bok.

Wicehrabia się otrząsnął, widocznie nie oczekiwał tak mocnego ciosu.

- Słyszałem, że masz ciężką rękę, Winter. Teraz już wiem, co to znaczy.

- Daj spokój, mówisz o tym klepinięciu? - Kit podskoczył kilka razy w miejscu. - Gotowy na ciąg dalszy?

Brevard rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.

- To tylko przyjacielski mecz, prawda?

- A cóż innego by to mogło być? Przecież obaj jesteśmy dżentelmenami.

Wzrok hrabiego się rozjaśnił.

- Słusznie. Kontynuujemy zatem.

Obchodzili się dookoła z rękami w górze, w pełnej gotowości. Kit czekał, aż Brevard pierwszy go zaatakuje. Kiedy przeciwnik ruszył do ataku, skontrolował jego uderzenia bez najmniejszego wysiłku. Czekał dalej, odbiwszy jeszcze dwie serie ciosów i kontrciosów, odsuwając się lekko, żeby zwabić rywala w pułapkę.

I nagle nadszedł właściwy moment: raz, dwa i prosto w zębra. Wicehrabia skrzywił się boleśnie, instynktownie przyciągając ku sobie łokcie, ale było już za późno na obronę. Kit wiedział, że uderzenia musiały zboleć, ale był pewien, że nie uszkodził Brevarda zbyt poważnie. Z uśmiechem cofnął się o parę kroków.

- Musisz trzymać gardę z prawej, kolego. Byłeś całkiem odślonięty.

Brevard spoznał na niego badawczo spod przymrużonych powiek.

- Zapamiętam. - Przerwał na chwilę. - Winter, wiesz, że nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Jak to miło z twojej strony. - Kit wyszczerzył zęby w uśmiechu. - W takim razie łatwiej mi będzie wygrać ten mecz.

Umilkli i znowu zaczęli krążyć wokół siebie, wymieniając ciosy. Brevard trafił go kilka razy, ale uderzenia były lekkie, jak ukłucie pszczoły. W końcu wicehrabia złapał rytm i ugodził Kita mocno w żołądek. Zabolało, aż stracił na moment dech. Odsunął się nieco, żeby dojść do siebie, zasłaniając się rękami przed kolejnym ciosem.

Przyszedł czas na przerwę i obaj mężczyźni odeszli na bok, żeby nieco odpocząć i napić się czegoś. Kit otarł twarz ręcznikiem i zwilżył wyschnięte gardło kilkoma łykami lemoniady. Kiedy odzyskał oddech i siły, stanął znowu pośrodku ringu, gotów na kolejną rundę.

Nie czekał na Brevarda dłużej niż parę sekund i znowu zwarli się w bójce. Kit zasypał przeciwnika gradem szybkich, krótkich ciosów. Ten próbował się bronić i kontrolować pchnięcia, ale to Kit znowu był górą; jego pięść wylądowała na policzku i nosie tamtego.

Z nosa wicehrabiego pociekła strużka krwi, wytarł ją więc o rękaw koszuli.

- Przepraszam. Byłem zbyt brutalny - powiedział Kit tonem, który zupełnie nie wskazywał na skruchę.

- Całe to starcie wydaje mi się brutalne. Czy coś się stało?

- Brevard zapytał cicho, nie chcąc, żeby inni słyszeli rozmowę.

- Można by pomyśleć, że jesteś dziś żądny krwi.

Kit wzruszył ramionami.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Brevard, naprawdę. Walczmy dalej.

Wicehrabia pokręcił głową.

- Nie, dopóki mi nie powiesz, dlaczego tak naprawdę się bijemy. To nie jest zwykły mecz treningowy.

- Kto ci powiedział, że ja tylko trenuję?

Kit rzucił się na niego znowu, a wicehrabia uniósł rękawice dosłownie na ułamek sekundy, zanim prawy sierpowy młodzieńca trafił go pod żebra. Kit napierał na niego, wyprowadzając ciosy w zmiennym rytmie: trzy, potem dwa i znowu trzy, w nieoczekiwanych kombinacjach i ze zmienną prędkością, żeby wytrącić przeciwnika z równowagi i zmusić do przyjęcia strategii czysto obronnej.

Jego płuca z wysiłkiem wciągały powietrze, a skóra cała zalana była potem, gdy ogłoszono drugą przerwę. Brevard, sądząc z wyglądu, nie miał się o wiele lepiej; twarz miał czerwoną z wysiłku i ledwo chwycił oddech. Kit poczuł drżenie mięśni łydek i ramion, ogarniało go zmęczenie, ale nie było to nic poważnego. Emocje wciąż go ponosiły.

Gdy skończył się czas na odpoczynek, on i Brevard raz jeszcze starli się na środku ringu, a wokoło rozległy się okrzyki widzów, którzy najwidoczniej obstawiali zwycięzcę pojedynku.

Kit wyprowadził serię ciosów, Brevard odpowiedział tym samym, ale żaden z nich nie wyrządził drugiemu większej szkody. Gdy Kit znowu natarł na wicehrabiego, ten przyciągnął go do siebie i zwarli się w miazdzącym uścisku.

- Gadaj. - Brevard powiedział mu do ucha, kiedy się siłowali.
- Czemu zawdzięczam twoją wściekłość?

- Damie - warknął Kit.

- Jakiej damie?

Z gniewnym prychnięciem Kit wyszarpnął się z ciasnego chwytu Brevarda i uderzył kilka razy na odlew.

- Uff. - Wicehrabia zgiął się wół i osłonił poobijany brzuch rękami.

Nie chcąc, by ktoś ich podsłuchał, Kit podszedł bliżej.

- Tej damie, którą wczoraj zwabiłeś do ogrodu.

- Och. - Błękitne oczy Brevarda otworzyły się szeroko. Kit znowu przyłożył mu w żołądek. Wicehrabia zatoczył się w tył, ale odzyskał równowagę. Otrząsnąwszy się, zrobił krok naprzód.

- Wiem, że to twoja przyjaciółka, siostra niemal, ale naprawdę nie masz powodu do zmartwień.

Kit wznowił atak.

- Moje zamiary względem niej są jak najbardziej szlachetne.
- Brevard parował ciosy Kita, ale sam nie atakował.

- Nie wyglądały mi na szlachetne. - Kit trafił go po raz kolejny.

- Niemniej są. Jeszcze za wcześnie o tym mówić, ale poważnie zastanawiam się, czy się nie oświadczyć.

- Co takiego? - Kit otworzył usta, a ramiona opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała.

Jakaś mglista cząstka świadomości dostrzegł cios, który Brevard właśnie wymierzył, ale nie był w stanie podnieść rękawic. Stał zupełnie odsłonięty, gdy pięść przeciwnika trafiła go prosto w twarz.

W głowie mu się zakręciło, w policzku eksplodował gwałtowny ból, a przed oczyma zamigotał rój iskerek. Mrugnął, zatoczył się i poczuł, że leci. Długo, długo. Deski ringu zadudniły pod nim, kiedy wylądował na podłodze. Jęknął, bo całe ciało miał obolałe.

- Winter, wszystko w porządku?

Zerknął w górę spod zmrużonych powiek. Zatroskana twarz Brevarda wirowała ponad nim.

Cholernie dziwna sprawa, pomyślał. Dlaczego Brevard się kręci?

W polu widzenia pojawiła się ręka innego mężczyzny i poczuł klepięcie w nieuszkodzony policzek.

- Ejże, co do licha ciężkiego! - poskarżył się, próbując się odsunąć od dręczyciela. Mimo zamroczenia, zdał sobie sprawę, że to Jackson.

Jackson podniósł głowę i zerknął w stronę zgromadzonych gapiów.

- Przytomny.

W tłumie rozeszła się fala okrzyków i pomruki zawodu.

- Postawiłem na niego dwa funty.

- A niech mnie, to pierwszy raz, jak Winter leży na deskach.

Brevard, który zdążył już zdjąć rękawice, wyciągnął rękę, pomagając Kitowi się podnieść. Dopiero wtedy młodzieniec przypomniał sobie, co wicehrabia wyznał mu, zanim go znokautował.

Brevard chce się ożenić z Elizą?

Kit pobladł i zrobiło mu się niedobrze. To pewnie przez ten cios w głowę, uznał, otrząsając się z nieprzyjemnego wrażenia. Zachwiał się i zażawionymi oczyma spojrzął na przyjaciela.

- No, Brevard - mruknął. - Wygląda na to, że jednak wygrałeś tę rundę.

Tego popołudnia Eliza wyjątkowo nie miała gości. Wybierała się dziś na wieczorek muzyczny do Fitzmarionów, gdzie zgromadzeni goście będą mieli okazję posłuchać fenomenalnego sopranu znanej śpiewaczki operowej. Aż do wieczora mogła zatem rozporządzać swoim czasem. Zajęła się książką.

Przedpołudnie spędziła z Violet i dziećmi, a teraz szła do swojej sypialni, gdzie na stoliku obok łóżka zostawiła czytana ostatnio powieść. Już miała wejść do pokoju, gdy dobiegł ją odgłos kroków, tłumiony przez dywan. To Kit szedł korytarzem.

- Dzień dobry - powiedziała.

Zwolnił kroku i unióśł rękę w pozdrowieniu.

- Elizo.

Skrzywił się, a przynajmniej tak jej się zdawało, bo dziwnie trzymał głowę, zupełnie jakby nie chciał, żeby coś zobaczyła. Kiedy zrównał się z nią w korytarzu, udało jej się lepiej mu przyjrzeć.

- Kit! - wykrzyknęła, przerażona. - Dobry Boże, co ci się stało?

Z wyraźną niechęcią się zatrzymał i westchnął głośno. Skrzywił się znowu, wyprostował plecy i spojrzał jej w oczy.

- Nic takiego - wymamrotał.

Złapała go za podbródek i przychyliła jego głowę, żeby móc obejrzeć twarz. Sina plama, fioletowa, niczym placek z jagodami, pokrywała cały policzek z prawej strony. Obramowana była zakrzepłą krwią, ciekącą z niewielkiej rany.

- Właśnie widzę, że „nic takiego”! - zawołała Eliza, zaniepokojona. - Na litość boską, co ci się przytrafiło?

- To tylko sport, nic poważnego. Nie zasłoniłem się w porę przed ciosem.

- Chcesz powiedzieć, że to była walka na pięści?

Wiedziała, że Kit lubi sport, często odwiedzał Akademię Szwermierki Angela i salon boksinerski, mieszczący się niedaleko ich domu, prowadzony przez słynnego pana Jacksona.

- Tak - potwierdził jej przypuszczenia.

Na czole Elizy pojawiła się zmarszczka.

- To raczej nie była uczciwa walka, skoro takie są efekty.

- Walka była sprawiedliwa, nie przejmuj się.

- Jak mam się nie przejmować, jeśli jesteś ranny? Trzeba cię opatrzyć. Zaraz każę wezwać medyka.

Pokręcił głową, co wywołało na jego twarzy nowy grymas bólu.

- Nie ma mowy. Dziękuję za troskę, ale nie pozwolę, żeby dźgał mnie jakiś konował. Tylko pogorszyłby sprawę.

Chciała go jeszcze przekonywać, ale znając już dobrze jego upór, wiedziała, że wszelkie błagania będą daremne.

- Jeśli nie chcesz, żeby oglądał cię lekarz, to pozwól chociaż, że ja coś dla ciebie zrobię. Okład powinien ci pomóc na to stłuczenie. W każdym razie na pewno trochę ulży. Mam tu w pokoju książkę o lekach ziołowych. Wejdz i usiądź na chwilkę. Zaraz znajdę odpowiedni przepis.

Była tak przejęta, że nie zastanowiła się nawet, czy wypada jej zapraszać Kita do własnej sypialni. Ujęła jego szeroką dłoń i wciągnęła go do środka.

- Nie musisz robić tyle szumu - powiedział Kit. - Nie takie siniaki już miałem.

W odpowiedzi Eliza tylko parsknęła cicho.

- Skoro tak, to cieszę się, że dotąd nie musiałam tego oglądać. A teraz siadaj. - Wskazała mu fotel, stojący opodal łóżka. >

Kit wzruszył ramionami i posłusznie osunął się na siedzenie.

Choć udawał ze wszystkich sił, że obrażenie niewiele go obchodzi, w rzeczywistości twarz bolała go jak diabli. Tłumiąc jęk, patrzył, jak Eliza pospiesznie zmierza w stronę półki z książkami, stojącej w kącie pomieszczenia.

Oto cała Eliza Hammond, pomyślał. Ma pod ręką prywatną, małą bibliotekę. Uśmiechnął się do siebie i zaraz tego pożałował, bo policzek przeszył ból.

W milczeniu obserwował, jak wyciąga z półki jedną książkę po drugiej, mrucząc pod nosem i przerzucając strony w poszukiwaniu przepisu na wywar z ziół. Po kilku minutach odwróciła się w jego stronę.

- Trafiłam na parę prostych przepisów, które na pewno pomogą, ale to nie to, o czym myślałam. Jakoś nie mogę znaleźć tej książki.

Postukała paznokciem w półkę i westchnęła.

- Nie zostawiłaś jej przypadkiem na wierzchu? - zasugerował.

Brwi Elizy zbiegły się nad czołem w skupieniu.

- Być może. Jak widzisz, kilka książek leży tu i ówdzie.

Istotnie. Stos książek piętrzył się na krześle pod oknem, kolejny widać było pomiędzy nogami stolika nocnego.

- Może to jedna z tych. - Machnął ręką w kierunku sterty na podłodze.

Eliza pokręciła głową.

- Te czytam dla przyjemności. Na pewno jej tu nie ma.

- A w środku? Mnie się czasem zdarza wcisnąć ważne zapiski do szuflady nocnego stolika w przekonaniu, że będę pamiętał, gdzie je schowałem, a później łamię sobie głowę, nie mogąc ich znaleźć.

Odsunął szufladkę. Wewnątrz spoczywał cienki tomik oprawiony w podniszczoną zieloną skórę.

- Coś mam. - Podniósł książeczkę do góry. - To ta?

Eliza zachłysnęła się, przerażona.

- Nie! Odłóż to!

Spojrzał na nią badawczo, zdziwiony. Na jej twarzy widniał strach, a oczy miała duże i okrągłe jak spodki.

- O co ci chodzi?

- O nic. - Rzuciła się ku niemu z wyciągniętymi rękami. - To nie ta książka.

- Pewna jesteś? - Otworzył stronę tytułową. - *Pozycje Albani-
na*. Wygląda na traktat medyczny.

- Nie, to nie to... Oddaj mi ja, proszę - błagała drżącym głosem, zdesperowana.

- Dlaczego? Co to takiego?

Instynktownie odsunął książkę poza zasięg jej ręki i otworzył mniej więcej pośrodku. Chwilę później z otwartymi ustami ogłupiałym wzrokiem wpatrywał się w ilustrację, którą miał przed sobą.

- Chryste Panie!

Przyglądał się jeszcze przez chwilę, nim przewrócił kartkę. Następny obrazek był tak niezwykły, że musiał przekręcić książkę, żeby obejrzeć lubieżną ilustrację pod innym kątem.

- Gdzieś ty to znalazła? - Spojrzał na Elizę z niedowierzaniem.

Czerwona jak rak, aż po koniuszki włosów, Eliza otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zaciśnęła oczy, przełknęła i pokręciła głową.

Przewrócił jeszcze kilka stron, zatrzymując się na jednym z wierszyków. Wargi zadrgały mu lekko.

- Można by powiedzieć, że to dość pouczająca lektura, ale ciebie nie podejrzewałem o takie zainteresowania.

Otworzyła oczy.

- Więc jak to się stało, że dobrze wychowana młoda dama, jak ty, trzyma takie nieobyczajne książki przy łóżku?

- Książkę - wychrypiała. - Mam tylko tę jedną.

- A skąd masz „tę jedną”? - Zamknął książkę i pomachał nią oskarżycielsko.

Policzki Elizy zalał jeszcze ciemniejszy rumieniec.

- Ja... eee...

- Tak? - Kit wycodził powoli.

- Wołałabym ci nie mówić.

- Pewnie, że byś wolała. Ale ze mnie ciekawska dusza, więc nie spoczne, dopóki nie wycisnę z ciebie zeznania. Przyznaj się.

Gdzie też Eliza zdobyła tę sprośną pozycję? Zadumał się. Czyżby dał jej to ktoś znajomy? A jeśli tak, to jakich ma znajomych? To była jedna z tych książek, które zazwyczaj krążyły wśród mężczyzn. Pamiętał podobne z czasów studenckich, w Oksfordzie przechodziły w sekrecie z rąk do rąk i rozpałały wyobraźnię studentów. Chyba nie dostała jej od jednego ze swoich zalotników?

Gniewna zmarszczka pojawiła mu się na czole.

Eliza westchnęła głośno.

- Powiem ci, ale pod warunkiem, że ona się o tym nie dowie.

Ona. Kit odetchnął z ulgą. Przynajmniej tajemniczy ofiarodawca był kobietą.

- Kto nie ma się dowiedzieć?

Zawahała się po raz kolejny.

- Violet.

- Co? - Zdumienie poraziło go jak prądem. - Chcesz powiedzieć, że to książka Violet?

- Teraz tak, ale dostała ją od Jeanette.

- Dobry Boże.

- Jeanette uznała, że Adrianowi i Violet przyda się... - urwała i znów się zaczerwieniła jak pomidor. - Nieważne, co uznała. W każdym razie Violet nie wzięła tej książki, więc Jeanette wsadziła ją do szuflady w bawialni i... no... ja...

- Wzięłaś ją sobie?

Skinęła głową, na co Kit wybuchnął śmiechem, ale zaraz potem jęknął boleśnie, bo znowu dał o sobie znać zmasakrowany policzek.

Zażenowanie Elizy znikło natychmiast, a na jego miejscu pojawiła się troska.

- Boli cię, prawda? Miałam ci zrobić kompres, a tymczasem siedzimy tu i paplamy o byle czym.

Kit uniósł cienki, zielony tomik.

- Raczej nie nazwałbym tego byle czym.

- Nieważne, teraz trzeba się zająć twoją biedną, z maltretowaną twarzą - mówiła, najwyraźniej pragnąc zmienić temat. - Policzek chyba jeszcze bardziej ci spuchł. Zejdę do kuchni i szybko coś przygotuję.

- Już ci mówiłem, dam sobie radę.

- Nie, siadaj. Zaczekaj. Proszę. - Podbiegła do półki i zdjęła z niej jedną z książek o ziołach. W widocznym pośpiechu pomknęła do drzwi. Mijając go, zerknęła na cienki tomik, który wciąż trzymał w rękach.

- Nie powiesz jej?

Pokręcił głową.

- Nie. To będzie nasza tajemnica.

- Czy możesz to w takim razie schować z powrotem do szuflady?

- W zasadzie, powinienem skonfiskować tę książkę, ale to tak, jakbym chciał ryglować drzwi od stajni, kiedy koń już uciekł, co?

- Raz jeszcze spojrzął na nią z rozbawieniem, po czym włożył książkę do szuflady stolika i zasunął ją z powrotem.

Napięcie Elizy nieco opadło.

- Zaraz wracam.

- Nie spiesz się! - zawołał, ale jej już nie było. Umknęła, jakby ścigało ją stado gończych psów. Pokręcił głową ze zdumienia nad niespodziewanym znaleziskiem. Osunął się wygodniej na krzesło i skrzyżował przed sobą nogi.

Eliza biegła korytarzem, przyciskając do piersi książkę z ziołowymi recepturami, a policzki miała tak gorące, jakby ktoś je podpałił. Wiedziała, że jeśli zatrzyma się na moment i zacznie rozważać to, co właśnie zaszło, zapadnie się pod ziemię ze wstydu.

O hańbo! Jak ona teraz spojrzy Kitowi w oczy? Jak będzie mogła z nim rozmawiać, nie myśląc jednocześnie o tej skandalicznej książce? Jak zdoła zapomnieć wyraz jego twarzy w chwili, kiedy otworzył tomik i ujrzał te prośności?

Musiała jednak przyznać, że Kit, kiedy już otrząsnął się z początkowego szoku, zachował się nad wyraz wyrozumiale i wcale jej nie potępił. Nawet Violet ciężko przyszłoby przejść do porządku dziennego nad taką sytuacją, a już na pewno nie rozeźmiałaby się, tak jak on, a w każdym razie nie natychmiast.

O nieba, cóż on sobie o niej teraz myśli? Pewnie uważają za rozwiązanie, cóż by innego. Dlaczego uległa pokusie, która nakazała jej wziąć tę książkę? Złamała się dopiero wczoraj. Zobaczyła, że książka wciąż leży w szufladzie sekretarzyka i nie była w stanie się oprzeć. W końcu za pierwszym razem ledwo co zajrzała do środka. Głupia, po co chowałaś ją do stolika przy łóżku, tam każdy mógł

ją znaleźć, łajała sama siebie. Ale przecież nie spodziewała się, że ktokolwiek prócz niej będzie zaglądał do tej szuflady.

Pokojówka zwykle trzymała się z daleka od jej papierów. Dziewczyna nie rozumiała jej miłości do książek i nieraz, kiedy myślała, że Eliza tego nie widzi, kręciła głową i burczała pod nosem, że te szpargały zaśmiecają każdy wolny kąt pokoju. Gdyby więc pokojówka natknęła się przypadkiem na małą, zieloną książeczkę, pewnie nawet nie zerknęłaby do środka.

Kit natomiast był wręcz uosobieniem dociekliwości. Zajrzałby nawet w mysia dziurę.

Choć czuła się nieco słabo, postanowiła dotrzymać obietnicy, że opatrzy rannego. Podążyła w stronę kuchni. Może sporządzenie ziołowej mieszanki pozwoli jej na moment zapomnieć o strasznym upokorzeniu.

W sypialni Elizy Kit także rozmyślał o wydarzeniach sprzed chwili.

Kto by przypuszczał, że ta nieśmiała i powściągliwa Eliza Hammond kryje w sobie takie pragnienia? Kto by pomyślał, że książka o tak wyraźnie zmysłowej treści wzbudzi w niej coś oprócz oburzenia? Ale widocznie była na tyle ciekawa, że zabrała tomik i schowała go w swojej sypialni, żeby móc w spokoju przeglądać ilustracje.

Przypomniała mu się ich lekcja pocałunków i na samo wspomnienie jej pieśczot, gorączkowych, choć niewprawnych, poczuł mrowienie w podbrzuszu. O tak, miała w sobie namiętność. Trzeba ją tylko umiejętnie rozbudzić.

Co to by była za rozkosz, uczyć ją sztuki kochania. Ale nie powinien pozwalać sobie na takie myśli. Przecież wiedział, jak niebezpiecznie jest wkleść się w takie związki. Ale skoro Eliza była ciekawa i chciała odkryć nową stronę swojej natury, czy nie zwróci się z tym do innego mężczyzny?

Oczyma wyobraźni ujrzał Elizę całującą Brevarda. Na to wspomnienie pięści mu się zacisnęły, a wargi wykrzywił grymas złości. Czyżby liczyła na to, że Brevard stanie się jej nauczycielem w tej dziedzinie? Czy wicehrabia przystanie na taką propozycję, nawet jeśli jego

zamiary są tak szlachetne, jak powiedział? Gdyby go trochę zachęciła, dlaczego miałby się opierać? Nie była przecież niedojrzałym podlotkiem. W wieku dwudziestu trzech lat Eliza stanowiła danie znacznie bardziej wysmakowane, mimo że brakowało jej doświadczenia.

Wciąż jeszcze nad tym rozmyślał, kiedy usłyszał jej kroki w korytarzu.

Weszła do pokoju z białobłękitną porcelanową miseczką w dłoniach i ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Zauważył, że unika jego wzroku. Podeszła bliżej i postawiła miseczkę na stoliku.

- Przechyl głowę do tyłu - mruknęła.

Zrobił, jak prosiła, bez słowa odchyłając głowę na wysciełane oparcie krzesła.

Z wprawą godną pielęgniarki położyła mu ręcznik pod brodą i przykryła ramiona, na wypadek gdyby mikstura ściekła mu z twarzy, po czym wyjęła kompres z miseczki.

- Przez chwilę możesz poczuć ciepło, ale to powinno złagodzić ból i zmniejszyć opuchliznę. Kazałam później przynieść ci do pokoju świeży stek, to pomaga na siniaki. Masz trzymać mięso na twarzy minimum przez pół godziny.

- Wolałbym, żeby przyrządzili mi ten stek i podali ze szklaniczką porto - odciął się.

- Nie pomoże ci na stłuczenie, jeśli będziesz go miał w żołądku. A teraz zamknij oczy.

Usłuchał, a chwilę potem głośno syknął przez zaciśnięte zęby, bo lniany woreczek z okładem znalazł się na pokierszowanej twarzy. Poczuł falę gorąca, lekkie pieczenie i gryzący zapach ziół.

- Co to za mikstura?

- Mielona gorczyca i suszone liście pokrzywy, między innymi. Violet ma dobrze zaopatrzoną apteczkę z ziołami. Przydaje się przy takich okazjach.

Stęknął lekko i rozluźnił się nieco, bo początkowe przykre wrażenia ustąpiły, a przyjemne ciepło rozchodziło się po skórze i przenikało w głąb, aż do zbitych mięśni.

- Pomaga? - Delikatny głos Elizy przypominał śpiew ptaka.

- Mhm, tak.

- Przyniosłam bandaże, żeby okład ci się nie zsunął. Przytrzymaj sam przez chwilę, a ja zaraz się tym zajmę.

Zmieniła pozycję, a przy tym nogą otarła się lekko o jego udo. Zgodnie z poleceniem, wyciągnął rękę i położył na jej dłoni, trzymającej kompres. Ale zamiast puścić jej rękę, przytrzymał ją, chwytając za nadgarstek.

Otworzył oczy i pochwycił jej spojrzenie.

- Ciągłe czujesz się niezręcznie z powodu tej książki. Niepotrzebnie.

Wzdrygnęła się i odwróciła głowę.

- Daj spokój.

- Wstydzisz się - stwierdził. - Nie ma czego. Ciekawość to część ludzkiej natury, podobnie jak namiętność i pożądanie to wszystko jest zupełnie normalne i naturalne, także u kobiety.

Zerknęła na niego, ale po chwili znowu odwróciła spojrzenie.

- Zapomnijmy o tym.

- Moglibyśmy spróbować, ale czy nie lepiej porozmawiać otwarcie i uczciwie? Przecież możemy być ze sobą szczerzy, tak czy nie?

- Tak, ale...

- Żadnych „ale”, przemilczenie nie załatwi sprawy.

- Pójdę po bandaże.

- Chwileczkę. Najpierw musisz mi coś powiedzieć. Jak ci się podobało całowanie Brevarda w ogrodzie?

Eliza podskoczyła, jakby ją dotknął rozżarzone żelazem.

- Co?!

- Widziałem was. No i jak on całuje?

Próbowała wyrwać mu rękę, ale Kit wzmocnił uchwyt.

- W ogóle nie powinno cię obchodzić, jak on całuje! - odpowiedziała, oburzona.

- Lepiej niż ja? Czy gorzej? Zakładam, że ten eksperyment miał na celu porównanie, takjak to zapowiadałaś.

- Kit - powiedziała z wyrzutem.

- Elizo. - Uśmiechnął się samym kącikiem ust.

- On... Tak, pozwoliłam mu się pocałować. I owszem, chciałam zobaczyć, jak to będzie. To chyba nie przestępstwo.

- Nic takiego nie mówiłem. A więc? Jak było?

Zamilkła na długą chwilę, rozważając, czy ma mu udzielić odpowiedzi.

- Miło.

- Miło? Nie brzmi zanadto podniecająco.

- Bardzo miło. Szczerze mówiąc, cudownie.

- Cudownie, hę?

Nie wiedział, co ma o tym sądzić. Określenie „cudownie” mogło oznaczać praktycznie wszystko - od największego banału aż do wzniosłych uczuć.

Nie wypuszczając z ręki jej nadgarstka, powoli i delikatnie przeciągnął kciukiem po wnętrzu jej dłoni. Gdy usłyszał mimowolne westchnienie, przeszedł go dreszcz satysfakcji. Obrysował wzrokiem kształt jej ust, różowych i jedwabistych jak w pełni rozkwitłe róże.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, oparł rękę na jej biodrze i pogładził krągłości ukryte pod spódnicami.

- Moje pocałunki też były cudowne?

Oczy jej pociemniały i nabrały srebrnego blasku.

- Były...

- Tak?

- Inne.

- Inne?

- Niż jego. Nie umiem tego dokładnie wyrazić.

- Może po prostu muszę cię znowu pocałować, żeby ci odświeżyć pamięć? Wtedy będziesz mogła lepiej porównać wrażenia.

Zsunął rękę w dół, objął jej pełne, zgrabne pośladki i lekko ścisnął miękkie, kobiece ciało. Zaraz potem przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Mimo kompresu, który miał na policzku, Kit całował ją delikatnie i zniewalająco. Wkrótce z ust Elizy zaczęły się wydobywać ciche jęki. Objął ją mocniej i w głowie mu się zakręciło od jej zapachu. Jej dotyk był jak magiczne zaklęcie. Sprawiała, że zapomniał

o obolałej twarzy, za to cały drżał od bolesnego pulsowania pomiędzy udami. Wiedząc, że igra z ogniem, i to takim, który w ciągu kilku sekund z iskiejki może zmienić się w pożogę, pozwolił sobie na jeszcze jeden upojny pocałunek i ostrożnie odsunął ją od siebie.

Eliza zachwiała się na nogach i musiała podeprzeć się ręką.

- Ojej.

- Zgadzam się w zupełności. - Zsuwając kompres z twarzy, odłożył go na bok.

- Powinieneś jeszcze trochę to potrzymać - nalegała.

- Myślę, że poradzę sobie i bez tego. Dziękuję, czuję się już znacznie lepiej, choć to raczej skutek pocałunku, a nie tego okładu.

- Uśmiechnął się.

Na zaróżowioną twarz Elizy wypłynął głębszy rumieniec. Odsunęła się, żeby mógł wstać.

- Muszę już iść. Obawiam się, że i tak za długo się u ciebie zasiedziałem, zważywszy na to, co właśnie zaszło.

Pokiwała głową, ale w oczach wciąż jeszcze miała błysk namiętności.

- Nie zapomnij, połóż sobie na twarz ten surowy befszytk. Si-niak szybciej zniknie i stłuczenie będzie się lepiej goić.

- Raz jeszcze dziękuję za troskę, mój mały wróbelku. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Zrobił krok w stronę drzwi, ale się zatrzymał.

- Elizo?

- Tak?

- I jeszcze jedno - dodał. - Jeżeli kiedyś poczujesz ciekawość, jeżeli będziesz chciała poznać sekrety przyjemności, nie idź z tym do żadnego ze swoich zalotników. Przecież wciąż jeszcze jestem twoim mentorem. - Pogładził jej policzek grzbietem wyciągniętej dłoni. - Jeśli potrzebujesz kolejnych lekcji miłości, wystarczy, że mi powiesz. Nauczę cię wszystkiego, co chciałabyś wiedzieć.

Otworzyła usta, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Kit z uśmiechem na ustach oddalił się w stronę drzwi, pozostawiając Elizę na środku pokoju w stanie kompletnego oszołomienia.

15

Piękny głos śpiewaczki unosił się w powietrzu, niby lekki, majestatyczny motyl, niesiony jedwabistą bryzą.

Owo perfekcyjne wykonanie nie docierało jednak do uszu Elizy. Nie słyszała pięknej arii, nie dostrzegała elegancko ubranych dam i dżentelmenów, siedzących wokół niej w sali balowej Fitzmarrionów.

W jej myślach królował Kit.

Jego słowa. Jego pocałunki. Jego skandaliczna propozycja. Jeszcze teraz, po kilku godzinach, drżała z emocji. Mówił poważnie? Chciał tego... z nią? Chciał jej dawać -jak on to nazwał - kolejne lekcje miłości?

Sądząc po tym, jak entuzjastycznie całował ją w sypialni, rzeczywiście tego chciał. Ledwo była w stanie uwierzyć, że lord Christopher Winter, ujmujący i przystojny, mógł zapragnąć właśnie jej.

Po tylu latach płonnych marzeń i nieodwzajemnionych uczuć nie bardzo mogła dać temu wiarę. Tłumaczyła sobie, że to tylko wytwór jej wyobraźni i - wymyślając sobie od głupich gęsi - chciała o wszystkim zapomnieć. Ale, jakkolwiek okoliczności wydawały się nieprawdopodobne, wiedziała, że nie zmyśliła sobie tej rozmowy. Najlepszy dowód w fioletowosinym policzku Kita.

Jak powinna postąpić?

Odmówić mu i żyć jak dotychczas?

Czy też zgodzić się na tę zwodniczą propozycję?

Ta myśl wywołała mrowienie w całym ciele Elizy. Pod jej skórą oprócz krwi pulsowały jeszcze pragnienia. To z ich powodu znalazła się w takiej sytuacji. Ale czy mogła być niezadowolona, skoro miała okazję dzielić z Kitem dalsze przyjemności?

Jak daleko posunie się w pieszczotach? Na ile ona mu pozwoli? Na ile się odważy? A jeśli okaże się prawdą, że Kit jej pragnie, że pożąda jej z taką samą namiętnością, jaką okazywał swoim innym przyjaciółkom, czego może się po nim spodziewać?

Czy ich spotkania przyjmą formę lekkiego flirtu? Kilku niewinnych pocałunków i karesów, wymienianych gdzieś w ciemnym kącie, pospiesznych, beztrudnych igraszek? Niezobowiązującej, choć pouczającej przygody miłosnej?

A może to nagłe zainteresowanie Kita poprowadzi go ku czemuś poważniejszemu, głębszemu? Czy to możliwe, żeby zaczęło mu na niej zależeć? Lubił ją - tyle wiedziała - ale czy mógłby ją pokochać? Gdyby się postarała, czy udałoby się jej sprawić, że zapragnie jej na tyle mocno, by miłość okalała się jedynym logicznym wyjściem z sytuacji?

A co z małżeństwem? Rodziną? Wciąż pragnęła ich całym sercem. Czy ma wobec tego gonić za Kitem z nadzieją, że go schwyta, czy też skupić się na tym, co było jej pierwotnym zamiarem? Czy nie lepiej znaleźć odpowiedniego partnera, z którym mogłaby stworzyć rozsądny, trwały związek małżeński?

Lęk przed porażką mroził jej krew w żyłach, ale nawet świadomość ryzyka, jakie ponosi, nie mogła jej powstrzymać. Podobnie jak na początku sezonu wiedziała, że musi się wyzbyć obaw i wstydlivosti, tak i teraz miała pewność, że musi wykorzystać tę szansę, bez względu na konsekwencje.

Żeby zrezygnować z tej sposobności, musiałaby albo być głupia, albo mieć ciało z lodu.

Pomimo zamyślenia, jakoś zdołała przetrwać resztę wieczoru, zachowując się na tyle swobodnie, że nikt z zebranych nie zauważył jej rozkojarzenia.

Po powrocie do domu zrzuciła z ramion płaszcz i wręczyła go czekającemu przy wejściu lokajowi.

Kit zabawiał się pod ich nieobecność, stawiając sobie -jak sam powiedział - „piekielnie nudnego pasjansa. Usłyszawszy w holu głosy powracających domowników, wyrzał zza drzwi salonu.

- Postanowiłem dziś wieczorem zostać w domu - oznajmił.
- Z taką twarzą tylko bym straszyl damy.

Violet natychmiast zaczęła się nad nim roztkliwiać, Adrian zaś najpierw się upewnił, czy Kit przypadkiem nie wdał się w jakąś

awanturę. Uspokojony uczciwymi zapewnieniami brata, zaprosił całe towarzystwo do bawialni na spóźnioną kolację. Wkrótce potem Violet pożegnała się, tłumacząc, że musi zajrzeć do dzieci. Adrian chwilę później podążył za nią.

Eliza powoli dopijała swoją herbatę, patrząc kątem oka na Kita. Już dawno nie czuła się przy nim tak spięta.

Teraz, gdy wreszcie byli sami, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Jak policzek? - zagadnęła. Pytanie nawet w jej uszach zabrzmiało niepewnie.

Spojrzał na nią bez słowa i dotknął lekko palcami zmaltretowanej twarzy.

- Gdyby nie twoje lekarstwa, pewnie byłoby gorzej.

- Więc przyłożyłeś sobie surowe mięso?

- Zgodnie z obietnicą. Przecież powiedziałem, że to zrobię.
- Uśmiechnął się.

Elizie, na widok jego zmysłowych ust i prostych, białych zębów serce załomotało nagle w piersi.

Kit upił łyk brandy.

- Kit?

- Hm?

- Tak sobie myślałam... o tym, co mi powiedziałeś. - Palce Elizy mimo woli ugniatały materiał sukni w małe zakładki, chociaż spódnica wcale nie była plisowana.

- O czym? - Jego oczy zaślniły złotem i zielenią jak drogie, kamienie.

Przekomarza się z nią czy naprawdę nie wie, o co chodzi?

Zadygotała z nerwów, a głos jej opadł niemal do szeptu.

- No, wiesz... to, co mówiłeś wcześniej... o kolejnych lekcjach. .. gdybym kiedyś miała ochotę.

Znowu ten błysk w oczach.

- Ach, o to chodzi. No więc?

Palce, miętoszące spódnice, poruszyły się bardziej nerwowo.

- Więc... ja... - Wbiła wzrok w czubki pantofli, nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy. - Myślę, że... to znaczy... ja...

- Elizo. Popatrz na mnie.

Posłuchała.

- Nie wstydź się - powiedział. - Nie musisz. Nie przy mnie. Przy mnie nie masz się czego wstydić. A teraz dokończ to, co zaczęłaś mówić.

Westchnęła i poczuła, że napięte mięśnie ramion i karku nieco się rozluźniły. Kit miał rację, wstyd nie miał już teraz najmniejszego sensu, zważywszy na to, jak intymnej sfery dotyczyła rozmowa.

Zmusiła się, by popatrzeć mu w oczy.

- Zastanowiłam się nad twoją propozycją i odpowiedź brzmi: „tak, chcę tego”.

Powieki Kita opadły o milimetr, a w jego oczach rozjarzył się dziwny blask, pogłębiając jeszcze intensywną barwę tęczywek.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową.

- Tak. Kiedy możemy zacząć?

Wargi wygięły mu się w kpiącym uśmiechu.

- Z chęcią powiedziałbym, że od razu, ale to nie byłoby zbyt rozsądne. Lepiej idź się położyć, a ja obmyślę dalszy plan gry.

- Och - powiedziała, lekko rozczarowana. - Dobrze.

Po chwili wstała z fotela. Kit również się podniósł, jak nakażywały maniery. Ale to nie z grzeczności podszedł do niej, to nie dobre wychowanie kazało mu położyć dłoń na jej policzku i ją pocałować. Dreszcz rozkoszy przebiegł Elizę, gdy Kit czule objął jej usta swoimi, pozbawiając ją jednocześnie oddechu i siły woli. Omdlała w jego objęciach, była całkowicie zdana na niego, mógł z nią zrobić, co zechce. Powieki same jej się zamknęły i poddała się jego dotykowi. Powoli, niechętnie, Kit zakończył pocałunek.

- To tylko przedsmak, żebyś czekała na następną lekcję - wymruczał, a jego palce dotknęły jej policzka ostatnią, lekką jak pióro pieczęcią. - Śpij dobrze, mały wróbelku.

Eliza zadrzała, przekonana, że tej nocy wcale nie zaśnie.

Co ja, na wszystkie świętości, wyprawiam? - głowił się Kit po jej wyjściu.

Kiedy właściwie zdecydował się uwieść Elizę Hammond? Nie zdawał sobie sprawy, że w ogóle podjął taką decyzję, nie zastanawiał się nad tym wcześniej. Po prostu spontanicznie zaproponował jej lekcje sztuki miłosnej, a ona się zgodziła. I nie mógł powiedzieć, że tego żałuje, o nie!

Targało nim pożądanie, wszystkie zmysły zostały pobudzone przez ten króciutki pocałunek przed chwilą. Jeśli tak reagował na jej pocałunki, strach pomyśleć, co będzie się działo, gdy sprawy posuną się dalej.

Nie powinien jej pragnąć, był tego świadom. Przyzwoitość i skromność nakazywały mu położyć kres całej tej sprawie. Powiedzieć, że nie będzie żadnych lekcji. Ale czy Kit nie wyznawał zasady, że ryzyko nadaje życiu wyjątkowy smak? Ze porusza krew w żyłach i wzmacnia ducha?

A wzięwszy pod uwagę tę obsceniczną książeczkę, którą odkrył w pokoju Elizy, mógł podejrzewać, że i ona dojrzała do podjęcia odrobiny ryzyka. Kto zaś lepiej niż on sam nadaje się do niezobowiązujących miłosnych igraszek? W odróżnieniu od jej zalotników, jemu naprawdę na niej zależało. Postara się, żeby było lekko, miło i przyjemnie, bo niedobrze byłoby posunąć się za daleko. Zwyczajnie zabawią się ze sobą przez jakiś czas, oczywiście jako przyjaciele.

Tłumaczył sobie, że to, co planuje, niczym się nie różni od innych nieszkodliwych flircików, w jakie wdawał się często z różnymi dziewczętami. Parę ukradkowych całusów i pieszczot nikomu jeszcze krzywdy nie wyrządziło, toteż ani on, ani Eliza, nie byli narażeni na żadne niebezpieczeństwo.

Tak naprawdę, jak się nad tym głębiej zastanowić, robi to dla jej dobra. Gdyby zwróciła się z taką prośbą do kogoś innego, ten mógłby źle zrozumieć niewinną propozycję i wykorzystać dziewczynę, nim by się zorientowała.

A co z Brevardem, który ponoć chce się z nią żenić?

Kit uniósł szklaneczkę brandy i wychylił resztkę alkoholu jednym haustem. Odstawił szklanę z głośnym stukiem i ręce same zacisnęły mu się w pięści.

Nie będzie myślał o Brewardzie, uznał, przekrzywiając ostrożnie szyję, żeby rozluźnić mięśnie karku, które jakoś gwałtownie się napięły. Jeśli - a to wciąż stało pod dużym znakiem zapytania - wicehrabia rzeczywiście zdecyduje się porzucić stan kawalerski i oświadczy się Elizie, wtedy będzie czas, żeby się nad tym zastanowić. Breward może się jeszcze rozmyślić - tak już bywało - i zainteresować kimś innym. Na razie Kit postanowił, że zajmie się sobą i Elizą, nie będzie się przejmował Brewardem ani całą resztą.

Carpe diem, pomyślał, z przykrością stwierdzając, że to powiedzenie było jedną z niewielu łacińskich sentencji, które nie wywietrzały mu z głowy natychmiast po zakończeniu studiów. Ale zawsze uważał, że to wyjątkowo stosowna maksyma.

A zatem będzie chwycił dzień, a z nim Elizę Hammond.

- Wyjątkowo udany raut, nieprawdaz?

Eliza uśmiechnęła się w tańcu do swojego partnera, miłego kawalera, któremu, pomimo młodego wieku, już nieco przerzedzała się brązowa czupryna.

- Tak - odrzekła. - Bardzo wystawny. Gospodyni przesłała samą siebie, wszyscy zachwycają się świeżymi kwiatami i sadzawką rybną pośrodku stołu.

- Wiem, pasjonuję się inżynierią. To niesamowite, co technika może dzisiaj zdziałać.

Eliza uśmiechnęła się znowu i pozwoliła mu mówić dalej, zadowolona, że nie oczekuje od niej większego udziału w rozmowie. Gdy taniec się skończył, sprowadził ją z parkietu i odeskortaował na powrót do niewielkiej, lecz zawsze wiernej grupki zalotników.

Właśnie się śmiała z przezabawnej historyjki o tym, jak jakiś ptak uwił sobie gniazdo na wystawie kapeluszy w sklepie galanteryjnym na Bond Street, gdy u jej boku zjawił się Kit.

- Czy mogę cię prosić na słówko? - zamruczał jej do ucha.

Zerknęła na niego.

- Oczywiście. Za momencik.

Wysłuchiwała puenty opowieści, przeprosiła panów i oddaliła się wśród zartobliwych jęków zawodu. Oparłszy dłoń o ramię Kita, pozwoliła mu, by wolnym krokiem poprowadził ją wokół sali.

- Tak często wychodziłaś w ciągu tych ostatnich trzech dni, że ledwo cię widywałem, nawet w domu. Zamiast więc wysyłać ci liścik, postanowiłem zadziałać bezpośrednio i wykraść cię twoim adoratorom.

- Przepraszam. Rzeczywiście byłam ostatnio zajęta.

- Nie ma się czym martwić. Masz po prostu ogromne wzięcie w tym sezonie, na to przecież liczyliśmy. - Przerwał na moment i odciągnął Elizę na bok, z dała od nadchodzącej z przeciwka pary, żeby zapewnić choćby złudzenie prywatności. - Mam ci do powiedzenia coś, co dotyczy naszej ostatniej rozmowy. Spodziewam się, że nadal jesteś zainteresowana?

Nagle zabrakło jej powietrza. Całe szczęście, że ramię Kita wciąż ją podtrzymywało.

- Owszem, jestem.

Uśmiechnął się poufale.

- Zawsze możemy wymknąć się teraz do ogrodu, ale bywa diabelnie trudno wrócić niepostrzeżenie na salę.

Czyżby? - pomyślała Eliza. No tak, coś o tym wiedział. W końcu ma w tym względzie spore doświadczenie. Przygryzając wargę, odpędziła zazdrosne myśli, przypominając sobie, że nareszcie to ona jest dziewczyną, którą Kit będzie sprowadzał na manowce.

- Uznałem, że do naszych celów idealne byłoby jakieś ciche i spokojne miejsce - kontynuował cicho Kit. - Najlepiej będzie spotykać się gdzieś w domu.

- W którejś z naszych sypialni? - szepnęła.

- Nie, to zbyt ryzykowne i zbyt kuszące. Myślałem raczej o jakimś leniwym popołudniu. Mogłabyś znaleźć wymówkę, żeby zostać w domu któregoś dnia, kiedy wszyscy będą wychodzić. Na przykład dostaniesz niespodziewanej migreny i będziesz musiała się położyć.

Ojej, sama nigdy by na to nie wpadła. To oszustwo. Podstępne, ale i zarazem podniecające. Poczwała pod skórą żywsze uderzenia pulsu.

- Mogę udać ból głowy, ale pokojówka zaraz będzie chciała mi zrobić okłady z lawendy i poić ziołową herbatą.

- Więc niech to zrobi, a ty po jakimś czasie powiesz, że czujesz się lepiej.

- A co potem? Gdzie się spotkamy?

Spojrzał jej w oczy uważnie, badawczo.

- Dokąd zwykle idziesz, kiedy masz wolną chwilę w ciągu dnia?

- Do biblioteki.

- Dokładnie.

- Ale przecież ktoś może tam wejść i nas zobaczyć!

- Nikt nas nie zobaczy, jeśli zaszyjemy się na antersoli. Służba przychodzi tam tylko po to, żeby poodkurzać, a skoro będą wiedzieli, że ty jesteś w środku, na pewno nikt nie wejdzie.

Przełknęła ślinę, a niecierpliwość starła się w niej z obawą. W żołądku nerwy wyczyniały dzikie harce. Przez dłuższą chwilę spacerowali jeszcze wokół sali. Eliza miała nadzieję, że z daleka wyglądają, jakby rozmawiali o zwyczajnych, błahych sprawach, a nie ustalali szczegóły bezwstydnej schadzki.

Znów zabrakło jej tchu, więc mocniej chwyciła się czarnego materiału fraka, który miał na sobie Kit.

- W piątek wszyscy jesteśmy zaproszeni na lunch do Richmond. Zrobię tak, jak mówisz i będę symulować chorobę.

- Co zrobimy, jeśli Violet będzie chciała pozostać z tobą w domu?

Właśnie, co wtedy? Przyjaciółka na pewno się zmartwi, że zdrowie Elizy szwankuje. Ale choć tego nie znosiła, musi uciec się do kłamstwa. Popołudnie spędzone w objęciach Kita zapowiadało się zbyt cudownie, żeby mogła z niego zrezygnować. Jakakolwiek byłaby cena tej przyjemności, Eliza nie będzie się wahać.

- Namówię ją, żeby poszła - odpowiedziała. - Odkąd przysłało zaproszenie, Violet nie może się doczekać tego wyjścia. Chodzi

o to, że mogą zabrać ze sobą dzieci. Dlatego nie sędzę, żeby trudno mija było przekonać.

- A więc do piątku. - Nakrył ręką jej dłoń i ścisnął lekko. - A teraz, o ile się nie mylę, czas na kolejny taniec. Twój partner już tu idzie.

Zerknęła poprzez salę we wskazanym kierunku i rzeczywiście, lord Maplewood zmierzał prosto ku nim.

- Co za szkoda, że muszę mu cię oddawać - powiedział Kit, zanim mężczyzna zbliżył się do nich. - Milordzie, w pańskie ręce. - Pozdrowił Maplewooda, przekazując mu rękę Elizy. - Ale nie na długo - mruknął pod nosem.

Udawanie choroby owego piątkowego popołudnia przyszło Elizie bez trudu, bo nim nadszedł wreszcie oczekiwany dzień, była już istnym kłębkim nerwów.

Siedziała właśnie w swojej sypialni, splatając drżące dłonie na podołku, i skarżyła się przyjaciółce na ból głowy. Spojrzenie Violet napełniło się współczuciem.

- O biedactwo. Rzeczywiście, nie najlepiej wyglądasz. Mocno cię boli?

Eliza skrzywiła się, bo wyrzut sumienia ukłuł ją jak ostrze sztyletu. Dotknęła czoła palcami i spuściła głowę.

- Przynajmniej, że czuję się bardzo nieswojo.

To przynajmniej była prawda. Odkaąd umówiła się na spotkanie z Kitem, w ogóle nie była sobą.

- Powinniśmy odwołać tę wizytę - powiedziała Violet. - Z o¹ stanę w domu.

- Nie rób tego, proszę. Będę się czuła okropnie, jeżeli przeze mnie nie pojedziecie dziś do Richmond Park. - Raczej okropnie rozczarowana, pomyślała z nowym ukłuciem winy - Położę się na trochę i zanim wrócicie, już będę na nogach.

Czy rzeczywiście będzie się kładła podczas „lekcji” z Kitem? Śmiałe obrazy, które powstały w jej wyobraźni, wywołały nagły dreszcz.

Violet zmarszczyła jasne brwi.

- No nie wiem, teraz znów wyglądasz na rozpaloną. Cały czas będę się o ciebie martwić.

A niech to, zbeształa się Eliza. Czemu ja się zawsze muszę rumienić?

Usiłując odzyskać kontrolę nad własnym ciałem i opanować wybujałą wyobraźnię, pospieszyła uspokajać przyjaciółkę.

- Nie ma się czym przejmować, to tylko zwykły ból głowy. To, że zostaniesz w domu, w niczym nie pomoże. Proszę cię, idź, bo inaczej ja w końcu pójdę z wami, żeby mieć pewność, że nie zmarnujesz sobie dnia przeze mnie.

- Wcale bym go nie zmarnowała. - Violet poklepała ją po ręce.
- No dobrze, w takim razie pójdę. Ale niech Agnes zaparzy ci herbaty i zrobi kompres na głowę.

- Oczywiście.

Rzuciwszy jej przez ramię ostatnie zatroskane spojrzenie, Violet dała się w końcu przekonać do wyjścia.

Eliza opadła na poduszkę z westchnieniem ulgi. Za chwilę jednak znowu poczuła nerwowe poruszenie w żołądku, na myśl o tym, że wkrótce spotka się z Kitem.

Sam na sam.

Z dołu dobiegły hałasy świadczące o tym, że Violet, Adrian, dzieci i ich piastunka wychodzą za drzwi i wsiadają do powozu. Po ich odjeździe zaległa cisza i spokój. Eliza, przykryta bawełnianą narzutą, z poduszkami spiętrzonymi pod głową, pozwalała, by służąca Violet i jej własna pokojówka krzątały się wokół niej ze współczuciem, podając napary i kompresy.

Była niemal chora z poczucia winy, przez co prawie dorobiła się rzeczywistego bólu głowy. Ale gdy zakończyły się zabiegi pielęgnacyjne i została sama w pokoju, „symptomy” znikły, jak ręką odjął. Pół godziny później usłyszała, że otwierają się drzwi. Zaciśnęła oczy, udając, że śpi. Wiedziała, że to tylko pokojówka do niej zagląda.

Kiedy dziewczyna zniknęła, Eliza odrzuciła nakrycie i skoczyła na nogi, roztrzęsiona i niecierpliwa. Wyśliznęła się z pokoju, bez-

głośnię zamknęła za sobą drzwi i pomknęła przed siebie korytarzem.

Przy pewnej dozie szczęścia nikt się nie zorientuje, że zniknęła. A jeśli nawet ktoś odkryje jej nieobecność, to będzie mogła powiedzieć, że poczuła się lepiej i poszła do biblioteki.

Od progu powitał ją znajomy zapach skóry i pszczelego wosku, ale dziś nie był w stanie ukoić jej skołatanych nerwów. Zerknęła w górę. Antresola, z eleganckim, potrójnie dzielonym oknem i balustradką z orzechowego drewna, służyła również za czytelnię. Słońce wlewało się do pomieszczenia lśniąca złotą strugą, toteż nie mogła dostrzec, czy Kit już na nią czeka. Podeszła więc do spiralnych schodków pod tylną ścianą i zaczęła się wspinać na górę.

Pokonawszy schodki, przeszła wzdłuż balustrady, cicho stąpając po polerowanej drewnianej posadzce w cienkich pantofelkach z cielecej skórki i szeleszcząc zwiewną muślinową suknią w zielone wzory.

Przez moment wydawało jej się, że jest sama. Nagle usłyszała ciche stuknięcie i kątem oka złowiła jakiś ruch.

Kit stanął przed nią i wyciągnął rękę z szelmowskim uśmiechem. Podała mu dłoń, drżąc lekko, kiedy złożył na niej delikatny pocałunek.

- No i jak, wróbelku? Gotowa?

16

Kit spodziewał się, że Eliza będzie zdenerwowana. Na tyle dobrze już ją znał. A kiedy umówiona godzina spotkania nadeszła i minęła, a ona nie pojawiła się w bibliotece, pomyślał, że pewnie w ostatniej chwili zmieniła zdanie i została w sypialni.

Nawet nie przypuszczał, że jej nieobecność okaże się dla niego takim rozczarowaniem. Dopiero teraz, kiedy przed nim stała,

jej niewymuszone piękno zaparło mu dech w piersiach i rozpałiło żądzę we krwi.

Jak to możliwe, zastanawiał się z niedowierzaniem, że kiedyś uważał jej urodę za przeciętną?

Wyciągnął do niej rękę i uśmiechnął się triumfalnie, gdy podała mu dłoń. Po krótkim powitaniu pociągnął ją za sobą. Czekając, zdążył przygotować dla nich miejsce do siedzenia. Ponieważ założyło mu na swobodnej atmosferze, na dywanie rozpostarł koc, niby na pikniku, a na nim zgromadził stos miękkich ozdobnych poduszek, ściągawszy z pobliskich kanap i krzeseł.

- Mój Boże - powiedziała Eliza na ten nietypowy widok. - Będziemy siedzieć na podłodze?

Kit uśmiechnął się kąciakiem warg.

- Taki był mój pomysł. Chciałem, żebyś się poczuła swobodnie.

- Och, no dobrze. Wygląda to dość przytulnie. Po prostu nigdy w życiu nie siedziałam na ziemi.

- Nawet jako dziecko?

Zmarszczyła brwi.

- Być może dawno temu, kiedy byłam mała, zanim zmarli moi rodzice. Ale na pewno nie u ciotki w domu.

- A zatem czas najwyższy, żebyś poszerzyła swoje horyzonty. Przecież po to się właśnie spotkaliśmy, czyż nie? Żeby się uczyć i eksperymentować.

Eliza opuściła powieki, a gdy odpowiedziała, jej głos był dziwnie zachrypnięty.

- Masz rację.

Podniósł jej rękę do ust i wycisnął na niej kolejny pocałunek.

- Pamiętaj, nie wolno ci się wstydić. Spokojnie, przecież cię nie ugryzę. No, może tylko skubnę tu i ówdzie.

Otworzyła szeroko oczy, niepewna, czy to żart. Zaraz jednak, ku zaskoczeniu Kita i własnemu, roześmiała się głośno.

- Mam nadzieję, że to nie będzie bolało.

- Poczujesz tylko przyjemność, obiecuję.

Pomógł jej usadowić się na kocu i sam usiadł obok, upewniając się wcześniej, że Eliza ma kilka poduszek za plecami. Gdy był już pewien, że jest jej wygodnie, sięgnął do tyłu po butelkę wina i korkociąg. Po nich pojawiły się dwa kieliszki oraz talerz pełen owoców i słodkości.

Zaśmiała się znowu.

- To cały ty, nigdy nie zapominasz o jedzeniu.

Spojrzał na nią poważnie.

- Jedzenie jest jedną z najbardziej zmysłowych przyjemności w życiu. Odpowiednio przyrządzony posiłek pobudza wszystkie zmysły. Dotyk, zapach, smak, wzrok... - Przerwał, żeby odkorkować wino. - Nawet słuch. Połączenie jedzenia i erotyki może dać naprawdę niespotykane doznania.

Przechylił butelkę i nalał do kieliszków hojną porcję słodkiego białego wina. Podał jeden Elizie. Z zadowoleniem patrzył, jak się nachyla i wdycha delikatny bukiet wina, ale zanim zdążyła się napić, złapał ją za rękę.

- Pozwól - powiedział.

Wpatrując się w jej oczy, umoczył koniuszek palca w swoim kieliszku. Na skórze została pojedyncza kropelka alkoholu. Nim Eliza zorientowała się, co ma zamiar zrobić, wyciągnął rękę i zwilżył jej dolną wargę, przeciągając palcem po skórze.

Przeszedł ją silny dreszcz, wilgotne, drżące usta rozwarły się lekko. Kit nachylił się ku niej, zamarł tuż przy jej ustach i przeciągnął językiem po wardze Elizy, żeby skosztować smaku wina prosto z jej skóry.

- Przepyszne - wymruczał, prostując się. - Teraz twoja kolej.

Mrugnęła, a w jej oczach rozblęsnęło srebro. Ręka trzymająca kieliszek zadygotała i przez Eliza moment obawiała się, że rozleje wino. Udało jej się jednak złapać równowagę; zanurzyła palec w kieliszku.

Niecierpliwe pożądanie wezbrało w nim w oczekiwaniu na jej dotyk. Wstrzymał oddech i wypuścił powietrze, dopiero gdy poczuł jej pieszczotę, niewprawną, zniewalająco niewinną. Chłodna

kropelka wina spłynęła po suchej, ciepłej skórze. Nie zastanawiając się, chwycił pomiędzy wargi czubek jej palca i wciągnął go do ust, ssąc, jakby delektował się lizakiem.

Ledwo powstrzymał się od jęku, bo każde liźnięcie wywoływało w odpowiedzi bolesny skurcz w łyżdziach.

Eliza najwyraźniej odczuwała to podobnie. Spoglądała w oszromieniu wzrokiem szklistym z pożądania. Wreszcie po minucie Kit pozwolił, by jej palec wyśliznął mu się z ust.

Wpatrywała się w niego, zdumiona, że tak prosta czynność jest w stanie wywołać w ciele tak silną reakcję.

- Nic na ten temat nie widziałam w tamtej książce.

Uniósł brew z uśmiechem.

- Tego typu książki skupiają się raczej na podstawach, a nie na tym, co bardziej wyrafinowane. Taka literatura też się przydaje, ale ars amandi to więcej niż sam akt fizyczny.

Nagle zaschło mu w gardle, więc upił łyk wina. Eliza poszła za jego przykładem, sącząc ze swego kieliszka powoli, wciąż wpatrzoną w jego oczy. Wysunęła koniec języka i oblizała wargi.

Głodnym wzrokiem śledził ten ruch, pragnąc ją pocałować, i to mocno, do utraty tchu. Zamiast tego sięgnął po talerzyk, stojący tuż pod ręką.

- Zamknij oczy - zamruczał.

- Oczy? Dlaczego?

- Bo chcę cię nakarmić. Oprzyj się wygodnie, a jak już będziesz miała zamknięte oczy, spróbujesz tego, czym cię poczęstuję i powiesz mi, co to jest.

Eliza spojrzała na niego raz jeszcze, zanim osunęła się niżej na poduszki. Posłusznie zamknęła oczy i czekała.

Zupełnie czego innego spodziewała się po tej lekcji, pomyślała. Od momentu, kiedy usiadła na kocu obok Kita, ten wciąż ją czymś zaskakiwał, sprawiał, że chwiała się na krawędzi pożądania o niewyobrażalnej sile,

A przecież jeszcze nawet jej nie pocałował!

Zalewały ją na przemian fale zimna i gorąca, gdy z niepewnością czekała na jego kolejny ruch. Za chwilę jej dolną wargę musnął jakiś zimny i gładki kształt.

- Co to takiego? - Ton jego głosu był żartobliwy, ale w uszach Elizy brzmiał niczym filiżanka przepysznej, gęstej czekolady, głęboko i smakowicie.

Siłą woli skupiła się na zagadce, a nie na jego bliskości. Badała gładką powierzchnię, starała się uchwycić zapach, ale nie-wiadomo-co dotykające jej ust wciąż pozostawało nienazwane.

- Nie wiem.

- Postaraj się, to łatwe. Jadasz to często.

Tym razem potarł najpierw górną wargę, a potem znowu dolną. Mimo to wciąż nie mogła odgadnąć. Dlaczego lepiej się nie przyrzęła smakołykom na talerzu? Pewnie dlatego, że zbyt była zajęta rozmyślaniami o podniecających doznaniach, które Kit jej zapewni. I na razie nie rozczarował jej jeszcze.

- Masz, spróbuj. Od razu będziesz wiedziała.

Rozchyliła wargi i pozwoliła się nakarmić. Przysmak był okrągły i śliski, a jednocześnie zaskakująco sprężysty. Po ugryzieniu, wytrysnął strugą słodko-kwaśnego soku.

- Winogrono - powiedziała, przełknąwszy. - To było winogrono.

- Mhm, tak jest. Zaczekaj, ja też chcę trochę.

Nachylił się i zawładnął jej ustami, bawiąc się nią czule i drażniąc. Oddała mu pocałunek, splatając z jego językiem swój własny, pozwalając mu delektować się smakiem owocu, co czynił w sposób bardzo dokładny i nadzwyczaj przyjemny.

- Smaczne - stwierdził, odsuwając się. - Kolej na coś innego. Ale zamknij oczy - upomniał ją.

Z drzeniem czekała na ciąg dalszy. Wkrótce jej ust dotknął kolejny smakołyk. Inaczej niż winogrono, ten nie był gładki ani zimny. Do jej nozdrzy dobiegał też zapach, słodki, niemal kwiatowy.

Jakiś owoc, uznała.

- Ugryź - zachęciła ją.

Zanurzyła więc zęby w miąższ pokryty czymś podobnym do aksamitu. Wnętrze jej ust zalał sok z brzoskwini, zniewalająco słodki. Połknęła, starając się nie uronić ani kropelki, ale jedna wymknęła jej się z ust i popłynęła po policzku. Chciała ją obtrzeć, lecz Kit ją powstrzymał.

- Nie, ta jest moja.

Rozchyliła powieki, gdy poczuła jego usta prześlizgujące się po skórze. Całował i zlizywał strużkę soku, aż nie pozostał po niej żaden ślad. Od stóp do głów ciało Elizy wibrowało nutą pożądania.

- Ostatnia próba - oświadczył Kit.

Przerwała mu:

- A ty nie chciałbyś najpierw czegoś spróbować? Teraz ja cię nakarmię. Dam ci, co zechcesz.

W szmaragdowożółtych oczach odbił się przelotny błysk.

- Nie powinnaś składać takich propozycji, wróbelku. Ktoś mógłby cię wziąć za słowo.

- Dam ci, co zechcesz do jedzenia - poprawiła się.

Kit się zastanowił.

- No dobrze. Możesz mnie nakarmić plasterkiem świeżej figi.

Wyciągnawszy rękę, zdjął owoc z talerza i małym nożykiem przekroił na ćwiartki. Odłożył ostrze i podał jej jeden z kawałków.

- A wiesz, co mówią o figach? - Teraz nachylał się tuż nad nią, podpierając się ramionami po obu jej bokach.

Pokręciła głową, podając mu smakołyk do ust.

- Nie wiem. Co takiego?

- Figi to bardzo erotyczny owoc, bo ich środek przypomina wewnątrz najintymniejszego miejsca kobiety. Dziwię się, że ta twoja niegrzeczna książeczka nic o tym nie wspomina.

Otworzyła szeroko oczy, a on chwycił figę ustami i wciągnął do środka, muskając przy tym wargami koniuszki jej palców. Gryząc swój przysmak, uśmiechnął się szelmowsko, a Eliza poczuła skurcz w miejscu przed chwilą przez niego wspomnianym. Poruszyła się niespokojnie, zaskoczona tym doznaniem.

- Przepraszam cię, Elizo - powiedział. - Nie powinienem w taki sposób się z tobą droczyć. Nie bardzo wiesz o co chodzi, a mnie się robi sakramencko niewygodnie.

Odchylił się, żeby sięgnąć po kolejny przysmak z talerza, a Eliza przy tej okazji dostrzegła, jak bardzo niewygodnie musiało mu być w tej chwili. Dopasowane granatowe spodnie ciasno opinały pokąźną wypukłość.

Poczuła na policzkach gwałtowne uderzenie gorąca, jakby kłoda w kominku nagle wystrzeliła snopem iskier. Mimo że wydawało się to prawie niemożliwe, siłą woli zdołała się opanować. Obserwowała, gdy znowu się do niej odwrócił, czy nie jest przypadkiem speszony. Ale Kit zachowywał się, jak gdyby nigdy nic. Nie znało było po nim ani śladu konsternacji czy zakłopotania.

W takim razie, uznała, skoro Kit nie jest zażenowany zachowaniem własnego ciała, to i ona nie powinna się wstydzić. Przypomniała sobie, jak wyglądali mężczyźni na ilustracjach, które oglądała i orzekła, że tego typu reakcje muszą być zupełnie naturalne. A jeśli przedtem miała jeszcze cień wątpliwości, czy Kit rzeczywiście jej pragnie, w tej chwili nabrała pewności.

Podparty na jednym łokciu, Kit wyciągnął się obok niej.

- Oto przysmak, którego nie możemy przegapić - oznajmił, podnosząc w górę niewielką kulkę kremowego koloru. - Znany jest pod nazwą Capezzoli di Venere.

Eliza błyskawicznie dokonała w głowie tłumaczenia, przekonana, że zaróżowiła się po czubki uszu.

- Żartujesz sobie ze mnie. Nie wierzę, że nazywają się... - nie była w stanie wymówić tych słów. - Tak, jak przed chwilą powiedziałeś.

Ze śmiechem odrzucił głowę w tył.

- Jak najbardziej. Nie sądzisz chyba, że wymyśliłbym sobie słodycze o nazwie „sutki Wenery”?

Uniosła jedną brew.

- Jesteś do tego zdolny.

Zaśmiał się znowu.

- To miłe, że doceniasz moją wyobraźnię, ale obawiam się, że nie mogę sobie przypisać akurat tej zasługi. Wyszukałem ten rarytas na kontynencie, w pewnej nadzwyczaj przyjaznej cukierni w Wiedniu. Właściciel z przyjemnością przyrządził dla mnie całe pudełko. Zapewniam cię, że zjadłem je ze smakiem, co do jednego. - Przyśunał smakołyk do jej ust. - Masz, skubnij kawałek.

Skubnij sutek, pomyślała, zgorzozna i rozbawiona zarazem. Właściwie całe dzisiejsze spotkanie z Kitem było skandalicznie przyjemne.

- Z czego się je robi?

- Mówiąc po ludzku, to po prostu lukrowane kasztany nasączone brandy. Lubisz kasztany, prawda?

- Mhm, pewnie. Ale zima już się skończyła. Skąd wzięłeś kasztany o tej porze roku?

Uśmiechnął się niespiesznie, a na jego policzku pojawił się ujmujący dołeczek.

- Mam swoje sposoby A teraz spróbuj i powiedz mi, czy to nie jest istna rozkosz, niebiańska i rozpustna zarazem.

Jeśli o nią chodzi, to wszystkie rozkosze, jakich dziś doznała, były niebiańskie i rozpustne. Ale czy nie tego chciała? Przecież o to właśnie chodziło, żeby ulec dotąd niezaspokojonym ciągotom, poddać się namiętności i cieszyć się każdym otrzymanym doznanem? Smakować i być smakowaną, a przy tym przekonać Kita, że to ona jest najwłaściwszą dla niego kobietą.

Zebrała odwagę i, podniósłszy głowę, ugryzła mały kęs, a w ustach poczuła słodki, maślany smak kasztana. Zgodnie z obietnicą, Capezzoli di Venere były wprost nieprzyzwoicie pyszne i rozpływały się na języku, wywołując na twarzy uśmiech zadowolenia. Skubnęła po raz drugi, a Kit przyłączył się do niej, napoczynając łąkość z przeciwnej strony, tak że ich usta złączyły się wokół przysmaku. Z wargami oblepionymi lukrem, wspólnie zjedli smakołyk do końca wśród śmiechów i przekomarzania.

Ale gdy tylko skończyli, śmiech natychmiast umilkł, bo żartobliwe lukrowane pocałunki zmieniły charakter

Eliza poddała się namiętności, która grała jej we krwi i pozwoliła, by Kit zabrał ją w podróż do źródła cielesnych doznań. Oplecioną ciasno jego ramionami, całowała go, wykorzystując cały swój skromny arsenał środków, poznanych podczas poprzedniej lekcji, z nadzieją że czyni z nich właściwy użytek.

Kit z pewnością nie narzekał, mruczał po cichu słowa zachęty, przerywając od czasu do czasu, żeby coś jej doradzić albo zademontrować jakiś nowy sposób, który pomnożył odczuwaną przyjemność.

Jakbyjego pocałunki nie wystarczały jej do szczęścia, teraz jeszcze zaczął jej dotykać.

Na początek lekkie pieszczoty. Muśnięcie policzka koniuszkiem palca. Dłoń głaszcząca jej szyję. Zęby zaciskające się łeciuteńko na płatku jej ucha. Gdy Kit przygryzł je delikatnie, omal nie zemdlała, a z jej ust wydobył się na wpół jęk, na wpół westchnienie.

Uśmiechnął się pod nosem i zaczął pieścić jej szyję. Przeciagał językiem wzdłuż obojczyka i całował raz po razie wąski fragment skóry widoczny nad brzegiem sukienki. Jęknęła głośno, a serce jej uderzyło jak szalone, bo Kit przestał ją całować, za to położył rękę na jej piersi.

Przez długą chwilę nic nie robił, pozwalając jej oswoić się z ciężarem jego dłoni. Gdy wzięła głęboki oddech, jej klatka piersiowa uniosła się nieco do góry, niechcący mocniej przyciskając skrytą pod muślinem pierś do jego ręki. Wtedy Kit objął też drugą pierś i powolnym ruchem pogładził jej spragnione pieszczot ciało.

Jak gdyby kierując się własną wolą, jej sutki stwardniały natychmiast pod dotykiem jego zręcznych palców. Zachłusnęła się i nagle zaschło jej w ustach, bo Kit rozpalał pożogę w jej zmysłach.

Niezaspokojony głód błysnął w szmaragdowych oczach i ułamek sekundy później Kit znowu miażdżył jej wargi swoimi. Z pasją zaatakował jej usta, zmuszając ją, by oddawała mu każdy pocałunek. Pieścił ją przy tym odważniej, ściskając i głaszcząc jej piersi, a każdy dotyk biegł prosto do źródła jej kobiecości, jakby istniało

jakieś bezpośrednie połączenie między tak różnymi częściami ciała. Ból pożądania się wzmacniał i Eliza drżała na całym ciele, niebaczną na nic poza Kitem, który wyczyniał z nią takie bezwstydne i cudowne rzeczy.

Nawet nie zauważyła, kiedy jego zwinne palce uporały się z guziczkami i tasiemkami, podtrzymującymi stan sukni. Zsunął w dół stanik i odsłonił jej piersi.

- Oto prawdziwe sutki Wenerzy - wymruczał. - Godne samej bogini miłości.

Musnął nabrzmiąły różowy koniuszek, wydzierając z jej ust jęk rozkoszy. Dotknął drugiej piersi, pocierając kolistym ruchem błądy okrąg pośrodku, a gdy leciutko uszczypnął sutek, ciało Elizy mimowolnie wygięło się pod jego dotykiem.

- O Boże, Elizo, jesteś piękna. Taka namiętna, taka cudowna. Gdzieś ty się chowała przez te wszystkie lata?

Tutaj, pomyślała, na wpół przytomnie, zawsze byłam tutaj. Czekałam na ciebie. I na to.

Jego palce wygrywały na jej ciele rapsodię zmysłowych doznań. Jak długo? Nie wiedziała. W pewnej chwili myślała, że więcej już nie znieśie. Jej nerwy były już tak pobudzone, że miała wrażenie, iż za moment eksploduje. Wtedy zrobił coś, co znowu ją zdumiało.

Wziął jej sutek w usta i dotknął go językiem, a potem pociągnął wargami.

- Hm, miałem rację. Capezzoli di Venere są pyszne, ale ty, mój mały wróbelku, smakujesz przewybornie. Mógłbym cię schrupać w całości.

Tu już Eliza zatraciła wszelką zdolność logicznego myślenia. Zanurzyła palce w jego włosy, gładziła jego głowę i głaskała po policzkach, lubując się jego dotykiem.

Opanowała ją gorączka, nie była w stanie mu się oprzeć. Ręka Kita zanurzyła się pod jej spódnicę, przesuając się niespiesznie od łydki, odzianej w pończochę, w stronę nagiego biodra. Pieścił jej krągłości i głaskał je, jednocześnie całując piersi. Jego dłoń przesuwała się leniwymi, kolistymi ruchami. Wędrowała wokół kola-

na, wzdłuż uda, poprzez biodro. Zaczął głaskać kciukiem wrażliwą skórę po wewnętrznej stronie uda, wzniciając płomień bolesnego pragnienia. Zadrzała, gdy dmuchnął delikatnie na pierś, mokrą od pocałunków. Palce pod spódnicą przesunęły się w górę uda. Ale gdy gdzieś w głębi zamroczonym pożądaniami umysłu zaczęła się zastanawiać, gdzie ją teraz dotknie, Kit przerwał pieszczoty.

Ze zduszonym przekleństwem zwinął dłoń w pięść. Zanurzył twarz w jej piersi i leżał bez ruchu, bez słowa, wstrząsany dreszczami jak człowiek, który toczy zaciekłą walkę wewnętrzną. Trwało to przez kilka chwil, aż wreszcie, z widoczną niechęcią, wyciągnął rękę spod jej sukni.

Obdarzył jeszcze jedną i drugą nagą pierś przeciągłym pocałunkiem, wydał z siebie chrapliwy jęk i odsunął się od niej całkiem.

Pozbawiona ciepła, które dawały jej ramiona Kita, Eliza leżała, osamotniona i zmieszana, niepoczyszona po utracie tej intymnej bliskości.

- Kit?

Kątem oka dostrzegła, że siedzi z jednym kolaniem -w górze i dłonią zakrywa twarz, jakby był w straszliwej agonii. Biorąc pod uwagę głód, który wciąż jeszcze kąsał jej wnętrze, może rzeczywiście tak było.

- Kit, wróć! - przywołała go.

Tak, pomyślała, proszę, wróć.

Rozpostarł dłoń na twarzy i spojrzał na nią spomiędzy palców.

- Nie mogę, moja droga. Musimy przestać.

Ale dlaczego? Nie mogła tego pojąć, skoro wszystko, co robił, było tak cudowne, każdy dotyk, każdy pocałunek był jak uchylone wrota do raju.

- Aleja nie chcę - poskarżyła się, nadasana chyba po raz pierwszy w życiu.

Uniósł kącik ust w górę w krzywym uśmiechu.

- Ja też nie chcę, ale tak trzeba. Nie odważyłbym się dziś posunąć dalej. - Przerwał i westchnął głęboko. -W każdym razie, przed

nami kolejne lekcje, będzie więcej okazji, żeby kontynuować to, co zaczęliśmy. Nie ma co się spieszyć.

Lekcje? Eliza już zdążyła zapomnieć o jakichkolwiek lekcjach, bo dzisiejsze miłosne zabawy przeszły jej najśmielsze wyobrażenia; była w stanie myśleć jedynie o tym, jak wspaniale jest leżeć w ramionach Kita.

Teraz, gdy namiętność powoli zaczęła ją opuszczać, uznała, że Kit ma rację. Rozsądniej było przerwać, nim pożądanie całkiem wymknie się spod kontroli. Naprawdę nie wiedziała, jak Kitowi udało się powstrzymać. Nigdy dotąd nie przeżywała takiej rozkoszy. Nie zdawała sobie sprawy, że tak trudno jest się opanować. Gdyby Kit nie powiedział „stop” w odpowiedniej chwili... cóż, pewnie niewinność Elizy należałaby już do przeszłości. Oczywiście wcale by się tym nie zmartwiła, przecież to Kit był tym, któremu chciała podarować swoje dziewictwo, pragnęła, by to właśnie on był jej pierwszym, jej ostatnim, jedynym.

Ale dama powinna zachować cnotę aż do ślubu. Czy Kit zechciałby się z nią ożenić? A może tylko naiwnie się łudziła, że któregoś dnia ją pokocha i poprosi o jej rękę?

Skoro jednak lata oczekiwania, aż ukochany zwróci na nią uwagę, nie przyniosły rezultatu, może to właśnie namiętność okaże się kluczem do jego serca? W każdym razie na pewno jej pragnął, dostrzegał w niej kobietę godną pożądania, a nie, jak dotychczas, niepozorną przyjaciółkę swojej szwagierki. To popołudnie dowodziło, że poczyniła istotne postępy. Gdyby miesiąc temu ktoś jej powiedział, że ona i Kit będą robić ze sobą te wszystkie cudowne rzeczy, które dziś się wydarzyły, nie uwierzyłyby.

A więc trzeba pozwolić, by to, co jest między nimi, czymkolwiek by było, rozwijało się dalej, w nadziei że pożądanie poprowadzi go ku miłości. Poczwała ciarki na myśl o kolejnych lekcjach. Przez jej ciało ciągle jeszcze przebiegały dreszcze wywołane dzisiejszymi przeżyciami. Nie miała pojęcia, czego więcej może się spodziewać, ale już się nie mogła doczekać, żeby to odkryć.

Za oknem chmura przesłoniła słońce. Nagły dreszcz /innu przypomniał Elizie, że jej piersi są wciąż obnażone. Drżącą ręką usiłowała podciągnąć gors sukni, przyciskając go do ciała i próbując się podnieść.

- Zaczekaj, pomogę ci - powiedział Kit.

Spuściła oczy, nagle onieśmielona.

- Nie trzeba.

Jednym palcem uniósł jej podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Co ci mówiłem? Masz się nie wstydzić, kiedy jesteś ze mną. Pamiętaj o tym, proszę, ze względu na siebie i na mnie.

Zażenowanie zniknęło bez śladu pod jego cierpliwym, wyrozumiałym spojrzeniem.

- Dobrze, Kit.

- A teraz, jeśli przestaniesz tak ścisnąć materiał, pomogę ci zasznurować sukienkę. Chyba powinienem zabawić się w pokojówkę, skoro to przeze masz ubranie w takim nieładzie.

Eliza zachichotała.

- Skąd będziesz wiedział, co robić?

- Poradzę sobie, miałem w swoim czasie wystarczająco dużo praktyki. - Usiadł za nią i zręcznie zabrał się do sznurowania. - Słowo daję, co za szkoda, że trzeba chować te piękne piersi, są naprawdę przewspaniałe. No ale przynajmniej będę miał o czym myśleć; zastanawiać się, kiedy znowu będę mógł raczyć się ich widokiem.

- Kit!

Ze śmiechem i bez śladu skruchy cmoknął ją w nagie ramię i dokończył sznurowanie sukni. Kiedy skończył, wstał i pociągnął Elizę na nogi. Poprawił jej fryzurę i przygładził spódnice, żeby rozprostować zagniecenia.

- Jak nowa - oznajmił.

Nie chcąc pozostać dłużna, Eliza obciągnęła mu kamizelkę i poprawiła przekrzywiony krawat. Na koniec odsunęła mu z czoła niesforny kosmyk włosów.

- Kiedy się znowu spotkamy?

- Hm, ja też mam na to wielką ochotę, ale trzeba się będzie zastanowić. Wyglądałoby to nieco dziwnie, gdybyś zbyt często zaczęła zapadać na niespodziewane dolegliwości.

Pokiwała głową.

- Tak, to by było podejrzane. Violet kazałaby wezwać doktora Montgomery'ego, przekonana, że jestem poważnie chora.

Objął ją ramionami i przyciągnął bliżej.

- W takim razie zdaj się na mnie. Spróbuję cię zaskoczyć. Tym sposobem nigdy nie będziesz wiedziała, czy przypadkiem tuż za rogiem nie czeka na ciebie całus.

Eliza już nie mogła się doczekać.

Nachyliwszy się, Kit wycisnął na jej ustach długi, namiętny pocałunek.

- Dziękuję za wyjątkowe popołudnie - powiedział, wypuszczając ją z objęć. - Z przyjemnością będę je wspominał.

Serce Elizy uderzyło gwałtownie.

- Ja również.

- No, biegnij do siebie, zanim zauważą, że cię nie ma, o ile już ktoś tego nie odkrył. Ach, jeszcze jedno... - Urwał, podchodząc do pobliskiej półki. Sięgnął na chybił trafił i wyciągnął jakąś książkę. - Weź to.

Zerknęła na tytuł.

- Traktat o teorii rachunku różniczkowego?

Zdziwiony, przekrzywił głowę, ale zaraz wzruszył ramionami.

- Przecież rozwijanie umysłu to twoja specjalność.

- Owszem, ale nawet ja nie lubię matematyki.

Zaśmiał się i pocałował ją w rękę.

- No, to jest nas dwoje. Lepiej już idź.

Przyciskając książkę do piersi, oddaliła się posłusznie. Gdy schodziła po krętych schodkach, Kit z przyjemnością śledził wzrokiem jej kołyszące się biodra, póki nie znikła mu z oczu. Za chwilę pojawiła się na dole. Zatrzymała się na moment i popatrzyła w górę, żeby sprawdzić, czy Kit za nią spogląda.

Spoglądał, i owszem. Podszedł nawet do barierek, uniósł rękę i posłał jej jeszcze jeden uśmiech. Uradowana, błysnęła ślicznymi ząbkami, odwróciła się i wybiegła ze zwinnością małej dziewczynki.

Kit poczuł w piersi dziwny ucisk.

Jak to jest, zastanawiał się, że ona z każdym dniem pięknieje? A dzisiaj aż lśniła, jakby rozświetlona od środka. Czy to ich gra miłosna sprawiła, że jej twarz promieniała? Ze jej oczy błyszczały tak żywo?

Wiedział, że dał jej przyjemność, bo każdy jej pocałunek i westchnienie świadczyły o nieklamanej, szczerzej rozkoszy. A i ona odpłaciła mu tym samym, rozpalając go swoimi niewinnymi, spontanicznymi pieszczotami. Do tej pory jeszcze żąda całkiem z niego nie opadła i gwałtem domagała się zaspokojenia. Przedtem ledwo zdołał się powstrzymać, bo każda cząstka jego jestestwa krzyczała, by wziął ją natychmiast, by zanurzył się głęboko w to chętne kobiece ciało. Ale siłą woli, której sam po sobie się nie spodziewał, położył kres pieszczotom.

A miało być lekko, miło i przyjemnie, pomyślał z ironicznym uśmieszkiem. Odwrócił się i podszedł do miejsca, gdzie przed chwilą leżeli. Zebrał całe naręcze poduszek, żeby odłożyć je na miejsce.

Takjak przerwał dziś miłosne igraszki, tak powinien radykalnie uciąć tę całą sprawę. I tak już było mu wystarczająco trudno opanować się przy Elizie. Szczerze mówiąc, okazała się bardziej kusząca niż jakakolwiek znana mu kobieta.

Jednak zauroczenie było już tak silne, że przeistaczało się w nałóg. Owszem, być może zastanawiał się teraz, czy nie powiedzieć Elizie, że nie będzie więcej żadnych lekcji, ale wiedział, że nie oprze się tej pokusie. Myśl, że mógłby żyć bez jej pocałunków, że musiałby wyrzec się jej pieszczot, była nie do zniesienia. A zatem miłosna gra będzie toczyć się dalej, mimo niebezpieczeństw, na które ich naraża.

A może te obawy były przesadne? W końcu dziś zdołał się opanować, więc powstrzyma się i następnym razem. Zabierze ją z sobą na skraj spełnienia, ale nie dalej.

Taką miał nadzieję.

Przeszedł ci już ból głowy? - zapytała Violet następnego dnia przy śniadaniu.

Eliza odstawiła delikatnie porcelanową filiżankę z błękitno-złotą obwódką i wytarła usta serwetką.

- O tak, całkowicie.

- To dobrze. Cieszę się, że wystarczy spokojne popołudnie w domu, żebyś znowu poczuła się sobą.

Eliza się uśmiechnęła i ugryzła kromkę chleba z masłem i marmoladą. Nie powiedziałaaby, że wczorajsze popołudnie było spokojne ani że dzisiaj czuła się tak do końca sobą, ale Violet przecież nie musi o tym wiedzieć.

Zaskoczyło ją, że taki miała apetyt dzisiejszego poranka, bo wciąż jeszcze drżała na wspomnienie wczorajszego sam na sam z Kitem. Tak bardzo chciała opowiedzieć o tym Violet, ale wiedziała, że ten sekret lepiej zatrzymać dla siebie. Toteż razem z kęsem jajecznicy przełknęła wyznanie, które miała na końcu języka.

Zamiast tego, słuchała anegdotek z wyjazdu do Richmond Park, którymi raczyła ją przyjaciółka. Wyglądało na to, że zwłaszcza dzieciom wyprawa się podobała. Bliźniacy biegali po trawie i ficali koziołki, aż wreszcie zaciągnęli Adriana w pobliże sadzawki, pokazując mu żaby, które koniecznie chcieli zabrać do domu.

Eliza od czasu do czasu wtrącała jakieś pytanie, ale zadowolona była, że mówi głównie Violet. Nie mogła się skupić, pomimo pozornego zainteresowania „wszystkim, co przegapiła w parku”, jej myśli ciągle wracały do Kita i do ich schadzki w bibliotece.

Samo wspomnienie budziło w niej rozkoszny dreszcz.

Kit powiedział, że ją zaskoczy. Zastanawiała się, jak długo będzie musiała na to czekać.

Wkrótce potem z przyjemnością przekonała się, że wcale nie długo, bo już następnego popołudnia natknęła się na niego w ko-

rytarzu. Wciągnął ją ukradkiem do pobliskiej alkowy i pocałował krótko, acz ogień.

Odtąd nigdy nie mogła być pewna, kiedy Kit zrobi jej niespodziankę i skradnie smakowitego całusa albo potajemną pieśczętę. Żyła jak na ostrzu noża, po jednej stronie kawałek rajy, po drugiej - swoisty rodzaj piekła.

Pilnował jednak przyzwoitego zachowania przy innych; czy to w domu, czy poza nim - on i Eliza byli obrazem cnotliwości.

Poza tym w jej życie wkradła się niepokojąca rutyna. Goście rano i po południu, potem przyjęcia, rauty, bale i wieczorki. Trzeba było chadzać na śniadania i lunchy, a od czasu do czasu spędzać wieczór w teatrze czy w operze.

Jej konkurenci przychodzili w odwiedziny prawie każdego popołudnia; gromadzili się w salonie, a na zakończenie wizyty jeden z nich, wcześniej umówiony, mógł dostąpić zaszczytu eskortowania Elizy na przejażdżkę powozem lub konną wycieczkę do parku.

Jeden dzień spędziła z wicehrabią Brevardem i jego siostrą, która zaprosiła ją wraz z Violet i Jeanette na wspólne zakupy na Bond Street. Wśród licznych sklepów zajrzeli również do księgarni Hatcharda, gdzie Eliza kupiła precudowne pierwsze wydanie poezji Burnsa. Wyprawę zakończyli wizytą w lodziarni Guntera.

Naprawdę starała się dobrze bawić - bo też jak dotąd był to rzeczywiście najlepszy w jej życiu sezon - ale każda myśl, każdy czyn pełne były Kita. Pojawiał się nawet w snach, po których budziła się samotna, z dojmującym uczuciem pustki, wiedząc, że obiekt jej pożądania śpi zaledwie kilka kroków dalej.

Tłumaczyła sobie jednak, że musi wykazać się cierpliwością. Czeła już tak długo, nic się nie stanie, jeśli poczeka jeszcze trochę.

Od pierwszej miłosnej lekcji z Kitem minęły dokładnie trzy tygodnie. Eliza schodziła właśnie na dół po śniadaniu, gdy zaanonsowano odwiedziny jakiegoś dżentelmena.

- Lord Maplewood jest tutaj? - Zdziwiona, powtórzyła słowa majordomusa. Baron nie miał w zwyczaju pojawiać się o tak wczesnej porze. - Czy księżna już o tym wie?

March dystyngowanie skinął głową.

- Jej wysokość została powiadomiona o jego przybyciu i prosi, byście państwo przeszli do salonu. Dołączy do państwa za parę minut.

Cóż, pomyślała Eliza, skoro Violet kazała jej zabawić przez kilka minut lorda Maplewooda, to widocznie nie ma w tym nic niestosownego.

Cicho podziękowała służącemu i weszła do salonu. O dziwo, majordomus zamknął za nią drzwi. Spojrzała na nie podejrzliwie, nim odwróciła się do gościa, żeby go powitać.

Maplewood, nienagannie ubrany w tradycyjny surdut i spodnie, ze szpakowatymi włosami starannie zaczesanymi w tył, podszedł i skłonił się elegancko.

- Droga panno Hammond, to bardzo miłe z pani strony, że zechciała pani mnie przyjąć tak wcześnie rano.

- Ależ milordzie, pańskie towarzystwo zawsze jest mile widziane. - Usiadła na sofie i wygładziła spódnice, po czym wskazała ręką na pobliskie krzesło. - Może pan spocznie?

Potrząsnął głową, obracając na palcu złoty sygnet z bursztynem.

- Dziękuję, ale wolałbym stać, jeśli to pani nie przeszkadza.

- Ależ skąd.

Czyżby się denerwował? - Eliza się zamyśliła. To dziwne. Lord Maplewood był jednym z najbardziej niewzruszonych i opanowanych mężczyzn, jakich znała. Czekwała w milczeniu, stwierdziwszy, że najlepiej będzie pozwolić mu powiedzieć, z czym przyszedł.

Lord przekręcił sygnet jeszcze raz, nim podniósł głowę i spojrzął jej w oczy.

- Panno Hammond... Na samym początku chciałbym powiedzieć, że tych kilka ostatnich tygodni, spędzonych w pani towarzystwie, było dla mnie prawdziwą przyjemnością. Jest pani najmilszą, najzyczliwszą spośród wszystkich dam, jakie w tym sezonie poznałem. I najbardziej uroczą, rzecz jasna - dodał pospiesznie.

Eliza skłoniła głowę, nieco zaskoczona jego słowami.

- Nie umiem wygłaszać kwiecistych oracji, więc będę mówił prosto. Jako wdowiec potrzebuję żony, a także, co ważniejsze, matki dla mojej córeczki. Mówiła pani, że lubi dzieci, myślę więc, że będzie pani wspaniałą matką. Clarissa na pewno panią pokocha.

- Przerwał i zaśmiał się, zakłopotany. - I ja również panią kocham, od tego pewnie powinienem był zacząć.

Elizie zabrakło tchu. Zanim zdążyła otworzyć usta, Maplewood schwytał jej rękę w swoje dłonie.

- Panno Hammond - powiedział, patrząc na nią ciepłym wzrokiem, ufnym i błagalnym. - Niech pani ulży mojej udręce i powie, że zostanie pani moją żoną.

W głowie jej się zakręciło.

Nie spodziewała się po nim oświadczyn, choć w zasadzie nie powinna być szczególnie zaskoczona. Lord Maplewood od samego początku był przecież jednym z jej najwierniejszych wielbicieli. A teraz chciał się z nią zenić. Była doprawdy wzruszona, ale jakiej miała udzielić odpowiedzi?

Zaledwie miesiąc temu zgodziłyby się bez wahania. Maplewood był idealnym kandydatem na męża, miły i uprzejmy, inteligentny i wykształcony, niebrzydki; ba, mało powiedziane - niejedna dama wdychała na jego widok.

Był dobrym człowiekiem, wiedziała, że nigdy jej nie skrzywdzi ani nie wykorzysta, że zrobi, co w jego mocy, by jej zapewnić wygodę i szczęście, jakiego pragnęła. Nie był też zainteresowany jej majątkiem, bo sam posiadał znaczną fortunę. Przy tym była jeszcze jego córeczka, słodkie dziecko, nad którym wszyscy, pamiętający jej zmarłą matkę, kiwali głową z ubolewaniem.

- Biedne, kochane maleństwo - mówili. - Lady Maplewood to była taka przemiła kobieta. Istna tragedia, że zmarła tak młodo.

Jeśli Eliza wyszłaby za Maplewooda, natychmiast stałaby się matką dziewczynki, i tak spełniłoby się kolejne z jej najgłębszych pragnień.

Gdyby nie pewien problem.

Gdyby tylko nie kochała Kita.

I w tej chwili była już pewna odpowiedzi.

- Milordzie - odezwała się. - Czyni mi pan wielki zaszczyt tą propozycją. Jest pan wspaniałym człowiekiem i bardzo sobie cenię pańską przyjaźń. - Delikatnie wyciągnęła dłonie z jego uścisku.
- Ale obawiam się, że nie mogę przyjąć pańskich oświadczyń.

Mrugnął oczyma i się wyprostował. Na jego twarzy wyraźnie wypisane było rozczarowanie. Dopiero po chwili odzyskał równowagę.

- Czy mogę chociaż dowiedzieć się, dlaczego?

Eliza wpatrywała się we własne dłonie.

- Uważam, że nie pasujemy do siebie.

Ciemna brew lorda powędrowała do góry.

- Pozwolę sobie zaprzeczyć. Ja uważam, że pasujemy do siebie doskonale. Mamy podobne zainteresowania i zgodne usposobienia.
- Urwał i przeciągnął ręką po twarzy. -Jeśli to z powodu Clarissy, jeśli boi się pani brać na siebie taką odpowiedzialność...

- Nie, milordzie - wtrąciła. - To nie ma nic wspólnego z pana córką. Z tego, co pan opowiadał, to urocza dziewczynka, słodka i dobrze ułożona; z pewnością zasługuje na rodzicielską miłość. Między innymi ze względu na nią byłabym skłonna się zgodzić na pańską propozycję, ale...

- Ach, więc jest jakieś ale... - Przeszedł kilka kroków w tę i z powrotem. - Chodzi zatem o mnie? Myśli pani, że nie byłbym dobrym mężem?

- Nie, to nie to.

- Więc może to przez moje niezdarne oświadczyń? Nie zaznaczyłem od początku, że darzę panią uczuciem. Jeśli mi pani pozwoli, spróbuję panią przekonać.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Mógłby pan próbować, ale moja odpowiedź i tak pozostałaby niezmienna.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- Czyli jest ktoś inny. Tak, widzę po pani twarzy, że się nie myślę. Spodziewam się, że to poważne uczucie i że oczekuje pani rychłych oświadczyń tego człowieka?

Znowu spuściła oczy i obrysowała palcem haftowany kwiatek na sukience. Nagle postanowiła być szczerą. Uznała, że lord Maplewood zasługuje przynajmniej na tyle.

- Mam nadzieję, że mi się oświadczy - powiedziała, spoglądając mu w oczy. - Choć obecnie nie mam prawa mówić o pewności. On... ja... jesteśmy jeszcze na etapie zalotów.

Maplewood zmarszczył się gniewnie.

- Będzie więc głupcem, jeśli szybko nie pójdzie po rozum do głowy i nie uczyni pani swoją żoną. Pani go kocha, tak? To chyba nie jest jakiś łajdak bez grosza? Ktoś, kto wykorzysta pani dobre serce?

- Nie, milordzie, to uczciwy dżentelmen. Nie mam powodu posądzać go o tak nieczne zamiary. Owszem, Kocham go.

Rozczarowany, opuścił ramiona i odwrócił wzrok.

Eliza wstała z kanapy.

- Milordzie, tak bardzo mi przykro. Nie zamierzałam panu sprawić przykrości. I naprawdę uważam, że jest pan wspaniałym człowiekiem. Wierzę, że pewnego dnia znajdzie pan kobietę godną pańskiej miłości.

Twarz Maplewooda złagodniała.

- Już ją znalazłem, ale jak widać, nie mam szans na jej rękę ani serce. - Ucałował jej dłoń. - Życzę pani wszelkiego szczęścia. *Adieu*, panno Hammond.

Skinął głową i się oddalił.

Zaraz potem usłyszała, jak frontowe drzwi się otwierają i zatraskują, a pojazd lorda odjeżdża ulicą.

Opadła z powrotem na sofę.

Niecałą minutę później w salonie pojawiła się Violet, mocno podekscytowana.

- I co powiedział lord Maplewood? Dlaczego już sobie poszedł? Myślałam, że zostanie, żebyście razem mogli podzielić się nowinami. Bo chyba jest o czym opowiadać? Czy mi się wydaje, czy on się przyszedł oświadczyć?

- Nie, nie wydaje ci się.

Violet przycisnęła rękę do piersi.

- I co?

Eliza stłumiła westchnienie.

- Nie przyjęłam go.

Księżnej opadły ręce.

- Ale dlaczego? Sądziłam, że lubisz lorda Maplewooda. Zawsze tak dobrze się z nim bawiłaś i macie tyle -wspólnych zainteresowań, także upodobanie do literatury. Wydawał mi się idealną partią dla ciebie.

- On też tak uważa. Owszem, lubię go. To bardzo miły człowiek, ale...

- Ale? - dopytywała się Violet.

Eliza spojrzała w morskie oczy przyjaciółki.

- Ale go nie kocham.

- Och...

- Czy to źle, że chciałabym kochać mężczyznę, którego mam poślubić? - Zerwała się na nogi. - Czy moja sytuacja jest już tak rozpaczliwa, że muszę przyjąć pierwszego lepszego dżentelmena, który nie jest łajdakiem i nie wygląda jak małpa?

- Nie, oczywiście że nie, nie to miałam na myśli. - Violet objęła ją za ramiona. - Masz pełne prawo oczekiwać miłości, a nawet wymagającej od człowieka, z którym spędzisz resztę życia. Nie zdałam sobie nigdy sprawy, jaka ja sama byłam nierozważna pod tym względem. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła być żoną kogoś innego, niż Adrian, że mogłabym żyć bez tej głębokiej radości i poczucia bezpieczeństwa, które daje mi nasze małżeństwo. Nie powinnam zakładać, że ty mogłabyś zadowolić się jakimś pośledniejszym uczuciem, przepraszam cię.

- Nie masz za co przepraszać. - Eliza uściśnęła przyjaciółkę.
- Kiedy zaczynałam to polowanie na męża, sama mówiłam, że wystarczy mi ktoś miły i uprzejmy, kto nie jest przy tym łowcą posagów. Lord Maplewood spełnia te kryteria. Ma do zaoferowania dużo więcej. Naprawdę, byłby wspaniałym mężem. Aleja chcę kochać i być kochaną.

- I to ci się należy. - Violet ścisnęła jej ramię, po czym opuściła rękę. - A może ktoś spośród twoich zalotników już zasłużył sobie na jakieś szczególne względy?

Eliza się zawahała. Powiedzieć Violet? Odkryć przed nią swoją głęboką miłość do Kita i plany zdobycia jego serca? Jak zwykle wezbrała w niej chęć zwierzenia się przyjaciółce.

- Niezupełnie - powiedziała. - Widzisz...

- Co ja słyszę? - przerwał im Kit, wkraczając do salonu. - Czy to prawda, że Maplewood niespodziewanie odwiedził Elizę dziś rano?

Violet obróciła się ku niemu.

- Widzę, że poczta pantoflowa działa, jak zawsze, bez zarzutu. Owszem, nie mylisz się. Lord Maplewood był tutaj.

Jego spojrzenie pobiegło w stronę Elizy.

- Czego chciał?

Czy rzeczywiście przez jego twarz przemknął wyraz niepokoju, czy to tylko jej pobożne życzenia? Odetchnęła głęboko i mimowolnie wyprostowała ramiona.

- Poprosił mnie o rękę.

- Doprawdy?

Gniewna zmarszczka na czole Kita bardzo ją uradowała.

- Odmówiłam - dodała cicho.

Patrzył na nią przez długą chwilę, a w jego oczach błysnęło jakieś trudne do opisanie uczucie. Wreszcie skinął głową.

- I słusznie. Nie ma powodu, żebyś przyjęła pierwszego lepszego kandydata, który się nadaje. Mam rację, Vi? Maplewood jest dla Elizy zbyt poważny. Zakopałby się z nią na wsi i zanudzał rozmowami o gospodarstwie, a wieczorami czytali by sobie książki do poduszki. Wystarczy, że o tym pomyślę, a już zaczynam ziewać.

Violet się roześmiała.

- Kit! Jesteś okropny! Lord Maplewood to uroczy człowiek, taki dobry i uprzejmy.

- Nie mówiłem, że nie jest dobry, tylko że dobrze by mu zrobiło trochę więcej swobody.

- Pewnie powinien się uczyć od ciebie. - Violet droczyła się ze szwagrem.

- Nic w tym złego, że ktoś się od czasu do czasu trochę zabawi. - Z szelmowskim uśmiechem odwrócił się w stronę Elizy i mrugnął do niej beczelnie. - Prawda, panno Hammond?

Jak zawsze jego beczelność i charyzma ją oczarowały. Gwałtowne uderzenia tętna czuła aż w nadgarstkach, więc starała się przybrać obojętny wyraz twarzy, bo wiedziała, że Violet przygląda się im obojgu.

- Nie, milordzie, nic złego - przytaknęła.

Następnego wieczoru w teatrze gromkie brawa wyrwały Elizę z marzeń najawie. Poniżej, na scenie, aktorzy się skłonili i wycofali za kurtynę, żeby się przygotować do drugiego aktu.

Wicehrabia Brevard, siedzący na krześle obok, odwrócił się w jej stronę.

- I jak ci się podoba?

Przez dłuższą chwilę spoglądała na niego, oszołomiona, aż wreszcie uświadomiła sobie, że na pewno pyta o sztukę. Na szczęście już nie raz oglądała *Otella*.

- Bardzo poruszające - odrzekła. - Chociaż nigdy nie mogę zrozumieć, dlaczego Otello daje wiarę takiemu oszustowi jak Jago. Dobrze by zrobił, gdyby teraz po przerwie okazał trochę zaufania swojej żonie, ale, niestety, wiem, że tak się nie stanie, po raz kolejny.

Brevard pokręcił głową, zasmucony.

- Obawiam się, że nic z tego. Tragiczny los czeka biedną Desdemonę, skazaną na niechybną śmierć.

Wicehrabia, jego siostra Franny i panna Twitchell, jej młoda przyjaciółka, dołączyli dziś wieczór do Elizy i księstwa Raeburn. Z książęcej łoży był wspaniały widok na scenę.

Eliza miała również doskonały widok na Kita, który przyszedł dzisiaj sam, a spotkawszy grupkę swoich kompanów, usiadł z nimi w łoży naprzeciwko. Mimo usilnych starań, nie mogła skupić się na akcji sztuki, jej spojrzenie wciąż wędrowało w stronę ukocha-

nego. "Wydawało się, że on też jej się przygląda, ale nie miała pewności, bo przyćmione światło na widowni nie pozwalało widzieć wyraźnie.

A teraz nadszedł antrakt.

Czy Kit do niej podejdzie? Zmysły zawibrowały podnieceniem, ale zaraz wytłumaczyła sobie, że nic podobnego się nie zdarzy. Owszem: Kit „uczył” ją w domowym zaciszu, ale ilekroć byli w towarzystwie, przybierał dobroduszną pozę przyjaciela. Czasami pragnęła, żeby choć raz się zapomniał, żeby ujawnił skrywaną namiętność. No dobrze, tak naprawdę chciałyby, żeby wstąpił w szeregi jej zalotników, przepędził ich wszystkich i ogłosił całemu światu, że Eliza należy do niego.

Zanim jednak do tego dojdzie, trzeba kontynuować tę grę i z pogodną miną przyjmować względy innych mężczyzn, takich jak wicehrabia Brevard. Z tym postanowieniem Eliza zwróciła się do Brevarda i obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

Natychmiast odwzajemnił uśmiech, a oczy rozjaśniły mu się błękitem czerwcowego nieba.

Jego siostra, śliczna blondyneczka podobna do wiosennego żonkila, pojawiła się właśnie u boku brata.

- Lance, pozwolisz mi pójść razem z Jane do łoży lady Margate? Przyszła dzisiaj z córkami, bardzo byśmy chciały z nimi porozmawiać.

Wicehrabia spojrział na siostrę i na pannę Twitchell. Na twarzach obu dziewcząt malował się wyraz pełnego nadziei oczekiwania.

- No dobrze - zaczął.

Dziewczęta klasnęły w dłonie i wykrzyknęły radośnie.

- Ale pod warunkiem, że panna Hammond zechce przejść się razem z nami - zastrzegł. - Będziemy szli za wami, żebym był pewien, że dotarłyście cało do łoży Margate'ow. Tu, na górze, większość widzów to osoby z towarzystwa, ale nigdy nie wiadomo, czy nie wśliznie się jakiś chuligan, który chciałby napastować młode damy, spacerujące bez opieki. - Zwrócił się do Elizy: - Panno Hammond? Może ma pani ochotę na mały spacer we foyer?

- Oczywiście. - Eliza skinęła głową. - Panna Brevard i panna Twitchell byłyby niepokieszone, gdybym odmówiła.

Wicehrabia wstał i podał jej ramię. Eliza zatrzymała się jeszcze przy fotelach Adriana i Violet, żeby im powiedzieć, dokąd się udaje, po czym cała czwórka ruszyła w drogę.

Dziewczęta szły przodem, Brevard i Eliza za nimi, w pewnej odległości, żeby nie czuły się skrępowane.

Wkrótce dotarli do łoży Margate'ow; lady Margate i jej córki bardzo się ucieszyły na ich widok. Oprócz nich w łoży siedziało trzech przystojnych młodzieńców i Eliza podejrzewała, że to był właściwy powód, dla którego Franny i Jane tak bardzo chciały złożyć tę wizytę.

Po krótkiej wymianie uprzejmości lady Margate pożegnała wicehrabiego i Elizę, obiecawszy odprowadzić siostrę lorda i jej przyjaciółkę do księżęcej łoży przed rozpoczęciem drugiego aktu. Pewni, że dziewczęta pozostaną pod dobrą opieką, Brevard i Eliza udali się na przechadzkę.

- Przejdziemy jeszcze kawałek w tę stronę czy będziemy już wracać? - zapytał Brevard.

- Chodźmy. Antrakt skończy się dopiero za parę minut, więc możemy jeszcze pospacerować. Dość się już nasiedziałam.

Poruszali się powoli, bo we foyer kłębił się gęsty tłum elegancko ubranych dam i dżentelmenów. Trudno było nawet rozmawiać, bo wokół panował nieznośny hałas. Niewielkie olejne kinkiety oświetlały drogę przytłumionym, złocistym światłem. Od czasu do czasu Eliza i wicehrabia musieli się zatrzymać, żeby zamienić parę słów z tym czy innym znajomym.

Zawrócili na końcu holu i byli już w połowie drogi do łoży Adriana i Violet, gdy nagle z tłumu wysunął się wysoki chudy mężczyzna. Czarnowłosa i czarnooki. Posuwał się z wolna ku nim, a jego spojrzenie drażniło Elizę jak dotyk lodowatej macki.

Philip Pettigrew.

Nie widziała go od tamtego niefortunnego popołudnia, kiedy odwiedził Raeburn House i nieomal zażądał, żeby za niego wyszła.

Być może wyjechał potem z miasta. Najwyraźniej wrócił teraz. Jak zwykle odziany był w głęboką czerń, godną przedsiębiorcy pogrzebowego.

Miała ochotę się odwrócić i udać, że go nie widzi, ale nie było dokąd się wycofać. Gdyby go publicznie zignorowała, zaraz znalazłaby się na językach plotkarzy. Toteż przygotowała się w duchu na nieprzyjemne spotkanie, mocniej wsparła na ramieniu Brevarda i przywołała na twarz życzliwy uśmiech.

- Kuzynko Elizo - powiedział Pettigrew, zatrzymując się przed nimi. - Jak miło cię tu spotkać. Nie wiedziałem, że jesteś w teatrze, póki nie wypatrzyłem cię przed chwilą w tłumie.

Dlaczego, zastanawiała się Eliza, mam przykre wrażenie, że on kłamie? Otrząsając się z nieprzyjemnego uczucia, skinęła mu głową na powitanie.

- Kuzynie.

Zapadła niezręczna cisza, bowiem Pettigrew wyraźnie oczekiwał, że Eliza przedstawi go swojemu towarzyszowi.

- Lordzie Brevard - powiedziała. - Pozwoli pan, że przedstawię mu mojego kuzyna, pana Philipa Pettigrew - przerwała, nie zaszczycając Pettigrew spojrzeniem. - Kuzynie Philipie, wicehrabia Lancelot Brevard. Przypuszczam, że panowie się wcześniej nie znali.

- Nie, nie miałem okazji poznać pana Pettigrew. - Wicehrabia wyciągnął dłoń.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

- Nie wiedziałem, że panna Hammond ma w mieście jakąś rodzinę - powiedział Brevard.

- Kuzynka Eliza nie ma wielu krewnych - odrzekł Pettigrew. - Jej rodzice już dawno opuścili ten padół, a z bliskiej rodziny pozostaliśmy jedynie jej ciotka i ja. Ale teraz, kiedy mama odeszła, świeć panie nad jej duszą, kuzynka ma już tylko mnie. Szkoda, że tak rzadko się widzimy, nieprawdaż, kuzynko?

Eliza patrzyła na niego, mając wielką ochotę gniewnie się wyrzywić. Gdyby powiedziała „nie” - co miała wielką ochotę uczynić

- zabrzmiałoby to grubiańsko. Gdyby się z nim zgodziła, mogłoby to wykorzystać, żeby znowu kiedyś zacząć jej się narzucać.

Wybierając złoty środek, poprzestała na niezobowiązującym mruknięciu.

- Miło było cię spotkać, kuzynie, ale tego lordowska mość i ja musimy już wracać na miejsca.

- Skądże, antrakt jeszcze się nie skończył. Możemy przecież pogawędzić przez minutę czy dwie.

Skuliła się wewnątrz i niczego bardziej nie pragnęła, niż się oddalić od obmierzonego kuzyna, ale wstrzymywały ją dobre maniere.

- Wygląda na to, że dobrze się bawisz w tym sezonie, kuzynko - powiedział Pettigrew. - Wszyscy mówią o tobie i o tym, jak zyskałaś popularność w towarzystwie. - Urwał i wyszczerzył połówkę zęby. - To musi być miła odmiana w stosunku do ubiegłych sezonów. Ileż to już ich było?

Złośliwy błysk w jego oczach wskazywał, że dobrze zna tę liczbę. Eliza zeszytniała, ale nie dała się złapać na tak oczywistą przynętę.

- Trudno powiedzieć.

- Cóż, nieważne, ile ich tam było - ciągnął Pettigrew, leniwie opuszczając i podnosząc powieki w sposób, który Elizie przywodził na myśl niebezpiecznego gada. - W każdym razie podziwiam twój optymizm. Większość kobiet w twoim wieku zrezygnowałaby już dawno temu, wdzierając staropanieński czepiec. Musisz być dumna ze swoich podbojów w ciągu tego sezonu. Jednakowoż zaskoczony jestem, że nic jeszcze nie słyhać o twoich zaręczynach.

Ramię Brevarda zacisnęło się mocniej wokół ręki Elizy, ale nim wicehrabia zdążył zainterweniować, ponad gwar panujący wokół wybił się znajomy głos.

- Dama na pewno ogłosi wybór, kiedy będzie na to gotowa. I ani minuty wcześniej. - W głosie Kita brzmiał twardy, bezwzględny ton, którego Eliza nigdy wcześniej u niego nie słyszała. - Gdy przyjdzie na to czas, przeczyta pan notkę o zaręczynach w gazecie, Pettigrew.

Pogarda w słowach Kita była jak policzek, wymierzony w twarz posępnego mężczyzny. W jego smolistych oczach zamigotał przez moment złowrogi błysk, ale wkrótce zniknął bez śladu.

- Lordzie Christopherze - kuzyn Elizy przywitał się z fałszywą grzecznością. - Spotkać pana to dla mnie, jak zwykle, przyjemność.

- Skoro pan tak twierdzi. - Kit nie silił się na uprzejmości.

- Widzę, że pana zdaniem uchybiłem w czymś kuzynce Elizie, ale zapewniam, że nie miałem żadnych złych intencji. Jako jej najbliższy krewny jestem po prostu zatroskany o jej przyszłe szczęście.

- O tak, zatroskany. - Głos Kita aż ociekał sarkazmem. - Jak również niewątpliwie załamany z powodu utraty spadku po pańskiej matce. - Mimo że obaj mężczyźni byli podobnego wzrostu, Kit sprawiał groźne wrażenie, nachylając się nad Philipem. - Nie wiem, co za chore plany snuje pan w swojej głowie, ale proszę o nich zapomnieć. Eliza i jej majątek nie są dla pana. Raz już panu odmówiła, nie będzie się pan jej znowu narzucał.

- Rani mnie pan do żywego, milordzie. Ja się tylko zatrzymałem, żeby przypomnieć się kuzynce i zamienić parę słów. Chyba mam prawo rozmawiać z własną rodziną?

- Już pan porozmawiał, teraz proszę zniknąć.

Niezdrowy rumieniec zabarwił bladą zazwyczaj twarz Pettigrew, górna warga zadrgała mu nerwowo.

- Powinienem pana wyzwać zarówno za to obelżywe zachowanie, jak i za oskarżenia, które pan rzuca pod moim adresem.

Kit, wyraźnie rozbawiony, założył ręce na piersi.

- Chce się pan bić? Z przyjemnością stanę do pojedynku. Brevard może być moim sekundantem.

Wicehrabia w milczeniu potwierdził skinieniem głowy.

- Więc co pan wybiera? - Kit prowokował przeciwnika. - Pi-stolety czy szpady? Mnie to nie robi różnicy, z obydwojma radzę sobie doskonale. A jeśli boi się pan umrzeć, możemy umówić się na ringu u Jacksona. Na pewno uda mi się załatwić dla pana wstęp, bo wiem, że nie jest pan tam zapisany.

Na wzmiankę o przemocy Elizie z przerażenia ścisnęło się serce.

- Kit, przestań, proszę. Nie rób tego.

Nie spojrzawszy nawet wjej stronę, poklepał dłoń, którą położyła na jego ramieniu. Cały czas wbijał wzrok wjej kuzyna.

- I cóż, Pettigrew? Czekam.

Skonsternowana Eliza zorientowała się, że nie tylko Kit czeka na odpowiedź Philipa. Wokół nich zgromadził się niewielki tłumek pań i panów, którzy udawali, że zajmują się czym innym, a tak naprawdę przysłuchiwali się każdemu słowu.

Pettigrew, wyraźnie rozsierdzony, wypiął chudą pierś i wysunął kościsty podbródek, a grdyka poruszała mu się w górę i w dół jak u indyka. W chwili, gdy zebrani zaczęli się już zastanawiać, czy przypadkiem nie jest na tyle głupi, żeby podjąć wyzwanie Kita, on jedynie warknął wściekle, obrócił się na pięcie i odszedł, torując sobie łokciami drogę poprzez tłum.

- Wygląda na to, że jego pogroźki są tak próżne, jak jego kieszenie - powiedział Kit dość głośno.

Wśród gapiów rozległy się chichoty, ten i ów dorzucił ciętą uwagę. Ponieważ antrakt i tak już dobiegał końca, tłum stopniał dość szybko, bo wszyscy wracali na swoje miejsca. Gdy wreszcie korytarz opustoszał, Kit zwrócił się do Elizy.

- Jak się czujesz?

Eliza nie sądziła, że ta scena wytrąci ją z równowagi, ale teraz, kiedy spotkanie z kuzynem miała już za sobą, cała trzęsła się z nerwów. Widząc, w jakim jest stanie, Kit zerknął na Brevarda.

- Panna Hammond bardzo się przejęła. Bądź tak dobry i powiedz mojemu bratu i szwagierce, że zabieram ją do domu.

- Nie musisz przeze mnie wychodzić, zaraz mi przejdzie - powiedziała Eliza.

Kit pokręcił głową.

- Nie przejdzie ci, bo połowa widowni będzie ci się przyglądać przez resztę wieczoru. Wiesz przecież, jak szybko rozchodzą

się plotki. Zabiorę cię do Raeburn House. Adrian i Violet poradzą sobie z wszelkimi ewentualnymi pogłoskami. Odkąd udało im się przetrwać własny skandal parę lat temu, stali się prawdziwymi ekspertami w wyciszaniu niepożądanych plotek.

- Winter ma rację, panno Hammond - przekonywał Brevard.

- Gdyby pani została, tylko przysporzyłaby sobie pani niepotrzebnej zgryzoty. A tak, do jutra, nim się pani obudzi, plotkarze zdążą już o pani zapomnieć i znajdą sobie nową pożywkę.

Przygryzła wargę, po czym skinęła głową.

- Dobrze. Ale proszę powiedzieć księżnej, żeby się mną nie przejmowała i spokojnie obejrzała sztukę do końca. Nie chciała-bym zmarnować jej wieczoru.

- I nie zmarnujesz - zapewnił Kit, odwracając się do przyjaciela. - Dziękuję za pomoc, Brevard, i dobrej nocy.

Eliza uśmiechnęła się niewyraźnie do wicehrabiego.

- Ja również dziękuję, milordzie. Proszę pozdrowić ode mnie swoją siostrę i pannę Twitchell.

Brevard przytaknął, po czym, skłoniwszy się na pożegnanie, odszedł.

Kit podał jej ramię.

- Chodź, mój mały wróbelku. Idziemy stąd.

Położyła dłoń w zgięciu jego łokcia i razem wyszli z teatru.

18

Kiedy już opuścili mury teatru, Kit zajął miejsce w powozie naprzeciwko Elizy, *czekając*, aż służący zamknie drzwi i pojazd ruszy w drogę.

Przez całą wieczór trzymał się od niej na dystans. Początkowo miał zamiar wybrać się do teatru razem z rodziną, ale uznał, że rozsądniej będzie usiąść po drugiej stronie widowni z przyjaciółmi niż w tej samej łoży, co Eliza. Gdyby siedział tak blisko niej,

nieustannie nęciłoby go, żeby jej ukradkiem dotknąć. Ostatnio ta pokusa nachodziła go tak często, że graniczyła niemal z obsesją.

Musiał więc zadowolić się patrzeniem na nią poprzez ciemną widownię. Widział też, że od czasu do czasu i ona zerka w jego stronę.

Miał zamiar pozostać w cieniu do końca wieczoru, ale porzucił ten zamiar podczas antraktu, kiedy usłyszał gburowate zaczepki Philipa Pettigrew. Najważniejszą rzeczą było pomóc Elizie, zetrzeć z jej twarzy ten wyraz strapienia.

Oczywiście to, że mógł teraz wracać z nią do domu sam na sam, było dodatkowym powodem do zadowolenia.

Woźnica szarpnął lejce i powóz drgnął lekko, ruszając z miejsca. Kit natychmiast przesiadł się na drugą stronę, tuż obok Elizy. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Lepiej ci?

- Teraz już tak. - Skinęła głową.

- W takim razie, co to za dreszcze? - W głosie Kita brzmiała lekka przygana. Przeciągnął palcem po odsłoniętej skórze ramienia, której nie zakrywał krótki rękaw sukni ani rękawiczka do łokcia.

Eliza spojrzała na niego spod spuszczonej powiek.

- Trochę mi zimno.

- Zaraz cię rozgrzeję.

Z tymi słowami dźwignął ją z siedzenia i posadził sobie na kolanach, ciasno obejmując ramionami.

- No i proszę, od razu lepiej.

Zaskoczona, poruszyła biodrami, próbując się wygodnie usadowić. Otarła się przy tym o niego pośladkami w taki sposób, że poczuł w lędźwiach gwałtowny skurcz pożądania. Natychmiast przestała się wiercić, jakby odgadując, że stawia go w niezręcznej sytuacji, ale było już za późno.

Nie, żeby Kit miał zamiar narzekać. Przeciwnie, rozkoszował się tym, że miał ją tak blisko. Z cichym westchnieniem Eliza oparła głowę na jego ramieniu. Pogłaskał jej rękę i delikatnie pocałował.

- Już dobrze, nie denerwuj się. Już jesteś bezpieczna.
- Wiem. Tak naprawdę nic mi nie groziło, ale on jest taki okropny. ...

- Paskudny. Jak wrzód na pośladku. Ale już zniknął, a ja nie pozwolę, żeby więcej ci się naprzykrzał. Będę cię bronił.

Przytuliła się do niego mocniej i objęła go w pasie.

- Nawet ci nie podziękowałam za to, że tak dzielnie stanąłeś w mojej obronie. Lord Brevard chyba właśnie miał zamiar to zrobić, ale...

- Ale nie wiedział, że twój kuzyn jest oślizgłym gadem, i jaki z niego tchórz. No ale teraz całe miasto się o tym dowie.

Eliza podniosła ku niemu oczy.

- Kit, Philip był wściekły. Nie powinienes był go tak prowokować.

- Nic by mi nie zdołał zrobić, uwierz mi, nawet gdyby miał na tyle odwagi, żeby się ze mną zmierzyć.

- O to się nie martwiłam. Bałam się raczej, że to ty byś go zabił, a potem musiałbyś uciekać z kraju. Byli przecież świadkowie waszej sprzeczki.

Kit wlepił w nią oczy, a za chwilę wybuchnął głośnym śmiechem i śmiał się pod nosem jeszcze przez długą chwilę.

- To właśnie w tobie uwielbiam, Elizo, zawsze jesteś tak cudownie szczerą. Niewielu ludzi to potrafi. Obiecuj mi, mój mały wróbelku, że taka pozostaniesz, nawet na starość.

Na ustach Elizy zagościł rozmarzony uśmiech. Nawet w mrocznym wnętrzu powozu widać było, że słowa Kita sprawiły jej wielkie zadowolenie.

- Obiecuję - zamruczała cichym, ochrypłym głosem.

Nastrój do żartów natychmiast wywietrzał Kitowi z głowy, a w jego miejsce wystrzelił płomień pożądania. Przycisnął ją do siebie mocniej, sięgnął dłonią do jej policzka i pogłaskał lekko, a potem zsunął palce w dół, dotykając delikatnej skóry jej szyi. Uniósł jej podbródek i głowa Elizy odchyliła się do tyłu, jakby szykując się do pocałunku. Musnął wargami jej policzek.

- Zdaje mi się, że mówiłaś coś o podziękowaniach. - Nachylił się i z czcią ucałował drugi policzek. - Chyba nawet mam już pewien pomysł... Może tak byś mi pokazała, czego cię nauczyłłem?

Nie musiał długo czekać, żeby Eliza odpowiedziała na to zaproszenie. Zanurzyła palce w jego włosy i przyciągnęła jego usta do swoich. Całowała go umiejętnie i z zapałem. Musiał przyznać, że istotnie sporo się od niego nauczyła, bo w ciągu kilku sekund jego zmysły oszalały, a zdolność logicznego myślenia stała się odległym wspomnieniem.

Eliza, jak zawsze pod wpływem pieszczot Kita, zapłonęła gwałtownym uczuciem, a krew zawrzała jej w żyłach. Całą swoją namiętność przelała w pocałunek, który wyciskała na ustach ukochanego.

Szybko się przekonała, że jej starania dają oczekiwane rezultaty. Język Kita splótł się z jej własnym w szalonym tańcu; młodzieniec z jękiem zsunął rękę na jej pierś, drażniąc nabrzmiały sutek przez cienki jedwab wieczorowej sukni.

Eliza zmieniła pozycję, dając mu większą możliwość ruchu, co Kit, ku jej ogromnemu zadowoleniu, zaraz skwapliwie wykorzystał. Pociągnął w dół rękaw, a za nim cały bok sukienki, uwalniając jedną pierś spod materiału. Ścisnął ją w dłoni, a potem podniósł Elizę w górę, by łatwiej móc przyłgnąć ustami do ciała, spragnionego dotyku.

Eliza czuła się jak w niebie, każde dotknięcie jego warg, zębów i języka na delikatnej skórze wywoływało dreszcz rozkoszy. Rozpaczliwie zapragnęła poczuć pod palcami jego ciało, sięgnęła więc pod surdut i pod kamizelkę, gorączkowo szarpiąc batystową koszulę. Nie udało jej się odsłonić skóry, więc pieściła go przez materiał, napawając się bijącym od niego żarem i dotykiem twardych, silnych mięśni.

Z pożądliwym pomrukiem Kit zaczął ssać jej sutek, opuszczając drugą dłoń, żeby podwinąć spódnicę. Jego palce zaraz wyruszyły w podróż do góry, jak tamtego dnia w bibliotece, wzdłuż łydki,

ponad kolanem, poprzez udo. Przez kilka chwil pieścił jej nogę, ale tym razem nie cofnął już ręki.

Gdy dotknął wrażliwego wnętrza jej uda, Eliza zadrżała. Wydawało jej się, że śni jakiś rozpalony, rozkoszny sen. Nagle jej oczy otworzyły się w szoku, bo oto palec Kita znalazł się wewnątrz niej. Nie wyobrażała sobie nigdy, że ktoś mógłby tak jej dotykać.

- O mój Boże -jęknęła, gdy Kit poruszył dłonią, pieszcząc ją. Zawładnął znowu jej ustami, tłumiąc ciche jęki i zdyszane westchnienia, które wydobywały się z jej gardła. Eliza nie potrafiła się już powstrzymać.

Ból pożądania narastał, wznosił się coraz wyżej z każdym poruszeniem jego dłoni. Już wydawało się jej, że lepiej być nie może, gdy on wsunął w nią drugi palec, powoli, głęboko, czekając, aż jej ciało dostosuje się do tej zmiany.

Wypreżyła się z krzykiem, który Kit stłumił pocałunkiem. Niezdolna do logicznego myślenia, leżała bez sił w jego ramionach, poddając się upajającym pieszczotom. Uczepiła się jego koszuli, wbijając palce w materiał, jakby od tego zależało jej życie.

Gdy nadszedł moment przesilenia, z jej ust wydarł się okrzyk, a całe ciało zadrżało w odpowiedzi na eksplozję obezwładniającej rozkoszy, która przeszła ją niczym błyskawica, niczym nagły pożar we krwi, w kościach i mięśniach.

Przylgnęła do niego, oddychając ciężko, póki dreszcze z wolna się nie uspokoiły. Wtedy dopiero zdała sobie sprawę z tego, w jakim stanie jest Kit. Długi, sztywny kształt wbijał się w jej pośladki. Instynktownie zsunęła się na bok i sięgnęła ręką pomiędzy ich ciała.

Przez gładką satynę wieczorowych spodni poczuła, że drgnął pod jej dotykiem. Gdy lekko obrysowała palcami wypukłość, Kit przygryzł wargi, by nie jęknąć głośno. Zacisnął powieki, a na twarzy malował mu się wyraz ekstazy, połączonej z udręką.

Nakrył jej dłoń swoją ręką, pokazując jej cierpliwie, ale stanowczo, jak powinna go dotykać. Eliza chętnie poddała się tym

wskazówkom i zaczęła pieścić go przez spodnie, zdumiona, że choć ich ciała tak bardzo się od siebie różnią, to podobnie reagują na przyjemność.

Spragniony dotyku jej dłoni na swoim nagim ciele, Kit sięgnął do guzików spodni.

W tym momencie powóz się zatrzymał.

Oboje zamarli i przez chwilę żadne z nich nie rozumiało, co się dzieje. Przypatrywali się sobie w oszołomieniu.

Na zewnątrz słychać było zwyczajne odgłosy - delikatne podzwanianie wędzideł, rzenie koni, które pewnie chciały jak najszybciej pozbyć się pasażerów i znaleźć w wygodnej stajni. Eliza słyszała też przytłumione głosy woźnicy i służącego, który właśnie zeskoczył z kozła, żeby otworzyć im drzwi powozu.

Kit z szybkością błyskawicy podciągnął sukienkę w górę, zakrywając jej piersi, opuścił z powrotem spódnicę, po czym dosłownie uniósł ją w powietrze i posadził obok siebie. Sam odsunął się od niej tak daleko, jak tylko mógł. Przeczesał zwichrzone włosy palcami i próbował naciągnąć materiał spodni w nadziei, że uda mu się zasłonić podłużny kształt prężący się pod spodem.

Położył sobie rękę na kolanach i odchylił się jeszcze dalej w ciemny kąt powozu.

Drzwiczki się otworzyły, wpuszczając do środka bezlitosne światło latarni ulicznych i lamp Raeburn House. Służący czekał, aż Eliza i Kit wysiądą.

- Jeszcze moment, Robercie - odezwał się Kit do sługi oschłym tonem. - Panna Hammond i ja... nie skończyliśmy rozmawiać.

- Tak jest, milordzie.

- I zamknij drzwi, dobrze?

Robert zerknął na nich ciekawie.

- Dobrze, milordzie.

Drzwi zamknęły się za nim.

Kit westchnął ciężko i oparł głowę o wysciełany zagłówek.

- Dobry Boże, o mały włos...

Eliza, wciąż na wpół oszołomiona, nie mogła się z nim nie zgodzić. Jej ciało wciąż jeszcze drżało i pulsowało w sekretnych, ukrytych miejscach.

- Co oni sobie o nas pomyślą? - szepnęła, zerkając przez okno na oczekującą na zewnątrz służbę. Nawet March otworzył już frontowe drzwi i czekał na szczycie schodów, żeby ich wpuścić do domu.

- Może pomyślą, że się pokłóciliśmy - odpowiedział Kit. - Taką przynajmniej mam nadzieję. Z drugiej strony, jeżeli wysiądę z powozu w takim stanie, nie będą się musieli niczego domyślać.

Wzrok Elizy pobiegł w stronę pokąźnej wypukłości między jego nogami. Wydawało się, że pod wpływem jej spojrzenia podłużny kształt zwiększa jeszcze swoje rozmiary.

Kit uniósł brew.

- Jeśli nie chcesz zostać tutaj i dokończyć tego, co zaczęliśmy, radziłbym ci przestać.

Natychmiast podniosła oczy i zamrugała, oblewając się gorącym rumieńcem.

- Proponuję, żebyś poszła sama do domu - mówił dalej, łagodniejszym tonem. - Nie obrazisz się, że nie odprowadzę cię do drzwi?

Pokręciła głową.

- Nie. A co z tobą?

- Pojadę do klubu. To powinno, że tak powiem, ostudzić nieco moje zapały.

- Ach - wyrwało się jej.

Była rozczarowana, że Kit nie pójdzie z nią do domu, choć wiedziała, że jego propozycja jest rozsądna. Drżącymi rękami poprawiała zapęczenie sukni i przyglądała spódnicy. Wzięła głęboki oddech i obróciła się ku niemu na siedzeniu.

- Jak wyglądam?

W zielono-złotych oczach rozjarzył się znajomy blask. Kit chwycił jej rękę i wycisnął na dłoni pocałunek.

- Olsniewająco. Jak zawsze zresztą, moja droga.

Na te słowa Elizie zrobiło się ciepło na sercu.

Kit pochylił się do przodu i załomotał ręką w drzwi, po czym opadł z powrotem na siedzenie. Przesunął się nieco i znowu umieścił rękę w strategicznym miejscu na kolanach, a dla pewności założył jeszcze nogę na nogę.

Robert otworzył drzwiczki.

- Odprowadź pannę Hammond do środka, Robercie. Powiedz też Josephowi, że wybieram się do klubu Brooksa.

Służący się skłonił.

- Z przyjemnością, lordzie Christopherze. Panienko? - Wyciągnął rękę, pomagając Elizie zejść po małych metalowych schodkach na ziemię.

March powitał ją pogodnie, gdy wchodziła po kamiennych schodach, prowadzących do drzwi frontowych. Dopiero gdy znalazła się bezpiecznie za progiem, drzwiczki powozu zatrzasnęły się i pojazd odjechał ulicą.

Kilka godzin później Kit otworzył sobie drzwi wejściowe małym kluczykiem, który służył mu właśnie przy takich okazjach. Jego kroki rozbrzmiewały cicho na marmurowych posadzkach. Była trzecia nad ranem i w rezydencji panował spokój, nawet służbę o tej porze zmorzył już sen.

Wcale nie chciał jechać tego wieczoru do klubu.

Każda komórka jego ciała krzyczała, żeby poszedł za Elizą, wciągnął ją do jakiejś sypialni i nie wypuścił stamtąd przez resztę nocy.

I, do licha, tak właśnie by postąpił. Pal sześć służących. Ba! Pal sześć Adriana i Violet. Powstrzymywało go to naiwne zdumienie i szok w oczach Elizy, gdy omal nie zostali przyłapani w powozie.

Nagle przypomniał sobie, że jest zupełnie niewinna i niedoświadczona. Zaraz potem wrócił mu rozsądek i przyzwoitość. Odprowadził ją więc do domu, a sam postanowił ochłonać podczas przejażdżki po mieście.

Mimo że czuł się zmęczony, nie poszedł do sypialni, ale do gabinetu na parterze; wiedział, że Adrian trzyma tam karafkę brandy. Może łyk czegoś mocniejszego i chwila zadumy przy kominku pozwolą ukoić wzburzenie na tyle, że uda mu się zasnąć.

Zapalił świeczkę, żeby rozproszyć panujące w pomieszczeniu ciemności i podszedł do kredensu, ciągnącego się wzdłuż przeciwległej ściany. Znalazł szklankę i upragnioną kryształową karafkę i nalał sobie nieco złotego płynu.

Właśnie na powrót zatykał butelkę korkiem i szykował się, żeby pociągnąć pierwszy łyk alkoholu, gdy przed oczyma zamajaczyła mu biała plama.

Aż się zakrztusił z zaskoczenia. Pokaszłując, obrócił się i stanął twarzą w twarz z Elizą. Zakaszła jeszcze dwukrotnie, nim zdołał normalnie oddechnąć.

- Niech to lichy porwie. Nie spodziewałem się nikogo. Co ty tu robisz?

Najej czole pojawiła się maleńka zmarszczka.

- Nie mogłam spać, więc zeszłam się napić ciepłego mleka. Przepraszam, jeśli cię wystraszyłam.

Kit tylko machnął ręką na jej przeprosiny i odważył się pociągnąć kolejny łyk. Alkohol spłynął mu do gardła i rozgrzał je przyjemnie.

Teraz dopiero zauważył, że Eliza trzyma w ręku kubek, pewnie z mlekiem. Podobnie jak on, upiła trochę i odstawiła kubek na stolik, na którym już stała jego szklanka z brandy.

Podeszła bliżej i natychmiast otoczył go słodki zapach jej skóry, a z trudem ugaszony płomień pożądania rozпалиł się w nim z nową siłą. Spłątane, ciemne loki tworzyły kuszące obramowanie dla jej twarzy, a cienka, batystowa koszula nocna zakrywała stanowczo zbyt mało. Przez materiał widać było jej zgrabne krągłości, a gdyby świeca dawała trochę więcej światła, koszula pewnie okazałaby się prawie prześwitująca. Do tego wszystkiego, Eliza była boso.

Natychmiast cała krew spłynęła mu w okolice krocza. Skrzywił się gniewnie i zaklął w duchu.

- Jak było w klubie? - zapytała Eliza.

Przez moment zagapił się na nią, wyrażony z zadumy.

- Poszczęściło mi się. Wygrałem w faro sto funtów.

- O, to świetnie. Teraz będziesz mógł sobie kupić, co dusza zapragnie.

To ona była tym, czego pragnął.

Ręce bezwiednie same zacisnęły mu się w pięści.

Eliza przysunęła się jeszcze o krok. Jej szare oczy w przyćmionym świetle świecy były pełne tajemnic. Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało, spojrzenia mówiły same za siebie.

Wszystkie mięśnie w ciele Kita były napięte do granic wytrzymałości, musiał walczyć ze sobą, żeby nie rzucić się na dziewczynę.

- Idź spać, Elizo - warknął opryskliwie. Może odejdziesz, jeśli będzie dla niej niemiły. Chyba zdaje sobie sprawę z tego, że nie czas na gierki.

Ale Eliza nie ruszyła się z miejsca.

- Mówiłam ci, że nie mogłam zasnąć. Teraz myślę, że chyba potrzebuję czegoś więcej niż ciepłego mleka. Nie sądzisz... - wyszeptała niemal - że potrzebuję czegoś więcej?

Kit zadrżał na całym ciele, ale zdołał się opanować.

Na całe dziesięć sekund.

Jednym szarpnięciem przyciągnął ją do siebie. Ich usta zawarły się w oślepiającej eksplozji pragnienia. Całował ją chciwie, głęboko, zmuszając do całkowitego podporządkowania się jego woli. Eliza z pomrukiem satysfakcji dała mu to, czego pragnął, i jeszcze więcej. Wkrótce Kit był równie mocno, jak ona, uwikłany w sieć pożądania, którą spleli we dwoje.

Chwycił ją za pośladki i dźwignął do góry, żeby jeszcze ściślej przyłgnąć biodrami do jej łona. Eliza jęknęła i objęła go ramionami, głaszcząc go po szyi i plecach, wszędzie, gdzie tylko sięgały jej dłonie.

Kitowi świat zawirował przed oczyma. Po raz ostatni pomyślał, czy nie lepiej byłoby postawić ją na ziemi i odepchnąć od

siebie, jak radził rozsądek. Ale ta myśl, równie prędko jak się pojawiła, tak znikła bez śladu, niczym krucha słomka unoszona falą powodzi.

Sunał rękami po jej ciele, obrysowywał je dłońmi, ucząc się na pamięć jej kształtów, jakby po raz pierwszy obejmował kobietę. Teraz mógł dotykać jej bez przeszkód, nie utrudniał mu dostępu sztywny gors sukni ani kłopotliwe halki. Była miękka, ciepła i aksamitnie gładka. Utonął w tej boskiej, doskonałej kobiecości, napawał się jej zapachem, dotykiem i smakiem. Gdy trzymał ją w ramionach, czuł się prawie jak w niebie.

A jednak, choć miał ją tak blisko, była wciąż za daleko. Chciał więcej, pragnął zagłębić się w niej i nasycić ten głód, który szalał w nim jak wściekła bestia w klatce.

Odrzucając wszelką rozwagę, opuścił ją delikatnie na miękkie, wełniane dywan, a potem położył się na niej. Jego dłonie i usta podjęły swobodną wędrówkę po jej ciele. Całował ją szaleńczo, a świat wokół przestał istnieć. Byli tylko oni dwoje i żądza, która szarpała ich wewnątrz.

Eliza, odurzona doznaniem, rozkoszowała się cudownymi, podniecającymi pieszczotami Kita. Drżąc od stóp do głów, pozwalała mu się prowadzić, dokąd chciał. Robiła też, co tylko potrafiła, żeby i jemu dać jak najwięcej przyjemności.

Z westchnieniem przygryzła dolną wargę i zadygotała z rozkoszy, gdy Kit sięgnął, żeby rozpiąć krótki rząd guziczków z przodu jej koszuli. Z zadowoleniem przyglądała się, jak głodnym wzrokiem pożera jej nagie piersi. Objął je dłońmi i zaraz poczuła jego pieszczoty, pocałunki i lekkie ugryzienia, które zamieniały krew w jej żyłach w płynny ogień.

Może powinna być bardziej powściągliwa, okazać onieśmienie czy wstydlivość. Ale czuła jedynie radość i podniecenie. Była bezpieczna w ramionach mężczyzny, którego kochała i któremu poddawała się z ufnością.

Drżącymi palcami usiłowała go rozebrać. Nagle opanowała ją gorączkowa ciekawość, pragnienie, by zobaczyć jego nagie ciało.

Udało jej się odpiąć kilka guzików, nim Kit wziął sprawę we własne ręce. Pospiesznie zrzucił marynarkę, rozpiął kamizelkę i wyszarpnął koszulę ze spodni.

Wsuwając ręce pod materiał, Eliza wreszcie mogła go dotknąć. Ze zdumieniem badała dłońmi ciało tak inne od jej własnego – gładką, aksamitną skórę, opinającą twarde mięśnie i kości, sprężyste, kędzierzawe włosy, które czepiały się jej palców, gdy przesuwiała nimi po jego torsie.

Kit zadrżał pod jej dotykiem i zanurzył twarz pomiędzy jej piersi, podsycając jeszcze płomień namiętności. Zmysły Elizy oszalały, gdy podciągnął jej koszulę aż do pasa i zaczął ją pieścić tak, jak wcześniej w powozie.

Jęczała i wzdychała, prowadzona przez niego ku gorączkowemu spełnieniu. Wnętrze jej ciała opływało wilgocią, której dotychczas nie znała i przywierało do jego palców, doprowadzając ją niemal do obłędu z rozkoszy.

Zacisnęła pięści, bo nagle zalała ją fala przyjemności. Dała jej się ponieść, porwana kaskadą doznań i emocji. Jeszcze dochodziła do siebie, próbując zebrać rozbiegane myśli, gdy poczuła, że Kit sięga pomiędzy nich, żeby rozpiąć spodnie.

Rozchylił jej uda.

Pochylił się nad nią i wpił się w jej usta, a jego pocałunek był jak żywioł, dziki i niepowstrzymany. Nie przestając jej całować, opuścił ręce i chwycił jej biodra, układając je tak, żeby ułatwić zbliżenie.

Zaczął wsuwać się w nią, najpierw powoli, później z większym naciskiem. Eliza znieruchomiała, zaniepokojona, czy będzie w stanie go w siebie przyjąć. Wiedziała, że jest duży, pamiętała ów podłużny kształt, którego dotykała w powozie. Poczuła gwałtowne ukłucie strachu. Czy to się w niej zmieści? Cóż, pomyślała, Kit najwyraźniej uważa, że tak. Inaczej przecież nie próbowałby tego robić.

Powiedziała sobie, że musi mu zaufać, więc z zamkniętymi oczami próbowała zignorować zarówno nieprzyjemne wrażenie między nogami, jak i narastającą panikę.

Kit, dysząc ciężko, wstrzymał się na chwilę, widocznie rozumiejąc, że Eliza potrzebuje czasu, żeby jej ciało dopasowało się do obcego kształtu. Mrucząc czułe słowa, nakłonił ją, żeby uniosła nogi i objęła nimi jego wąskie biodra. Eliza posłusznie spełniła jego prośbę.

Wycofał się i wszedł w nią raz jeszcze, mocno, zdecydowanie, aż do nasady.

Ostry ból przeszył Elizę. Krzyknęła głośno, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że ból opada tak szybko, jak się pojawił.

- W porządku? - wystękał z trudem Kit. Jego oczy wyglądały jak dwa zielone płomienie.

Eliza, nie znajdując słów, skinęła tylko głową.

Ujął jej twarz w swoje dłonie i musnął wargami jej usta.

- Już nie będzie bolało, obiecuję.

Spojrzała w twarz ukochanego i zobaczyła na niej napięcie. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że Kit zmusza się do powolnego działania, że siłą narzuca sobie opanowanie.

Zadrzał ponad nią, jakby nie mogąc już dłużej czekać, i pocałował ją zapamiętale. Zaczął poruszać się w niej długimi, mocnymi posunięciami, w pierwotnym rytmie, który wstrząsał samą głębią jej istoty.

Leżała bez ruchu, gotowa przyjąć wszystko, co jej dawał, ale niespodzianie znów obudził się w niej głód. Wyprężyła się mimo woli, jej ciało rozgorzało, pokazując, że wie, czego pragnie, nawet jeśli ona sama tego nie rozumiała. Opanowało ją słodkie pragnienie, nie mogła złapać oddechu, traciła świadomość w szalonym wirze zmysłów, który unosił ją ku szczytowi.

Niewprawnie, instynktownie poruszała biodrami, próbując dotrzymać mu kroku. Jej ręce wędrowały, prześlizgując się po jego ciele, chwytając je i drapiąc. W poszukiwaniu przyjemności poddała mu się całkowicie, wiedząc, że z nim jest bezpieczna.

Gdy z jej gardła wydarł się zawodzący jęk, ledwo rozpoznała własny głos. Spełnienie przepoiło ją tak intensywnym uczuciem nasycenia, że aż zadrżała z lęku. Wznosiła się wysoko jak ptak

ponad chmurami i łkała z rozkoszy, wstrząsana dreszczami, póki fala błogości nie zaczęła opadać.

Drzenie uspokajało się z wolna, choć jej umysł i ciało nadal były odurzone potężną siłą niedawnego uniesienia.

Kit jednak jeszcze nie znalazł zaspokojenia. Wbił się w nią mocno kilka razy, nim wreszcie zastygł z jej imieniem na ustach. Eliza z uśmiechem objęła go i przytuliła, gdy drżący i wycieńczony opadł na nią i ukrył policzek w zagłębieniu jej szyi.

Gdy tak leżeli, miała pewność, że Kit ją kocha. Jakże można było zrobić to, co oni właśnie zrobili, jedynie pod wpływem żądz? Przesiewała przez palce jego włosy, jedwabiste, lekko wilgotne od potu, a serce jej rosło z radości.

Kocham cię, Kit.

Już chciała mu to powiedzieć, gdy nagle wyczuła w nim zmianę. Jego skóra zrobiła się dziwnie chłodna, a mięśnie karku i ramion zeszywniały.

Z ciężkim westchnieniem wysunął się z jej ciała, po czym przewrócił się na bok i położył obok niej na plecach.

- Dobry Boże - jęknął, zakrywając oczy dłonią. - Co myśmy najlepszego zrobili?

Eliza poczuła gęsią skórę i niepokojący dreszcz. Promienny, szczęśliwy nastrój zniknął jak zdmuchnięty płomień świecy. Zmarszczyła brwi. Czy to możliwe, że w jego głosie zabrzmiał żal? Czyżby żałował, że się kochali? Na pewno tylko tak jej się wydawało.

W pokoju zaległa cisza, przerywana sykami i trzaskami ostatniej szczapy drewna, dopalającej się w kominku i tykaniem palisandrowego zegara, który stał w kącie.

Kit schował koszulę w spodnie, zapiał je i usiadł.

I wtedy Eliza zrozumiała, że jednak jej się nie wydawało.

Nagle z całą brutalnością zdała sobie sprawę, że musi wyglądać jak rozpustnica, leżąc na podłodze gabinetu z obnażonymi piersiami i koszulą podciągniętą do pasa. Podmuch powietrza sprawił, że jej sutki stwardniały, tym razem nie z namiętności, a z zimna.

Sięgnęła w dół, próbując się zasłonić, nieporadnie szarpiąc koszulę i szlafrok, zmagając się z rozpiętymi guziczkami.

- Poczekaj - mruknął Kit. - Pomogę ci.

Poczuła raptowny gniew i miała ochotę go odepchnąć, ale pozwoliła się podnieść. Dopiero gdy usiadła, zobaczyła, że uda ma ubrudzone krwią, a kilka szkarłatnych kropelek poplamiało biały materiał koszuli.

Przyglądała się bez słowa.

Jej utracone dziewictwo, pomyślała. Oddane z miłości. Skalane przez poczucie winy.

Nieświadomy jej stanu ducha, Kit obciągnął koszulę, zakrywając ślady ich niedawnego zbliżenia. Kiedy sięgnął do rozpiętego dekoltu, Eliza skuliła się i odwróciła od niego.

- Sama to zrobię.

Zatrzymał się w pół gestu, po czym opuścił rękę.

- Jak chcesz.

Nie zważając na to, że palce miała sztywne i niezgrabne, zapięła wszystkie guziki koszuli, co do jednego, aż pod szyję.

Kit wstał i podał jej rękę, żeby pomóc jej się podnieść z podłogi.

Nie wypuścił jej jednak, ale przyciągnął do piersi i złożył na jej czole łagodny pocałunek, delikatny i czysty, jakby pocieszał zmarzone dziecko.

- Wybacz mi - powiedział bez uśmiechu, a twarz miał poważną, jak nigdy dotąd. - Kompletnie straciłem głowę. To ja jestem wszystkiemu winien, ty nie musisz się o nic martwić. Jestem gotów postąpić tak, jak nakazuje mi honor.

Honor? O czym on mówi?

- Jest już bardzo późno albo bardzo wcześnie, zależy od punktu widzenia. W każdym razie powinnaś się położyć. - Pogłaskał ją po głowie i odsunął od siebie. - Jutro spokojnie zdążymy omówić dalsze plany.

Głęboka zmarszczka przecięła czoło Elizy.

- O czym ty mówisz? Nie wiem, o co ci chodzi.
- Oczywiście, że nie wiesz, jesteś taka niewinna. Nawet teraz.
- Z westchnieniem przeczesał włosy palcami. - Musimy się pobrać, Elizo. Nie mamy wyboru. Tego wymaga obowiązek.

Pobrać się? On chce się z nią ożenić?

Skąd znówu. Zdała sobie sprawę, że Kit wcale tego nie chce. Mówił o obowiązku i honorze, o tym, że nie ma wyboru.

Serce ścisnęło jej się z bólu.

- Postaram się o specjalne zezwolenie i będziemy mogli spełnić tę powinność najdalej w przyszły weekend, jeśli arcybiskup się zgodzi. Biorąc pod uwagę okoliczności, myślę, że nie będzie się sprzeciwiał.

Powinność! Więc tym miało stać się jej małżeństwo? Zadaniem, które trzeba wykonać, choćby nie wiem, jak było nieprzyjemne? Pokuta, od której nie mógł się wywinąć? Z jego słów wynikało, że miał na związek małżeński mniej więcej taką samą ochotę, jak na wyprawę do dentysty.

W jej piersi utkwiała drzazga bólu. Może tak właśnie bolało złamane serce?

- Nie - powiedziała cicho, ale stanowczo.

Kit stanął jak wryty.

- Nie? Co znaczy „nie”?
- Nie wyjdę za ciebie.

Przez chwilę sama nie wierzyła, że to powiedziała. Naprawdę odrzuciła oświadczyzny Kita? Jakiegokolwiek żałosne by one były.

Przecież tego pragnęła od zawsze. O tym marzyła od wielu długich lat. Chciała zostać żoną Kita, żyć z nim, dzielić jego radości i smutki, rodzić mu dzieci. Chciała też, przyznawała uczciwie, spać w jego łóżu. Pomimo przykrych okoliczności, powinna skwapliwie przyjąć jego propozycję, nieważne, w jaki sposób i w jakim momencie ją złożył.

Ale nie mogła tego zrobić, wiedząc, że Kit tylko jej pożąda.

Ze jej nie kocha.

A gdy wypali się płomień jego żądy, a na pewno tak kiedyś będzie, cóż jej pozostanie, prócz goryczy i smutku?

Nie, poprzysięgła sobie, że nie pozwoli na to, by związały ich pęta małżeństwa bez wzajemności. Jarzmo związku, którego on najwyraźniej nie pragnął, a który rozszarpałyby jej duszę na strzępy, kawałek po kawałeczku.

Lepiej byłoby dla niej, gdyby przyjęła oświadczyzny lorda Maplewooda. Przynajmniej miałyby pewność, że są równymi sobie partnerami, że nie jest dla niego niechcianym ciężarem, który musi podjąć ze względu na jeden nieroztropny poryw namiętności.

Nieważne, jak bardzo kochała Kita. Nie mogła skazywać się na takie życie. Ani siebie, ani jego, pomyślała.

Kit spojrzał na nią srogo.

- Musisz za mnie wyjść.

Pokręciła głową.

- Wcale nie muszę. A teraz, jak sam powiedziałeś, jest już późno, a ja jestem zmęczona. To był... dzień pełen wrażeń.

- Pełen wrażeń? Tak to nazywasz?

Na chłodne policzki Elizy wypłynął gorący rumieniec.

Chwycił ją za ramiona i zaczął łagodnie przekonywać.

- Pozbawiłem cię niewinności, Elizo. Zhańbiłem cię i muszę ci to jakoś wynagrodzić.

Jeśli przed chwilą jeszcze nie była pewna, jeśli miała jakieś wątpliwości, teraz jej postanowienie nabrało mocy.

- Doceniam twoje poświęcenie, ale nie ma takiej potrzeby. Nie zrobiłeś niczego wbrew mojej woli. Pragnęłam cię tak samo, jak ty mnie, może nawet bardziej. Po wszystkich naszych lekcjach ciekawość nie dawała mi spokoju i muszę przyznać, że zaspokoiłeś moje najśmielsze fantazje. Żadna książka, nawet najbardziej niecenzuralna, nie da się z tobą porównać.

Wzięła głęboki oddech i ciągnęła lekkim tonem:

- Więc, jak widzisz, twoja rycerska postawa nie jest konieczna. Doskonale poradzę sobie sama.

- Ależ Elizo...

Położyła mu palec na wargach, nie dając dokończyć zdania.

- Nie nalegaj, proszę. Ani ty nie masz ochoty się ze mną żenić, ani ja - przełknęła - nie chcę wyjść za ciebie. I tak niech zostanie.

Zielono-złote oczy załśniły troską.

- A jeśli zaszłaś w ciążę? Wiesz, że tak się mogło stać.

Szeroko otworzyła oczy. W zasadzie nie zdawała sobie sprawy, że wystarczył jeden raz. Ale gdy rozważyła tę sprawę, poczuła w sercu pewność, że nie poczęło się w niej dziecko. Na tę myśl jakaś jej częśćka załkała z żalu.

Pokręciła głową.

- Jestem pewna, że tak nie jest.

- Nie wiadomo, a jeśli...

- Jeśli się okaże, że masz rację, poinformuję cię o tym.

Kit westchnął głęboko. Trudno powiedzieć - czy z irytacją, czy z ulgą.

Elizę ogarnęło pragnienie, by dotknąć go jeszcze raz, ostatni. Wzięła jego twarz w dłonie i przyciągnęła jego wargi do swoich. Ich usta zwały się w ostatnim pocałunku, cudownym i słodkim. I znowu zadrżała aż po czubki palców u nóg.

- Dziękuję ci za niezwykle wieczór - wyszeptała. - Na pewno zapamiętam go do końca życia.

Odwróciła się i odeszła, a jej serce łkało z bólu.

19

Dużo później Kit udał się wreszcie do swojej sypialni, niosąc w rękę szklankę z nową porcją brandy. Upił łapczywie haust alkoholu, skręcając w korytarz, przy którym znajdowały się pokoje domowników. Na wzorzystych dywanach odgłos jego kroków był prawie niedosłyszalny.

Zbliżając się do sypialni Elizy, zwolnił, a przy drzwiach zatrzymał się, zadumany.

Zastanawiał się, czy ona już śpi. A jeśli tak, to o czym śni? O nim? O tym, jak się kochali? Czy też o czymś zupełnie innym? Albo może po prostu jej umysł odpoczywa we śnie, w ciszy i spokoju?

Zacisnął dłoń w pięść i pociągnął kolejny łyk brandy, a pożądanie i ognisty trunek na nowo rozpały mu krew w żyłach. Choć dopiero niedawno z nią był, uczciwie przyznawał, że znowu pragnie Elizy. Nawet jako niedoświadczona dziewczica okazała się wspaiałą kochanką, gorącą, namiętną i kuszącą.

Kilka pocałunków wyciśniętych przez te jedwabiste usteczka i parę pieszczot jej drobnych dłoni wystarczyło, żeby całkiem stracił rozsądek i panowanie nad sobą. Tak dalece przestał się kontrolować, że posiadał ją na podłodze jak jakiś barbarzyńca. Co ona sobie teraz o nim myśli? Chociaż, o ile sobie przypominał, nie protestowała ani słowem. Ba, nawet go zachęcała.

Tak czy inaczej, nie było żadnego usprawiedliwienia dla tego, co jej zrobił, dla słabości, którą okazał. Z nich dwojga to on miał w tej dziedzinie więcej doświadczenia, to on miał być „nauczycielem”. Powinien był to przerwać, nieważne, jak bardzo jej pożądał ani jak mocno ona pragnęła jego.

Już po fakcie, gdy spełnienie rozlało się w jego ciele gorącą falą, dotarł do niego ogrom błędu, który popełnili. Z całą jasnością zdał sobie sprawę, że zrobił coś, czego żaden dżentelmen nie ośmieliłby się uczynić poza małżeńskim łóżem. Odebrał Elizie dziewictwo. Wedle prawa ten przywilej powinien należeć do mężczyzny, który pewnego dnia ją poślubi.

I zaraz uświadomił sobie, że to właśnie on powinien wziąć ją za żonę.

Ale odmówiła, kiedy zaproponował jej małżeństwo. Wciąż jeszcze nie mógł otrząsnąć się z szoku na wspomnienie jej słów.

Jak to powiedziała? „Ty nie masz ochoty się ze mną zenić, a ja nie chcę wychodzić za ciebie. I tak niech zostanie”.

Ale jak mógł to tak zostawić? Czy sumienie pozwoliłoby mu puścić dzisiejsze wydarzenia w niepamięć? Czy będzie umiał zachowywać się tak, jakby ta wspólna noc nie miała żadnego znaczenia? Jakby ich zbliżenie było jedynie szaloną pomyłką, popełnioną pod wpływem impulsu?

No właśnie, ale przecież dokładnie tym było. Miłosną grą, która zaszła stanowczo za daleko.

W zasadzie powinien odczuwać ulgę. W końcu Eliza sama zwolniła go od odpowiedzialności, zwróciła mu wolność, nie oczekując niczego w zamian. Niejeden mężczyzna byłby zadowolony i w duchu gratulowałby sobie szczęścia, że udało mu się wykpić tak tanim kosztem.

Czemu więc nie czuł się szczęściarzem? Szczerze mówiąc, jego odczucia były wręcz odwrotne. To naprawdę nie miało żadnego sensu, sam siebie nie rozumiał.

Przecież wcale nie chciał zenić się z Elizą. Nie, żeby małżeństwo z nią było takie złe. Właściwie ten związek miałyby wiele zalet. Lubił Elizę, i to bardzo. Pasowali do siebie - jak widać, również w łożu. Byłaby dla niego doskonałą towarzyszką i dobrą przyjaciółką. Rodzina ją uwielbiała, a oprócz tego bez wątpienia wspaniale sprawdziłaby się jako matka, o ile mieliby dzieci.

On po prostu nie był jeszcze gotowy na małżeństwo. Chciał użyć życia, nim się w końcu usatkuje. Ajednak...

Zanim zdołał się zorientować, co robi, jego ręka już obejmowała chłodną, metalową gałkę drzwi do sypialni Elizy.

Wstrzymał się przez moment, instynkt walczył w nim z niepewnością. Zastanawiał się, czy przekreślić klamkę.

Co takiego mógł jej powiedzieć, gdyby wszedł teraz do jej pokoju? Miał ją obudzić, domagając się, żeby za niego wyszła? Miał nalegać, żeby została jego żoną?

A kiedy już znajdzie się w jej sypialni, czy będzie umiał powstrzymać palące pragnienie, żeby wziąć ją raz jeszcze? Czy raczej wsunie się do jej łóżka i pograży w namiętności i pożądaniu, któremu żadne z nich nie będzie potrafiło się oprzeć?

Uznał, że jak na jedną noc, dość już miał impulsywnych decyzji. Najlepiej będzie dać jej trochę czasu, na pewno przyda jej się kilka dni, żeby mogła wszystko jeszcze raz dobrze sobie przemyśleć. On także tego potrzebował.

Z westchnieniem dopił resztkę swojej brandy i odszedł, powłócząc nogami, żeby w końcu rzucić się na łóżko.

Eliza się przebudziła. Usłyszała - albo tak jej się wydawało - że ktoś zatrzymuje się pod jej drzwiami. Nasłuchiwała, leżąc w ciemnościach, ale wokół panowała cisza. Może to ktoś ze służby przeszedł korytarzem. Choć to mało prawdopodobne, bo pora była zdecydowanie zbyt wczesna na to, żeby ktokolwiek był już na nogach.

Wysunęła się spod kołdry i podkrađła do drzwi. Uchyliła je lekko i wyrzała na korytarz.

Nikogo. Ciemno, pusto i głucho.

Zamknęła drzwi i powlokła się do łóżka.

Coś mi się przyśniło, stwierdziła.

Co ona sobie właściwie wyobrażała? Ze to Kit przyszedł powiedzieć, że ją kocha i że jednak muszą wziąć ślub?

Ogarnął ją pusty śmiech, który zaraz zamienił się w płacz.

Wtuliła twarz w poduszkę i gorzko załkała.

- Czy dolać panience herbaty?

Otrząsając się z zadumy, Eliza przyłapała się na tym, że znów myśli o niebieskich migdałach.

- Tak, poproszę - odpowiedziała młodemu służącemu, który napełnił jej filiżankę gorącym, aromatycznym naparem.

Spojrzała na Violet i Adriana, którzy towarzyszyli jej przy śniadaniu. Na szczęście żadne z nich nie zwróciło uwagi na jej chwilowe zamyślenie. Podniosła trójkącik chleba z masłem, ale ugryzła tylko kawałeczek, a resztę odłożyła na talerz. Violet skierowała na nią wzrok.

- To ma być całe twoje śniadanie? Prawie nic nie zjadłaś.

- Trudno. Nie wiem dlaczego, ale dziś rano jakoś nie mam apetytu.

- Od kilku dni nie masz rano apetytu. Nic ci nie dolega?

Eliza przymusiła się do uspokajającego uśmiechu.

- Oczywiście, że nie - zniżyła głos i pochyliła się w stronę przyjaciółki. - To te trudne dni.

- Och. - Violet najwyraźniej poczuła się niezręcznie, że dopytuje się publicznie o jej samopoczucie.

Adrian zaś, wcielenie dobrych manier, przewrócił stronę w gazecie i udał, że nic nie słyszał.

Violet uśmiechnęła się pokrzepiająco i skierowała rozmowę na mniej intymne tematy. Eliza sączyła herbatę, przysłuchując się przyjaciółom i starając się zignorować tępy ból w podbrzuszu.

Miesięczne krwawienie pojawiło się dziś rano, regularnie jak w zegarku. Gdy zdała sobie sprawę, co to oznacza, wybuchnęła płaczem. Co za głupia reakcja, uznała. Przecież dziecko byłoby w jej sytuacji prawdziwym nieszczęściem. Kit byłby zmuszony ponowić swoje oświadczenia, a ona - przyjąć go. Powinna odczuwać ulgę, nie chciała małżeństwa opartego na obowiązku, nieważne, jak mocno kocha Kita.

Jednak, jakkolwiek nieracjonalne mogłoby się to wydawać, czuła się, jakby jakaś jej część umarła. Teraz to, co dzieliła z Kitem, należało już do przeszłości. Już nie wrócą ukradkowe, pełne namiętności spotkania. O ile swoje dotychczasowe zachowanie Eliza mogła uznać za naiwne i głupie, o tyle, gdyby jeszcze kiedyś znalazła się w jego ramionach, stałoby się to zupełnie czym innym, o wiele gorszym.

Rzecz jasna skoro już raz się nią nasycił, pożądanie, które wobec niej odczuwał, równie dobrze mogło zniknąć. Słyszała tu i ówdzie, że z mężczyznami tak czasem bywa. Kit zaś nie wyglądał na uosobienie stałości. Obserwowała go przez lata, zmieniał kobiety jak motyl przelatujący z kwiatka na kwiatek.

W ciągu tych trzech krótkich dni, jakie upłynęły od ich wspólnej nocy w gabinecie, prawie go nie widywała. Oboje wprawdzie często wychodzili, ale nie aż tak często, żeby ich drogi od czasu do czasu się nie spotkały. Ciekawe, czy to znaczy, że Kit jej unika.

Jedno wiedziała na pewno. Nie kocha jej.

Okrutne, ale prawdziwe.

Trzeba więc pogodzić się z tym, odrzucić nierealne, idiotyczne marzenia i żyć dalej.

Opanowało ją przygnębienie.

Nie powinna była tak postąpić, złażała się. Źle zrobiła, ryzykując, gdy szansa na miłość była tak nikła. Co ona sobie wyobrażała, po co znowu narażała się na cierpienie, skoro ledwo udało jej się posklejać złamane serce, kiedy za pierwszym razem przeżyła z jego powodu zawód miłosny?

Spojrzała nad stołem na siedzących naprzeciwko przyjaciół i poczuła ukąszenie zawiści. Proszę bardzo, pomyślała. Jacy szczęśliwi. Jak do siebie pasują. Ich małżeństwo opiera się na przyjaźni i wzajemnym szacunku, a przede wszystkim na głębokiej miłości, która będzie trwać aż do końca życia.

Czemu jej nie było to dane? Dlaczego Kit nie mógł jej pokochać? Jeśli nie z całego serca, to chociaż troszeczkę. Na tyle, żeby mogła udawać, że jego oświadczyzny podyktowało uczucie, a nie powinność.

Wtem obiekt jej rozmyślań wkroczył do jadalni. Widząc go w drzwiach, poczuła, że puls jej przyspieszył. Spojrzał prosto na nią i uniósł kąciki ust w ciepłym, łagodnym uśmiechu. Choć na widok jego urodziwej twarzy jak zwykle ścisnęło jej się serce, tym razem miała wrażenie, że ten uśmiech jest jak włócznia skierowana prosto w jej pierś.

Spuściła wzrok i podniosła do ust filiżankę. Zmusiła się do przełknięcia herbaty i prawie się przy tym zakrztusiła.

Co on sobie myśli? Jak śmie tak na nią patrzeć?

- Dzień dobry - odezwał się beztrasko.

Adrian i Violet pospieszyli z uprzejmą odpowiedzią. Eliza odburknęła pod nosem, po czym zaczęła przesuwając wkoło po talerzu wystygłą grzanekę posmarowaną masłem i marmoladą.

Słyszała, jak Kit podchodzi do kredensu, bierze talerz i nakłada sobie hojną porcję wiktuałów, przygotowanych przez książęcą kuchnię.

W międzyczasie chłopiec do posług zdążył już przynieść filiżankę i spodeczek, które postawił na stole, po lewej ręce Elizy.

Miała ochotę zaprotestować. Dlaczego nie przygotowali dla niego miejsca z drugiej strony, obok Adriana? Nie chciała, żeby Kit siedział tak blisko niej.

Służący się oddalił, ale wrócił niemal natychmiast, napełniając filiżankę gorącą kawą. Służba wiedziała, że młody panicz z rana preferuje coś mocniejszego niż herbata.

Kit podszedł do swojego miejsca i postawił na stole talerz, na którym piętrzyła się góra frykasów.

- Mogę wam coś podać, skoro i tak jestem na nogach - zaproponował usłużnie.

Brat i szwagierka pokręcili głowami, uprzejmie dziękując.

Kit skłonił głowę w jej stronę.

- A tobie, Elizo? Maliny wyglądają przepysznie, wiem, że je lubisz. Może ci nałożę?

Niechętnie uniosła głowę.

- Nie, dziękuję.

- Pewna jesteś? Zjadłem jedną, była naprawdę słodka. Przyniosę ci trochę.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, dlaczego nagle jest dla niej tak uprzedząco grzeczny. Czyżby chciał, żeby było między nimi tak jak dawniej? Spodziewał się, że znowu będą przyjaciółmi? Ze zapomną o nocy, kiedy leżeli nago, spleceni w objęciach?

Ona w każdym razie nie potrafiła o tym zapomnieć. I nie mogła dłużej być jego przyjaciółką. Już nie.

Nagle zapragnęła znaleźć się jak najdalej od niego.

Rzuciła serwetkę i wstała od stołu.

- Przepraszam, ale pójdę już do siebie. Wybieram się na przejażdżkę z lordem Vickerym i muszę się przebrać.

Violet posłała jej stroskane spojrzenie.

- Oczywiście, idź. Nie musisz przepraszać.

Nawet nie spojrzawszy w stronę Kita, Eliza wybiegła z jadalni.

W drzwiach usłyszała, jak Kit pyta, *co* się stało. Nie czekała na odpowiedź Violet.

Kit musiał ćwiczyć cierpliwość przez całe dwie godziny, nim Eliza wreszcie wyłoniła się ze swojej sypialni i zeszła na dół.

Wyglądała uroczo i rzeško jak jesienny poranek w sukni koloru płatków nagietka i małym, fikuśnym kapelusiku z piórkiem, usadowionym wdzięcznie na brązowych loczkach.

Prawie stracił oddech. Musiał użyć całej siły woli, żeby nie chwycić jej w ramiona i nie wycałować. Założył ręce na piersi i stał bez ruchu, czekając, aż zejdzie po schodach.

Zwolniła kroku, gdy go dostrzegła, ale zaraz zapanowała nad sobą i spokojnie zeszła na sam dół.

Odczekał, aż podejdzie bliżej.

- Czy mógłbym zamienić z tobą słowo?

Spojrzała w stronę drzwi poprzez olbrzymi hol wejściowy.

- Zaraz ma przyjechać lord Vickery, więc nie sądzę,...

Zmarszczka irytacji przecięła gładkie czoło Kita.

- Vickery może poczekać.

Bez dalszych ceregieli chwycił ją za łokieć i pociągnął do gabinetu. Być może - zamiast wracać do pomieszczenia, które było świadkiem ich bliskości - powinien był zaprowadzić ją do salonu. Uznał jednak, że gabinet zapewni im 'więcej prywatności.

Przez moment chciała mu się wyrwać, gdy się zorientowała, dokąd ją zabiera, ale szybko porzuciła opór i posłusznie podażyła za nim.

Gdy już znaleźli się wewnątrz, Kit zamknął drzwi.

Eliza natychmiast odsunęła się od niego.

Nie skomentował tego w żaden sposób, bo właśnie się szykował, żeby zadać bardziej dręczące, donioślejsze pytanie.

Eliza uniosła brew.

- Co takiego chciałeś mi powiedzieć?

Wahadło wysokiego narożnego zegara kołysało się miarowo, a jego spokojny rytm kłócił się z emocjami, szalejącymi w sercu Kita.

- Po pierwsze to, że się o ciebie martwiłem - zaczął. - Tak nagle wybiegłaś dziś rano z jadalni, że zacząłem się zastanawiać, co ci jest. Violet powiedziała mi, że źle się czujesz, ale nie chciała zdradzić żadnych szczegółów. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Wiem, że minęło dopiero parę dni, ale może już wiesz? Ze nosisz w sobie moje dziecko?

Zanim zdołała odpowiedzieć, on pośpiesznie mówił dalej.

- Bo jeśli tak, to musimy się pobrać jak najprędzej. W ten sposób nikt się nie zorientuje, że zaszłaś w ciążę przed ślubem. Tydzień w jedną czy w drugą stronę nie robi żadnej różnicy. Jeszcze dziś po południu spróbuję załatwić specjalne zezwolenie.

Eliza pokręciła głową, aż zatańczyło piórko na jej kapeluszu.

- Nie musisz się starać o żadne zezwolenie. Wychodzisz ze złego założeńia.

- Co takiego?

Odwróciła wzrok i zaczęła obrysowywać palcem brzeg złotej wstążki, zdobiącej jedwabny kaftanik.

- Dziś rano dostałam kobiecej przypadłości, to dlatego nie najlepiej się czuję. Możesz odetchnąć z ulgą, bo z całą pewnością nie spodziewam się dziecka.

- Ach.

Tkwiał bez ruchu, całkowicie oszołomiony jej oświadczeniem. Gdy Eliza w gorączkowym pośpiechu wybiegła z jadalni, doszedł do przekonania, że na pewno jest w ciąży i że jednak będą musieli się pobrać. Już sobie wszystko zaplanował, nawet to, że zabierze ją na lato do wakacyjnej posiadłości w Middlesex, gdzie spędzą namiętny miesiąc miodowy, a potem razem założą nowy dom.

Ale Eliza zaprzeczyła, nie nosiła jego dziecka.

Napięcie gwałtownie z niego opadło, a mięśnie ramion, które mimo woli nerwowo naprężył, się rozluźniły. A jednak, ku własnemu przerażeniu odkrył, że dominującym uczuciem, jakiego w tej chwili doświadcza, nie jest ulga, a rozczarowanie.

Sarknął w duchu na własne idiotyczne zachowanie. Przecież tak naprawdę wcale nie chciał usłyszeć, że Eliza spodziewa się dziecka. To jakaś niedorzeczność, tak się ekscytować na myśl o tym, że mogłaby w końcu zostać jego żoną.

- To chyba dobra wiadomość? - Narzucił sobie sztucznie pogodny ton głosu.

- Tak - odrzekła cicho. - W tej sytuacji to najlepsze, co mogło się przytrafić.

Poprawiła rękawiczki i zapięła na nadgarstku mały, perłowy guziczek.

- Lord Vickery pewnie już przyjechał. Nie powinnam kazać mu dłużej czekać.

- Słusznie. - Wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię. - Nie zmienisz zdania?

Poszukała spojrzeniem jego oczu.

- O czym ty mówisz?

- O nas. O tym, że nie chcesz. Rozumiem, że nie jesteś przy nadziei, ale i tak...

Blade światełko załśniło w jej źrenicach i spojrzenie gołębic, szarych oczu złagodniało.

- I tak, co?

- Źle się czuję, wiedząc, że cię skompromitowałem. Miałem cię uczyć i chronić, a tymczasem pozwoliłem, by kierowała mną żądza. Zabrałem ci niewinność.

Jak za zdmuchnięciem świeczki, światełko zgasło w jej oczach.

- Moja niewinność należała do mnie i miałam prawo oddać ją, komu zechcę. Nie musisz się winić.

- Tak, ale...

Obruszyła się, zirytowana.

- Proszę cię, Kit, nie graj przede mną męczennika, bo ci z tym nie do twarzy. A teraz wybacz, ale powóz czeka.

Znacząco spojrzała na rękę Kita, wciąż obejmującą jej ramię.

Wypuścił ją i pozwolił odejść.

Powlókł się za nią do holu, patrząc, jak pogodnie i z uśmiechem wita jego przyjaciela.

Sprytna sztuczka, pomyślał. Jedna z wielu, których się od niego nauczyła.

Vickery spojrział -w górę i skinął mu głową, dostrzegając go z oddali. Grzeczność nakazywała, by Kit podszedł się przywitać i zamienił parę słów z przyjacielem.

Eliza wyglądała, jak gdyby nigdy nic, jakby to nie ona, zamknięta przed chwilą z Kitem w czterech ścianach gabinetu, rozmawiała z nim na tematy, które zszokowałyby niejedną młodą damę.

A więc to tego ją nauczył? Jak udawać i oszukiwać? Jak upodobnić się do reszty zakłamanych i płytkich bywalców salonów?

Nie podobało mu się to.

Nie cieszył go też widok Elizy, która w chwilę potem, pożegnawszy go beztrzesko, odwróciła się na pięcie i odeszła, wsparta na ramieniu Vickery'ego.

20

Kolejne dwa tygodnie minęły nie wiadomo kiedy.

Eliza nie pozwoliła sobie na pogrążanie się w rozpacz. Rzucała się w wir zabaw. Przyjmowała niemal wszystkie zaproszenia, dni miała wypełnione od rana do nocy. Nie pozostawiła sobie ani chwili wolnego czasu, więc gdy przychodził wieczór, była już tak znużona, że usypiała natychmiast, jak tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Violet się dziwiła, że Eliza tak aktywnie udziela się towarzysko, ale ona odpowiadała, że po prostu dobrze się bawi. Nawet Jea-

nette zauważyła, z jaką werwą Eliza używa życia w ciągu tych kilku ostatnich tygodni sezonu. W głosie hrabiny brzmiał podziw dla jej niewyczerpanej energii.

Co do Kita, Eliza robiła co w jej mocy, żeby go unikać w sposób niebudzący niczyich podejrzeń. Otaczała się na każdym kroku garstką wiernych wielbicieli, którzy stanowili dla niej coś w rodzaju tarczy. Miała zawsze przy sobie przynajmniej jednego z nich, więc szczęśliwie niewiele czasu była zmuszona spędzać w towarzystwie Kita.

Jeśli nawet nie był z tego zadowolony, to nic nie mówił, choć czuła na sobie jego spojrzenie częściej, niżby chciała. Dostrzegała też ponury wyraz szmaragdowych oczu.

W domu jadała śniadanie w sypialni, a gdy schodziła na dół, od razu rzucała się w wir codziennych zajęć, nie dopuszczając do przypadkowych spotkań z Kitem. Pomimo całej swojej uprzedniej determinacji, nie ufała sobie na tyle, by znowu zostać z nim sam na sam. Obawiała się, że mu ulegnie, że pociągnie ją jego magnetyczny urok.

Tego popołudnia jednak nie mogła całkiem uniknąć spotkania z nim, bo liczni Winterowie - w tym również i Kit - zjechali się do podlondyńskiej posiadłości jednego z kuzynów Adriana.

Ze swego miejsca na ławeczce małej wiosłowej łódki, sterowanej wprawna dłonią wicehrabiego Brevarda, Eliza miała dobry widok na zgromadzonych gości, rozproszonych w niewielkich grupkach po trawiastym brzegu jeziora. Niektórzy siedzieli na kocach w cieniu rozłożystych drzew, inni przechadzali się po ogrodach.

W tej liczbie znajdowało się kilkoro dzieci, w tym także Sebastian, Noah i mała Georgianna, która w wieku ośmiu miesięcy raczkowała już tak sprawnie, że Violet i piastunka ledwo za nią nadążały. Jeanette i Darragh przywieźli ze sobą małą Caitlyn, która bawiła się z Georgianna i zachwycała towarzystwo perlстым śmiechem. Rodzeństwo Darragha świetnie się bawiło w gronie młodzieży w ich wieku, była również Franny Brevard i jej przyjaciółka, Jane Twitchell.

Zjawiły się także trzy siostry Adriana wraz z rodzinami, w tym Sylvia z mężem - oboje wrócili niedawno do miasta na parę tygodni. Nie chcąc zostawiać dzieci w domu, przyprowadzili ze sobą całą szóstkę: pięciu chłopców i Emmę, upragnioną jedyną córkę.

Dzieci biegały i bawiły się z piskiem i krzykiem, a dorośli nie przeszkadzali im w tym zanadto, od czasu do czasu tylko udzielając stosownej reprimendy, gdy hałas stawały się zbyt głośne.

Z boku krzątał się zastęp służby, zajęty urządzaniem zimnego bufetu, przy którym całe towarzystwo miało się wkrótce posilić.

Eliza dostrzegła Kita. Podszedł do jednego ze stołów i od niechcienia wziął garść czegoś, co z daleka wyglądało na owoce lub orzechy. Ze śmiechem zjadł swój łup, flirtując ze służącą, która bezskutecznie próbowała go odpędzić.

Gardło ścisnęło jej się nieprzyjemnie, odwróciła wzrok i popatrzyła na wicehrabiego. Opowiadał jej właśnie o swojej posiadłości w Cotswolds i w jego głosie słychać było dumę z rodowej siedziby. Sądząc po jego opisie, miał z czego być dumny, bo zarówno dom, jak i ziemie musiały być prawdziwym rajem. Jego dobra rozciągały się na kilka tysięcy akrów, obejmowały nawet dwa naturalne jeziora.

Jezioro, po którym wiosłowali w tej chwili, było sztuczne i pewnie znacznie mniejsze niż te należące do Brevarda, ale Eliza i tak bawiła się doskonale. Zanurzyła palce w wodzie, rozkoszując się tym, jak chłodna ciecz przesuwają się pomiędzy jej palcami. Odchyliła jedwabną parasolkę, by przez chwilę poczuć ciepło czerwonego słońca na twarzy, ale zaraz znowu zasłoniła się przed ostrymi promieniami, które mogły poparzyć jej skórę.

- Wygodnie ci?

Zerknęła na Brevarda, siedzącego naprzeciwko niej i wiosłującego długimi, posuwistymi ruchami.

- Tak - odpowiedziała, zgodnie z prawdą. Lekka bryza zerwała się nad wodą, wzbudzając jej loczki. - Cieszę się, że dałam się namówić. Rzadko kiedy mam okazję pływać łódką z tak dobrym wiosłarzem.

- W takim razie muszę pamiętać, żeby częściej zabierać cię na takie przejażdżki. Właściwie byłoby mi ogromnie miło, gdybyś zechciała wraz z księciem i księżną odwiedzić mnie w mojej posiadłości. Mam nad północnym jeziorem kamienny pawilon, który przepięknie wygląda jesienią. Franny i ja nieraz jadaliśmy tam posiłki, obserwując wodne ptactwo i zwierzęta, które nie bały się podejść bliżej. Wiem, że kochasz przyrodę, więc spodziewam się, że byłabyś zachwycona.

Odwiedzić go w jego posiadłości? Dżentelmen zapraszał damę do siebie tylko wtedy, gdy poważnie rozważał zawarcie związku małżeńskiego. Czyżby Brevard zastanawiał się nad oświadczeniami?

W następnej chwili otrzymała odpowiedź na to pytanie, bo wieczerabia wyciągnął wiosła z wody i zahaczył je, ociekające, o brzegi łódki.

Pozwalając, by nosiły ich fale, pochylił się ku niej.

- Panno Hammond... Elizo... Wiem, że to pewnie nie najlepsze miejsce do rozmowy o uczuciach, ale przynajmniej tutaj możemy pomówić bez świadków.

Na moment wstrzymała oddech, niepewna, czy chce go dalej słuchać.

Spojrzał na nią niebieskimi oczyma - ich błękit był czystszy niż lazur tafli jeziora.

- Myślę, że zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo cię cenię - ciągnął. - Od chwili, gdy cię pierwszy raz ujrzałem, choć było to w tak niecodziennych okolicznościach pozostaję pod urokiem twojej urody i wdzięku oraz, oczywiście, twojej niezwykłej odwagi. Przekonałem się w ciągu ostatnich miesięcy, że jesteś równie słodka, jak mądra, równie szczodra, jak życzliwa. Tego właśnie pragnie mężczyzna u kobiety, z którą chciałby dzielić życie.

Zamknął w dłoniach jej rękę.

- Kocham cię, Elizo... Proszę, powiedz, że zostaniesz moją żoną.

Eliza zapatrzyła się na rękę, o którą właśnie poprosił, i szukała właściwej odpowiedzi. Co rzecz, skoro od razu nie padły z jej ust

słowa świadczące o tym, że przyjmuje go z entuzjazmem? Z drugiej zaś strony, czy mogła odmówić?

Odrzuciła już oświadczyiny lorda Maplewooda, przyzwoitego człowieka, z którym czekałoby ją dobre, spokojne życie. Jeśli odmówi również Brewardowi, niechybnie będzie to oznaczało, że straciła rozum.

Na miły Bóg, przecież on był, bezdyskusyjnie, najlepszą partią sezonu. Gdyby go przyjęła, socjeta byłaby wstrząśnięta. Ona sama przeżyła wstrząs, bo się nie spodziewała, że Breward jest nią poważnie zainteresowany.

A jednak był, na tyle, żeby się oświadczyć. Niepojęte. I co tu zrobić?

Wiedziała, że ze świecą nie znajdzie lepszego kandydata. Był po prostu idealny. Przystojny i czarujący. Inteligentny i wykształcony. Miał majątek i pozycję. Bez wątplenia zapewni jej wszystko, czego zapagnie. Piękny dom. Urocze dzieci. Przyjaźń i ochronę. Powiedział nawet, że ją kocha. Gdyby tylko potrafiła dać mu wzajemność.

Wspomniała Kita, ale zaraz, zaciskając stanowczo usta, wygnała z głowy myśli o nim i jego propozycji małżeństwa. Taka deklaracja, złożona w niesprzyjających okolicznościach, zupełnie się nie liczyła. A jednak...

A jednak, co? Przecież odmówiła mu, i to dwukrotnie. Raczej nie poprosi jej po raz kolejny. A nawet gdyby to zrobił, i tak nie mogła się zgodzić, bo przyjmując go, zgotowałyby sobie przykryłość, zmuszona zebrać o nędzne okrucy jego uczucia.

Ale czy uczciwie będzie zgodzić się na ślub z Brewardem? A jeśli nie, to co dalej? Nie porzuciła myśli o dzieciach, nie chciała pozostać niezamężna, spokojna wprawdzie o dostatek, ale przeraźliwie, rozpaczliwie samotna.

Wciąż nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, więc postanowiła, że po prostu powie prawdę i zobaczy, jak na to zareaguje.

Delikatnie wyjęła dłoń z jego uścisku i położyła ją sobie na kolanach, wpatrując się w przystojne oblicze mężczyzny.

- Lance, zanim dam ci odpowiedź, muszę ci o czymś powiedzieć. Myślę, że masz prawo to ode mnie usłyszeć.

Uśmiechną się, zaciekawiony, a jasna brew uniosła się w górę.

- Tak? A cóż takiego?

- Nie jestem taka, jak sobie wyobrażasz.

- Oczywiście, że jesteś. Cudowna i zupełnie wyjątkowa.

- Nie wiem, czy dalej będziesz tak uważał po tym, co ci powiem. Nie jestem doskonała i mam swoje słabości. Lance, był... cóż, teraz to już przeszłość... ale był ktoś w moim życiu. Pewien mężczyzna.

- Kto?

- To nie ma znaczenia. Ważne jest to, że jeśli mam za ciebie wyjść, musisz wiedzieć, że moja... niewinność... nie pozostała nietknięta. Nie jestem już... - urwała, a jej policzki skryte w cieniu kapelusika pokryły się szkarłatem. - No cóż, nie jestem.

Na długa chwilę zapadła cisza.

- Rozumiem. Kochałaś go?

- Tak.

- Ale mówisz, że to już skończone? Nie ma szans na to, żebyście byli razem?

Pokręciła głową ze smutkiem.

- Nie.

Znowu zamilkł. Po dłuższej chwili wreszcie się odezwał.

- Cóż, nie jesteś w takim wieku, żebym mógł się temu dziwić. W końcu żaden z ciebie niewinny podlotek. Ale...

- Rozumiem, nie musisz już nic mówić. Po prostu nie mogłam przystać na małżeństwo, wiedząc, że masz mnie za kogoś, kim nie jestem. Jesteś zbyt szlachetny, żebym mogła to przed tobą ukrywać.

Znowu sięgnął po jej dłoń.

- Jesteś bardzo odważna. Niejedna dama nic by nie powiedziała.

- Pewnie uważasz mnie za rozpustnicę.

- Uważam cię za kobietę, która kieruje się sercem. A co ono mówi ci o mnie? Czy możesz mnie pokochać, Elizo?

Nie oszukała go przedtem, nie potrafiła skłamać i teraz.

- Mogę spróbować. Niczego nie obiecuję, ale chciałabym spróbować, Lance, jeśli nadal mnie zechcesz.

Z dogodnego miejsca na niewielkim pagórku, tuż obok stołu z zimnym bufetem, Kit obserwował Elizę i Brevarda. Para wiosłowała po jeziorze, ale - o ile mógł się zorientować - chwilowo łódka nie poruszała się, za to oboje wyglądali na pogrążonych w rozmowę.

Ciekawe, o czym?

Mimowolnie zacisnął szczęki, a słodki smak jeżyn, które jadł przed chwilą, zmienił się w jego ustach w gorycz.

Przez ostatnie dwa tygodnie trzymał się na uboczu, przyglądając się, jak Eliza szturmem bierze londyńską socjetę, wsparta na ramieniu *to* tego, to innego mężczyzny, z rozmachem, jakiego nikt się po niej nie spodziewał.

Wyglądało na to, że bawi się w najlepsze.

Co więcej, robiła to - z pełną premedytacją - bez niego.

Od czasu pamiętnej nocy w gabinecie spędzili ze sobą zaledwie parę chwil. Początkowo sądził, że to nieśmiałość i wstyd każą jej trzymać z dala od niego po intymnym zbliżeniu, które przeżyli.

Szybko jednak zorientował się, że jej powściągliwość względem niego wypływa z całkiem innego źródła. Jak zwykle była dla niego miła i uprzejma, uśmiechała się i zachowywała tak, jak dotychczas. Tylko że brakowało mu czegoś istotnego. Jej oczy już nie lśniły ukrytym światłem. Ten szczególny, promienny uśmiech, który przeznaczająca zawsze wyłącznie dla niego, już nie pojawiał się na jej ustach.

Lekcje sztuki miłosnej z konieczności zostały przerwane. Nie mogli przecież ryzykować dalszych schadzek, nie planując ślubu. Mimo to, choć zdrowy rozsądek i dobre chęci mówiły, by o niej zapomniał, Kit nadal pragnął Elizy. Pragnął jej obsesyjnie, jak niczego na świecie, i tracił zmysły, nie mogąc jej mieć.

Za dnia łapał się na fantazjowaniu o niej, co owocowało widocznym podnieceniem, czasem w najmniej dogodnym miejscu i czasie. Nocami nawiedzała jego sny. Gorące, zmysłowe, niedwuznacznie erotyczne sny, z których budził się z uczuciem bolesnego niespełnienia, zaplątany w pościel, z pulsującymi pożądaniami lędźwiami.

A ona? Z tego, co widział, Eliza pozostawiła ich wspólną noc za sobą ze swego rodzaju chłodną kalkulacją. To dziwne, że potrafiła tak nagle pohamować namiętność. Przecież pragnęła go wtedy, mówiła, że było jej z nim dobrze. Choć była niewinna, to jednak jej szczere, niekłamane reakcje pozwalały mu sądzić, że tak było naprawdę.

Więc czy to możliwe, że teraz, gdy już zaspokoił żądze, nie chciała od niego niczego więcej? Czy to znaczy, że ich lekcje nic dla niej nie znaczyły, że traktowała je tylko jak okazję do odkrywania mrocznych sekretów tego, co zakazane? Do eksperymentów w dziedzinie cielesnych rozkoszy, jak sama mu kiedyś powiedziała?

To było zupełnie niepodobne do Elizy, jaką znał.

Z drugiej strony, ostatnio Eliza w ogóle nie przypominała samej siebie.

Nie rozumiał, o co jej chodzi. Właściwie ledwo wiedział, czego on sam chce, z jednym wyjątkiem.

Chciał znowu mieć Elizę. Potrzebował jej. Głód pożądania trawił go żywym ogniem. Nie umiał ugasić iskry, która go z nią łączyła. Ale żeby to pragnienie mogło się urzeczywistnić, niezbędne było małżeństwo.

I tutaj tkwił cały problem.

Oświadczył się jej przecież - i to dwa razy - a ona nie zgodziła się wyjść za niego. Teraz jednak zdawał sobie sprawę, że mówił o małżeństwie w dość suchych słowach, podkreślając wyłącznie honor i obowiązek. Może zgodziłaby się, gdyby uzmysłowił jej, jak mocno jej pragnie, jak desperacko tęskni za jej dotykiem. Wiele małżeństw miało gorszy start. Oni przecież byli przyjaciółmi. Nawet jeśli pożądanie kiedyś się wypali, przyjaźń pozostanie. On

sam, gdyby miał decydować, zaczekałby ze ślubem, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej pomysł przypadał mu do gustu.

Tak, pomyślał, przyglądając się, jak Brevard wiosłuje do brzegu, oświadczy się jej jeszcze raz.

Tyle że teraz zostanie przyjęty.

Eliza odsunęła na bok niedojedzony kawałek ciasta.

Choć stoły nad brzegiem jeziora ugiwały się od pyszności, ona jakoś nie miała apetytu. Skubnęła co nieco, a teraz widelcem przesuwiała na talerzu smaczne kaski, udając tylko, że coś je.

Czy podjęła właściwą decyzję? Znowu się zamyśliła, po raz kolejny od początku posiłku. Czy ten wybór zapewni jej szczęście w przyszłości?

Jej niezdecydowanie potęgowała jeszcze obecność Kita. Zawsze czuła, że jest gdzieś blisko, ale dzisiaj bystre spojrzenie spod leniwie opuszczonych powiek wprawiało ją w stan dziwnej nerwowości.

Teraz znowu jej się przygląda, podnosząc do ust kieliszek z winem. Zadrżała pod jego wzrokiem, wyczuwając go prawie namacalnie, jakby właśnie wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej plecach.

Ze stłumionym westchnieniem odwróciła twarz, żeby na niego nie patrzeć.

Nie wolno jej, nie może już w ten sposób o nim myśleć, upomniała się. Taka poufałość nie będzie już możliwa, skoro zgodziła się wyjść za Lancelota.

Jej decyzja miała właśnie zostać ostatecznie przypieczętowana, bo wicehrabia Brevard powstał z miejsca. Podniesioną ręką i kilkoma głośniejszymi słowami zwrócił na siebie uwagę towarzystwa. Z niewymuszonym wdziękiem podziękował gospodarzom za przeurocze przyjęcie i niezapomniany dzień. Wypowiedział jeszcze kilka komplementów, spojrzał z uśmiechem na Elizę.

- Drodzy przyjaciele - rzekł. - Ten dzień jest dla mnie szczególnie jeszcze z jednego powodu, który, mam nadzieję, uczciecie, wraz ze mną. Mówię to z prawdziwą radością. Tego popołudnia, w tej oto sielankowej scenerii, poprosiłem pannę Elizę Hammond, żeby została moją żoną. Ku mojej nieopisanej uldze, przyrzekła oddać mi swoją rękę. Elizo? - Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać wśród okrzyków zdumienia i radości.

Brzdęk!

Na drugim końcu stołu szklanka Kita przewróciła się na obrus i czerwone wino rozlało się na śnieżnobiałym, lnianym płótnie, niby plama krwi.

Wzrok Elizy zderzył się ze spojrzeniem Kita. Usta miał półotwarte, a na przystojnej twarzy widniał wyraz skrajnego wstrząsu. Ale to jego oczy chwyciły ją za serce. Było w nich oszołomienie i, o ile się nie myliła, ból.

Nie miała jednak czasu się zastanawiać, co widziała - a może, czego nie widziała - w oczach Kita, bo nagle otoczyła ją tłum przyjaciół z niekończącymi się gratulacjami.

Violet zdusiła ją w uścisku z radosnym okrzykiem, a zaraz potem zasypała ją gradem pytań na zmianę z pretensjami, że nie napomknęła ani słówkiem o oświadczeniach wicehrabiego.

Dopiero po długiej chwili zamieszanie uspokoiło się na tyle, że mogła rozejrzeć się za Kitem.

Ale jego już nie było.

„Jedziesz z nami do Newmarket?”

Przyjaciele Kita namawiali go na wspólny wyjazd na wyścigi już od dobrych dwóch tygodni, ale dotychczas odmawiał, bo wydawało mu się, że sprawy z Elizą pozostają wciąż nierozwiązane.

Teraz za to nie mógł się doczekać wyjazdu. Im dalej, tym lepiej.

- Dopilnuj, żeby te rzeczy znalazły się na dole.

Pokojuw Kita, Cherry, wskazał lokajowi dużą brązową skórzaną walizę i mniejszy kuferek podróżny, czekające przy drzwiach. Lokaj wziął bagaże i się oddalił.

- Jeśli będzie pan czegoś jeszcze potrzebował, milordzie, to jestem na dole.

Kit zerknął na służącego.

- Dobrze, Cherry, idź już. Ja też zaraz przyjdę.

Sługa skinął głową, po czym, zebrawszy jeszcze kilka osobistych drobiazgów, wyszedł z pokoju.

Kit sprawdził, ile ma pieniędzy i schował sakiewkę do kieszeni surduta. Dołożył jeszcze składany nożyk, srebrną piersiówkę z brandy i wziął ze stolika najnowsze wydanie gazety, poświęconej wyścigom, którą miał zamiar przejrzeć w powozie. Uznawszy, że jego wyposażenie podróżne jest już kompletne, dziarskim krokiem wymaszerował z sypialni.

Było dość wcześnie, więc nie spodziewał się spotkać nikogo z domowników. Energicznie pokonał zakręt korytarza i za rogiem omal nie wpadł na Elizę.

Krzyknęła cicho, widocznie równie zaskoczona, jak on, i zrobiła chwiejny krok do tyłu. Instynktownie podtrzymał ją, chwyciwszy ją za ramiona. Nagle zdał sobie sprawę, że jej dotyka i że sprawia mu to ogromną przyjemność, toteż odsunął ją od siebie, jakby była zadżumiona.

- Kit. Nie zauważyłam cię - powiedziała bez tchu, pewnie na skutek szoku z powodu niedoszłego zderzenia.

- Ani ja ciebie.

Patrzyli na siebie przez moment, a w powietrzu między nimi wisiała niezręczna cisza.

- No, to będę już szedł. - Kit schylił się po gazetę, którą upuścił na podłogę.

- Och. Umówiłeś się z kimś? - zapytała.

Niedbale skinął głową.

- Jadę do Newmarket na wyścigi.

- Ach, tak.

Znowu kłopotliwa cisza.

Starał się na nią nie patrzeć, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie pożerać jej twarzy wygłodniałym wzrokiem. Wziął głęboki od-

dech i zaraz tego pożałował, bo poczuł jej znajomy zapach, słodki, upajający jak kwiat jabłoni na wiosnę.

Z całej siły ścisnął w garści gazetę, tocząc wewnętrzną walkę. Z jednej strony, chciał nią potrząsnąć, żeby zobaczyła, że robi błąd, wychodząc za innego. Z drugiej strony, miał ochotę przyciągnąć ją do siebie i wycałować do utraty tchu, całować ją dotąd, aż będzie błagała, żeby nigdy jej nie wypuścił z rąk.

Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, choć wiele go to kosztowało.

- Nie pogratulowałem ci z okazji rychłego ślubu - powiedział bez uśmiechu.

Opuściła powieki.

- Nie, to prawda.

I, na miły Bóg, nie zamierzam tego robić, warknął w duchu.

Przysunął się bliżej i oparł dłoń o ścianę tuż obok jej głowy, zamykając jej drogę swoim ciałem. Kiedy się odezwał, jego głos był niewiele donośniejszy od szeptu i nawet w jego uszach brzmiał nieprzyjemnie szorstko.

- A więc, czy on już wie?

- O czym?

- O nas. A, co istotniejsze, o tym, że jego panna młoda nie będzie dziewicą.

Głośno wciągnęła powietrze, a szare oczy otworzyły się szerzej. Wyprostowała ramiona.

- Owszem, wie.

Kit uniósł brwi z niedowierzaniem.

- No to mnie zdziwiłaś. Co za wyrozumiały człowiek z tego Brevarda. A nie wyglądał mi nigdy na liberała. Czyli nie przeszkadza mu to, że dzieli cię ze mną?

- Z nikim mnie nie dzieli. A zresztą, nie wie, że to ty. Powiedziałam mu tylko, że był w moim życiu pewien mężczyzna i że ten związek należy już do przeszłości.

Ostry ból szarpnął go za pierś i nagle zapragnął, żeby ona też tak cierpiała.

- Należy do przeszłości, tak? Nie byłbym tego taki pewien. Przekonasz się, że po paru nocach w jego łóżu będziesz wołała wrócić do mnie. I może nawet cię przyjmę, jeśli mnie ładnie poprosisz.

Szybciej niż Eliza zdążyła pomyśleć, jej ręka wystrzeliła w górę i z całej siły uderzyła go w policzek. Zabolało, ale nie aż tak bardzo, jak jego urażona duma albo jak cios zadany ich dawnej przyjaznej zażyłości, z której teraz pozostały jedynie strzępy.

Dotknięty do żywego, odsunął się od niej, przeklinając pożądanie, które nawet teraz rozpalało mu krew w żyłach. Nawet w takiej chwili jej pragnął. Ledwie mógł nad tym zapanować.

- Już jestem spóźniony, powóz czeka na mnie przed domem.
- Skłonił się sztywno. - Do widzenia, Elizo.

Nie zaszczyciwszy jej ostatnim spojrzeniem, wykręcił się na pięcie i odszedł.

21

Nastały ostatnie dni czerwca, ciepłe i pełne życia. Wieść o zaręczynach Elizy z wicehrabią Brevardem rozeszła się lotem błyskawicy, przekazywana z ust do ust.

W rezultacie Eliza miała dla siebie jeszcze mniej czasu niż przedtem, zalewana nieustanną falą odwiedzin i zaproszeń ze strony przeróżnych życzliwych i ciekawskich. Właściwie była nawet zadowolona, że jest tak zajęta, bo dzięki temu nie dręczyły jej niepokojne myśli i wzburzone emocje. Nie miała czasu się zastanawiać, czy dobrze postąpiła, godząc się wyjść za Brevarda. Co więcej, nie miała czasu wspominać Kita, a w szczególności ostatniego spotkania.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że go spoliczkowała. Do chwili, kiedy jej ręka uderzyła w jego twarz, nie wierzyła, że w ogóle jest zdolna do takiego czynu. Wyglądało jednak na to, że Kit potrafi

rozbudzić w niej pełen wachlarz emocji, od rozbrajającej czułości aż po zapalczywy gniew.

Jak on mógł tak się do niej odezwać? Nigdy dotąd nie słyszała z jego ust słów tak pełnych jadu i złości. Przez moment wydawało jej się, że chciał ją zranić, jakby mszcząc się za jakąś krzywdę, którą mu wyrządziła.

Ale jaką?

Pewnie to urażona duma, uznała po namyśle. Poczuł się dotknięty, że zgodziła się wyjść za innego tak prędko po tym, jak odrzuciła jego oświadczyzny. Przypomniała sobie przelotny błysk szoku i cierpienia, który dojrzała w jego oczach tamtego dnia na pikniku. Czy to był wyraz prawdziwego bólu? Przecież, gdyby rzeczywiście coś do niej czuł, chyba by jej to powiedział, zamiast tych wszystkich okropnych rzeczy, które doprowadziły ją do płaczu.

Po sprzeczce w korytarzu Eliza uciekła do swojego pokoju i łkała w poduszkę przez dobrą godzinę. Ten wybuch płaczu zapewnił jej zapchany nos, spuchnięte, zaczerwienione oczy i tak dotkliwy ból głowy, że nie musiała symulować złego samopoczucia ani przed pokojówką, ani przed Violet.

Do wieczora pozbierała się na tyle, że mogła udać się z Lance'em do opery, powtarzając sobie w kółko, że ten człowiek na pewno może dać jej szczęście, jeśli tylko mu na to pozwoli.

W ciągu następnych dni stwierdziła, że z całą pewnością przykładał się do tego zadania. Żadna kobieta nie mogłaby sobie wymarzyć troskliwszego narzeczonego. Na każdym kroku starał się sprawić jej przyjemność, zaspokoić każdą jej potrzebę, zaskoczyć ją jakimś pięknym podarkiem.

Zaczął od wspaniałego pierścionka zaręczynowego z diamentem o takich rozmiarach i blasku, że zazdrościły go Elizie wszystkie napotkane kobiety. Poprzedniego wieczoru wręczył jej precudną bransoletkę z pereł i diamentów. Następne, jak napomknął, miały być kolczyki.

Spojrzała na te kosztowności i westchnęła.

Przynajmniej dobrze, że sezon dobiega już końca. Wkrótce Jeanette i Darragh z rodziną wrócą do Irlandii, a ona oraz Violet i Adrian z dziećmi pojedą do Winterlea. Tam mieli pozostać przez miesiąc, po czym wybierali się na północ, do Cotswolds, żeby odwiedzić Lance'a i jego siostrę. Przy okazji Eliza miała obejrzeć swój przyszły dom.

Ta myśl budziła w niej lęk. Szczerze mówiąc, nie była pewna, czy nadaje się na hrabinę. Lance utrzymywał, że doskonale sobie poradzi; ona mogła tylko mieć nadzieję, że jego optymistyczne przepowiednie się sprawdzą.

Pocieszała się, że narzeczony nie oczekuje, że będzie się wyjątkowo udzielała w towarzystwie. Zapewnił ją, że mogą mieszkać na wsi przez większą część roku, jeśli ona tak woli. I przysięgał, że on sam przepada za urokami cichej prowincji.

Wciąż sobie powtarzała, jakie ma szczęście, że znalazła takiego kandydata na męża. Lance był wspaniałym człowiekiem i szczerze ją kochał. Gdybyż i ona mogła tak samo go pokochać. Wyrzut sumienia dźgnął ją raz i drugi, bo zalały ją wspomnienia o Kicie.

Zamknęła oczy i usiłowała go wygnać ze zdradzieckiej pamięci.

- Wszystko w porządku? - zapytała Violet za swego miejsca obok niej na ogrodowej *ławeczce* na tyłach rezydencji Raeburn.
- Już drugi raz westchnęłaś.

- Tak? - Eliza mruknęła, skonsternowana, przyglądając się hałaśliwym igraszkom księcia i rozbrykanych bliźniaków. Na pobliskim trawniku Adrian woził właśnie chłopców na barana, ku ich uciesze.

- Owszem - ciągnęła Violet.

- Nic mi nie jest.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- Martwię się o ciebie - powiedziała Violet. - Ostatnio... nie wyglądasz na tak radosną jak zwykle.

- Naprawdę? Nie przejmuj się, to tylko zmęczenie. Tyle mam teraz zajęć i obowiązków towarzyskich.

- Zameczysz się, jeśli trochę nie odpoczniesz. Od kilku tygodni przyjmujesz wszystkie zaproszenia, bez wyjątku. Ja i Adrian też byśmy się nie obrazili za możliwość spędzenia spokojnego wieczoru w domu, zapewniam cię.

- Dziękuję za radę, ale nie chciałabym, żeby Lance był mną rozczarowany.

- A dlaczego miałby być rozczarowany? Zawsze możemy go zaprosić do nas na obiad w gronie rodziny. Nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu.

Eliza uśmiechnęła się serdecznie.

- Nie, chyba nie. No dobrze, zgoda, ale tylko jeden czy dwa razy.

Violet spojrzała na męża, bawiącego się z dziećmi.

- Czy między tobą a Lance'em wszystko dobrze się układa? Cieszysz się z tych zaręczyn, prawda?

- Oczywiście. Lance ma wszystko, czego mogłaby pragnąć kobieta.

- Ale kochasz go, tak? Przecież to na tym ci zależało. Żeby kochać i być kochaną. Jeśli nie masz pewności...

- Ależ mam. I naprawdę jestem zakochana.

Violet chwyciła ją za rękę i mocno uściśnęła. Eliza się uśmiechnęła i nie sprostowała błędnych domysłów przyjaciółki.

Nie skłamałam, pomyślała sobie. Przecież jestem zakochana. Tyle że nie w tym mężczyźnie, o którym myśli Violet.

Kit zsunął się niżej na krześle stojącym na wprost kominka.

Obok, wokół stolika w prywatnej, wydzielonej części gospody, siedzieli jego koledzy. Służba już dawno posprzątała po obiedzie, a teraz młodzieńcy zabawiali się piciem i grą w karty.

Jęk porażki wydobył się z ust trzech graczy, a czwarty triumfował głośno, zgarniając wygraną.

- Winter, chodź z nami zagrać. - Vickery odwrócił się do niego przez ramię, radośnie szczerząc zęby. - Zaraz zaczynamy kolejne rozdanie, przyda mi się nowy wróbel do oskubania.

Kit w niemym salucie uniósł swój kieliszek porto i machnął lekceważąco ręką.

- Dobrze mi tutaj. I tak już za dużo dziś straciłem na wyścigach.

Tak naprawdę wcale wiele nie stracił, może funta czy dwa, ale jakoś nie miał dzisiaj nastroju na karty. Szczerze mówiąc, na nic nie miał nastroju, i było tak od samego przyjazdu z Londynu. Nie miał pojęcia, jak koledzy z nim wytrzymują, bo cały czas był w paskudnym, czarnym humorze. Przyjeżdżając do Newmarket, miał nadzieję, że wesołe towarzystwo, rozrywka i zmiana otoczenia zajmą go na tyle, że zapomni o Elizie i nieznośnym pożądaniu, które w nim budziła.

Tak się jednak nie stało. Co gorsza, dystans wzmógł jeszcze jego tęsknotę, pogłębił melancholię. W ciągu dnia starał się odpędzać czarne myśli, ale w nocy takie próby skazane były na niepowodzenie. Niespełnienie nie dawało mu spać, a gdy już zasnął, nawet i we śnie nie znajdował spokoju.

Zastanawiał się, co teraz robi Eliza. Pewnie bawi się na kolejnym balu ze swoim narzeczonym. Jednym haustem wychylił resztę wina i odstawił kieliszek z taką siłą, że omal nie złamał szklanej nóżki.

Zaręczona.

Nie mógł w to uwierzyć, do tej pory nie chciał przyjąć do wiadomości prawdy, którą rzucono mu w twarz tamtego koszmarnego dnia przed tygodniem.

Niech to piorun strzeli, dlaczego to zrobiła? Jak mogła obiecać rękę Brevardowi, skoro odmówiła jej jemu, Kitowi, zaledwie parę tygodni wcześniej?

Pewnie woli być hrabiną, szydził w duchu. Niech jej będzie. Ta dwójka na pewno zanudzi się na śmierć swoją niekończącą się uprzejmością i niedościgłą doskonałością. On tymczasem pozostanie wolny i będzie mógł robić, co mu się żywnie podoba.

A skoro tak, to zaraz uda się do szynku i znajdzie sobie chętną kobietę na noc. Była tam jedna dzierlatka, która miała na niego oko,

odkąd przyjechał. Uśmiechała się i kokietowała go, ilekroć przeszła obok. Młoda i ładna, dobrze zbudowana, miała piersi tak duże, że nawet jemu nie zmieściłyby się w dłoniach.

Ale kiedy wyobraził sobie tę dziewczynę w swoim łóżu, nie poczuł znajomego płomienia żądy.

Zamiast tego zatęsknił do innych piersi, mniejszych, ale za to absolutnie przecudownych, o sutkach w kolorze płatków róż i równie słodkim zapachu. Zatęsknił do smukłych ramion, nóg i dłoni, których dotyk doprowadzał go do utraty zmysłów. Zapragnął zgrabnych bioder, które przyciskały się do niego, tworząc harmonię tak doskonałą, jakby ich ciała były dwoma kawałkami tej samej układanki.

Ciało Kita zaczęło pulsować pożądaniem, więc nakazał sobie porzucić te niebezpieczne rozważania. Pograżanie się w ponurej desperacji na wiele mu się nie zda. Będzie musiał znaleźć jakiś sposób, żeby zapomnieć o Elizie. Miną dni i tygodnie, wraz z nimi osłabnie siła jego żądy, a wreszcie zniknie zupełnie. Działo się tak do tej pory z każdą kobietą, której pragnął, więc i tym razem będzie podobnie.

Tak sobie przynajmniej tłumaczył.

Szkoda, że już jutro musi wracać do Londynu. Niestety, wyścigi się skończyły i kompani szykowali się do powrotu. Mógłby spróbować rozejrzeć się za jakąś inną rozrywką - Selway i Lloyd na pewno nie pogardzą nową przygodą - ale pachniało mu to tchórzostwem. Gdyby pojechał dalej, hulać w innym mieście, byłoby to jedynie gorączkowe szukanie wykrętów, żeby odsunąć to, co nieuniknione.

Wiadomo, że kiedyś w końcu będzie musiał spotkać się z Elizą, więc równie dobrze może to zrobić teraz. Przy pewnej dozie szczęścia może się okazać, że pociąg, który do niej czuje, już osłabł. Ze jej tajemniczy wpływ już zanika.

Tak czy inaczej, nie jest masochistą. Niedługo cała rodzina wyjedzie do Winterlea, ale bez niego. Zamiast tego, być może uda się na kilka miesięcy do swojej wiejskiej posiadłości, a na jesieni

zaprosi Brentholdena i paru innych przyjaciół na polowanie. Zanim przyjdą święta - gdy będzie musiał pokazać się w siedzibie rodu - minie mu to bzdurne zauroczenie Elizą.

Zamknął oczy i modlił się w duchu, żeby przeszło mu jak najprędzej.

Od stolika obok dobiegały głośne okrzyki. Koledzy bawili się przy kartach coraz hałaśliwiej. Kit uznał, że na ten wieczór mają już dość towarzystwa, i ociężale podniósł się z krzesła.

- Co ty, Winter? Dokąd się wybierasz? - zagadnął Selway, a inni spojrzeli na niego ciekawie.

- Idę się położyć, jeśli musisz wiedzieć.

- O tej porze? Dopiero północ! Tylko stare dziadygi idą spać tak wcześnie.

- Jutro mamy przed sobą długą jazdę, nie zamierzam umierać z niewyspania.

- Możesz się wypaść w trakcie podróży - mruknął Lloyd. - Moim zdaniem to najlepsze, co można robić w powozie.

Kit pomyślał, że mógłby zasugerować parę innych sposobów na nudę podczas podróży, ale zaraz tego pożałował, bo zalała go fala ognistych wspomnień z Elizą w roli głównej. Zmarszczył brew z rozdrażnieniem.

- Nieważne, ja w każdym razie idę do łóżka.

- Twoja strata, powiem ci. - Selway nie chciał odpuścić. - Może jednak dasz się namówić na partyjkę.

Brentholden rzucił Kitowi przeciągłe, uważne spojrzenie, po czym odwrócił się do pozostałych.

- Dajcie mu spokój. To jak, rozgrywamy tę partię, czy nie? Vickery, zdaje się, że teraz ty miałeś obstawiać.

Przyjaciele wrócili do gry, a Kit poszedł wąskim korytarzykiem do swojej sypialni. Zdjął surdut, fular oraz buty i, nie rozbierając się, rzucił się na łóżko, na szczęście w miarę wygodne.

Powinien był jednak wziąć sobie na noc tamtą służącą. Co za szkoda, że to niej jej pragnął. Zamknął oczy i usiłował zasnąć, wiedząc, że jeśli nawet uda mu się ta sztuka, to i tak będzie śnił o Elizie.

Dwa dni później, przy śniadaniu Eliza znalazła na swojej tacy bilecik.

- Lokaj mówił, proszę panienki, że wiadomość dla panienki przysłała wcześniej rano - poinformowała pokojówka, kładąc tacę na małym stoliczku pod oknem.

Eliza ziewnęła, zasłaniając usta ręką i zaraz wysunęła się z łóżka, chcąc przeczytać bilecik. Pokojówka krzątała się po pokoju, odsłaniając zasłony, żeby wpuścić do sypialni poranne słońce.

Eliza otworzyła liścik.

„Spotkajmy się w parku o dziesiątej.

Będę czekał na Ciebie przy bramie od strony Grosvenor Square.

Brevard”

Zwinęła bilecik i odłożyła go na tacę.

Lance nie mówił nic poprzedniego wieczoru o planach na przejażdżkę w parku. No cóż, może po prostu dziś rano nabrał na nią ochoty. Miała nadzieję, że nic złego się nie stało. Ależ nie, uspokoiła się. Gdyby coś się stało, na pewno zjawiłby się tu, w rezydencji. To dziwne, że chciał się z nią spotkać w parku.

Zwróciła się do pokojówki.

- Lord Brevard zaprasza mnie na przejażdżkę. Bądź tak dobra, Lucy, i naszykuj mi strój do jazdy.

Służąca dygnęła nisko i podeszła do szafy, a Eliza pośpiesznie zabrała się do jedzenia.

Godzinę później zeszła po schodach. Wcześniej posłała do stajni, żeby osiodłano jej Cassiopeię, więc stajenny czekał już z koniem przed domem, gdy Robert wyprowadził ją za drzwi.

- Niech się panience dobrze jeździ! - zawołał lokaj.

Pomachała mu wesoło z siodła.

- Dziękuję, na pewno będzie miło.

Machnęła lejcami i odjechała.

Kit wchodził powoli po stopniach rezydencji Raeburn, szczęśliwy, że wysiadł nareszcie z powozu.

Marzył w tej chwili o trzech rzeczach: ciepłej kąpieli, świeżym ubraniu i porządnym posiłku. W takiej właśnie kolejności. Zdecydował też, że kiedy będzie się kąpał, wyśle któregoś ze służących, żeby uwolnił z lochów słuszną butelczynę burgunda, którym zakropi posiłek.

Perspektywa tej drobnej przyjemności odrobinę podniosła go na duchu.

- Witamy w domu, milordzie - powitał go lokaj, otwierając przed nim drzwi. - Czy dobrze się pan bawił na wyścigach? Któryś z pana faworytów wygrał?

Kit zdjął kapelusz i rękawiczki, podając je służącemu z uśmiechem.

- Owszem, Robercie, jeden czy drugi. W każdym razie nie splamiłem się i nie dałem bukmacherom zarobić fortuny. Nawet kapnęło mi nieco świeżej gotówki.

Lokaj wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Świetnie, milordzie.

Kit rozejrzał się po obszernym holu.

- Rodzina w domu?

- Księżę w swoim gabinecie, a jej wysokość rozmawia z panią Litton, chyba ustalająjadłospisy.

- A panna Hammond? - Kit wiedział, że źle robi, pytając o nią, ale jakiś diabeł go podkusił.

- Wyszła, milordzie. Całkiem niedawno udała się na przejażdżkę z lordem Brevardem.

W sercu Kita ulga walczyła z rozczarowaniem. Na wzmiankę o Brevardzie szczęki same mu się zacisnęły. Uprzejmie skinał głową służącemu i skierował się ku schodom z zamiarem udania się do swojego pokoju.

Nie uszedł nawet dwóch kroków, kiedy w drzwiach zjawiła się kolejna osoba.

Był to Brevard.

- Dzień dobry - przywitał się wicehrabia, wchodząc do środka. Zdjął bobrową czapkę i wręczył lokajowi nakrycie głowy wraz z laską.

Kit przywitał się zdawkowo, wewnątrznie przygotowując się na spotkanie z Eliza, po raz pierwszy od czasu sprzeczki w korytarzu. Po tym, jak ją wtedy potraktował, będzie miał szczęście, jeśli Eliza nie zignoruje go już na wstępie.

Tymczasem minęła chwila, a w drzwiach nikt się nie pojawiał.

- A gdzie panna Hammond? - zapytał Kit. - Chyba nie wysłałaś jej samej do stajni?

Brevard, zdumiony, zmarszczył czoło.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Myślałem, że jest w domu.

- Nie była z tobą?

- Nie. Dlaczego?

Niepokój ścisnął wnętrze Kita.

- Dlatego, że byliście dziś razem na przejażdżce.

- Nie umawialiśmy się dziś na jazdę konno. A ja, jak widzisz, dopiero przyszedłem.

- Lordzie Brevard, proszę wybaczyć, że się wtrącam - przerwał Robert - ale na własne oczy widziałem, jak panna Hammond odjeżdżała ze stajennym. Sama mi powiedziała, że spotka się z panem w parku.

Oczy wicehrabiego pociemniały ze zmartwienia.

- Nie planowałem niczego takiego. Dlaczego miałyby tak pomyśleć?

W holu zjawił się March, więc i jego poinformowano o zaistniałej sytuacji.

- Poślę po jej pokojówkę. Może ona rzuci nieco światła na tę tajemniczą sprawę.

Kit skinął głową.

- A ja w tym czasie osiodłam konia - powiedział. - Jeden z nas powinien jechać jej poszukać.

Brevard odebrał z rąk lokaja kapelusz.

- Jadę z tobą.

Jednak zanim zdążyli cokolwiek przedsięwziąć, na ulicy rozległ się tętent kopyt. Drzwi wciąż były otwarte, ich oczom ukazał się więc nadjeżdżający stajenny na koniu. Prowadził za sobą Cassiopeię. Klacz nie miała jeźdźca.

Kit zbiegł po schodach, Brevard tuż za nim.

Stajenny pośpiesznie ześliznął się z konia. Na jego czole widniała rozległa plama krwi, we włosach miał zastygłe strupy. Kit złapał go pod pachy, nim chłopak osunął się na kolana.

- Joshua, co się stało?

- Milordzie, przyjechałem tak szybko, jak mogłem - wysapał Joshua.

- Skąd przyjechałeś? Z parku?

Stajenny kiwnął głową, krzywiąc się z bólu.

- Jakiś człowiek podszedł do mnie i znieczeka przyłożył mi w głowę. Milordzie, przepraszam. Zabrali ją. Zabrali pannę Elizę, a ja nie mogłem nic zrobić.

Nagły przypływ lęku sprawił, że Kitowi boleśnie skurczył się żołądek.

- Zabrali? Kto? Kto zabrał Elizę?

- Nie wiem, milordzie. Było ich dwóch, ten drugi stał trochę dalej, przy powozie. Pewnie czekali, aż przyjedziemy do parku.

- Jak wyglądał ten człowiek? - Głos Brevarda był wprawdzie spokojny, ale słysząc w nim było zaciętość i gniew.

- Wysoki chudzielec, czarne włosy, paskudne oczy. Był ubrany jak dżentelmen, cały na czarno. To zapamiętałem. Panna Eliza powiedziała do niego „kuzynie”.

- Pettigrew! - Kit napotkał nieubłagane spojrzenie Brevarda i wyczytał w nim wzburzenie równe własnemu.

Brevard skinął głową.

- Nie rozumiem, po co to robił.

Kit nie posiadał się z wściekłości. Wiedział dokładnie, dlaczego Pettigrew postąpił w ten sposób.

- Na pewno chce ją zmusić do małżeństwa. Chodzi mu o pieniądze.

- Przecież mu się to nie uda. Chyba musi mieć świadomość, że będziemy ich ścigać.

- To nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli poślubi ją, zanim ich znajdziemy.

Gniew i rozpacz targały Kitem. Był wściekły zarówno na Philipa Pettigrew, jak i na siebie samego. Obiecywał Elizie, że przy nim będzie bezpieczna, a tymczasem znalazła się w rękach porywacza. Przestał się o nią troszczyć i ją zawiódł. To się już nigdy nie może powtórzyć.

Przekazał Joshuę pod opiekę jednego z lokajów, żeby chłopaków opatrzone rany, a sam zwrócił się do Brevarda.

- Jeśli Pettigrew ożeni się z Elizą i skonsumuje związek, nic już nie da się zrobić. Będzie miał to, czego chce: kontrolę nad jej majątkiem. Nie mamy chwili do stracenia. Trzeba powstrzymać tego łajdaka.

- Pewnie wiezie ją do Gretna Green - powiedział Brevard.

- To wygląda na najbardziej oczywisty pomysł, ale mógł wpaść na coś innego. Słyszałem opowieści o parach, uciekających do Guernsey, żeby zmylić pościg.

Wicehrabia pokręcił głową.

- Nie byłbym pewien, Guernsey brzmi mało prawdopodobnie. A jeśli nie masz racji?

Otóż to, pomyślał Kit. A jeśli nie miał racji i źle ocenił sytuację? »
Przez taki błąd mogą utracić Elizę na zawsze.

- Właśnie dlatego trzeba się rozdzielić, żebyśmy mogli przejechać większy teren. Adrian i Darragh na pewno pomogą w poszukiwaniach. Jeśli wyruszymy we cztery, Pettigrew nam nie ucieknie. Znajdziemy ich.

A wtedy niech Bóg ma w swojej opiece tego szczura, pomyślał.

A jeśli już było za późno, jeśli Pettigrew zdąży zmusić Elizę do ślubu, zanim ich złapią? Gdyby tak się stało, Kit przysiągł sam

sobie, że zrobi wszystko, żeby rozwiązać tę sytuację. W końcu kobieta może owdowieć równie szybko, jak wyszła za męża. Rzecz jasna, ten tchórz będzie chciał ją zgwałcić...

Gorycz podeszła mu do gardła. Na myśl o tym, że Eliza mogłaby zostać skrzywdzona, zrobiło mu się niedobrze. Ale wiedział, że choć szalałby z wściekłości i żalu, gdyby Pettigrew naruszył jej cześć, dla niego Eliza pozostałaby nietknięta. I tak by ją kochał.

Kochał?

Drgnął całym ciałem, gdy to słowo rozbrzmiało echem w jego umyśle. Przypływ uczucia był tak gwałtowny, że omal nie osunął się na kolana.

O nieba! Przecież on ją rzeczywiście kochał. Uwielbiał ją, ściślej rzecz biorąc.

Czul się, jakby dostał nagle pomieszania zmysłów. Ledwo się powstrzymał, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Ależ był ślepy i głupi, i to przez tyle miesięcy! Nie potrafił rozpoznać własnych uczuć. Teraz rozumiał, że oddał jej serce już dawno temu, może nawet w chwili, kiedy po raz pierwszy poczuł do niej niewinną sympatię.

Nic dziwnego, że ostatnio tak podle się czuł. Jego zmysły wyczuwały to, czego rozum nie mógł pojąć.

A teraz Eliza zaginęła.

Musi ją odnaleźć i odnajdzie, a kiedy już chwyci ją w ramiona, zatroszczy się o to, żeby pozostała tam na zawsze.

W tej chwili znieruchomiał, zauważywszy Brevarda. Jak łatwo o nim zapomniał. Zapomniał też, że Eliza przyrzekła już rękę wiecehrabiemu. To nic, zaręczyny zawsze można zerwać. Kit przekona Elizę, że jej miejsce jest przy nim, a nie u boku Brevarda.

Ale teraz nie czas na takie rozważania. Będzie go dosyć później, gdy Eliza cała i zdrowa wróci do domu.

- Przygotuj się do podróży, Brevard. - Kit maszerował już w stronę gabinetu Adriana, żeby zaznajomić brata z sytuacją. - Wyjeżdżamy najdalej za godzinę.

Eliza miała wrażenie, że w jej głowie stado małąp urządziło sobie dzikie harce. Podrzuciło ją na siedzeniu, gdy powóz wpadł w koleinę na drodze, i dopiero wtedy powoli zaczęło do niej docierać, w jakim znalazła się położeniu.

Leżała na boku, z policzkiem wciśniętym w wypłowiełe obicie siedzenia, zalatujące mocno stęchlizną, jakby powóz długo stał nieużywany. Koła skrzypiały i cały pojazd chybotał się na niewyregulowanych sprężynach.

To całkiem w stylu jej kuzyna, pomyślała, żeby oszczędzać nawet na powozie, którym planował ją porwać. Byłoby to nawet dość zabawne, gdyby nie fakt, że naprawdę znajdowała się w rękach porywacza.

Nie otworzyła oczu. Siłą woli próbowała zmusić ból głowy do ustąpienia. Żołądek też nie był w najlepszym stanie, Philip odurzył ją czymś dziwnie pachnącym i teraz robiło jej się niedobrze. Zaciśnięła wargi, modląc się, by nie dostać torsji. To byłoby dodatkowym upokorzeniem. Choć Philip miałby za swoje, gdyby wymiotowała mu na buty. Męczarnie zwracania pokarmu wynagrodziłyby jej widok kuzyna, miotającego się w obrzydzeniu.

Ale wiedziała, że gdyby faktycznie się pochorowała, celowo czy też przypadkiem, Philip nie puściłby tego płazem. Dobrze go знаła. Wciąż nie otwierając oczu, chciała się bardziej skulić na siedzeniu i z przerażeniem odkryła, że ma związane ręce i nogi-

- Wiem, że jesteś przytomna. - Z siedzenia naprzeciwko dobiegł głos Pettigrew - Możesz już przestać udawać.

Zadygotała, ale nie odezwała się ani słowem.

- Widzę, że znowu zmieniasz się w zastraszoną małą myszkę - szydził. - Mnie to nie przeszkadza. Ślub i tak się odbędzie. Zresztą, chyba nawet wolałem cię taką, jaka byłaś dawniej, kiedy wiedziałaś, że lepiej trzymać buzię na kłódkę. Mama potrafiła porządnie bić po twarzy, prawda?

Na te słowa Eliza otworzyła oczy. Wstręt i niechęć rozwiązały jej język.

- Nigdy za ciebie nie wyjdę.

- Ależ wyjdiesz. Nawet nie marz, że będzie inaczej. Już czeka na nas pastor, który nie przejmuje się tym, czy panna młoda wyraża zgodę na małżeństwo, o ile tylko odpowiednio wynagrodzi mu się jego trudy. Tak więc, jak widzisz, twoje protesty na nic się nie zdadzą.

Przełknęła ślinę. Gardło miała ściśnięte przerażeniem.

- Dokąd mnie wiesziesz?

- Jakie to ma znaczenie? Pojedziesz tam, dokąd chcę i będziesz robić to, co mówię, tak długo, jak długo będziesz mi potrzebna.

- Do czego? - odważyła się zapytać. - Jeśli chodzi ci o pieniądze, to... to możesz je sobie wziąć. Przygotuj tylko odpowiednie dokumenty, a ja...

Spojrzał na nią wrogo.

- To nie takie proste. Po pierwsze, twój narzeczony może się sprzeciwić, jeśli zechcesz się nagle rozstać ze swoim majątkiem, że już nie wspomnę twoich wścibskich przyjaciół. Nie myśl, że zapomniałem, jak potraktował mnie w teatrze ten nadęty lord. Już on się postara, a inni razem z nim, żeby wszelkie umowy, jakie my dwoje zawrzemy między sobą, straciły moc, gdy tylko wypuszczę cię na wolność.

Złapał za uchwyt przy siedzeniu, bo powóz zachybotał się niebezpiecznie na wyboju.

- Uniknęlibyśmy tych wszystkich nieprzyjemności, gdybyś zwyczajnie zgodziła się za mnie wyjść, kiedy cię o to poprosiłem. Wtedy może potraktowałbym cię lepiej, znalazłbym ci jakiś mały, miły domek, gdzie mogłabyś w spokoju dożyć końca swoich dni.

- Podczas gdy ty byłbyś zajęty wydawaniem moich pieniędzy.

Na blade policzki wystąpiły mu czerwone plamy. Dźgnął palcem w swoją kościstą pierś.

- Moich pieniędzy, chciałaś powiedzieć. To ja byłem prawnym dziedzicem, to mój spadek zabrałaś. Dostałbym wszystko, gdyby ta głupia stara jędza nie wykluczyła mnie z grona spadkobierców.

Gdybym wiedział, że miała tyle pieniędzy, bardziej zatroszczyłbym się o to, żeby nie zmieniła testamentu.

- Dlaczego właściwie ciotka to zrobiła? - zapytała Eliza.

Uśmiechnął się zimno, nieprzyjemnie. Przez chwilę milczał, widocznie zastanawiając się, czy jej odpowiedzieć. W końcu wzruszył ramionami.

- Małeńkie uchybienie z mojej strony, z czasów, kiedy byłem na parafii. Mój dobrodziej przychylił ucha do kłamstwa, które na mój temat rozpowiadał jakiś wieśniak, jakoby zhańbił jego córkę. Niby skąd mogłem wiedzieć, że ta mała lafirynda miała tylko trzynaście lat?

Eliza przygryzła wargę, żeby pohamować oburzenie.

- Mówili jeszcze o jednej dziewczynie, ale to była zwykła dziewczka, dawała każdemu, kto jej zapłacił. Choć złożyłem protest, musiałem odejść z parafii. Kiedy matka się o tym dowiedziała, wykluczyła mnie z testamentu. Stara wiedźma... - zamruczał pod nosem. - W każdym razie - podjął na nowo - kiedy już dostanę z powrotem to, co mi się należy, zastanowię się, co z tobą zrobić. W końcu wcale nie chcę cię mieć za żonę, kuzyneczko. - Uśmiechnął się obleśnie. - Rzecz jasna, będziemy musieli skonsumować małżeństwo, żeby wymogom prawnym stało się zadość.

Zadrzała ze strachu i obrzydzenia, ale starała się wyglądać dzielnie.

- Wiesz, że będą nas ścigać.

Twarz stężała mu w złości.

- Niech ścigają. Zanim nas dogonią, będzie już za późno. O wiele za późno.

Eliza zamknęła znów oczy i modliła się, by Philip nie miał racji.

Kit ściągnął wodze, pozwalając zmęczonemu koniowi zwolnić krok do stępa. Piana płątami opadała z boków zwierzęcia. Omal nie zajeździł biednego wierzchowca, podobnie jak paru innych przed

nim. Od rana nie schodził z siodła, jadąc naprzód tak szybko, jak tylko było to możliwe.

W Londynie, jeszcze zanim wyruszyli w drogę, spotkali się we czterech, aby się naradzić. Ustalili, że Adrian i Brevard pojedą na północ, do Gretna Green, a Darragh - na południe, do Dover, żeby zobaczyć, czy Pettigrew i Eliza nie wsiedli na prom do Calais, do Francji. Kit miał się udać do Southampton, a potem popłynąć na wyspę Guernsey, gdyby się okazało, że porywacz uwiózł Elizę w tamtym kierunku.

Kto inny może sam pojechałby do Gretna Green, a Brevarda wysłał na południe. Kitowi jednak przecucie podpowiadało, żeby wybrał mniej oczywistą drogę, a nie zdarzyło się jeszcze, żeby intuicja go kiedyś zawiodła.

Z ulgą stwierdził, że i tym razem opłacało się zaufać przecu-
ciom.

W ostatnim zajeździe dla dyliżansów, czekając na zmianę konna, podpytał stajennych o parę uciekinierów. Gdy jeden z chłopaków opisał mu szczupłą, ciemnowłosą damę, której towarzyszył wychudły strach na wróble odziany w pogrzebową czerń, Kit wiedział już, że trafił w dziesiątkę. Chłopiec zapamiętał ich tak dobrze, bo mężczyzna zostawił mu wyjątkowo mizerny napiwek. Przypominał sobie też, że ów człowiek krzyknął na młodą damę, gdy ta wzbraniała się wsiąść z powrotem do powozu.

Podniesiony na duchu faktem, że niewątpliwie jest na właściwym tropie, skreślił naprędce wiadomość dla Brevarda, Adriana i Darragha, i polecił pchnąć gońców z listami. Napisał też liścik do Violet i poprosił, żeby dostarczono go ekspresowo, bo był pewien, że czekająca w Londynie szwagierka pewnie rozchorowała się ze zmartwienia.

Znów był w drodze. Jechał, co koń wyskoczy, wiedząc, że jest w tyle za Elizą i Pettigrew o jakąś godzinę, nie więcej. Jeśli złapie ich, zanim wsiądą na prom, niegodziwe plany Philipa spełzną na niczym. Ale nawet jeśli mu się nie uda, i tak znajdzie Elizę. Nie spocznie, póki dziewczyna nie znajdzie się bezpiecznie w jego ramionach.

Morze było niespokojne i Eliza tym razem nie zdołała powstrzymać gwałtownych torsji. Pomimo że wymioty nie należały do przyjemności, była z nich zadowolona, bo przynajmniej Pettigrew trzymał się od niej z daleka.

Podejrzewała, że gdyby nie mdłości, kuzyn Philip mógłby podjąć próbę skonsumowania ich „związku”, jak to określił. Na samą myśl o tym, że mógłby jej w taki sposób dotykać, robiło jej się jeszcze bardziej niedobrze. Tak więc nie żałowała długich godzin, spędzonych w wyiębionej kajucie pod pokładem, z głową pochyloną nad drewnianym wiadrem, skoro każdy atak torsji odsuwał od niej tę wstrętą perspektywę.

Właśnie świtało, gdy statek dobił do brzegu i Pettigrew przyszedł po nią do kajuty. Skrzywił się z odrazą, gdy poczuł kwaśny odór wymiocin i obrzucił spojrzeniem jej pobladałą, wymęczoną twarz i rozczochrane włosy. Jeśli wyglądała równie okropnie, jak się czuła, to musiał być dopiero widok.

Po zejściu z promu, zaprowadził ją do gospody, gdzie poprosił o izbę dla siebie i „żony”.

Zaraz zjawiła się pokojówka, niosąc ciepłą wodę w miednicy, ręczniki i grzebień. Eliza nie miała pojęcia, w jaki sposób Pettigrew wyjaśnił brak bagaży czy innych podróжных akcesoriów. Niedługo potem przyniesiono posiłek, który ustawiono na małym rozkładanym stoliczku przy kominku.

- Doprowadź się do porządku - rozkazał Pettigrew, gdy tylko pokojówka zniknęła za drzwiami. - Idę się zobaczyć z pastorem i upewnić się, że wszystko jest przygotowane do ceremonii. Masz być gotowa, jak wrócę.

- Ile mam czasu? - Pytanie zabrzmiało znacznie pewniej, niż Eliza się czuła.

- Przypuszczam, że nie będzie mnie aż do południa, więc proponuję, żebyś w tym czasie trochę odpoczęła. - Wjego oczach

zapaliły się paskudne złośliwe ogniki. - Później przyda ci się dużo siły.

Eliza zadrżała z obrzydzenia. Drzwi zamknęły się za Philipem. Klucz głośno zazgrzytał w zamku. Jeśli dotychczas miała jeszcze jakieś wątpliwości, to jego ostatnie słowa utwierdziły ją w przekonaniu, że tej nocy zamierzają posiąść. Będzie musiał to zrobić siłą, przysięgła sobie, bo dobrowolnie nie pozwoli mu się dotknąć.

Nie bacząc na zmęczenie, podbiegła do drzwi i szarpnęła za klamkę, lecz ta, oczywiście, ani drgnęła. Wyrzała przez okno i serce jej podeszło do gardła, bo gospoda położona była na zboczu wzgórz, opadającego stromo ku poszarpanemu brzegowi morza.

Kuzyn Philip okazał się przewidujący. Ciekawe, jak długo to wszystko planował. Pewnie dość długo, uznała, skoro był już umówiony z pastorem.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby zacząć krzyczeć i walić w drzwi pięściami, ale była pewna, że zapłacili komuś, żeby jej pilnował. Być może za drzwiami stał jeden z ludzi, którzy wieźli ich łodzią, i dbał o to, żeby nie pomógł jej nikt z obsługi gospody.

Znużona i przygnębiona powlokła się do toaletki, żeby obmyć twarz i ręce. Pokojówka zostawiła też szczoteczkę i proszek do zębów, toteż Eliza mogła wreszcie pozbyć się kwaśnego posmaku w ustach. Nieco już odświeżona, podeszła do stołu i opadła na jedyne stojące przy nim krzesło, twarde, drewniane i niewyściełane. Przyjrzała się krytycznie tacy z jedzeniem i uznawszy, że głódzenie się nic jej nie pomoże, zmusiła się do przełknięcia kilku kęsów chleba i paru łyków gorącej herbaty.

Mdłości uspokoiły się z wolna i nawet, o dziwo, poczuła głód. Chwyliła nóż, żeby ukroić sobie plasterek sera, ale wstrzymała się, bo jej uwagę przykuło trzymane w dłoni narzędzie. Zamyślona, kilkakrotnie obróciła w dłoni nóż, a potem znowu zerknęła w stronę okna.

Nie, pokręciła głową, odrzucając ryzykowny pomysł, który nagle wpadł jej do głowy. To byłoby istne szaleństwo. Czy miała

jednak inne wyjście? Kit i inni na pewno będą jej szukać, ale mogą nie zdążyć na czas. Albo zacznie działać natychmiast, albo będzie czekała na powrót kuzyna Philipa, jak cieleń na rzeź.

Wiedząc, że nie ma ani chwili do stracenia, poderwała się na nogi.

- Poproszę o klucz. - Kit wbił we właściciela zajazdu nieprzejdane spojrzenie, kładąc przed nim na drewnianej ladzie dwie złote monety.

- Mówi pan, że jest bratem tej damy? - Gospodarz chciwie zerknął na pieniądze.

- Dokładnie. - Kit położył na stosiku kolejną monetę. I jeszcze jedną, skoro pierwsza nie wywołała spodziewanych rezultatów.

Ciężka dłoń gospodarza jednym ruchem zgarnęła pieniądze. Zdjął klucz, wiszący na gwoździu za barem, i podał go Kitowi.

- Jakżebym mógł rozdzielać kochające się rodzeństwo. - Mrugnął lubieżnie.

Kit nic nie odpowiedział, ścisnął tylko klucz w dłoni i podążył w kierunku schodów.

- Pierwsze drzwi na piętrze! - zawołał za nim właściciel.

Kit wiedział już, że Eliza jest sama i że Pettigrew najprawdopodobniej zamknął ją w pokoju na klucz, bo wcześniej gospodarz, niepytany, poinformował go, że „mąż” damy zabrał ją na górę, a sam wyszedł z gospody.

Kit nie mógł w to uwierzyć. Przecież to niemożliwe, żeby ślub już się odbył, chyba że kapitan promu przeprowadził ceremonię w trakcie przeprawy. Jednak nawet jeśli tak się stało, Kit poprzysiągł sobie, że Eliza nie na długo pozostanie małżonką Philipa.

Wszedł po schodach i znalazł się w wąskim, słabo oświetlonym korytarzyku. Podeszedł do pierwszych drzwi. Włożył klucz do zamka i przekręcił. O dziwo, drzwi otworzyły się bez jednego skrzypnięcia.

Spodziewał się od razu zobaczyć Elizę, tymczasem pokój sprawiał wrażenie opustoszałego. Okno było otwarte na oścież, a silna

morska bryza o *słonym zapachu* wzdymała kraciaste zasłonki z taniem bawełny. W pomieszczeniu zalegał cień, bo poranne słońce nie miało siły przebić się przez zwały ciemnych burzowych chmur, nadsiadających od morza.

Zmarszczył się gniewnie i rozejrzawszy się wokoło, dostrzegł, że z łóżka ściągnięto pościel. Podeszedł bliżej, żeby dokładniej się przyjrzeć. Z jego lewej strony deski podłogi skrzypnęły cichutko. Kitowi natychmiast włosy zjeżyły się na karku.

Instynktownie obrócił się na palcach i poderwał do góry rękę. Porcelanowa miednica, rzucona tak silnie, że mogłaby rozłupać mu czaszkę, uderzyła go w ramię z półobrotu.

Gotowy do walki, odwrócił się w stronę napastnika, ale jego wzrok napotkał znajome wejście przerażonych szarych oczu.

Druga biało-błękitna porcelanowa misa upadła z głośnym stukiem na podłogę, bo Eliza upuściła wszystko, co trzymała w rękach i rzuciła się Kitowi na szyję.

- Kit! O mój Boże, to ty! Byłam pewna, że to Philip. Myślałam, że po mnie przyszedł.

Kit przycisnął ją mocno do piersi i zamknął oczy. Przytulał ją, rozkoszując się na nowo dotykem jej smukłego ciała. Bez zastanowienia zgniół jej usta w pocałunku i napawał się jej ciepłem i zapachem. W głowie mu się kręciło od jej bliskości. Dał się porwać chwili, zalała go radość i olbrzymia ulga, że nic jej nie jest, że znowu może trzymać ją w ramionach.

Eliza oddawała mu pocałunki z zapalczliwością, która wstrząsała samym rdzeniem jego istoty. Całował ją teraz delikatniej, tak żeby oboje mogli spokojnie nacieszyć się tym, że znowu są razem.

W końcu odsunął się od niej nieznacznie, opierając się czołem o jej czoło.

- Wszystko w porządku? - wyszeptał cicho, chrapliwie.

Odchyliła głowę w tył, żeby na niego spojrzeć.

- Tak, teraz już tak.

Pocałował ją znowu, czule, powoli.

- Już myślałem, że cię straciłem. Omal mi serce nie pękło, kiedy odkryliśmy, że Pettigrew cię porwał.

Eliza zadrżała.

- Wiedziałam, że będziecie nas ścigać, ale nie spodziewałam się, że od razu odgadniecie, dokąd Philip mnie wiezie. Sądziłam, że będziecie mnie *szukać na granicy ze Szkocją*.

- Brevard z Adrianem pojechali w tamtą stronę. Pewnie jeszcze są w drodze. Wszyscy czterej, nawet Darragh, wyruszyliśmy natychmiast, jak tylko się okazało, że zostałam uprowadzona.

- Bogu dzięki, że się domyśliłeś, gdzie mnie szukać. - Eliza ze skrucą spuściła wzrok. - Przepraszam, że rzuciłam w ciebie miednicą. Dobrze, że nie trafiłam.

Kit wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ja też się cieszę. Gdybyś trafiła, nabiłabyś mi niezłego guza, nie mówiąc już o tym, że przyprawiłabyś mnie o wściekły ból głowy.

- Kiedy usłyszałam kroki w korytarzu, pomyślałam, że to Philip wraca wcześniej, niż zapowiedział, i że nie zdążę mu uciec.

- A jak zamierzałaś to zrobić? - Kit rozejrzał się wokoło i teraz dopiero spostrzegł pasmo materiału, długie przynajmniej na siedem stóp, zwinięte w kłęb pod oknem. - Czy to jest pościel? A raczej, czy to była pościel?

Eliza pokiwała głową.

- Pocięłam wszystko na pasy i związałam. Chciałam z tego zrobić linę. Wydawało mi się, że jest jeszcze za krótka i właśnie miałam wziąć się do zasłonek, kiedy się zjawiłeś.

- Linę? Po co? - Wypuścił ją z objęć i w dwóch krokach znalazł się przy oknie. Żołądek ścisnął mu się na widok stromizny zbrocza, opadającego ku morzu. - Na miły Bóg, Elizo, chyba nie zamierzałaś uciekać przez okno? Przecież to byłoby czyste samobójstwo. Połamałbyś się na kawałki.

Eliza założyła ręce na piersi.

- Coś musiałam zrobić. Nie mogłam tak po prostu pozwolić, żeby mnie zmusił do małżeństwa.

- Więc ślub się jeszcze nie odbył?

Pokręciła głową.

- Nie, jeszcze nie. Philip właśnie poszedł porozmawiać z pastorem. W każdej chwili może wrócić. Powinniśmy się spieszyć.

- Ona ma świętą rację. - Z korytarza rozległ się ponury męski głos. - Trzeba było uciekać od razu.

Pettigrew wszedł do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. W rękę trzymał pistolet.

Prerażona Eliza z głośnym świstem wciągnęła powietrze.

Kit wyciągnął rękę i jednym szarpnięciem pociągnął ją tak, że stała schowana za jego plecami.

Pettigrew uśmiechnął się złośliwie.

- Nic ci to nie da, że ją będziesz chował. I tak ja tu jestem górą.

- Zapewniam cię, Pettigrew - wycodził Kit przez zęby - że nie jesteś górą, i nigdy nie będziesz.

W oczach Philipa błysnęła zimna furia. Wykrzywił się, a nos wysunął mu się naprzód jak dziób jakiegoś drapieżnego ptaszyska.

- W odróżnieniu od naszego ostatniego spotkania, nie masz nade mną przewagi. Radzę ci więc powściągnąć język i zaprzestać obrażania mnie. I mam już serdecznie dosyć twojego wścibstwa, Winter. Jak nas tu znalazłeś?

- Prosta dedukcja. Jest tylko kilka miejsc, do których mogłeś uciec z Elizą. W każde z nich kogoś posłałem.

Nienawiść w oczach Pettigrew zajaśniała mocniejszym blaskiem.

Kit zaś, jakby nigdy nic, wziął się pod boki.

- Na twoim miejscu, wynosiłbym się stąd, póki czas.

Philip otworzył usta ze zdumienia. Po chwili skrzywił się rozbawiony.

- Ja mam się wynosić? Ja? Głupiec z ciebie. Rozpuszczony, bezmyślny młodszy synalek księcia, którego nie stać na to, żeby wziąć się do roboty i zdziałać w życiu coś sensownego.

- Może i tak, ale przynajmniej nie upadłem tak nisko, żeby porywać niewinną kobietę dla jej pieniędzy.

Oczy Philipa rozjarzyły się wściekłym blaskiem.

- Moich pieniędzy! - warknął, wskazując na siebie trzymaną w rękę bronią. - Ona ma moje pieniądze, a ja chcę je odzyskać!

Kit rzucił się naprzód, wykorzystując moment nieuwagi i szarpnął za pistolet. Prawie udało mu się wydrzeć go z ręki przeciwnika, ale w ostatniej chwili Pettigrew chwycił broń mocniej i zacisnął na niej rękę. Siłowali się, próbując wyrwać sobie pistolet. Kit naprężył mięśnie, starając się nie myśleć o tym, że broń w każdej chwili może wypalić.

Silny jest, drań, przyznał w duchu, silniejszy niż się spodziewałem.

Jednak siła Pettigrew nie mogła się równać z jego krzepą i doświadczeniem. Brutalnie wykręcił rękę przeciwnika, podnosząc ją wysoko nad głowę. Zacisnął jeszcze uchwyt i pociągnął ramię Philipa w tył, wyginając je nienaturalnie, tak że w każdej chwili mógł naderwać mu mięśnie i złamać kość.

Pettigrew, z twarzą wykrzywioną wściekłością i cierpieniem, usiłował się wyrwać, ale w końcu zawył z bólu i broń ze stukotem upadła na podłogę. Zaklął paskudnie pod nosem, gdy Kit kopniakiem odsunął ją za siebie.

- Elizo, weź pistolet - polecił Kit.

Bez wahania podbiegła i podniosła broń z podłogi. Trzęsąc się na całym ciele, uniosła ją w górę i wycelowała prosto w pierś kuzyna.

Kit, niezdolny dłużej panować nad swoim gniewem, z całej siły uderzył Philipa pięścią w twarz. Ten aż zatoczył się do tyłu i głośno jęknął z bólu.

- Powiniennem cię wybatożyć za to, co zrobiłeś - powiedział Kit - a potem oddać cię pod sąd. Już za samo porwanie posiedziabyś w więzieniu długie, długie lata. Ale nie chcę wplątywać w to Elizy, już i tak dość się przez ciebie nacierpiała. Nie pozwolę, żeby jej reputacja ucierpiała przez jakąś szumowinę. Więc pozwolę ci odejść. Ale twoja noga już nigdy nie postanie w Anglii.

- A jeśli odmówię? - oponował Pettigrew, ostrożnie piastując nadwerżony nadgarstek.

Kit zmrużył oczy i posłał mu złowrózne spojrzenie.

- W takim razie będziesz ciągle drżał o własne życie. Przysięgam ci, że jeśli jeszcze raz zbliżysz się do Elizy, zabiję cię. To chyba zrozumiałe. Wyjędź, Pettigrew. Proponuję Francję, bo jest niedaleko. Albo Amerykę, mówią, że to kraj wielkich możliwości.

Pettigrew opierał się jeszcze przez chwilę, wojowniczo wysuwając do przodu szczękę. Wtem ramiona mu opadły. Odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z pokoju, rzucając Elizie ostatnie jadowite spojrzenie.

Kit nie stracił czujności do chwili, gdy za Philipem nie zamknęły się drzwi. Przekręcił w zamku klucz i dla pewności zasunął jeszcze zasuwkę. Potem podbiegł do Elizy i, wyjąwszy z jej drżących rąk pistolet, odłożył go na bok, upewniając się, że cyngiel nie jest odwiedziony.

Objął dziewczynę ramionami, przyciskając ją ciasno do siebie i pozwalając jej wtulić twarz w swoją pierś.

- Już po wszystkim, mój mały wróbelku. Trzymam cię mocno i już nigdy nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził.

Załamane szare oczy spjrzały ku niemu i w okamgnieniu oboje utonęły w pocałunku.

Gorączkowo, chciwie, Kit wpił się w jej usta z jakąś dziką desperacją, uwalniając nagromadzony lęk, udrękę i trwogę. Zamknął oczy i zatopił się w słodczy jej ust. Czuł błogą ulgę, że Eliza jest cała i zdrowa. I płonął żarem namiętności, której ogień już od mieśnicy trawił jego wnętrze.

Przesunął ręce w dół, żeby pogłaskać jej biodra, a potem z powrotem w górę, wzdłuż kształtnej linii pleców. I znowu w dół, niżej, jeszcze niżej, objął dłońmi jej krągłe pośladki i ścisnął je delikatnie, a potem uniósł ją z ziemi i przycisnął do siebie. Wpił się w jej usta, lubując się cichymi jękami rozkoszy, które wydobywały się z gardła Elizy i delektując się cudowną zmysłowością jej drobnego ciała, zamkniętego w jego potężnym uścisku.

Eliza przywarła do niego, *zarzucając* mu ręce na szyję. Zanurzyła się cała w jego żarliwych objęciach. Włosy Kita miały słony zapach morza, a może to pachniał wiatr, wpadający przez otwarte okno. Podmuchy stawały się coraz mocniejsze, ale Kit, jego dłonie i usta, przesłaniały jej cały świat.

Rozchyliła wargi, jak ją kiedyś uczył, chcąc dać mu więcej. Chcąc, by zanurzył się w nią głębiej. By zabrał ich oboje do krainy głodu i nasycenia, gdzie króluje ciemna, wilgotna rozkosz i jedwabista przyjemność. Zadygotała i westchnęła, oszołomiona błogością. Na całym świecie nie było chyba nic wspanialszego od pocałunków Kita.

Ostry podmuch wiatru wdarł się do pokoju, rozwiewając loki wokół twarzy Elizy i szarpiąc ją za suknię jak niecierpliwy brzdąc. Zadrżała, przytuliła się mocniej do Kita i całowała go dalej. Wydawało jej się, że za chwilę eksploduje, wybuchnie snopem lśniących iskier jak rzymska świeca na pokazie fajerwerków.

Na zewnątrz zadudnił grom, a jego huk wstrząsał ścianami gospody. W następnej chwili opadła ściana deszczu, zacinając ukośnie. Lodowato zimne kropelki, niesione bezlitosnym wiatrem, lunęły do środka przez okno, rozpryskując się na skórze i mocząc im ubrania.

Odskoczyli od siebie, drżąc z zimna. Przez chwilę w oszołomieniu przyglądali się, jak krople wpadają do pokoju i zalewają podłogę. Za oknem na niebie, czarnym jak atrament, mimo wczesnej porannej godziny, rozjarzyła się poszarpana błyskawica. Burza rozpętała się na dobre.

Kit oprzytomniał pierwszy i rzucił się zamknąć okno. Walczą z silnym wiatrem, zatrzasnął je wreszcie i woda przestała wlewać się do środka. Jakby na znak protestu, deszcz zaczął wybijać na szybie nieustępliwy rytm.

Odwrócił się do Elizy. Jego włosy i skóra lśniły od wilgoci. Podszedł do niej, chwycił ją w ramiona i uniósł w górę.

- Nie mamy pościeli - mruknął z twarzą wtuloną w jej szyję, kiedy układał ją na łóżku - ale jakoś sobie poradzimy. Zaraz przyniosę narzutę. Zaczekaj chwileczkę.

Ale ta chwila wystarczyła, żeby sumienie Elizy dało o sobie znać ostrym ukłuciem.

Co ja wyprawiam? - zapytała siebie w duchu. Jeszcze chwila i poszłaby do łóżka z Kitem. Po raz kolejny. Wystarczyło porwanie, ratunek, krzepiący uścisk i już Eliza praktycznie była gotowa mu się oddać, ciałem i duszą. Ale przecież nic się między nimi nie zmieniło, mimo że tak rycersko przyszedł jej z pomocą.

Teraz już dygotała z zimna. Z każdą minutą rozjaśniało jej się w głowie, jakby odzyskiwała przytomność po długotrwałym zamroczeniu.

Kit przyniósł narzutę i okrył ją od stóp do głów.

- To powinno cię trochę rozgrzać.

- Kit, nie możemy tego zrobić - powiedziała, siadając z trudem na nierównym materacu, który uginał się pod jej ciężarem.

Kit lekko oparł rękę na jej ramieniu, tak że z powrotem przewróciła się na łóżko. Sam położył się obok.

- Nie możemy? Naprawdę?

- Nie. Może o tym zapomniałeś, ale jestem zaręczona.

Zmarszczył gniewnie brwi.

- Zaręczyny zawsze można zerwać.

Eliza zamrugała, zaskoczona.

- Słucham?

- Nie wychodź za niego. - Pochylił się nad nią i zajrzał jej w oczy, a jego tęczyówki lśniły jak zielono-złote szkiełka. - Wyjdź za mnie.

Niepewność zacisnęła się w ciasny supełek w piersi Elizy.

- Już o tym rozmawialiśmy. Przecież wcale nie chcesz się ze mną żenić.

- Czyżby? - tchnął cicho w jej twarz, przesuwając wargi wzdłuż jej policzka.

Pokręciła głową.

- Pragniesz tylko mojego ciała.

Ukąsił delikatnie płatek jej ucha i złożył na szyi rząd lekkich jak piórko pocałunków.

- Ach, tak?

- Przemawia przez ciebie honor - ciągnęła Eliza bez tchu. - I to, że mnie požadasz. Jesteśmy tu tylko we dwoje i jeśli znowu to zrobimy, moja cześć panińska zostanie naruszona. Po raz kolejny.

Kit wśliznął się pod kołdrę.

- Oczywiście, że zostanie naruszona. Mam dziś w planach naruszyć ją nie raz, a wiele razy, dopóki oboje nie padniemy tu ze zmęczenia. Ale to - przerwał na moment, żeby niedwuznacznym gestem przycisnąć do jej biodra podłużny, twardy kształt swojej męskości - nie ma nic wspólnego z honorem.

- A więc z żądzą. - Wrywała się.

Kit nie puścił jej, za to przycisnął ją delikatnie do materaca i chwyciwszy jej nadgarstki, uwięził ręce nad głową. W mroku panującym w pokoju, Eliza spojrzała mu w oczy.

- Proszę cię, Kit. Puść mnie, proszę.

Wolno pokręcił głową.

- Nie mogę. Uwierz mi, próbowałem, ale zwyczajnie nie potrafię. I choć nie ulega wątpliwości, że płonę z pożądania, to moje emocje sięgają o wiele głębiej. - Spoważniał i lekko musnął jej usta wargami. - Kocham cię, Elizo.

W pierwszej chwili wydawało jej się, że źle go usłyszała.

- Co takiego?

- Kocham cię. Powinienem być ci to powiedzieć już dawno, ale byłem taki głupi, że nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero kiedy zostałam porwana... no cóż, zrozumiałem wtedy, że moje życie bez ciebie nie będzie nic warte.

Eliza straciła dech w piersi. W głowie jej się zakręciło jak po nagłym upadku. Przecież to niemożliwe, żeby Kit mówił takie rzeczy, zdumiała się. Chyba naprawdę się uderzyła w głowę i teraz majaczy. Wszystko to, może nawet porwanie, było pewnie sennym przywidzeniem.

Jednak zmysłowy dotyk Kita, który kciukami głaskał wnętrza jej nadgarstków, był jak najbardziej rzeczywisty. Pod jego wpływem ciało Elizy drżało i płonęło na przemian.

- Kochana, powiedz coś - nalegał. - Powiedz, czy czujesz to co ja? Czy mogłabyś wyjść za mnie, dzielić ze mną życie i urodzić mi dzieci? Wiem przecież, jak bardzo pragniesz mieć własne dzieci. Zapewniam cię, że z przyjemnością dam ci ich tyle, ile będziesz chciała. Tylko powiedz „tak”. Błagam, Elizo, zgódź się i pozwól mi uszczęśliwiać cię do końca życia.

Wargi Elizy drżały z emocji, które w niej wzbierały. Wreszcie fala się przelała i dziewczyna wybuchnęła płaczem. Odwróciła głowę na bok, łkając głośno.

Kit patrzył na jej łzy, coraz bardziej załamany. Puścił jej rękę i teraz tylko nachylał się nad nią, odgarniając włosy z mokrych policzków, delikatnie i czule, jakby pocieszał płaczące dziecko.

I choć sprawiało mu to nieznośny ból, musiał jej zadać jeszcze jedno pytanie. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos był zmieniony nie do poznania, szorstki i chropawy.

- A więc to jego kochasz? Brevarda? To jego żoną chcesz zostać?

- Nie - powiedziała Eliza przez łzy, kręcąc głową.

- Nie? - Kit, zdezorientowany, głąskał ją uspokajająco po ramieniu. - Więc dlaczego płaczesz? O co chodzi, kochana? Co się dzieje? Jeśli nie chcesz wyjść za mnie teraz, mogę poczekać. Wiem, że pewnie mnie jeszcze nie kochasz, ale...

Zdławiony śmiech, podobny raczej do czkawkki, wyrwał się z ust płaczącej Elizy. Zarzuciła mu rękę na szyję, żeby go uciszyć.

- Cś... Nic nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem?

- Ze cię kocham. Tak bardzo, od lat. Tak długo, że już dawno pożegnałam się z nadzieją na to, że kiedyś odwzajemnisz moje uczucia.

- Naprawdę? To dlaczego mi odmówiłaś, kiedy za pierwszym razem poprosiłem cię o rękę?

Pociągnęła nosem i przytuliła się do niego.

- Bo myślałam, że robisz to tylko z poczucia obowiązku. Pewnie każda inna kobieta na moim miejscu by się zgodziła, aleja nie mogłam uwięzić ciebie, ani siebie, w małżeństwie bez miłości. Oboje zasługujemy na więcej. Nie chciałam czegoś, co nie byłoby oparte na wzajemności.

- I słusznie. Boże, jakież ze mnie bałwan. Mówiłem o honorze i powinności, a powinienem być ci powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczysz. - Pochylił się i przycisnął usta do jej ust w powolnym, czułym pocałunku, który pozostawił ich oboje bez tchu. -Wybacz, że byłem takim durniem. Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej nie dostrzegłem tego skarbu, który przez cały czas miałem pod samym nosem.

Eliza uśmiechnęła się promiennie.

- Ale teraz już mnie dostrzegasz, i to się liczy. Nie ma tu nic do wybaczenia.

Radość rozjaśniła twarz Kita.

- Więc powiedz „tak”. Powiedz, że zostaniesz moją żoną. Ze będziesz moja.

Spojrzała na niego z rozmarzeniem w oczach.

- Jestem twoja, Kit. Teraz i już na zawsze. Oczywiście, że zostanę twoją żoną.

Zmiażdżył jej usta w pocałunku, przypieczętowując wzajemną obietnicę.

Gdy Kit wreszcie uniósł głowę, obojgu znowu brakowało tchu. Pragnienie wzbierało w nim niepowstrzymanie, więc zerwał z siebie marynarkę i rzucił ją na podłogę.

Kamizelka wkrótce poszła w jej ślady.

- Musisz zdjąć z siebie te mokre ubrania - powiedział, sięgając do zapięcia sukni Elizy. - Nie pozwolę, żebyś się przeziębiła.

Jej dłonie znalazły się na jego ramionach, niecierpliwie palce ciągnęły za materiał koszuli.

- O tak. Ty też musisz na siebie uważać.

Leżała spokojnie, pozwalając, by ją rozebrał. Gdy została tylko w cienkiej płóciennej bieliźnie, Kit pochylił się nad nią i znowu

ich wargi stopiły się w namiętym pocałunku. Pomruki błogości, które wydawała z siebie Eliza, ginęły w jego ustach. Pieścił ją przez materiał, póki nie udało mu się rozwiązać tasiemki, ściągającej koszulkę na piersiach.

Na zewnątrz deszcz bębnił o szyby, a wiatr zawodził potępieńczo. Ale do uszu Kita nie docierały te odgłosy, zagłuszone przez głośne bicie własnego serca. Dudniący dźwięk nasilił się, gdy drobna dłoń Elizy znalazła drogę pod koszulę i prześlizgnęła się po płaszczyźnie jego piersi.

Zadygotał pod dotykiem tych niewinnych jeszcze rąk i napawał się pieszczotą zgrabnych, dociekliwych paluszków na swojej skórze. Jej dotyk palił gojak ogień, podsycając płomień pożądania. Jęknął głośno, gdy ciekawskie palce okrażyły jego sutki, najpierw jeden, potem drugi, drażniąc każdy z nich paznokciem, nim przesunęły się niżej. Wsunęła dłoń pod brzeg jego spodni i głaskała skórę na jego brzuchu, a ten delikatny dotyk wystarczył, by rozpalic go jeszcze bardziej.

- Nie miałam okazji cię zobaczyć - mruknęła Eliza z nieświadomą kokieteryą.

Kit uczynił wysiłek, żeby skupić się na jej słowach.

- Słucham?

- Kiedy kochaliśmy się pierwszy raz, nie miałam okazji cię obejrzeć.

- Ach tak? - Ciemna brew powędrowała do góry.

Uśmiechnął się powoli, drapieźnie.

- A zatem musimy nadrobić to niedopatrzenie.

Pokiwała głową, a ochoczy błysk w jej oczach podpowiedział mu resztę.

Usiadł więc i zrzucił koszulę przez głowę. Eliza westchnęła z zachwytem i na ten dźwięk podniecenie Kita, o ile to możliwe, jeszcze wzrosło. A kiedy ściągnął spodnie, stając przed nią nago, jego pożądanie było już tak silne, że nieomal bolesne.

- Och, jej! - wykrzyknęła Eliza, spoglądając na tę część jego ciała, której nie był już w stanie dłużej kontrolować.

- Za dużo naraz? - Sięgnął po narzutę, żeby się okryć.

- Nie, zaczekaj. - Powstrzymała go. Policzki miała purpurowe i uciekała wzrokiem. - Mogę dotknąć?

Męskość Kita poruszyła się, tak jakby Eliza już chwyciła go w swoją drobną dłoń. Zdusił jęk i usiłował zapanować nad sobą.

- Proszę uprzejmie.

Ona tymczasem, zamiast zacząć od tego, co wręcz błagało ojej dotyk, położyła dłoń na jego udzie. Mięśnie skurczyły się w odpowiedzi na chłód ręki, która muskała jego rozpalone ciało, z każdą chwilą gorętsze.

Eliza przełknęła ślinę. Czas się pozbyć skrupułów, nie pora teraz na dziewicze wahania i wstyd. Kit uczył ją pewności siebie. Pomógł jej stać się kobietą. To dzięki niemu była taka, jak teraz - niezależna i zdecydowana. Nie bała się niczego, nawet samej siebie.

W nagłym przypływie odwagi zaczęła głaskać całe ciało Kita. Jej dłonie wytyczały ścieżki rozkoszy wzdłuż nóg, aż do stóp, i z powrotem, poprzez brzuch, piersi i ramiona. Uczyła się Kita na pamięć, zafascynowana tym, jak bardzo różnił się od niej.

Był twardy tam, gdzie ona była miękka. Duży tam, gdzie ona była drobna. Silny tam, gdzie ona - wątpła i słaba. A jednak nie czuła się słaba w tej chwili, wiedziała, że ma nad nim władzę, bo jego ciało dosłownie dygotało pod jej palcami.

Jęknął głośno, gdy zamknęła w dłoni atrybut jego męskości, oszołomiona wrażeniem, że dotyka go w tak intymny sposób. Kit wyprężył się pod nią, błagając o pieszczoty, jakich nigdy nie spodziewała się nikomu dawać.

Po raz kolejny Eliza okazała się pojętną uczennicą, pozwalając, by pokazał jej, jak może sprawić mu przyjemność.

Wreszcie po długiej chwili chwycił jej nadgarstki i odsunął od siebie ręce.

- Starczy już, kusicielko. Przez ciebie zaraz stracę resztki kontroli.

Przewrócił ją na plecy i zdarł z niej cienką koszulkę, sycąc się widokiem jej nagiego ciała.

- Teraz moja kolej.

Nie zdążyła nawet westchnąć, a już dłonie Kita zawładnęły nią całą. Zmysły Elizy oszalały, żar pożądania rozlał się między jej udami. Nie wiadomo kiedy i jak, kilkoma cudownymi, czarodziejskimi ruchami palców doprowadził ją na sam szczyt. Jej głośne westchnienia wzbijały się ponad odgłosy burzy.

A potem - niewiarygodne - zrobił to znowu, raz jeszcze poruszając w niej palcami.

Ale to nie był koniec.

- Jeszcze raz, Elizo. Taka jesteś piękna w tej chwili. Zrób to dla mnie.

- Już nie mogę - wydyszała.

- Możesz - zapewnił ją Kit.

I znowu prowadził ją ku ekstazie. Choć wcześniej wydawało jej się to niemożliwe, oto teraz znowu topniała w jego ramionach, przeżyła się pod dotykiem jego palców, a przytłaczająca fala rozkoszy zalewała ją od środka i z zewnątrz.

Całkiem bezsilna, rzucała się pod nim, on zaś prowadził ją wyżej i wyżej, ból pożądania wznosił się, sięgał głębiej i głębiej, do samego jej wnętrza, tak głęboko, że bała się, że rozerwie ją na strzępy.

I wtedy przyszło spełnienie. Jęk uniesienia zginął w huku gromu, jakby samo niebo chciało się przyczynić do jej ekstazy. Rozkosz, gęsta i złota, rozlała się w niej niby rozgrzany płynny miód.

Nie była w stanie poruszyć nawet ręką.

Kit jednak nie miał zamiaru na tym poprzestać.

Wpił się w jej usta i raczył się jej smakiem w pocałunkach mocnych i upajających. Elizie na nowo zawrzała krew, była jak otumaniona. Potem zaczął całować jej piersi, sycąc się nią i, ku jej niebotycznemu zdumieniu, zdołał na nowo rozpalic w niej płomień pragnienia.

Nim rozchylił jej uda, już była na niego gotowa. Jej ciało czekało niecierpliwie, żeby przyjąć go w siebie.

I okazało się, że tym razem, gdy zanurzył się w niej głęboko, nie było żadnego bólu, tylko przyjemność. Potężna, niepohamowana rozkosz, która wydzieraa z jej ust westchnienia i okrzyki. Nie była w stanie ich powstrzymać, tak jak nie potrafiła przestać oddychać.

Kit zaczął poruszać się w niej jednostajnie i narzucił im obojgu nieubłagany, pierwotny rytm. Eliza starała się dotrzymać mu kroku. Uchwyciła się go kurczowo, podążając za nim na kolejny szczyt, wiedząc, że zabierze ją tam, gdzie oboje tak bardzo pragnęli się znaleźć.

Spełnienie nadeszło, gdy kolejna błyskawica rozdarła niebo. Wicher trząsł ścianami gospody, a ekstaza wstrząsała bezwładnym ciałem Elizy. Wykrzyczała swoje uniesienie. Łkała z rozkoszy.

Kat wciąż jeszcze się w niej poruszał. Wreszcie, po paru gwałtownych, niemal brutalnych pchnięciach, jego ciało zastygło nagle w bezruchu.

- O Boże, Elizo, kocham cię! - wykrzyknął w momencie bolesnej ekstazy.

- Ja też cię kocham - zamruczała, przygarniając do siebie jego drżące ciało. Objęła go ciasno i się uśmiechnęła, gdy wtulił twarz w zagłębienie jej szyi.

Zasnęli, upajając się wzajemną bliskością.

Eliza i Kit dotarli do Londynu dwa dni później, po południu.

Gdy tylko wynajęty pojazd, który wiozł ich przez całą drogę, zatrzymał się przed domem, drzwi rezydencji Raeburn otworzyły się szeroko. Violet zbiegła po schodach.

- Jesteś!

Kit ledwo zdążył wysadzić Elizę z powozu, a już Violet trzymała ją w objęciach. Eliza z radością uściskała przyjaciółkę.

- Nic ci nie jest? - dopytywała się Violet, a jej turkusowe oczy pociemniały z troski.

- Zupełnie nic - zapewniła ją Eliza.

- Nie zrobił ci krzywdy? - Violet cmokała nad nią jak kwoka, której pisklę chciał porwać lis.

- Nie zdążył, bo Kit w porę nas znalazł.

- No to Bogu dzięki za naszego Kita. - Violet rzuciła szwagrowi rozradowany uśmiech. - Jest nadzwyczajny.

Eliza spojrzała w błyszczące oczy Kita ze szczególnym wyrazem twarzy.

- O tak.

Violet, zbyt podekscytowana, żeby zauważyć tę wymianę spojrzeń, mówiła dalej:

- Darragh już tu jest. Dostał wiadomość Kita po drodze i wrócił jakieś parę godzin temu. Jeanette i dziewczęta też czekają w środku. Adrian i lord Brevard powinni dotrzeć przed wieczorem. Kiedy wszyscy już się zjawią, urządzimy sobie ucztę z okazji twojego bezpiecznego powrotu do domu. A jako dodatkowe podziękowanie dla Kita, poproszę Francois, żeby upiekł całą blachę miodowych bułeczek z Bath, tylko dla niego.

- Miodowe bułeczki! - Przystojna twarz Kita rozjaśniła się uśmiechem. - Widzę, że w przyszłości częściej będę musiał ratować Elizę.

Poruszył brwiami i wszyscy troje roześmiali się wesoło.

- No dobrze, chodźcie do środka, wszystko mi opowiecie. - Violet objęła Elizę w pasie. - A jak już skończycie, nigdy więcej nie chcę słyszeć nazwiska tego człowieka. Zawsze uważałam, że Philip Pettigrew to wstrętna ropucha.

- Nie zamierzam zaprzeczać. - Eliza objęła przyjaciółkę i pozwoliła wprowadzić się do domu.

Kiedy już znalazła się w swojej sypialni, wykapała się i umyła głowę, a potem przebrała w świeżą suknię. W międzyczasie zdawała Violet szczegółową relację ze swojej nieprzyjemnej przygody,

pieczołowicie omijając najistotniejszą część opowieści, tę dotyczącą jej i Kita.

Choć umierała z chęci zwierzenia się Violet, uznała, że Lance zasługuje na to, żeby dowiedzieć się jako pierwszy. Po zerwaniu zaręczyn będzie czas na to, żeby podzielić się szczęśliwą nowiną z przyjaciółką. Nie mogła się doczekać reakcji Violet, aczkolwiek pewna była jej ogromnego zaskoczenia.

Kilka godzin później Eliza sączyła przedobiednią szklaneczkę sherry, siedząc na kanapie w biało-żółte pasy w bawialni dla domowników, otoczona przyjaciółmi. Byli przy niej Kit, Violet, Jeanette i Darragh oraz jego rodzeństwo. Wszyscy czekali na powrót Adriana i Brevarda.

Wkrótce potem na wyłożonej tureckim dywanem posadzce holu wejściowego rozległy się ich kroki. Niezapowiedziani przez lokaja, Adrian i Lance wkroczyli do pokoju.

Eliza nagle straciła całą pewność siebie. Odstawiła szklaneczkę i wstała. Na widok wicehrabiego, wymęczonego po długiej podróży, poczuła ukłucie winy. Był nieogolony, a oczy miał czerwone z niewyspania. Nie zatrzymując się, podszedł do niej i wziął ją w objęcia.

Nim zdążyła się odezwać, już przycisnął wargi do jej ust i zaczął ją namiętnie całować, nie zważając na to, że nie są sami.

- Najdroższa - wyszeptał. - Tak się cieszę, że już jesteś bezpieczna. Szalałem z niepokoju, zanim dostałem wiadomość od Wintera, a i tak przez całą drogę powrotną Raeburn i ja nie mieliśmy pewności, czy w końcu cię odnalazł. Jak to dobrze, że tu jesteś. Wszystko w porządku?

- W zupełnym.

Eliza po raz kolejny zmuszona była zapewniać, że nic jej nie jest i wyjaśniać całe zajście. Zamknięta w ciasnym uścisku Lance'a, usiłowała niepostrzeżenie wydostać się z jego objęć.

Jednak on jej nie puszczał.

Była pewna, że na twarzy Kita widać zazdrość i niezadowolenie, ale nie patrzyła na niego.

- Lance - powiedziała cicho. - Musimy porozmawiać.

Znowu spróbowała delikatnie wysunąć się z jego ramion, ale on jakby nie zauważał jej starań. Uśmiechnął się do niej.

- Porozmawiamy później, najdroższa. Teraz pozwól mi cię przytulić, żebym wiedział, że jesteś cała i zdrowa.

Zwalczyła odruch, który kazał jej się wyrwać, i stała bez ruchu przez długą chwilę.

- Widzisz? - zamruczała z udawaną beztroską. - Cała i zdrowa. A teraz puść mnie, Lance. Nie jesteśmy sami.

Machnęła tylko ręką.

- Przecież to rodzina. Nikt nie będzie się sprzeciwiał, jeśli cię przytulę. W końcu jesteśmy zaręczeni. Narzeczonym zawsze trochę więcej wolno.

Eliza pomyślała, że zna kogoś, kto mógłby się sprzeciwić. Jednak wciąż nie patrzyła w jego stronę.

- Tak, ale...

- Ale co? - Arystokratyczne czoło Brevarda przecięła drobna zmarszczka. - O co chodzi, Elizo? Coś jednak jest nie w porządku, prawda?

Westchnęła w duchu i spojrzała mu w oczy.

- Przejdźmy do innego pokoju i porozmawiajmy bez świadków. ..

Zmarszczka najego czole pogłębiła się jeszcze.

- Po co? Co takiego musisz mi powiedzieć?

W bawialni zaległa cisza. Wszyscy - prócz jednej osoby - wyraźnie mieli ochotę poznać odpowiedź na to pytanie. Elizie urosła w gardle ciężka, ołowiana gruda paniki, a serce jej trzepotało jak mały, przerażony ptaszek w klatce. W poszukiwaniu otuchy, zerknęła w końcu w stronę Kita, u niego wypatrując siły i pokrzepienia. W jego oczach wyczytała twardy spokój.

Brevard dostrzegł tę wymianę spojrzeń i popatrzył przeciągle na nich oboje. Wreszcie powoli wypuścił Elizę z objęć.

- Chciałbym wiedzieć, co tu właściwie się dzieje - powiedział.

- Lance, proszę, wyjdźmy chociaż na korytarz - błagała Eliza, nękana przez gorzkie poczucie winy.

Kit podszedł do niej. Przez moment się wahał, ale ostatecznie położył jej na ramieniu dłoń w zaborczym geście.

- Myślę, że już za późno na tajemnice. Brevard chyba domyśla się prawdy.

Wicehrabia wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, a jego oczy zwięzły się z wściekłości.

- Ty nikczemny łajdaku! Zhańbiłeś ją, tak?

Wokół nich rozległy się głosy zaskoczenia.

Eliza wyciągnęła rękę.

- Lance, to nie tak, jak myślisz.

- Kochanie, jest dokładnie tak, jak ort myśli - powiedział Kit cichym, rzeczowym tonem.

- Zamorduję cię!

W mgnieniu oka pięść Brevarda wystrzeliła do przodu i uderzyła w szczękę Kita.

Jego głowa odskoczyła do tyłu przy wtórze kolejnych okrzyków i jęków współczucia.

Eliza krzyknęła głośno i wyciągnęła do niego dłoń.

Kit tylko pokręcił głową, bo gwiazdy zatańczyły mu przed oczyma. Lekko dotknął poturbowanej szczęki, masując ją delikatnie.

- Na ten cios sobie zasłużyłem, ale jeśli zamierzasz mnie uderzyć raz jeszcze, sugeruję, żebyś zaczekał, aż znajdziemy się w bardziej odpowiednim miejscu.

Eliza położyła mu rękę na ramieniu.

- Nic z tego. Nie będzie żadnych bójek, zrozumiano? Na pewno nie o mnie.

- Wybacz, Brevard. Eliza i ja nie planowaliśmy ci tego powiedzieć w taki sposób. Nie tak otwarcie i niedelikatnie - Kit urwał, po czym objął Elizę w pasie. - Rzecz w tym, że ta dama i ja się kochamy. Cokolwiek miało miejsce w ostatnich dniach, zrodziło się z tej miłości. I jeszcze, żeby nie było żadnych niedomówień, Eliza zgodziła się zostać moją żoną.

Twarz Brevarda pobladła, a jego spojrzenie pobiegło ku narzeczonej.

- Czy to prawda, co on mówi? Obiecałaś oddać mu swoją rękę?

Wjego oczach cierpienie mieszało się z gniewem i Eliza znowu poczuła ostre ukłucie wyrzutów sumienia.

- Tak.

- Czy to z powodu tego, co zaszło między wami? Bo wydaje ci się, że teraz musisz za niego wyjść?

Eliza żałowała, że nie może ocalić jego dumy i ulżyć mu w bólu, każąc mu wierzyć w nieprawdę. Ale kłamstwo byłoby znacznie gorsze, wszyscy tu zasługiwali na uczciwość.

Wolno pokręciła głową.

- Nie. Ja naprawdę go kocham. Och, Lance, tak strasznie mi przykro!

- To on jest tym, o którym mi opowiadałaś, prawda? - Brevard wskazał na Kita.

Eliza przytaknęła.

- Mówiłaś, że to już przeszłość.

- Bo tak myślałam. Błagam, uwierz mi, że nie miałam zamiaru cię zranić.

Zrezygnowany, opuścił ramiona.

- Nie, zapewne nie miałaś.

Nie wiedząc, co dalej robić, Eliza zsunęła z palca pierścionek zaręczynowy i podała mu.

- Lance, ja... Wybacz mi.

Udręczone błękitne oczy spoglądały na nią przez długą chwilę, nim wreszcie wicehrabia wziął z jej ręki pierścień.

- Bądź szczęśliwa, Elizo.

Ściskając w dłoni drogocenny kamień, odwrócił się i wyszedł.

Kit przygarnął do siebie drżącą Elizę, pocałował ją w policzek i pogłaskał uspokajająco po plecach. Trwali tak w milczeniu, pogrążeni w smutku i żalu.

- To było konieczne - wymruczał jej do ucha.
- Wiem, ale widziałeś jego oczy? Sprawiałam mu tyle bólu.
- Na pewno z czasem mu przejdzie.
- Pewnie masz rację. Ale i tak czuję się okropnie. Nie zasłużyłam sobie na to.

- Nie, ale nie było innego wyjścia.

Westchnęła głęboko.

- Mam tylko nadzieję, że kiedyś znajdzie kobietę, która pokocha go całym sercem.

- Ja też. - Nie zwracając uwagi na zebranych, Kit pochylił się i pocałował Elizę. - Kocham cię.

Objęła go w pasie i mocno ścisnęła.

- I ja cię kocham, tak bardzo.

Odchyliła głowę, żeby przyrzeć się siniakowi na jego szczęce.

- Och! Spójrz tylko, jak wygląda twoja biedna twarz. Trzeba będzie przyłożyć na to stłuczenie okład z ziół i świeży kawałek mięsa.

- Miałem ochotę zjeść obiad, a nie nakładać go sobie na twarz - roześmiał się Kit, ale zaraz jęknął i skrzywił się z bólu.

- Czyli możemy wkrótce spodziewać się wesela? - przerwał im Adrian.

Eliza przytuliła się do Kita, który odwrócił się w stronę brata.

- Oczywiście, jak tylko załatwię, co potrzeba. Eliza uczyniła mnie najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, przyrzekając zostać moją żoną.

- Wyświadczyła ci wielki zaszczyt, że zgadza się znieść ciebie' i twoje wybryki - powiedział Adrian. - Mam nadzieję, że sobie tego nie zlekceważysz.

- Nigdy - przyrzekł Kit.

Adrian uśmiechnął się szeroko, kierując wzrok na Elizę.

- A zatem, witamy w rodzinie, moja droga. Nie znam nikogo, kogo bardziej pragnąłbym mieć za siostrę.

Eliza się rozpromieniła i podeszła, żeby cmoknąć go w policzek.

- Dziękuję, że pojechałeś mnie szukać.
- Ależ nie ma za co.

Violet uznała, że już wystarczająco długo stoi z boku, podbiegła więc do Elizy, piszcząc z radości. Przyjaciółki objęły się i zaczęły podskakiwać w górę jak dwie małe dziewczynki.

- Jesteś na mnie zła? - spytała Eliza.

Violet uniosła złocistą brew.

- Za co?
- Ze ci nic nie powiedziałam. Bardzo byłaś zaskoczona i zdziwiona?

- Zaskoczona może trochę, ale zdziwiona nic a nic. Zawsze wiedziałam, że skrycie podkochujesz się w Kicie.

- Naprawdę?
- Oczywiście, przecież nie jestem ślepa.
- Ani ja - przyłączyła się Jeanette.

Eliza otworzyła usta, a po plecach przebiegł jej dreszcz zdumienia.

- Co ty mówisz?
- Och, przecież to widać jak na dłoni, jeśli tylko ci się dobrze przyjrzeć. Cieszę się, że Christopher w końcu poszedł po rozum do głowy. Już się bałam, że naprawdę pozwoli ci wyjść za lorda Brevarda.

- Na miłość boską! - wykrzyknęła Eliza. - Wszyscy o tym wiedzieliście?

Adrian i Darragh mieli na tyle przyzwoitości, że nie patrzyli jej w oczy. Czwórka rodzeństwa Darragha z zainteresowaniem obserwowała rozwój sytuacji.

- Wygląda na to, kochanie, że tylko my dwoje nie wiedzieliśmy, co się dzieje. - Kit znowu przygarnął ją do siebie. - Ale to nieważne. Odnaleźliśmy się nawzajem i nic nas już nie rozdzieli.

- O nie. Nigdy, mój ukochany - szepnęła, z uśmiechem patrząc mu w oczy.

Jeanette odchrząknęła.

- No, dobrze. Zatem, skoro wszyscy się zgadzamy, że jesteście sobie przeznaczeni, trzeba szczegółowo omówić ten ślub. Nie zgadzam się, żebyście tak po prostu pobiegli do ołtarza.

- Chciałem załatwić specjalne zezwolenie - powiedział Kit.

Jeanette się obruszyła.

- Eliza musi mieć wspaniałą ceremonię w kościele i piękną suknię, i to jest moje ostatnie słowo. Co do sukni, trwają już ustalenia z madame Thibodaux, więc tym nie musimy się na razie zajmować. Trzeba dać na zapowiedzi, -więc musicie szybko zdecydować, czy chcecie wziąć ślub tu, w mieście, czy może w Winterlea. Ja osobiście uważam, że na wsi byłoby daleko przyjemniej, zwłaszcza że sezon już się prawie skończył.

Kit skrzywił się gniewnie.

Eliza westchnęła.

Violet uśmiechnęła się szeroko.

- Lepiej od razu się poddajcie. Wiecie przecież, jak Jeanette uwielbia planować uroczystości.

Eliza i Kit wymienili spojrzenia.

Za chwilę oboje wybuchnęli śmiechem.

Epilog

Och. .. To było cudowne. - Eliza z trudem łąpała oddech, opadła na pościel przy boku Kita.

Przekręcił głowę tak, żeby móc na nią spojrzeć, sam równie mocno zdyszany.

- Cudowne? Tylko cudowne? To było fantastyczne.

Leniwy uśmiech rozchylił jej wargi.

- Masz rację. Fantastyczne. Nadzwyczajne.

- Wspaniałe, zwłaszcza ta ostatnia część.

- O tak, ta ostatnia część była rzeczywiście rozkoszna. Omal nie zemdlałam.

Kit dał jej żartobliwego klapsa w nagi pośladek.

- Może następnym razem mi się to uda.

I jeśli postara się tak mocno, jak przed chwilą, pomyślała sobie Eliza, to istnieją duże szanse, że spełni tę obietnicę. Już teraz drżała z niecierpliwości.

- Cieszę się, że zdecydowaliśmy się spędzić nasz miodowy miesiąc tutaj, w Szkocji. - Spojrzała na złotą obrączkę ze szmaragdem i znowu wezbrała w niej radość na myśl, że ona i Kit naprawdę są małżeństwem.

- Mhm, tak sobie właśnie pomyślałem, że powinno ci się podobać w tym domu. Cisza, spokój i tylko kilkoro służby. Jeśli chcemy, możemy w ogóle nie wychodzić z tego pokoju, chyba że będziemy mieli ochotę na posiłek.

- Wczoraj nie wychodziliśmy wcale. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej jadła obiad w łóżku.

- Ale wiem, że ci się spodobało. Zwłaszcza deser.

Policzki Elizy rozgorzały na wspomnienie bitej śmietany, którą Kit uparł się zjeść wprost z jej nagich piersi, brzucha i ud. Musiała przyznać, że rzeczywiście jej się to spodobało. I to bardzo.

Uśmiechnął się łobuzersko.

- A zresztą, musimy nadrobić stracony czas.

- Wciąż załujesz, że postanowiliśmy zaczekać do nocy poślubnej?

- To ty postanowiłaś. Ja nie miałbym nic przeciwko temu, żeby co noc przekradać się do twojej sypialni. W życiu nie musiałem tak często brać zimnego prysznic jak przez te ostatnie trzy miesiące.

- Mnie też nie było łatwo, ale uznałam, że lepiej będzie dla naszego pierwszego dziecka, jeśli pocznie się już po złożeniu przysięgi małżeńskiej. Poza tym, musiałam pamiętać o mojej sukni ślubnej. Była szyta na miarę. Co by było, gdyby w dniu ślubu okazała się za ciasna?

- Tych parę miesięcy nie zrobiłoby żadnej różnicy. Ale dzięki temu przynajmniej nie musimy się tłumaczyć z przedwczesnych narodzin. - Odsunął swawolny loczek z jej czoła. - Z niechęcią przyznaję, że jednak opłacało się czekać. Efekty poznałem w łóżu, ale nie tylko. Byłaś wspaniała, Elizo. Najpiękniejsza panna młoda, jaką w życiu widziałem.

- To miłość tak mnie odmieniła. Kiedy stałam wraz z tobą tam, przy ołtarzu, czułam się naprawdę piękną.

Kit wziął jej twarz w dłonie i spojrzał jej w oczy.

- Bo jesteś piękna. Nie wiem, jak mogłem kiedyś myśleć inaczej. Ilekroć na ciebie patrzę, po prostu zapiera mi dech w piersi z zachwytem.

- Och, Kit.

Ich usta spotkały się w pocałunku, długim, powolnym, rozmarzonym. Eliza zatopiła się w objęciach Kita i z zamkniętymi

oczami zaczęła wodzić palcami po jego gładkiej skórze i twardych mięśniach. Zatrzymała się, gdy jej dłoń natrafiła na innego rodzaju twardość.

- Widzę, że już odzyskałeś siły.

Kit się zaśmiał.

- Jakżeby inaczej, pod dotknięciem tej wszędobylskiej rączki. Ale, proszę cię, nie przestawaj teraz.

Roześmiała się i spełniła jego prośbę.

Długo, długo potem, Eliza, w pełni zaspokojona, tuliła się do Kita, z głową wygodnie opartą w zagłębieniu jego ramienia. Mimo że zbliżająca się jesień już kąsała lekkim chłodem, zrzucili z łóżka całą pościel.

Jednego była pewna: już nigdy w nocy nie zmarznie. Ten człowiek był jak rozgrzany piec.

- Elizo? - Palce Kita kreśliły ścieżki na jej ramieniu.

- Hm?

- Chciałem z tobą o czymś porozmawiać. Pamiętasz, do czego mnie namawiałaś?

- Ja? Ciebie?

- Rozmawialiśmy kiedyś o mojej przyszłości, teraz już naszej wspólnej. Zastanawiałem się nad tym, co mi wtedy powiedziałaś. Właściwie zrobiłem nawet więcej. Porozmawiałem z pewnymi osobami.

Zaciekawiona, otworzyła oczy.

- Naprawdę? Z kim?

- Z kilkoma lordami i z jednym ministrem, który zajmuje się dyplomacją. Podobno zwolniło się ciekawe stanowisko kogoś w rodzaju łącznika. Jeśli się zdecyduje, mógłbym się tym zajmować.

Eliza aż usiadła w łożu.

- Naprawdę? A co miałbyś robić?

- Pomagać w odbudowywaniu stosunków dyplomatycznych po wojnie, negocjować między Anglią a Francją.

- Och, to brzmi fantastycznie. Miałbyś ochotę tym się zająć na poważnie?

- Myślę, że tak, przynajmniej na tyle, żeby spróbować. Ale to oznacza, że musielibyśmy się przenieść do Francji, może nawet na parę lat. Wiem, że trudno ci będzie rozstać się z przyjaciółmi, Violet i ty jesteście sobie takie bliskie.

Przygryzając wargę, Eliza zamyśliła się na moment.

- Oczywiście, że pojedziemy. - Nachyliła się nad nim i go pocałowała. - Bez dwóch zdań, będzie mi brakować Violet, Adriana i dzieci, ale chcę tego, co dla nas najlepsze. A zresztą, Francja jest niedaleko. Mogą nas odwiedzać.

Oczy Kita rozjarzyły się radością.

- Masz rację. Teraz, kiedy nie ma już wojny, to nie taka długa droga. Raz, dwa i już jest się po drugiej stronie kanału.

- No i przecież raz na jakiś czas dostaniesz chyba urlop, żebyśmy mogli przyjechać do domu.

- Na pewno. Chyba nawet na kilka miesięcy w roku.

- W takim razie, jeśli chcesz objąć to stanowisko, wystarczy, że to powiesz.

- A więc dobrze! Napiszę do lorda Exmeyera zaraz po powrocie do domu.

Przypieczętowali radość z tej wspólnie podjętej decyzji pocałunkiem.

- Paryż - zamruczała Eliza. - Nigdy nie byłam w Paryżu. Pomysleć tylko, tyle książek! Są tam teksty, które były niedostępne dla reszty Europy jeszcze przed wielką rewolucją. To takie emocjonujące. Ależ Violet będzie zazdrosna.

- O książki? - droczył się Kit. - Widzę, że muszę się bardziej postarać o dzidziusia dla ciebie.

- Jedno drugiemu nie przeszkadza. - Urwała. - Nie podoba ci się, że masz mądrą żonę?

Lekko pociągnął ją za ramię, tak że musiała przewrócić się na niego.

- Nie mam nic przeciwko temu. Wystarczy, że od czasu do czasu pojawisz się u mojego boku na jakimś przyjęciu.

Radość ogarnęła Elizę jasną łuną, niczym promienie poranne-
go słońca.

- Będę z tobą chodzić na wszystkie przyjęcia, na jakie tylko
będziesz chciał. - Pocałowała go. - Jesteś moim sercem.

Kit oddał jej pocałunek.

- A ty moją duszą. Co oznacza, jak rozumiem, że nie możemy
żyć bez siebie nawzajem.

- Święta racja.

Znowu ją pocałował, ku jej wielkiemu zadowoleniu.

- A skoro już mowa o książkach - powiedział po dłuższej
chwili - przywiozłem ze sobą jedną, która może nam się przydać.

- O, naprawdę? Jaka?

Zsunął się z łóżka i podszedł do stojącej z boku walizy. Eliza
szeroko otworzyła oczy na widok znajomej zielonej okładki w jego
ręku. Kit pomachał cienką książeczką.

- Myślę, że możemy ją uważać za starego przyjaciela. W pew-
nym sensie to dzięki niej jesteśmy razem.

Pozycje Albanina.

- Ale ja przecież odłożyłam ją z powrotem do szuflady biurka
w saloniku - wymamrotała Eliza.

- Nie tę kopię. Udałem się do księgarza Jeanette i poprosiłem,
żeby zdobył kolejną, specjalnie dla nas. Tamta leży pewnie tam,
gdzie ją zostawiłaś. Chyba że Violet i Adrian postanowili jednak
z niej skorzystać.

- Litości. - Policzki Elizy poczerwieniały.

Kit z szelmowskim mrugnięciem podał jej książeczkę.

- Możesz to potraktować jako ślubny drobiazg ode mnie. Nie
żebyśmy potrzebowali porad w tej dziedzinie, ale moglibyśmy się
niewiele zabawić.

- Zabawić? - Nie mogąc się oprzeć pokusie, Eliza otworzyła
książkę i zaczęła ją kartkować. Przerwała poszukiwania, natrafivszy
na wyjątkowo ciekawą pozycję.

- Wydaje ci się, że to wygląda zabawnie?

Kit zerknął jej przez ramię.

- Może gdybym był akrobatą. Wybierz coś innego.

Przewracała strony w tę i z powrotem.

- Muszę powiedzieć, że numer dziewięć jest dość intrygujący.

Przyjrzał się ilustracji i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Więc taki jest twój wybór?

- Tak - potwierdziła, nagle onieśmielona.

Kit odłożył książkę na stolik nocny i szeroko rozłożył ręce.

- Bierz mnie, moja kochana.

Ze śmiechem padła mu w ramiona.